

Aneta Jadowska

Cuda Wianki



★ NOWE PRZYGODY RODZINY KOZŁAKÓW ★

SON
imaginatio

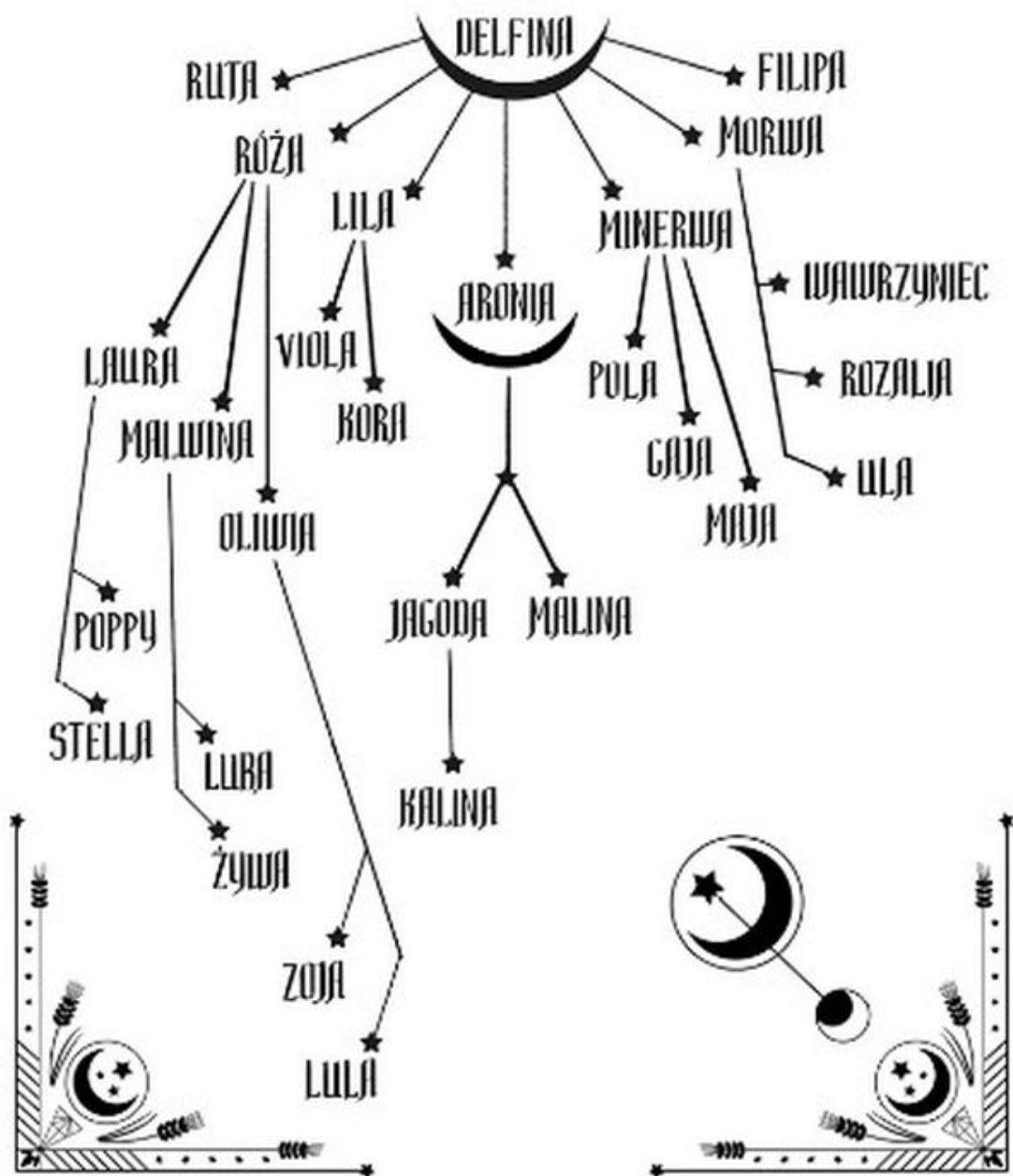
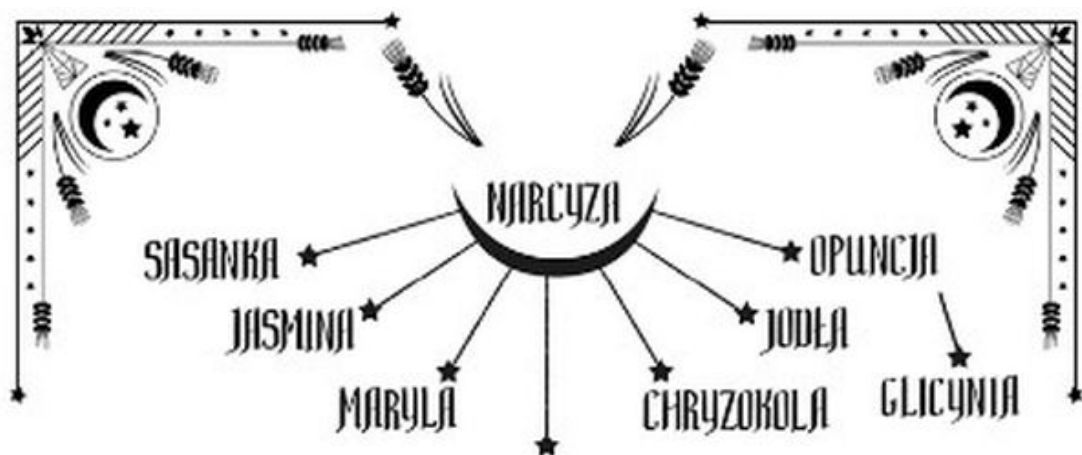
• Aneta Jadowska •

• Cuda • Wianki •



★ NOWE PRZYGDY RODZINY KOZŁYKÓW ★

KRAKÓW 2022



Cuda wianki. Nowe przygody rodziny Koźlaków

Copyright © by Aneta Jadowska 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja - Joanna Mika

Korekta - Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Strożek

Opracowanie typograficzne i skład - Joanna Pelc

Okładka - Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Ilustracje wewnątrz książki - Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN epub: 9788382109122

ISBN mobi: 9788382109115



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

O włos od katastrofy

Nie taka mała tajemnica

Dopóki mu się ucho nie urwie

Ostateczne porachunki

Ruja i porubstwo

O WŁOS OD KATASTROFY



GRZEŚ

Alfred Hitchcock mawiał, że opowieść należy zacząć od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnąć. Zaczynamy więc od aresztowania Aronii.

Podjezwana o uśmiercenie przeciwników politycznych, burmistrzynie Zielonego Jaru może stracić nie tylko stanowisko i pracę, ale też wolność. Malina zwyczajnie nie może na to pozwolić, zwłaszcza że nieco mętna przepowiednia wskazuje jednoznacznie: jeśli ktoś może odkręcić tę sytuację, to właśnie ona. Wystarczy, że zrobi to, w czym jest naprawdę dobra. Czyli właściwie co?

Czas na śledztwo, magię, demonicznego prawnika i wiedźmina w najgorszym wydaniu. Utrzymanie Koźlaczek w ryzach to zajęcie pełnoetatowe, ale i na miłość znajdzie się mała chwilka!

Dla Pauliny

*- oby było tak nieznośnie słodko, że Hallmark
zacznie rozważać ekranizację.*

Dla Grzesia

*- by nie ustawał w byciu księciem z bajki...
albo go znajdę i popamięta!*

I

Malina

Nie sądziłam, że to będzie jeden z tych dni, które przejdą do rodzinnej historii. Myślałam, że najgorsze za nami, głównie dlatego, że w kawiarni nieco się uspokoiło i było prawie normalnie.

Kiedy wybuchła cała ta chryja i plotki zaczęły latać po Zielonym Jarze jak tłuste gołębice, mieliśmy ruch jak rzadko. Nawet mieszkańcy niezagląający na co dzień do StarBunny przybywali do nas tłumnie, licząc, że do najtańszej kawy z menu dorzucę jakąś soczystą ploteczkę. Albo odpowiem na jedno z bezczelnych pytań:

- Twoja matka to zrobiła?

Lub:

- To prawda, że ich zabiła?

Czy:

- Trzyma ich w piwnicy, nie? Gdzie indziej by zmieściła dwóch wielkich chłopów?

Kiedy więc dziś od rana ruch się zmniejszył, a po jedenastej praktycznie ustał, pomyślałam, że burza minęła i już coś innego rozpałało wyobraźnię mieszkańców Zielonego Jaru. Ewentualnie zadziałały dosadne fuknięcia Barnaby, który był gotów bronić honoru mojej matki do krwi ostatniej. Zawsze miał do niej słabość, ale gdy zawisł nad nią cień pomówienia, odpalił mu się tryb rycerza obrońcy.

Osobiście starałam się nie angażować w całą tę aferę. Bałam się, że cokolwiek powiem, zostanie wykorzystane przeciwko Aronii, Koźlaczkom i mnie w szczególności. Każdy temat wydawał mi się ciekawszy od domniemanych morderczych skłonności mojej mamy. Akurat co do tego, że je przejawia, nie miałam żadnych wątpliwości. Po prostu nie wierzyłam w jej winę, bo gdyby kiedykolwiek im uległa,

w ogóle nie znalazłaby się w kręgu podejrzanych. Była na to za sprytna, na pewno zadbałaby o alibi i nie zostawiłaby śladów.

Może przewidziała mniejszy ruch w StarBunny, a może miała dosyć siedzenia w domu i „nierzucania się w oczy”, co doradziła jej ciocia Róża, skonsultowawszy sprawę z zaprzyjaźnionym prawnikiem. Podejrzewałam, że mógł to być mój tata, jednak Róża nie zamierzała się przyznać, że zadzwoniła po poradę właśnie do niego. Aronia fuknęła na samą sugestię ukrywania się, jakby miała coś na sumieniu, ale faktycznie kilka dni spędziła głównie w domu. Do dziś. Tuż po jedenastej wkroczyła do kawiarni, stukając sandałkami na wysokich koturnach i łopocząc szeroką sukienką w jaskrawe meksykańskie wzory. Moja matka, mistrzyni „nierzucania się w oczy”.

Emanowała tą samą co zawsze pewnością siebie i profesjonalizmem, choć znałam ją wystarczająco dobrze, by zauważyć staranniejszy niż zwykle makijaż i to, jak dyskretnie otaksowała lokal – jakby sprawdzała, z czym jej się przyjdzie mierzyć. Wyraźnie się rozluźniła, kiedy dotarło do niej, że poza panią Świderek, która tradycyjnie siedziała przy stoliku w rogu, zajęta arkuszami kalkulacyjnymi na ekranie laptopa, nie ma widowni. Uśmiechnęła się do mnie promiennie i usiadła na wysokim stołku przy kontuarze. Barnaba, wiedziony swoim szóstym zmysłem, wyłonił się z zaplecza i oparł o blat, gotów udzielać jej wsparcia, moralnego czy niemoralnego, gdyby reflektowała na niewypowiedziane propozycje.

- Malinko, największą, najmocniejszą, najlepszą i ze wszystkim – poprosiła mama i westchnęła.

W innych okolicznościach wahałabym się, czy potrójna dawka kofeiny i poczwórna posypka to nie za wiele dla Aronii. I dla świata, który zapewne poniesie tego konsekwencje. Od najmłodszych lat prababcia Narcyza wbijała mi do głowy, że do moich zadań należy ochrona świata przed Aronią, której potężna magia szła w parze z cholerycznym usposobieniem. Robiłam wobec tego, co w mojej skromnej mocy. I może w innym dniu wyperswadowałabym jej tę potrójną dawkę, ale nie dziś. To był ciężki tydzień.

Gdybym wiedziała, gdzie skończy za niecałą godzinę, dosypałabym jej do tej kawy jeszcze relanium.

Ubijałam w kolbie świeżo zmieloną kawę i zastanawiałam się, czy mama widziała plakaty, które Dziurlikowski - kontrkandydat na stanowisko burmistrza, które dzierżyła - porozwieszał na słupach w miasteczku. Jeden z nich próbował przykleić na oknie kawiarni, ale Barnaba go przegonił. Zgnieciony w ciasną kulkę arkusz leżał na dnie kosza. Aronia tak spokojnie rozmawiała z moim szefem o pogodzie, chwając pierwszy naprawdę letni dzień i słońce, którego wręcz nie mogła się doczekać, że - szłam o zakład - z pewnością go nie widziała. Ani słowem się nie zająknęli o najgorętszym temacie ostatniego tygodnia.

Zielony Jar, jak chyba większość małych miasteczek, zawsze był rozplotkowany. Wszyscy się znali, na dodatek niewiele się tu działo. Brakowało zwłaszcza głośnych wydarzeń, więc często najłatwiejszym sposobem na „duży temat” było rozdmuchanie małego tematu.

W ostatnich dniach ludzie plotkowali głównie o tym, jakoby moja matka złamała przysięgę, którą złożyła, obejmując stanowisko burmistrzynie Zielonego Jaru. Zobowiązywała się, że nigdy nie użyje magii wobec swoich przeciwników politycznych. Oznaczało to obietnicę, że nie trzaśnie klątwą Dziurlikowskiego ani żadnego z jego przydupasów ze stowarzyszenia przedsiębiorców Złota Sieć. Aronia zaczęła właśnie czwartą kadencję, nie było jednak dnia, by tamci nie wystawiali na próbę jej cnoty cierpliwości. Mama w żadnym wypadku nie należała do kobiet cnotliwych, co zresztą nie stanowiło żadnej tajemnicy, ale przysięgę traktowała jak świętość.

Kiedy tydzień temu nagle zniknął jeden ze służalców Dziurlikowskiego, Kazik Brożkiewicz, tu i ówdzie dało się słyszeć głosy, że to robota Aronii. Rozumiałam te podejrzania, naprawdę. Członkowie Złotej Sieci od lat pracowali na szczerą nienawiść mojej matki. Próbowali torpedować każdy projekt, który „nie pokrywał się z ich interesami”. Szczęśliwie nie mieli większości w radzie miasta, ale wykorzystywali każdą biurokratyczną bzdurę, by wkurzyć burmistrzynie i spowolnić jej działania.

Podaliśmy mamie największą filizankę, nad którą piętrzyła się czapeczka z bitej śmietany oprószonej każdym rodzajem posypki, jaki miałam dziś w ofercie. Uniosła ją ostrożnie do ust i upiła łyk. Jęknęła z błogością.

- Malinko, no przecież to jest wspaniałe! W domu nigdy nie robisz mi takiej pysznej kawy!

- Bo jestem lojalna względem Barnaby - odpowiedziałam i mrugnąłam do szefa, którego policzki nagle poczerwieniały. - Muszę ci dać dobry powód, byś tu zaglądała i wspierała lokalny biznes.

Obdarzyła mojego szefa promiennym uśmiechem, a czerwień z policzków Barnaby rozlała się na jego szyję.

Miałam absolutną pewność, że Aronia nie pękła i nie złamała przysięgi, choć niekoniecznie mogłam rozgłaszać po mieście, skąd ją czerpię. Otóż moja mama od lat warzyła paskudne klątwy i eliksiry wymierzone w Dziurlikowskiego i jego świętę, ale wszystkie były zabutelkowane i opieczętowane, z elegancko wykaligrafowanymi etykietkami. Sto osiemdziesiąt trzy buteleczki. Wszystkie, co do sztuki, spoczywały na półce spiżarni w naszym rodzinnym domu. Sprawdziłam zaraz po tym, jak zniknął drugi z przydupasów Dziurlikowskiego - Lucjan Lichota.

Mieszkańcy Zielonego Jaru mogliby mieć problem z istnieniem tych klątw, ja uważałam ich przygotowywanie za zdrową technikę relaksacyjną. Aronia warzyła je najczęściej po stresujących posiedzeniach rady miejskiej, po starciach z Dziurlikowskim albo kiedy jakiś wyjątkowo wredny paszkwil na jej temat ukazał się w lokalnej prasie, należącej - jakże by inaczej - do jej największego wroga. Przygotowanie morderczego eliksiru lub klątwy, zapakowanie ich do buteleczek i odstawienie w spiżarni z reguły wystarczało, by uszła z niej złość. Przysięga zabraniała jej rzucania zaklęć tego rodzaju, ale nie ich warzenia czy kolekcjonowania w kredensie. Oczywiście opinie w tej sprawie mogły być podzielone, nie zamierzałam więc nikomu o tym wspominać.

Historia ze zniknięciami faktycznie była podejrzana. Koncentrowanie się na mojej matce kompletnie nie pomagało rozwiązać zagadki, wątpiłam jednak, czy ktokolwiek jeszcze tego chciał. Pod pewnymi względami niektórym było to wybitnie na rękę.

Między zniknięciem Brożkiewicza a zniknięciem Lichoty minęły trzy dni. Za mało, by uznać to za przypadek. Dość, by Dziurlikowski zrobił z tego aferę. Wydano nawet numer specjalny jego gadzinówki, „Zewu Jaru”, poświęcony w całości teoriom spiskowym rzekomo

wyjaśniającym zaginięcia. Wszystkie sprowadzały się do jednego: winę ponosi Aronia Koźlak i jej klan wiedźm. Powinna zostać pozbawiona stanowiska, obtoczona w smołę i pierzu i wywieziona z miasteczka na taczce. Pojawił się tam artykuł nawołujący do skorzystania ze starej, dobrej metody inkwizycji i przeprowadzenia na wiedźmie próby wody w celu udowodnienia jej winy. Dziurlikowski bez wątpienia odleciał, ale zniknięcie dwóch majątnych obywateli budziło w mieszkańcach znaczny niepokój i podejrzliwość, a brednie niedoszęłego burmistrza słycać było najgłośniej. Dzisiejsze rozwieszanie w mieście plakatów nawołujących do złożenia wotum nieufności stanowiło kolejny etap jego kampanii wymierzonej w mamę.

Aronia mogłaby się zajmować w zasadzie czymkolwiek. Była inteligentną i rzutką kobietą, która przez lata prowadziła świetnie prosperującą firmę, ale zależało jej na tym miasteczku, więc stanęła w szranki o fotel burmistrza, by nie usadził w nim zadka piniacz Dziurlikowski. Raczej mi się nie zwierzała, domyślałam się jednak, że cała ta nagonka napsuła jej krwi. Podstawiłam mamie talerzyk z maleńkimi wiśniowymi rożkami, które uwielbiała. W końcu o wiele trudniej się zamartwiać, mając pod ręką słodkości.

Oczy mamy pojaśniały, a na jej twarzy zagościła błogość.

- Jest jeszcze na tym świecie dobro i piękno - powiedziała i wgrzyła się w pierwsze ciasteczko.

Gdzieś między trzecim a czwartym (ewidentnie zajadała stres, bo zwykle wykazywała dużo większą samokontrolę) wyjęła z plecionej torby kartkę, położyła ją na blacie, wygładziła dłonią i z nieodgadnionym wyrazem twarzy podsunęła mi do czytania.

A więc widziała plakaty.

- Nie zasypia gruszek w popiele - mruknełam, czytając nieskładny tekst.

Skinęła głowę.

- Złożył też odpowiednie podania, za sześć dni odbędzie się głosowanie nad wotum nieufności - powiedziała i wrzuciła do ust kolejny rożek.

- Co zrobisz? - zapytałam.

- Nic. Głosowanie pokaże, czy nadal będę burmistrzynie tego miasta, czy tylko głowę sabatu, już niezwiązaną przysięgą. -

Uśmiechnęła się krzywo.

- Nie przemyślał sobie tego - burknął Barnaba i zgrzytnął zębami.
- Ludzie cię wybrali. Ufają ci - zapewniłam.

Spojrzała mi w oczy i uniosła brew. Uwielbiała Zielony Jar, znała każdego z mieszkańców i najwyraźniej miała mniej złudzeń niż ja.

- Kłamstwo powtórzone milion razy zaczyna brzmieć jak prawda - stwierdziła. - Dopóki się nie wyjaśni, co właściwie się stało z Brożkiewiczem i Lichotą, najłatwiej wskazać palcem na mnie.

- I Trzeszkowskim - wtrącił ponuro Barnaba.
- Co z Trzeszkowskim? - zapytałam zaskoczona.

- Też zniknął. Jak kamfora, dziś rano. W jednej chwili walił w drzwi łazienki i wykrzykiwał inwektywy pod adresem siedzącej tam żony, w następnej wyparował. Puff i nie ma - zrelacjonował.

- Nic nie słyszałam. Skąd o tym wiesz? - zapytała Aronia, podejrzliwie mrużąc oczy.

- Och, wiesz, słyszę to i owo, tu i tam, nie mogę ujawnić swoich źródeł w policji. - Uśmiechnął się drapieźnie.

- Rybik ci wyśpiewał, gdy brał cztery kawy na wynos - domyśliłam się.

- Mógł nie mówić, po prostu nie dostałby posypki. Trudno to nazwać wymuszeniem czy zastraszeniem policjanta. - Barnaba wzruszył ramionami, bardzo z siebie zadowolony. - Poza tym cała ta tajemnica bulgotała w nim i musiała się wylać, dałem mu tylko po temu okazję.

- Trzeszkowski, no pięknie, teraz to już poleci na łeb na szyję - mruknęła Aronia, pocierając skronie.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, rozbrzmiał dzwonek nad drzwiami wejściowymi i do środka wkroczył, bardzo teraz poważny i nie w nastroju do plotek, sierżant Rybik, a za nim komendant Gawroński. Dziurlikowski asekurancko został na zewnątrz i tylko zaglądał przez okno, nie chcąc, by ominęło go przedstawienie. Chyba wolał się nie narażać Barnabie, który wyrzucił go stąd wcześniej za agitację polityczną.

Rybik unikał patrzenia Aronii w oczy, ale podszedł do niej i wydukał:

- Aronio Koźlak, aresztuję cię pod zarzutem rzucania klątw czarnomagicznych i jako zagrożenie dla obywateli Zielonego Jaru.

Oczywiste było, że komendant zmusił go do grania pierwszych skrzypiec, pewnie po to, by w razie czego przyjął też na klatę pierwsze ciosy czy klątwę.

Aronia bić się z nim nie zamierzała, więc tylko zapytała chłodno:

- Na jakiej podstawie? I gdzie wasze dowody?

Gawroński nie czekał, aż Rybik przypomni sobie, że ma język. Rzucił w Aronię plikiem złożonych na troje kartek i wyburczał:

- Możesz stawiać opór, ale ci to nie pomoże. I tak skończysz za kratkami.

Mama rozwinęła złapane w locie kartki, omiotła je wzrokiem i parsknęła pod nosem. Odłożyła je na blat i popchnęła w moją stronę.

- Znakomicie. Marzyłam o kilku dniach odpoczynku - powiedziała, wstając.

- Mamo... - wykrztusiłam, bo takiego obrotu sprawy nie przewidziałam.

- Aronio! - Barnaba cały się napiął i chyba nie zamierzał nawet wsiadać na konia, by zgrywać rycerza.

- Bez obaw, Minerwa to przewidziała... poniekąd - oznajmiła Aronia. - Malinko, rób to, co zwykle, a wszystko się dobrze skończy - zapewniła.

Bez zbędnego ociągania wyszła z kawiarni z sierżantem Rybikiem i komendantem Gawrońskim. Ten drugi chciał jej założyć kajdanki, ale spojrzała na niego tak lodowato, że się rozmyślił.

- Czy oni naprawdę ją aresztowali? - zapytał wstrząśnięty Barnaba, zaciskając pięści do białości.

Przeglądałam papiery, które z pewnością nie przypadkiem zostawiła mi mama.

- Tak naprawdę, wbrew temu, co wygadywał Rybik, nie postawili jej zarzutów. To areszt prewencyjny. Najwyraźniej jakieś dwieście lat temu odpowiedni przepis znalazł się w lokalnych rozporządzeniach. „Izolacja magicznie skorumpowanego urzędnika miejskiego celem ochrony dobrobytu społeczności” - przeczytałam na głos pogrubiony fragment.

- Bełkot - skwitował Barnaba.

- Tylko co ja mam zrobić? Powiedziała, że mam robić to, co zwykle, czyli właściwie co? Narysować komiks z prababcią Narcyzą odbijającą ją z aresztu? - zapytałam przytłoczona.

Mama była piekielnie inteligentną kobietą, liczyła, że się domyślę. Ale mogła przecenić moje możliwości!

- Myślę, że odbijanie z aresztu, a zwłaszcza mieszanie w sprawę Narcyzy, doprowadziłoby do niepotrzebnej eskalacji problemu. Twoje ciotki też na wszelki wypadek trzymałbym przez jakiś czas na dystans - doradził.

Nie miał najlepszej opinii o mojej rodzinie, ale cóż, klan Koźlaczek ciężko pracował na swoją reputację. Zresztą Barnaba się nie mylił - gdzie zejdą się trzy wkurzone Koźlaczki, eskalacja jest nieunikniona.

- Czy ten areszt prewencyjny ma jakieś ramy czasowe? Przecież nie mogą jej trzymać tam rok czy dwa, prawda? - dopytywał mój szef, czochrając nerwowo brodę.

Papierzyska od komendanta dostarczyły odpowiedzi i na to pytanie.

- Do najbliższego posiedzenia rady miejskiej. Tego samego, na którym będą głosować nad wotum nieufności - uświadomiłam sobie. - Kanalie, przejmą całą narrację! Do środy przekonają wszystkich, że mama jest zbrodniarką, a ona nawet nie będzie mogła się bronić!

Barnaba przytaknął, oparł się ciężko o blat i przez chwilę milczał z zamkniętymi powiekami. Wreszcie wyprostował się i powiedział:

- Twoja mama jest mądrą kobietą. Mówiła, że masz robić to, co zwykle. O twoich komiksach wie od niedawna. Ale zawsze powtarzała, że nikt nie potrafi znajdować kłopotów tak dobrze jak ty. I myślę, że to właśnie powinnaś zrobić.

- Mam szukać kłopotów? Nie starczy nam tych, które mamy?

- Źródła kłopotów, Malinko. Musisz odkryć, czemu ta trójka zaginęła. Bo coś mi się wydaje, że Gawrońskiemu nie zależy na znalezieniu odpowiedzi, skoro ma już swojego kozła ofiarnego.

- Jeśli odkryję, kto naprawdę za tym stoi, udowodnię tym samym, że to nie mama! To jest genialne w swojej prostocie!

Zerknęłam na zegarek. Do południa jeszcze trochę brakowało. W kawiarni było pusto, ale moja zmienniczka miała się pojawić dopiero o czternastej.

Barnaba popchnął mnie delikatnie w stronę wyjścia, rozwiązując przy okazji kokardkę mojego fartuszka.

- Masz wolne do środy włącznie, Malinko. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

- Jesteś najlepszym szefem na świecie, wiesz? - Wzruszenie ścisnęło mi gardło.

- No oczywiście, że jestem. Skąd ta nuta zdziwienia? - odpowiedział i poklepał mnie po plecach.

Cofnąłam się, żeby zgarnąć papiery. Będę musiała je podrzucić cioci Róży, by skonsultowała temat z prawnikiem.

Wyszłam z kawiarni. Wyciągnęłam z kieszeni komórkę i zadzwoniłam do Klona.

- Chcę pogadać z Grzesiem - rzuciłam na powitanie.

Posterunkowy Grzegorz Drzewiecki był kuzynem Klona oraz jedynym tutejszym policjantem, co do którego miałam pewność, że jest uczciwy i nie siedzi w kieszeni Dziurlikowskiego, nie grywa z nim w pokera i pozostaje odporny na jego podszepty.

Trochę się na mnie boczył, odkąd w czasie festiwalu Mabon znalazłam trupa w labiryncie i złamałam wszelkie zasady postępowania na miejscu przestępstwa. Zamiast czym prędzej zadzwonić po policję i pod żadnym pozorem niczego nie dotykać, razem z Klonem wyniosłam zwłoki z labiryntu, niszcząc przy okazji wszystkie dowody. Ukryliśmy trupa w stodole Grzesia, wplątując go dodatkowo w tę chryję. Miałam ku temu konkretne powody, a Grześ nawet je rozumiał, ale był to cios, który uraził nader głęboko jego uczucia policyjne. Pewnie nigdy by mi nie wybaczył, gdyby nie to, że ostatecznie rozwiązaliśmy tę sprawę, a winny został ukarany.

Grześ był służbistą, ale jednocześnie fanem prawdy. Mógł mieć żal do mnie i Klona, z tym że jeśli komuś zależało na rozwiązaniu tej zagadki, to właśnie jemu. A jeżeli ktoś mógł go przekonać do współpracy, to tylko Klon. Gdy Grześ stracił zielony kciuk, Klon nie tylko się nie zdystansował od kuzyna, ale i regularnie do niego wpadał, by utrzymać przy życiu jego domowe rośliny.

Dopiero po czwartym sygnale mój chłopak wreszcie odebrał.

- Coś pilnego? - zapytał, a w jego głosie usłyszałam lekkie roztargnienie. Mogłam się założyć, że złapałam go w szklarni, gdzie patrzył właśnie na jakiegoś przedziorka czy mącznika, próbując telepatycznie zmusić go do porzucenia podłej kariery niszcyciela zbiorów.

- Aresztowano Aronię - rzuciłam bez wstępów.

Przez dobrych dwadzieścia sekund w słuchawce panowała cisza, a gdy już zaczęłam się zastanawiać, czy przez przypadek się nie rozłączył, powiedział:

- Jesteś w StarBunny?

Przytaknęłam.

- Będę u ciebie za kwadrans.

Właśnie taki był Klon. Od razu poczułam się nieco pewniej.

Trzymaj się, mamó, rozgryzę to, obiecałam w myślach i zadzwoniłam do cioci Róży. Nie odbierała, więc nagrałam się na pocztę głosową, choć byłam pewna, że wieść o aresztowaniu Aronii dopadnie ciotkę szybciej niż potrzeba odsłuchania wiadomości na skrzynce.

II

Posterunkowy Grzegorz Drzewiecki był człowiekiem cierpliwym, jak przystało na kogoś, kto większość swego życia przeżył jako zielony mag. Mógł się całymi dniami przyglądać, jak kiełkuje nasionko, i nie czuł przy tym ani odrobiny znużenia.

Miał jednak skazę charakteru. Przynajmniej tak nazywała to jego matka. Skaza była duża i miała konkretny, negatywny wpływ na życie Grzesia. Najpierw kosztowała go magię zielonego kciuka, a z nią przeznaczone mu od maleńkości życiowe powołanie. Teraz zaś z każdą chwilą zagrażała jego obecnej karierze, która ledwie się rozpoczęła, a już wisiała na włosku.

Nigdy nie był brutalnym facetem, nie przejawiał skłonności do przemocy i w gruncie rzeczy uważał się za pacyfistę. Tyle że czasami, trochę częściej, niż wypadało zielonemu magowi, odczuwał silną potrzebę walnięcia kogoś w nos. Na domiar złego raz już uległ tej pokusie i walnął narzeczonego swojej kuzynki Marioli, a ten zalał się krwią. Tak Grześ stracił magię zielonego kciuka. I nawet nie znajdował w sobie żalu i przekonania, że postąpił niewłaściwie. Owszem, incydent miał przykre dla niego konsekwencje, ale kiedy się dowiedział, że siniaki i podbite oko Mariolki nie powstały wskutek wypadku na schodach, po prostu nie mógł zareagować inaczej. Mus i zew. Matka winiła za to stryjecznego pradziadka, który ożenił się z Włoszką. Wprawdzie w żyłach Grzesia nie płynęła ani kropla krwi, którą mógłby odziedziczyć po stryjecznej babce Marie, widocznie jednak wchłonął coś z jej charakteru, kiedy raz opiekowała się nim całe popołudnie, gdy miał dwa i pół roku. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła jego rodzina.

Nie Grześ. On znał prawdę. Od dziecka miał silną potrzebę sprawiedliwości i po prostu nie mógł zdzierżyć, jeśli tej nie stało się zadość. Cenił porządek i przestrzeganie prawa, chętnie bronił pokrzywdzonych. Mariolka potrzebowała pomocy. Była zielonym

kciukiem i tak bardzo się bała, że straci magię, broniąc się przed napaścią, że nie reagowała, gdy narzeczony okładał ją pięściami. Nie był już taki odważny, gdy jego nos spotkał się z pięścią Grzesia. Owszem, życie Grzeska runęło, musiał opuścić rodzinny biznes, który miał przejąć po ojcu, i w wieku dwudziestu ośmiu lat stanął przed koniecznością poukładania sobie wszystkiego od nowa, ale nie żałował tego, co zrobił.

Długo nad tym myślał i doszedł do wniosku, że tak miało być. Że utrata magii zielonego kciuka nie była karą, ale impulsem, by podążyć w nowym kierunku. Tak został policjantem. Traktował swoją pracę i misję poważnie. Czuł, że wreszcie jest na swoim miejscu.

A teraz z każdą sekundą był bliższy utraty tej pracy. Bo jeśli podąży za nieodpartą pokusą, by przyłożyć komendantowi Gawrońskiemu, ten bez wątpienia wywali go z roboty, a tego Grześ żałowałyby bardziej niż utraty magii. Przecież o pracę wystarał się sam. Ale im więcej bredni wydostawało się z ust komendanta, tym trudniej przychodziła Grzesiowi walka z tą pokusą. Oddychał przez nos, liczył w myślach owce, podwijał palce u stóp, aż zaczynały mu drętwieć w służbowych butach, byle tylko odwrócić swoją uwagę od pokazu niekompetencji i opierdalactwa, jaki demonstrował jego bezpośredni przełożony.

Zaczęło się od rzeczowej uwagi Grzesia, że teraz, kiedy mają już trzy zaginięcia, nie da się niczym uzasadnić braku śledztwa, procesowania dowodów czy choćby przesłuchania bliskich każdego z zaginionych mężczyzn.

- Myślę, że to po prostu konieczne, jeżeli mamy się dowiedzieć, co im się przytrafiło. A w dalszej perspektywie, jeśli mamy aresztować winnego. Z każdym dniem zacierane są ślady i dowody - tłumaczył Grześ, zirytowany tym, że musi starszemu stopniem przełożonemu wyklądać rzeczy oczywiste.

- Drzewiecki, skąd pomyśl, że ty tu jesteś od myślenia? - odparował komendant Gawroński, a kudłate gąsienice jego brwi uniosły się z rozbawieniem. - Wszyscy wiedzą, kto to zrobił. Sprawa zamknięta!

- Nie ma żadnych dowodów, że to Aronia Koźlak! W ogóle nie ma dowodów, bo nikt ich nie zbierał! - Grześ czuł, że twarz zaczyna go palić.

- Drzewiecki, wystawiasz moją cierpliwość na próbę! - ryknął komendant. - Spraw mu się zachciało! A mandaty przewidziane na ten miesiąc rozdał? Wpływ do kasy wypracował?

- Co ja poradzę, że wszyscy parkują prawidłowo? I poza Dziurlikowskimi, których mi pan zabronił zatrzymywać, nikt nie przekroczył prędkości? - bronił się posterunkowy, tocząc coraz trudniejszą walkę z pragnieniem przywalenia przełożonemu.

Tymczasem Gawroński patrzył na niego z pogardą.

- Ty, Drzewiecki, daleko nie zajdziesz, jak nie będziesz bardziej proaktywny w temacie mandatów - mruknął z niesmakiem.

Grześ nie chciał analizować, czego właściwie komendant od niego oczekuje. Od początku wyznaczył sobie granice - być uczciwym, nie brać w łapę, nie przymykać oka. Tym zajmowali się sierżant Rybik i posterunkowy Karkosik, ulubieńcy komendanta.

Zmusił się do rozluźnienia szczęki. Niedawno znowu zaczął zgrzytać zębami, a dentysta ostrzegł go, że na leczenie bruksizmu po prostu go nie stać. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rozbrzęczał się telefon stojący na biurku komendanta.

Grześ przez następną minutę słuchał jednej strony konwersacji.

- Pani Trzeszkowska, z wyrazami współczucia...

Musiała mu przerwać, bo komendant zamilkł na chwilę, a jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe jak pięciozłotówki.

- To bardzo nieprzyjemne i niepokojące. Oczywiście, że nie powinna pani być na to narażona - zapewniał. Znów przez chwilę milczał, słuchając tyrady, a potem gładko dodał: - Oczywiście, po to jesteśmy... Strzelanie raczej nie będzie konieczne. Wysyłam do pani posterunkowego, zajmie się tym.

Odłożył słuchawkę i spojrzał niechętnie na Drzewieckiego.

- No i proszę, oto mamy sprawę na miarę waszych możliwości, posterunkowy. Pojedziecie do Trzeszkowskich i uwolnicie panią Karolinę od napastnika. Ponoć drapieżna i agresywna bestia.

Grześ spojrzał na przełożonego z zaskoczeniem.

- Ale jaka bestia? Coś magicznego? Czy nie trzeba dzwonić do Inspektoratu Terenów Zielonych, by przysłali oficera łowczego? - zapytał.

Mógłby zaproponować jeszcze zwrócenie się o pomoc do wiedźm, ale komendant nie od dziś był cięty na Koźlaczki.

- Inspektorat? Do zwykłego kota? Oj, Drzewiecki, jak wy coś palniecie - westchnął ciężko Gawroński i machnął ręką. Był to czytelny sygnał, że rozmowa jest skończona i podwładny ma wypierdalać w podskokach.

Więc Grześ wyszedł i skierował się na tyły komisariatu po radiowóz. Nie ma tego złego, pomyślał. W końcu poniekąd dopiął swego. Oto komendant właśnie oficjalnie polecił mu się udać na miejsce zbrodni, prawda? Całą resztę Grześ postanowił traktować jako nieistotne detale.

*

Karolina Trzeszkowska, małżonka zaginionego Bogumiła Trzeszkowskiego, była kobietą energiczną i zdecydowaną. Miała też tendencję, by swoje racje wykrzykiwać z emfazą i energicznymi tupnięciami podkreślać wszelkie czasowniki oznaczające czynności niecierpiące zwłoki.

- Masz go złapać! I wyrzucić z tego domu! Czego nie rozumiesz?! Jeśli to ja go złapię, skręcę gadowi kark! Nienawidzę pieprzonych kotów! Nie będzie mi tu gnój jeden sikał na dywany! Ty wiesz, ile ten dywan kosztował?

A Grześ naprawdę się starał złapać tego przekłętego kota. Bestia była jednak szybka i złośliwa i doprowadziła Grzesia do łez w zaledwie kilka minut. Nie musiała się zresztą specjalnie starać. Posterunkowy Drzewiecki miał potężną alergię na koty i sama ich bliskość pobudzała jego organizm do histaminowej gorączki. Krótco po wejściu do domu Trzeszkowskich poczuł, jak oczy zaczynają mu łzawić, skóra na szyi swędzieć, a z nosa ciekło jak z odkręconego kranu. Na szczęście zabrał ze sobą chusteczki, więc co kilka sekund ocierał zaczerwieniony nos i usiłował zlokalizować kocura, który za nic nie chciał dać się złapać. Nie reagował na żadne „kici, kici” ani nawet na odgłos otwierania puszek z tuńczykiem, a gdy Grześ wreszcie wypatrzył go pod łóżkiem i spróbował wyciągnąć za ogon, kot wściekle zaatakował i teraz dłoń posterunkowego znaczyły krwawiące, zaognione pręgi.

- Może pani spróbuje? Może źle reaguje na obcych? - zaproponował słabo Grześ.

- A niby czemu miałyby lepiej zareagować na mnie? Pierwszy raz widzę tego siersciucha! Nie wiem, jak się tu dostał, ale jedno jest pewne: ma go tu nie być góra za kwadrans albo złożę na pana skargę - oświadczyła twardo i zaplotła ramiona na piersi.

Grześ wiedział, kiedy się przyznać do porażki. Potrzebował pomocy. I klatki. I rękawic, o ile po wszystkim chciał mieć wszystkie palce. Kot syczał na niego wściekle spod łóżka. Może i ustępował tygrysowi rozmiarami, ale nie zażartością. Błyskające w świetle policyjnej latarki długie, ostre kły jak nic mogłyby spowodować naprawdę poważne obrażenia, gdyby posterunkowy do tego dopuścił.

Grześ wstał z kolan i ruszył do wyjścia.

- Gdzie się pan wybiera? Chyba pan go tu nie zostawi?! - ryknęła za nim Trzeszkowska.

- Spokojnie, pani Karolino, wzywam wykwalifikowane posiłki - zapewnił, wycierając chusteczką ciekący nos.

Komendant miał rację z jednym. Jeśli wezwie Inspektorat do domowego kota, stanie się pośmiewiskiem. Ale pozostawał jeszcze Klon Drzewiecki, a ten był dla Grzesia jak młodszy brat, posterunkowy wybrał więc numer do kuzyna.

- Potrzebuję pomocy - powiedział cicho, nie owijając w bawełnę.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał chłopak ciepłym tonem.

Grześ westchnął ciężko i przyznał:

- Mam tu wściekłego kota i dziki atak alergii. Pomożesz?

- No jasne. Masz transporter?

- Nie mam. Jestem u Trzeszkowskich. Jak szybko możesz być? - zapytał, oglądając się na krążącą po salonie panią domu.

- Za jakieś dziesięć minut, tylko zgarnę transporter i Malinkę. Biorę ją ze sobą - zaznaczył lojalnie Klon.

Grześ sapnął niechętnie. Nie miał problemu z Maliną. Miał problem z tym, co zwykle się wiązało z zaangażowaniem w cokolwiek którejkolwiek z Koźlaczek.

- Nie sap, brachu, musi z tobą porozmawiać.

- O czymś konkretnym? - zapytał Grześ podejrzliwie.

- O tym, że twój durny szef właśnie aresztował jej matkę - powiedział Klon i się rozłączył.

Posterunkowy Drzewiecki dziękował losowi, że pokierował go do domu Trzeszkowskich. Nawet za cenę alergii. Bo gdyby teraz był na komendzie, jak nic uległby pokusie walnięcia komendanta w nos.

III

Malina

Klon powinien już tu być, myślałam nerwowo, wydeptując ścieżkę przed kawiarnią. W głowie układałam plany i przemowy, mające na celu jedno - przekonanie Grzesia Drzewieckiego do współpracy. Posterunkowy miał mnóstwo zalet, w tym tę, że był nieprzekupnym służbistą, i właśnie ona stanowiła teraz moje wyzwanie. Nie miałam złudzeń, to nie film Hallmarku, gdzie domorośla detektywka flirtuje z detektywem, a ten pozwala jej wmaszerować na miejsce zbrodni i nawet nie mrugnie. Raz - nie wypadało mi flirtować z Grzesiem, skoro chodziłam z jego kuzynem, dwa - nie wiem, czy próba flirtu w ogóle mogłaby podziałać na Grzesia.

Gdy Klon ostro zaparkował przy krawężniku, wskoczyłam do jego furgonetki i od razu zapięłam pas. Ruszył z piskiem opon - chyba też udzielił mu się nerwowy nastrój.

- Wciąż nie mam pomysłu, jak przekonać Grzesia do współpracy - przyznałam z niepokojem.

- Tym się nie martw, Malinko, Grześ będzie współpracował, masz to jak w banku - zapewnił i aż się wyszczerzył, bardzo z siebie zadowolony.

- Co wymyśliłeś? - zapytałam.

- I to jest w tym najlepsze! Nie musiałem niczego wymyślać! To Grześ zadzwonił do mnie kilka minut temu i poprosił o pomoc. Musiałem się wrócić do domu i pożyczyć coś od siostry, dlatego zajęło mi to chwilę dłużej, ale wierz mi, opłaciło się. To nasza przepustka do serca Grzesia!

Obróciłam się na fotelu. W tylnej części samochodu zauważyłam kilka worków humusu i rozsypujący się po podłodze perlit, ze

dwanaście plastikowych donic, narzędzia... To, co zwykle można było znaleźć w furgonetce zielonego maga i pracownika szkółki ogrodniczej. Jedynym niepasującym elementem był duży, pomarańczowo-żółty transporter.

Jaki związek mógł mieć z sercem Grzesia Drzewieckiego, zwłaszcza że był pusty? Łapówka w postaci kociaków miałyby jeszcze jakiś sens, ale sam transporter?

- Grześ od dziecka ma jeden konkretny problem. Jego organizm kompletnie nie reaguje na loratadynę. Wierz mi, będzie współpracował - zapewnił Klon.

A ja uznałam to za element specyfiki Drzewieckich. Dla nich brzmiało to logicznie, u każdego spoza rodziny powodowało tylko ból głowy. Jako Koźlaczka nie mogłam rzucić kamieniem.

Podjechaliśmy pod dom Trzeszkowskich. Grześ stał na podjeździe. Jedną ręką drapał się nerwowo po szyi, drugą dociskał do nosa chusteczkę. Twarz miał zaczerwienioną, a oczy szkliste.

Klon wyskoczył z samochodu z energią młodego labradora, wyciągnął transporter i podszedł do kuzyna.

- Ale cię siekło, staruszkule! - zawołał.

- Nie denerwuj mnie, po prostu złap tę bestię. I uważaj na jego pazury, prawie mnie oskórował - wyburczał Grześ.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi furgonetki i podeszłam do nich, starając się emanować pewnością siebie.

- Nie ma sprawy. Pod jednym, maluteńkim warunkiem - powiedział Klon.

- Stary! To nie czas na targowanie! - burknął Grześ i głośno wydmuchał nos.

- A przeciwnie, to najlepszy moment. Pomożesz Malince oczyścić imię Aronii, a ja złapię dla ciebie tego kocura. Ba, obiecuję, że do końca życia będę łapać każdego kota, który choćby źle na ciebie spojrzy - oświadczył Klon twardo.

- To nie fair, wiesz, że jestem pod ścianą... - Grześ nie poddawał się łatwo.

- Nie fair to jest to, że moja przyszła teściowa siedzi w areszcie. I że nikogo poza Malinką i tobą nie interesuje odkrycie prawdy. Możecie sobie pomóc. Nie mówię, że jeśli się nie zgodzisz, pójdę do twojej mamy

wyrazić ubolewanie z powodu twojej niechęci do udzielenia pomocy mojej prawie narzeczonej i prawie teściowej, ale wiesz, że to zrobię.

- Złap tę bestię - mruknął Grześ zrezygnowany.

- Bosko, to wy tu sobie porozmawiajcie, a ja się zajmę futrzakiem. - Klon nagrodził jego decyzję szerokim uśmiechem, a potem pomaszzerował do domu, wymachując transporterem.

Grzesiowi daleko było do entuzjazmu. Wzdychał raz po raz, wycierając ciekący nos.

- To tylko kot, nie żadna bestia, prawda? - upewniłam się. - Klon na pewno nie potrzebuje pomocy?

- Poradzi sobie. Koty za nim przepadają, pewnie dlatego, że wiecznie tarza się w grządkach, na których rośnie kocimiętka. To nie pierwszy raz - powiedział i wrzucił ramionami.

- Nie chcę ci wykręcać ręki, Grzesiu, naprawdę - odparłam, siłąc się na spokój. - Ale nie mogę stać bezczynnie, kiedy mama siedzi w areszcie i grozi jej odwołanie ze stanowiska. A jeśli nic nie zrobię, to właśnie się stanie. Zdaniem cioci Minerwy mogę pomóc.

Grześ uciskał nasadę nosa.

- Naprawdę ją aresztowali?

Skinęłam głowę. Wyciągnęłam z kieszeni dokumenty i mu je pokazałam.

- Co za idioci!

- Nie wierzysz, że moja mama stoi za tymi zniknięciami, prawda? - zapytałam z nadzieją.

- Oczywiście, że nie! Gdyby Aronia pękła, wszyscy by wiedzieli! A tu ani śladu piorunów, brutalnych zaklęć, tego absurdalnego przerysowania, które Koźlaczki mają w genach. Gdyby to ona za tym stała, nikt nie miałby wątpliwości, co spotkało ofiary.

- Czyli wiesz, że to nie Aronia, bo wszystko przebiegło nie dość widowiskowo? - zapytałam rozbawiona.

- Koźlaczki to chaos. Tutaj rzecz załatwiono czysto i dyskretnie. Nie pasuje mi to do waszej reputacji - odparł. A po chwili zapytał: - Minerwa naprawdę miała wizję?

- Nie znam szczegółów, ale mama była pewna, że mój udział w sprawie jest kluczowy.

- Dobra. Zrobimy to. Przeprowadzimy śledztwo. Przecież nie zwolnią mnie za uczciwą policyjną pracę. A jeśli zwolnią, to trudno. Nie mogę pozwolić, by polityka i lenistwo mojego szefa powstrzymały mnie przed zrobieniem tego, co słuszne. Tylko, Malina, żadnych wybuchów i żadnego szaleństwa!

- Grzesiu, jestem Koźlaczką, ale z tych poczytalnych!

- Nie nawijaj mi tu makaronu na uszy. Żadna z was nie jest poczytalna. Jeżeli się zgodzę na twój udział, to pod kilkoma warunkami. Żadnych więcej Koźlaczek w to nie angażujesz, a już zwłaszcza Narcyzy. Im mniej wiedzą, tym lepiej. I uprzedź prababkę, że jeżeli zrobi coś głupiego, typu próba odbicia Aronii z aresztu, wsadzę ją bez mrugnięcia okiem. Nie boję się jej ani Harpii. A nawet jeśli, nie pozwolę, by mnie to powstrzymało przed działaniem.

- Słowo honoru, będę trzymała Koźlaczki z daleka. Ciocia Minerwa to poprze, a reszta nie będzie się z nią kłócić.

- Chociaż tyle - mruknął. - Jest jeszcze jeden problem. Bez zielonego światła od komendanta nie dostaniemy nakazu przeszukania, nikt nie będzie z nami rozmawiał...

- Będą rozmawiać, wierz mi, będą.

- Jak?

- Każdy ma swoje słabe punkty, a ja wiem, co w trawie piszczy - zapewniłam.

Westchnął i wysmarkał nos. Nie wyglądał na zachwyconego, ale nie musiał pisać z zachwytu - wystarczyło, że nie położył się w progu Rejtanem.

Drzwi do domu Trzeszkowskich się uchylily i wyjrzał z za nich Klon.

- Droga wolna, kot w transporterze! - zawołał. Uniósł przy tym kciuki i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Dobra, to zaczynajmy - zarządził Grześ. - Warto się tu rozejrzeć. Możesz się przydać - dodał łaskawie, zwracając się do mnie. - Nikt nawet nie sprawdził domu pod kątem magicznym.

- Uuu, nie żartowałeś z tym ich lenistwem... Przecież tu może być aktywna kłątwa! - zauważyłam. - Pani Karolina jest tego świadoma?

- Z tego, co mi wiadomo, nie ma pojęcia o magii. A gdyby nie wcześniejsze zaginięcia, byłyby moją pierwszą podejrzaną. Naprawdę

nie znosiła męża - oznajmił i przybierając swoją najbardziej służbową minę, wkroczył do środka.

Wyobraziłam sobie, że jestem - niczym Sherlock - oficjalną konsultantką miejscowej policji. Z nowo nabytą pewnością siebie ruszyłam za Grzesiem.

IV

Malina

Dom Trzeszkowskich okazał się okazałą willą, elegancką i nowoczesną. W środku zwracały uwagę jasne błyszczące powierzchnie, dominowały kamień, chrom i marmur. Mnóstwo bieli, mało innych kolorów, niewiele życia. Nawet spora roślina stojąca w stylowej donicy z wapiennego bloku okazała się sztuczna. Przysięgam, gabinet mojego dentysty wyglądał mniej sterylnie i surowo.

Rzut oka na jasne kanapy, biały dywan i lśniące marmurowe podłogi wystarczył, by zrozumieć, czemu pani Karolina Trzeszkowska właśnie wydzierała się na Klona i Grzesia. Wykrzykiwała, że nie chce widzieć tego kota choćby w pobliżu swego domu i że mają go wywieźć najdalej, jak to możliwe. A najlepiej niech go oddadzą do schroniska, gdzie szybko zostanie wyprawiony za tęczy most, bo przecież nikt nie zechce adoptować zwierzęcia o tak paskudnym charakterze. Aż się wzdrygnęłam, słysząc jej ostry ton.

Tymczasem zamknięty w transporterze kot usilnie starał się zapracować na fatalną reputację. Był gotów obedrzeć sobie łapę ze skóry, przeciskając ją przez gęste kraty, byleby zwiększyć swoje szanse na dopadnięcie hetery. Syczał, warczał, fukał, pluł i wymachiwał ostrymi jak brzytwa pazurami, jakby doskonale rozumiał jej słowa. Klon wystawił transporter na ganek, tuż przy drzwiach wyjściowych, ale nawet z tak dużej odległości słyszałam agresywne warczenie kocura.

- Pani Karolino, zabierzemy zwierzę, nie musi się pani tym zamartwiać, ale czy możemy na chwilę wrócić do głównego, że tak powiem, problemu? - Grześ z podziwu godnym spokojem próbował naprowadzić rozmowę na pożądane tory.

- To znaczy? - Żona zaginionego zamrugła i przez chwilę zdawała się szczerze zastanawiać, co mogłoby być ważniejsze od kota, który skalał jej świątynię bieli i wysokiego połyску.

W jasnokremowym kombinezonie z lejącej dzianiny, z blond włosami upiętymi w idealnie symetryczny kok i makijażem podkreślającym każdy atut jej urody, wyglądała jak westalka tej świątyni. Nawet baleriny z miękkiej skórki doskonale pasowały do odcienia kombinezonu.

Gdzieś z tyłu głowy zaświtała mi myśl, że jeżeli któregoś dnia postanowiłaby zamordować męża, na pewno zrobiłaby to schłodnie i perfekcyjnie. Wszelkie ślady usunęłaby z wprawą i starannością kobiety, której dywan został odkurzony tak, że wszystkie włókna układały się w tę samą stronę.

- No wie pani, zaginięcia pani męża. - Grześ był wyraźnie zakłopotany.

Karolina Trzeszkowska machnęła ręką i prychnęła z lekceważeniem.

- A, to. No zaginał. Wielkie mi co, łzami się nie będę zalewać. Nawet zniknąć musiał w swoim stylu, panu powiem. W jednej sekundzie wrzeszczy na mnie i dobija się do łazienki, jakby przerastało go zejście do tej na parterze, doprawdy, dorosły chłop, a jak dziecko... No i nagle cisza. Od razu wiedziałam, że coś się stało, bo to nie w jego stylu nabrać rozsądku w trakcie awantury - wyrzuciła z siebie pospiesznie. Kończąc tę tyradę, zaplotła ramiona na piersi.

- I co pani zrobiła? - dopytywał Grześ.

Trzeszkowska spojrzała na niego z politowaniem.

- A co miałam zrobić? Ucieszyłam się z ciszy i w spokoju dokończyłam kąpiel. Potem nałożyłam balsam, bo nawilżanie to podstawa. Zrobiłam makijaż, wysuszyłam i ułożyłam włosy... No wie pan, normalne rzeczy. Od dawna nie pozwalałam, by jego fochy wpływały na moją zdrową rutynę. - Wzruszyła ramionami.

Grześ odchrząknął, jakby musiał przełknąć słowa, o których wiedział, że nie wypada ich kierować do żony zaginionego.

- A potem, gdy wyszła pani z łazienki? - zapytał po dłuższej pauzie.

Trzeszkowska miała wyraźnie dosyć tej rozmowy.

- Nie ma o czym mówić, rozumie pan?! - zawołała, gestykułując. - Był, a potem go nie było. Zniknął! Przynajmniej nie zostawił po sobie

bałaganu, więc jakakolwiek klątwę na niego rzuciła, nie był to samozapłon ani inne paskudztwo. Nie mam wiele szacunku dla całej tej magii, doceniam jednak czystość zastosowanego rozwiązania - przyznała.

Powieka Grzesia zaczęła drgać, niemniej zapytał dyplomatycznie:

- Hmm, podejrzewa pani kogoś konkretnego?

Spojrzała na niego jak na wariata - z lekką wyrozumiałością dla jego intelektualnych braków, ale i ze zniecierpliwieniem, że zawraca jej głowę głupotami.

- No przecież to była kwestia czasu. Wkurwiali ją od tak dawna, że w końcu się wściekła. Gdybym miała choć odrobinę magii, sama bym rzuciła na niego klątwę, już wieki temu. Wiele razy rozważałam, czy go nie zastrzelić, ale zostałam z całym tym bałaganem. - Przewróciła oczami. Zaraz potem spojrzała ostro na Grzesia i dodała: - Tylko żeby panu żadne głupie myśli nie wpadły do głowy.

- Jakichś konkretnych głupich myśli powinienem unikać? - Grzesz konsekwentnie pozwalał jej się wygadać.

- Wie pan, o czym mówię, o tych, no, kliszach! Że niby małżonek zawsze pierwszym podejrzanym. Może i rozważałam w przeszłości pozbycie się męża, ale zmądrzałam. Jeszcze dwa lata wytrzymałabym z tym łajdakiem, a wtedy wygasłaby intercyza i puściłabym gnoja w samych skarpetkach. Mam tyle dowodów na jego niewierność, że w czasie rozwodu sędzia wręczyłby mi tę chałupę i wszystko inne na srebrnej tacy - powiedziała dobitnie. - Nie opłacało mi się zabijać tego dziwkarza, z każdym dniem ułatwiał mi przybicie mu potem jaj do podłogi - dodała zimno.

- Czy możemy się rozejrzeć po domu? Chciałbym zrobić kilka zdjęć miejsca, w którym doszło do zaginięcia - poprosił Grzesz.

Pani Karolina zmierzyła go niechętnym spojrzeniem.

- Czy pan naprawdę musi mi się tu kręcić, błota nanosić? Nie rozumie pan posterunkowy, że ja to wszystko chcę mieć już za sobą? Czy muszę dzwonić do komendanta i prosić, by mi po prostu dano spokój? - Okrasila tę oczywistą groźbę dramatycznym westchnieniem.

Uznałam, że to dobry moment, by wtrącić swoje trzy grosze i odwrócić jej uwagę od Grzesia.

- Pani Karolino, myślmy praktycznie - powiedziałam. - Reputacja pani męża nie jest tajemnicą i zapewne nie mamy do czynienia z wielką stratą. Ale po co dawać mu na ostatniej prostej okazję do napsucia pani krwi? Przecież pani rozumie, jak to wygląda. I że to śledztwo trzeba zamknąć jak najszybciej, dla pani dobra.

Skrzywiła się z trudem. Od ostatniego wstrzyknięcia botoksu minęły już pewnie ze trzy miesiące.

- Niby dlaczego? Mój mąż zniknął. Cisza, spokój, nie zamierzam go szukać - oznajmiła chłodno.

- A polisa? - zapytałam.

- Co z nią? - zaniepokoiła się i oto na jej twarzy po raz pierwszy odmalowały się prawdziwe emocje.

- No przecież bez ciała nie zostanie wdrożona procedura wypłaty. Będzie pani musiała czekać minimum osiem lat, by prawnie uznano go za zmarłego. Dopiero wtedy uruchomią polisę na życie i postępowanie spadkowe. A doskonale zdaje sobie pani sprawę, co w takim czasie zdąży zrobić pani szwagier z funduszami firmowymi - zarzuciłam wędkę.

Wszyscy w Zielonym Jarze wiedzieli, że Bogumił Trzeszkowski, brat zaginionego i jego wspólnik w interesach, ma problem z hazardem. Słyszałam, że nie ma takich pieniędzy, których nie zdołałby przegrać w karty.

Spojrzenie pani Karoliny nagle się wyostrzyło, a ja niemal słyszałam dźwięk trybików obracających się w jej głowie. Cokolwiek obiecał jej komendant, teraz zastanawiała się, czy dobrze wyjdzie na braku śledztwa i szybkim aresztowaniu Aronii Koźlak. Bo co innego ułatwić życie Dziurlikowskiemu, a co innego ryzykować własną płynnością finansową.

Odruchowo sięgnęła po komórkę i wystraszyłam się, że spełni swoją groźbę i zadzwoni do Gawrońskiego. Wyciągnęłam z rękawa ostatnią kartę.

- Nie chce pani śledztwa, to pani sprawa. Ale przynajmniej powinni przysłać tu kogoś z wykształceniem magicznym, by się upewnił, że jest pani bezpieczna. Bo jeśli to naprawdę kłótwa rąbnęła pani męża, może wciąż być aktywna i może pani dostać rykoszetem.

Tym ostatecznie pchnęłam ją za krawędź. Z chłodnym błyskiem w oku oznajmiła:

- Róbcie, co chcecie. Ja muszę wyjść z tego domu.

Wymaszerowała z pokoju. Po chwili wróciła z narzuconym na ramiona kaszmirowym szalem i kremową torebką Birkin w zgięciu łokcia.

- Proszę zamknąć drzwi wejściowe, a klucze zostawić w skrzynce na listy. I lepiej, żeby nie było tu żadnej klątwy i magii, kiedy wrócę - oświadczyła.

- Gdzie mogę panią znaleźć, gdybym się musiał z panią skontaktować? - zapytał Grześ oficjalnym tonem.

Prychnęła z dezaprobatą na samą myśl, że ktoś miałby się z nią kontaktować.

- Proszę wcześniej zadzwonić. Komendant ma mój numer. Nie opuszczam miasta - dodała z przekąsem i energicznym krokiem opuściła salon.

Kiedy mijala klatkę z kotem, ten znów dał z siebie wszystko w pokazie szajby i agresji. Wyminęła go szerokim łukiem i wyszła, trzaskając drzwiami. Po chwili usłyszeliśmy odgłos silnika, gdy wyprowadzała z garażu swoje luksusowe białe volvo.

- Ja pierdolę - szepnął Grześ - czemu oni się po prostu nie rozwiodą? Jak można urządzić sobie takie piekiełko?

- Komfortowe i dobrze urządzone piekiełko, obwarowane intercyzą - zauważyłam. - Pewnie pojechała do klubu. Słyszałam, że ma romans ze swoim instruktorem tenisa.

- Życie niektórych jest taką kliszą, że można by ją wywołać - skwitował Klon, który z wyrazem bezbrzeżnej pogardy trącał właśnie palcem sztuczną roślinę.

- Dobra, zanim się rozmyśli albo zadzwoni do komendanta, szukajmy tropów! - zarządziłam.

- Naprawdę możesz znaleźć klątwę? - dopytywał Grześ.

- No ba. Mam coś lepszego - powiedziałam i kawałkiem kolorowej kredy narysowałam na marmurowej podłodze sygile widzenia.

W moim rodzinnym domu to zaklęcie byłoby gównem warte. Miało pokazać ślady magii, a w naszej siedzibie magia znajdowała się wszędzie, każdy kąt zaświeciłby się na złoto. Trzeszkowscy nie byli

magiczni, istniała jednak szansa, że korzystali z talentów innych osób, ale i tak nie spodziewałam się tu gęstych pokładów magii.

Przez dłuższą chwilę sądziłam, że coś spałam. Nie dostrzegłam ani śladu złotawego błysku. Nie świeciło dosłownie nic w zasięgu wzroku! Jeśli Trzeszkowskiego załatwiła magia, musiała być bardzo skoncentrowana i raczej niewielkiego zasięgu.

Weszłam na piętro. Według pani Karoliny jej mąż stał pod drzwiami do łazienki, gdy słyszała go po raz ostatni. I faktycznie, na kremowej wykładzinie ujrzałam złote smugi. Kucnęłam i przyjrzałam się im bliżej. Ostrożnie dotknęłam pozostałości magii i próbowałam wyczuć sygnaturę zaklęcia czy klątwy, ale nie zauważyłam niczego charakterystycznego: żadnego śladu siarkowego zapaszku czy drętwienia palców typowego przy kontakcie z czarnym zaklęciem.

Zaczęłam się rozglądać po pomieszczeniach na piętrze, szukając kolejnych śladów złota. Znalazłam odrobinę dopiero w sypialni. Podobnie jak resztę domu, pokój urządzono bardzo oszczędnie. Dominowało w nim łóżko z wezgłowiem z bielonych desek, jasnoszarą narzutą i symetrycznie rozmieszczonymi poduszkami różnej wielkości. Z obu stron wezgłowia znajdowały się szafki nocne. Po stronie pani domu blat zajmowały doniczka ze sztuczną orchideą i urządzenie do nawilżania twarzy. Na szafce Trzeszkowskiego stał tylko radiobudzik. To ona emanowała delikatną złotą poświatą.

Wysunęłam szufladę i spomiędzy rolek czarnych skarpetek wyłowiałam niewielką butelkę z brązowego szkła, podobną do tych, w jakich sprzedaje się leki czy eliksiry. Bez wątplenia to ona stanowiła źródło poświaty. Nie miała żadnej etykiety, co było nietypowe i sprzeczne z regułami fachu.

Może zawierała coś, czego Trzeszkowski się wstydził? Jakiś magiczny odpowiednik viagry? Cokolwiek wcześniej znajdowało się w środku, teraz został po tym tylko gęsty osad na dnie. Istniały sposoby pozwalające ustalić rodzaj tej substancji, może nawet jej autora, jednak żadnego z nich nie mogłam użyć na szybko, bez dostępu do naszej rodzinnej kuchni.

Obeszłam całe piętro. Nic poza tą buteleczką i śladami na wykładzinie nie wydzielało złotej poświaty. Dziwne. Przynajmniej jedno było pewne - gdyby doszło do procesu Aronii, linia obrony, która

podsunął mi Grześ, miała oparcie w faktach. Nie było możliwości, by mama anihilowała kogoś za pomocą klątwy, nie pozostawiając żadnych śladów. Przed rozmową z panią Karoliną myślałam, że Trzeszkowski po prostu wyszedł i nie wrócił, ale jeśli jej wierzyć, zniknięcie było nagłe i gwałtowne. Podejrzewam, że nawet w naszym rodzinnym grimuarze nie znalazłabym tak potężnego zaklęcia. Sprawienie, by człowiek zniknął, wymaga magii naprawdę ciężkiego kalibru i wiąże się z konkretnym kosztem i konkretnym echem zaklęcia.

Minęłam Grzesia, który zawzięcie fotografował korytarz na piętrze, i aż zamarłam, kiedy spojrzałam na niego poprzez wciąż aktywny znak widzenia. Wiedziałam, że utracił swoją moc, wszyscy w miasteczku wiedzieli, ale tak naprawdę nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Dla nas, Koźlaczek, magia była czymś stałym, urodziłyśmy się z nią i z nią umrzemy, czy będziemy grzeczne, czy nie. Kiedy się rozeszło, że Grześ stracił magię zielonego kciuka, sądziłam, że chodzi o pozbawienie go jakiejś konkretnej umiejętności wpływania na rośliny – nie całej magii. A jednak, gdy teraz na niego patrzyłam, nie dostrzegałam ani odrobinki złotej poświaty. Aż zabołało. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak okropna musi być utrata tak istotnego kawałka siebie!

Zeszłam na parter zapatrzona w złotą supernową – poświatę Klona. Kontrast z matową ciemnością Grzesia zabołał mnie jeszcze bardziej. Już miałam zetrzeć sygile z podłogi, kiedy kątem oka zobaczyłam złocistą smugę emanującą z ganku. Podążyłam za nią jak za okruszkami chleba i zagapiłam się w jej źródło.

- Chłopaki! Chodźcie tu szybko! - zawołałam.

Klon wpadł na ganek pierwszy, Grześ zaraz za nim. Przeniosłam na nich wzrok.

- Czy któryś z was wie, dlaczego ten kot świeci jak stuwatowa żarówka?

V

Malina

- Czy on się w coś zmieni? Wiesz, wyrosną mu nagle wielkie kły albo skrzydła, albo miauknie i otworzy portal do piekła? - dopytywał Grześ, zerkając ostrożnie na tył furgonetki, gdzie Klon ustawił transporter z kotem i unieruchomił go trzema workami humusu tak, by nie przesuwiał się na zakrętach czy w trakcie hamowania.

- Nie wydaje mi się - powiedziałam.

Choć nie dałabym za to głowy. Bo z tym kotem zdecydowanie było coś nie tak. Miał w sobie magię, tyle że nie potrafiłam określić jej rodzaju. Czy był jakimś mitycznym lub boskim stworzeniem (nie widywało się takich na ulicach Zielonego Jaru, chociaż kto wie?), czy zmiennokształtnym, polimorfem, owocem transmutacji, a może jeszcze czymś innym?

Może gdybym mogła skorzystać ze wsparcia kowenu, udałoby mi się to ustalić, ale to z automatu oznaczałoby, że mam na głowie całe zgromadzenie, za to bez Aronii, która potrafiła utrzymać w ryzach jego członkinie. Musiałabym w tych okolicznościach ściągnąć do Zielonego Jaru prababcię Narcyzę, a tego wolałam uniknąć. Jak nic zrobiłaby nalot na areszt, rozwalając ścianę cadillakiem, odbiła moją mamę, a na koniec rzuciła jakąś paskudną klątwę na komendanta. Po czymś takim relacje naszej rodziny z mieszkańcami miasteczka już nigdy nie byłyby takie same.

- Grzesiu, czy ty masz dobre układy z kimś z Inspektoratu Terenów Zielonych? - zapytałam, bo nagle mnie olśniło.

- Mam - odchrząknął i zaczerwienił się aż po koniuszki uszu.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdyby ktoś od nich przyjrzał się temu kotu. Dyskretnie, bo jeśli dojdzie do Gawrońskiego, że za jego plecami

ściągnąłeś posiłki, wścieknie się i może cię zwolnić albo zawiesić, a do tego nie możemy dopuścić – oznajmiłam.

- No raczej. Zaraz zadzwonię po Paulinkę – powiedział ochoczo, a Klon uniósł brwi z rozbawieniem i zwracając się do mnie, powtórzył bezgłośnie: „PAULINKĘ?”.

Grześ odszedł kilka kroków od furgonetki i wyciągnął komórkę. Przez chwilę tylko na nią patrzył, westchnął trzy razy, a potem wybrał numer.

- Co dalej? – zapytał Klon, jakbym była mózgiem tej operacji. Może i byłam, ale to tylko dowodziło dziwaczności całego przedsięwzięcia.

- Zajrzyjmy do pani Lichoty – odparłam. – Pewnie będzie chętniejsza do współpracy, bo jej wcale nie ucieszyło zniknięcie męża.

Niedopowiedzenie roku. Pani Amelia Lichota kilkakrotnie nachodziła Aronię, domagając się, by ta natychmiast zwróciła jej zaginionego Lucjana. Za trzecim razem przyniosła ze sobą dubeltówkę i ścisnęła ją w drżących dłoniach tak mocno, że broń wypaliła, a kula wbiła się w futrynę piętnaście centymetrów nad głową mojej mamy. Tak, nikt nie chciał bardziej rozwiązać sprawy zaginięć niż ta zdesperowana kobieta. Pytanie, jak zareaguje na mnie i moją prośbę o obejrzenie domu.

Z tego, co wiedziałam, Lichotowie też nie byli specjalnie magiczną rodziną. Oboje w okolicach sześćdziesiątki, od ponad trzydziestu lat prowadzili zakład kamieniarski, produkowali nagrobki, parapety i schody. Od magii trzymali się raczej na dystans, przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Podobnie jak Trzeszkowski – choć właśnie się przekonałam, że pozory mogą mylić. Buteleczka, którą znalazłam w jego szafce, na tę chwilę była moim jedynym tropem.

Grześ wrócił po kilku minutach i oznajmił:

- Paulinka jest w okolicy, w ciągu godziny powinna być w Zielonym Jarze. Do tego czasu radzi nie dawać mu nic do jedzenia, nie polewać wodą ani nie dać się ugryźć. Twierdzi też, że moja alergia dosyć skutecznie eliminuje prawdopodobieństwo, że to awatar bóstwa czy jeden z japońskich demonów, bo one nie mają tego białka, które uczula.

Uśmiechał się jak uczeń, a na jego policzkach znów wykwitł rumieniec. Speszył się pod naszym spojrzeniem, więc wyprężył pierś i oświadczył formalnym tonem:

- Teraz do Lichotów. Nie wiem, czy cokolwiek nam z tego wyniknie, ale... - Zawahał się.

- Przynajmniej mamy jakiś trop - powiedziałam, poklepując torbę.

- I magicznego kota - dodał Klon.

- To akurat nie musi mieć żadnego związku, bogowie mogli go zesłać tylko po to, by wkurzyć panią Trzeszkowską - zaprotestował Grześ.

Przyznam, że gdybym była bóstwem, kuśiłoby mnie wkurzanie pani Karoliny.

VI

Malina

- Myślisz, że odebranie tego połączenia mogłoby rozwiązać problem? - zapytał Klon.

- Jaki problem? - zapytałam cokolwiek nieprzytomnie.

- Chociażby taki, że od siedemnastu minut dzwoni ci telefon. Robisz się coraz bardziej nerwowa i zanim się obejrzymy, wykonasz jakieś „pow-wow” i skończę jako przeurocze, ale niezdolne do prowadzenia pojazdu stworzenie - odpowiedział Klon swoim spokojnym, opanowanym tonem.

To brzmiało sensownie. Tyle że dzwoniły moje ciotki. Odebranie telefonu od nich w tym momencie byłoby jak wzięcie na stopa tornada. Wieści o aresztowaniu mamy się rozeszły i Koźlaczki musiały dać upust złości. Sęk w tym, że ich wściekłość w żaden sposób nie pomogłaby mi znaleźć rozwiązania problemu, za to gwarantowała spędzenie godziny na uspokajaniu każdej z osobna i odwodzeniu ich od ekstremalnych pomysłów w rodzaju odbicia mamy i rzucenia na komendanta oraz Dziurlikowskiego jakichś wrednych klątw. Na moje argumenty, że wszystko, co zrobią jako członkinie sabatu, pójdzie na konto Aronii, nie będą miały odpowiedzi, więc zwyczajnie je zignorują. To nie było nasze pierwsze rodeo. Koźlaczki ze stresem radziły sobie w dosyć przewidywalny, wybuchowy sposób. Co zrobiłaby mama? - zastanawiałam się gorączkowo. I oczywiście uświadomiłam sobie, że doskonale wiem, co by zrobiła. Delegowałaby zadania i perfekcyjnie wykorzystywała talent każdej z Koźlaczek.

Dlatego wybrałam numer Jagody. Moja siostra bez trudu poprowadziłaby szturm na Bastylię, ale też niełatwo traciła głowę i jeśli ktoś w tej sytuacji był gotów myśleć i słuchać, to właśnie ona. Odebrała

szybko. W tle słyszałam pokrzykiwania Kalinki i szczekanie ich labradora o imieniu Karmel.

- Malino, czemu muszę się dowiadywać o takich rzeczach z plotki stugębnej? Nie wydaje ci się, że powinnaś zadzwonić, kiedy na twoich oczach aresztowali mamę? - zapytała chłodno.

- Jagodo złota moja i niezawodna, byłam zbyt zajęta szukaniem sposobu, jak ją wyciągnąć z aresztu - tłumaczyłam się z desperacką nadzieją, że jej pretensje nie okażą się na tyle wielkie, by zmusiły mnie do kwiecistych przeprosin.

- I co? Wymyśliłaś coś? - zapytała już łagodniej.

- Wymyśliłam, z Klonem i Grzesiem Drzewieckim szukamy zaginionych. Jeśli dokopię się do tego, co się z nimi stało i kto za to odpowiada, będą musieli ją wypuścić - odpowiedziałam.

Przez chwilę milczała, a potem westchnęła.

- To brzmi zaskakująco rozsądnie. Bałam się, że wyskoczysz z pilnikami w cieście albo nocnym włamaniem. Jak niektóre z ciotek.

- Właśnie dlatego dzwonię. Potrzebuję pomocy w ich powstrzymaniu. Czy możesz chwilowo zostać poskromicielką Koźlaczek? Jestem na tropie, naprawdę, myślę, że znajdziemy rozwiązanie, ale jeśli one do tego czasu wysadzą areszt albo dopadną Dziurlikowskiego, cała moja robota pójdzie na marne.

- Zajmę się nimi - zapewniła i wiedziałam, że mogę na nią liczyć.

- Czy rozmawiałaś może z Minerwą? - zapytałam jeszcze.

- Nie, ona akurat się nie dobijała. Nie mów, że stoi za tym kolejna mętna przepowiednia. - Oczyma wyobraźni widziałam Jagodę uciskającą nasadę nosa, jak zawsze, gdy spodziewała się kłopotów. Aronia robiła to w identyczny sposób.

- Najwyraźniej. Mama wiedziała, że zostanie aresztowana. I twierdziła, że zdaniem Minerwy dam radę ją z tego wyciągnąć, jeśli będę robić to, co zawsze było moją mocną stroną.

- Pakować się w tarapaty i wsadzać nos w nie swoje sprawy? - zapytała Jagoda.

Westchnęłam.

- Na to wygląda. Więc się pakuję i intensywnie wsadzam, tyle że nie wiem, czy posuwam tym jakoś sprawy do przodu, ale boję się przerwać ciotce trans, jeśli w nim jest...

- Zajrzę do niej, dyskretnie. I zajmę się resztą. Zapędzę je do gotowania i szykowania Aronii paczki do aresztu, bo przecież komendant będzie ją tam karmił pizzą z mikrofal. Ach, i podrzuc Róży papiery, które zostawił Gawroński. Prawnik mamy chce się im przyjrzeć.

- Ale to nie tata? - zapytałam niepewnie.

Parsknęła.

- Aronia by jej nogi z dupy powyrywała, gdyby ściągnęła tatę w takich okolicznościach. Nie, to jakiś jej znajomy, ponoć miły jak na rekina. To też je trochę zajmie. A ty szukaj odpowiedzi, Malinko, wierzę w ciebie. Twój mózg jest pokręcony, ale właśnie taki może sobie poradzić z tym bałaganem.

- Dzięki - szepnęłam trochę wzruszona.

Zakończyła połączenie bez zbędnych pożegnań, a ja westchnęłam głęboko. I aż podskoczyłam, kiedy zadzwoniła trzymana w dłoni komórka. Na ekranie wyświetlało się imię „Minerwa”. Nareszcie!

- Malinko, nic się nie martw, wszystko jest na dobrej drodze, już ci się udało częściowo zmienić przyszłość - powiedziała ciotka. W jej głosie słyhać było zmęczenie. - Co prawda komendant umrze, ale nikt nie obwini za to Aronii - dodała, a mnie się zrobiło zimno. Nie znosiłam go, jednakże umieranie to dosyć nieodwracalna sprawa.

- A nie da się go jakoś ostrzec? Żeby wyjechał z miasta czy coś? - zapytałam z nadzieją.

- Nie sądzę. Zresztą próbowałam, zagroził mi aresztowaniem. Odgrażał się, że „przy okazji wsadzi każdą Koźlaczkę”.

- No więc niech szejnie - burknęłam.

- Nie każda nitka jest wystarczająco elastyczna, by dało się zmienić jej bieg w tkaninie świata - dodała ciocia filozoficznie. - Powodzenia, Malinko.

- Przyda się, bo jadę porozmawiać z panią Lichotą. Nie jest naszą fanką - przypomniałam.

- No nie jest. Ale pamiętaj, że ona naprawdę kocha swojego męża. Jeśli dasz jej choć cień nadziei, że można go jeszcze odnaleźć, będzie współpracowała. A gdyby miała wątpliwości, przypomnij jej, że gdyby faktycznie to Aronia stała za jego zaginięciem, Dziurlikowski nie biegałby po mieście w amoku, bo z całą pewnością byłby pierwszy na

jej liście. Amelia Lichota nie jest wiedźmą, niemniej to rozsądna kobieta – powiedziała Minerwa, po czym się rozłączyła.

Gdy zajechaliśmy pod dom Lichotów, odetchnęłam głęboko, jakbym miała zaraz zanurkować na dno jeziora.

*

Pani Amelia Lichota dobiegała sześćdziesiątki. Wysoka, o zaokrąglonych kształtach rysujących się pod luźnym kaftanem, z farbowanymi na kasztanowy kolor włosami nastroszonymi nad czołem w artystycznym nieładzie, wstała z wiklinowego krzesła na werandzie, kiedy przed jej domem zaparkował radiowóz. Zachwiała się i pobladła, złapała się słupka, jakby bez podparcia miała się załamać. Dopiero po chwili zauważyła, że za radiowozem zatrzymuje się furgonetka Klona, i jakoś ją to uspokoiło. Może słusznie założyła, że gdyby policjant przyszedł ją powiadomić o śmierci męża, nie przyprowadziłby ze sobą ogrodnika i jego dziewczyny. O tak, dostrzegła mnie. Wyprostowała się i zmrużyła oczy, jakby przeprowadzała w myślach skomplikowane kalkulacje, czy wyrzucić nas od razu, czy łaskawie podarować nam trzydzieści sekund, zanim spuści psy. Nigdy nie była osobą, która dałaby sobie w kaszę dmuchać.

Grześ szedł pierwszy, ale im bliżej był werandy, tym bardziej tracił pewność siebie. Zwolnił, jakby odwlekał konfrontację albo miał nadzieję, że go wyprzedzę i wezmę na siebie pierwszy atak złości gospodyni.

- Pani Amelio, przysięgam, że moja mama nie miała nic wspólnego ze zniknięciem pani męża! - zawołałam, gdy dzieliło nas jeszcze około sześciu metrów.

- A czemu miałabym ci wierzyć? - zapytała, jednak w jej głosie nie było gniewu. Dopiero po sekundzie zrozumiałam, że słyszałam nadzieję, której pragnęła się ucześcić.

- Bo jesteśmy jedynymi, którzy naprawdę go szukają i chcą znaleźć - zapewniłam. - A gdyby to moja mama za tym stała, nie ma możliwości, by pana Lucjana dopadła szybciej niż Dziurlikowskiego.

Pokręciła głową, westchnęła i powiedziała:

- Tłumaczyłam to komendantowi, ale jest jak szkapa z klapkami na oczach. Nawet go nie szukał, jakby położył na nim krzyżyk i miał

w nosie, co się z nim stanie, dopóki nie wgrzyzie się w dupę Aronii Koźlak.

- Myśli pani, że pan Lucjan ciągle żyje? - zapytał Grześ.

Amelia Lichota popatrzyła na niego surowo i oświadczyła:

- Ja wiem, że on żyje. Jestem z tym głuptakiem od czterdziestu dwóch lat, gdyby umarł, wiedziałabym. Razem z nim umarłby kawałek mojej duszy. Wiedziałam, kiedy zmarł mój pies. Miałabym przegapić śmierć własnego męża? - Prychnęła gniewnie na samą sugestię takiego pomysłu i mówiła dalej: - Nie wiem, co się stało. Ale macie rację, nikomu specjalnie nie zależy na szukaniu zaginionych. Nie mam magii, której mogłabym użyć. Próbowałam znaleźć wiedźmę, która potrafiłaby go wysledzić... - Urwała i spojrzała na mnie wymownie.

- Ale wszystkie odesłały panią do Koźlaczek - domyśliłam się.

Nie przyszła do lokalnego kowenu i sabatu, więc więdźmy z innych miasteczek dodały dwa do dwóch. Nie chciały się mieszać w coś, co mogło im się odbić czkawką w postaci konfrontacji z Koźlaczkami. Zwłaszcza jeśli usłyszały, że główną podejrzaną jest Aronia.

- Nie inaczej. Najwyraźniej macie paskudną reputację - powiedziała, mierząc mnie spojrzeniem. - Wysłały cię jako najmniej groźną? Po tym, jak na oczach całego miasta zmieniłaś tego biednego idiotę w koziołka?

- To był wypadek - zapewniłam. - I nikt mnie nie wysłał. Po prostu nie chcę, by moja mama siedziała w więzieniu za coś, czego nie zrobiła, a Dziurlikowski wygryzł ją ze stanowiska. I naprawdę zależy mi, by zaginieni się odnaleźli cali i zdrowi. Bo ma pani rację, nikt ich nie szuka.

Przeczesała palcami nastroszone włosy.

- Aresztowali ją. Czyli zamykają sprawę.

Przytaknęłam i dodałam:

- Nie zamierzam czekać na zniknięcie kolejnej osoby, by dowieść, że Aronia nie miała z tym nic wspólnego.

- Dobrze. Jak mogę pomóc? - zapytała po chwili.

Spojrzałam na Grzesia, nie wiedząc, czy nie zechce wkroczyć teraz z pytaniami, jak przystało na stróża prawa, ale kiwnął tylko głową, dając mi zielone światło.

- Proszę mi opowiedzieć o zniknięciu pana Lucjana. Gdzie przebywał? Co robił? Czy byli jacyś świadkowie? - zapytałam.

Cofnęła się i usiadła na wiklinowym fotelu.

- Lucjan zawsze wstaje wcześniej niż ja. Jeszcze zanim zejść na śniadanie, on ma za sobą dziesięć kilometrów przejechanych na rowerze stacjonarnym. Kilka lat temu przeszedł zawał, uznaliśmy to za sygnał ostrzegawczy. Dbał o siebie. Gdy zesłam na dół, na stole wciąż stała szklanka z zielonym smoothie, zawsze pije je po treningu. Na podłodze leżały jego ubrania... Myślałam, że bierze prysznic. Zrobiłam sobie kawę i czekałam na niego ze śniadaniem. Po kilkunastu minutach uświadomiłam sobie, że jest za cicho, nie słyszę lecącej wody. W łazience go nie było. Szukałam go, wołałam, dzwoniłam, ale komórka została na stole... To nie w jego stylu tak znikać. Nie zrobiłby mi tego z własnej woli. - Przy tych słowach głos jej się załamał.

Potrząsnęła głową i przez jakiś czas milczała, oddychając przez nos, na granicy płaczu. Nie chcąc pograżać się w smutku, dała upust innej, równie silnej emocji.

- Jedno jest pewne: nie poszedł na dziwki, nie zwiął z forszą i nie zaczął nowego życia, bez ciężaru starej żony - rzuciła zapalczywie. - Coś takiego sugerowała Karolina Trzeszkowska. Może jej Bogumił jest z takiej gliny, ale nie Lucjan. Prędzej uwierzę, że wkurzył Aronię do tego stopnia, że rzuciła na niego klątwę, ale... - Znów pokręciła głowę i kontynuowała: - Znam ją trochę. To zniknięcie jest zbyt... dyskretne. Żadnych fajerwerków i trąb jerychońskich. Szarpali ją za ogon od tak dawna, że nie wierzę, by załatwiła ich po cichu.

Ewidentnie co do tego wszyscy się zgadzali - w dniu, w którym Aronia pęknie, nikt nie zdoła tego przegapić.

- Czy widziała pani u męża jakieś dziwne eliksiry? Na przykład coś takiego? - zapytałam i wyłowiałam z torby brązową buteleczkę.

Wzięła ją do ręki i dokładnie obejrzała.

- Nie przypominam sobie, wygląda dosyć... generycznie. Lucjan zżywał trochę leków i suplementów, ale nie magiczne wywary.

- To może być coś... wstydliwego - podrzuciłam ostrożnie.

Uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

- Gwarantuję, że akurat takich środków mój Lucuś nie potrzebował. Za to nie zdziwiłoby mnie, gdyby Trzeszkowski sięgał po wspomaganie. To od niego, prawda?

- Skąd pani wie? - wyrwało mi się.

- Karolina dzwoniła, że u niej jesteście i pewnie postanowicie także mnie zawracać głowę.

- Pozwoliłaby mi pani sprawdzić dom? - zapytałam. - Jeżeli to była klątwa, mam sposoby, by wysledzić magię i jej pozostałości.

Wahała się tylko chwilę.

- Proszę zrobić, co trzeba, jeśli to może pomóc go znaleźć. Naprawdę nie chcę się przyzwyczajać do życia bez niego - powiedziała, a głos znów jej się załamał.

- Zostańcie tu - poprosiłam Grzesia i Klona.

Drugi raz w krótkim czasie miałam rzucić sygilę widzenia o zasięgu wystarczającym, by rozjarzył się każdy ślad magii na terenie rezydencji. Świecący jak latarnia Klon mógł przyćmić wszystko. Grześ nie świecił w ogóle, ale za nic nie chciałam mu tego mówić.

Weszłam do środka. Dom był zdecydowanie bardziej tradycyjny niż willa Trzeszkowskich. Ciepłe drewno, milion dywaników na podłogach, a na ścianach fotografie z wakacji, mnóstwo roślin - żywych dla odmiany. I bardzo mało magii. Moja sygila nasycona magią działała, jednak z trudem dostrzegałam ślady złotego blasku.

Spora plama połyskiwała na wykładzinie koło roweru stacjonarnego, ustawionego w salonie na wprost telewizora. W kuchni drobne przebłyski, niemniej nic podejrzanego. Tym razem w sypialni nie stwierdziłam ani śladu złota, choć podejrzliwie zajrzałam do szufladek szafki nocnej i za drzwi garderoby. Trochę zrezygnowana obeszłam cały dom, w tym pomieszczenia, które kiedyś pewnie były pokojami dzieci, a w których teraz urządzono eleganckie, ale przytulne pokoje gościnne. Dwójka młodych Lichotów dawno już opuściła Zielony Jar. Córka miała nastoletnie dzieci, jej młodszy brat pracował ponoć w jakimś wielkim londyńskim banku. Żadne nie było zainteresowane powrotem do miasteczka i przejęciem rodzinnego biznesu.

O dziwo, ślad złota mignął mi, gdy uchyliłam drzwi do ostatniego pokoju - typowej jaskini pana domu, będącej odwzorowaniem wyobrażeń o gabinecie mężczyzny w jego wieku i o jego pozycji. Dębowe regały z książkami w twardych oprawkach na jednej ścianie, wielkie francuskie okno na drugiej, a przed nim rozłożyste biurko z wypolerowanym blatem i bambusowymi pojemnikami na papiery. I właśnie ono wydzielało odrobinę złotej poświaty. Gdy uchyliłam

szufladę, blask się wzmacnił. Na samym dnie, przykryta jedwabną poszewką, leżała niepozorna brązowa buteleczka. Zawierała więcej płynu niż ta należąca do Trzeszkowskiego. Ostrożnie odkręciłam korek i powąchałam zawartość. Smród wycisnął mi łzy z oczu. Elixiry rzadko pachną rewelacyjnie, ale to był nowy poziom. Starannie zakręciłam naczynie i poszłam podzielić się odkryciem z panią Amelią i moimi pomocnikami.

Byłam w połowie schodów, kiedy usłyszałam donośne kichnięcie, po nim następne i jeszcze jedno, które płynnie przyszło w serię desperackich kichnięć i chrapliwych oddechów.

Domyśliłam się, co zobaczę na werandzie.

VII

Posterunkowy Drzewiecki nie bardzo wiedział, jak się zachować, czekając, aż Malina skończy przeszukiwać rezydencję. Został na werandzie z żoną ofiary i Klonem, ten jednak szybko się zmył, gdy zwabiła go do ogrodu jakaś przyschnięta hortensja. Nawet nie zapytał Lichoty o zgodę, po prostu podszedł do krzaczka i z uwagą zaczął oglądać listki, szukając pajęczaków. Grześ też zauważył tę roślinę, ale bez magii nie mógł jej pomóc. Co więcej, istniało poważne ryzyko, że gdyby jej dotknął, natychmiast by uschła. Wsadził dłonie do kieszeni spodni i się zgarbił, jak zawsze, kiedy przypominał sobie, ile rzeczy w jego życiu już nigdy nie będzie takie, jakie powinno.

- Proszę siadać, nie lubię, kiedy ktoś tak nade mną wisi - odezwała się Amelia Lichota, obserwując policjanta spod zmarszczonych brwi. Wskazała puf z wikliny, absurdalnie niski i okrągły.

Drzewiecki przez chwilę przyglądał się nieufnie wiklinowej piłce, ale nie chciał urazić gospodyni. W końcu nie musiała z nimi rozmawiać ani wpuszczać Maliny do domu, by ta przeprowadziła swoje rytuały. W każdej chwili miała prawo zadzwonić do komendanta i gdyby się poskarżyła, że jego podwładny ją nachodzi, miałyby problemy jak nic. Przesunął puf o kilkanaście centymetrów, bliżej balustrady werandy. Usiadł ostrożnie i musiał zaprzeć się piętami o podłogę, by się nie kiwać jak wańka-wstańka. Nie dało się w tej pozycji i na tym meblu zachować godności, więc szybko wstał i przesiadł się na drugi wiklinowy fotel.

Amelia Lichota patrzyła na jego męża z lekkim rozbawieniem.

- Czyli mamy w Zielonym Jarze przynajmniej jednego policjanta z kręgosłupem? Miła odmiana - stwierdziła, unosząc filiżankę w geście toastu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Proszę się nie gniewać, to był komplement. Ciekawiło mnie, jak były zielony mag odnajdzie się na komendzie. Nietypowa ścieżka, czyż nie? - kontynuowała, wbijając w niego spojrzenie.

Westchnął mimo woli. Przyzwyczał się już do tego, że był przedmiotem plotek. Mieszkańcy Zielonego Jaru dzielili się na obdarzonych magią od urodzenia i nią władających oraz na urodzonych bez niej. On nie pasował do żadnej z tych kategorii. Widział minę Maliny, kiedy spojrzała na niego poprzez sygилę widzenia. Nie odważył się zapytać, co zobaczyła, ale dostrzegł współczucie na jej twarzy. Ci bez magii nie rozumieli, jak głęboko sięgała strata, i pytali: „Czemu po prostu nie żyjesz normalnie, jak my?”. A on czuł się tak, jakby stracił obie nogi i teraz uczył się poruszać z protezami. Niby wiedział, że kończyny nigdy nie odrosną, zawsze jednak zostawał okrucuch nadziei na cud. Zorientował się, że Lichota czeka na odpowiedź, a ponieważ nie bardzo pamiętał, jakie było pytanie, rzucił uniwersalną formułkę:

- Wszystko się zmienia, tylko reguły dają jakąś namiastkę przewidywalności.

Parsknęła śmiechem.

- Ciekawy z pana człowiek, posterunkowy. Tak się składa, że wiem, jakie pan dostał rozkazy od komendanta. Był tu, ledwie kilka metrów od miejsca, w którym pan siedzi, kiedy zadzwonił pan do niego po zniknięciu Brożkiewicza. Słyszałam, jak naciskał pan na śledztwo, wezwanie techników do jego domu, konsultacje z wiedźmami. I słyszałam, jak kazał panu wpełznąć pod kamień, spod którego nigdy nie powinien pan wypęłać. „Posterunkowy, nikt wam nie płaci za myślenie, macie się słuchać albo możecie pakować swoje klamoty i zniknąć z mojego komisariatu raz a dobrze”. - Całkiem przekonująco naśladowała ton głosu Gawrońskiego.

Grześ poczuł, jak uszy zaczynają go piec, a twarz pulsuje rumieńcem.

- Niewykluczone, że gdyby wtedy pana posłuchał, mój mąż by nie zniknął. Za Brożkiewiczem i Trzeszkowskim może nikt nie płacze, ale Lucjan... - Zamrugwała, odpędzając łzy. - Malina Koźlak miała rację, nie tylko jej zależy na prawdzie, panu też zależało, od samego początku. Więcej ochotników do rozwiązania tej sprawy nie widzę - przyznała po chwili.

Grześ szukał słów pasujących do sytuacji. Nie wiedział, czemu w obecności Lichoty tracił język w gębie. Może dlatego, że jej siostra uczyła go w podstawówce, a podobieństwo między nimi było uderzające? Niemal się spodziewał, że zaraz ochrzani go za niechlujne ogonki przy „ą” i „ę”. A może brakowało mu doświadczenia w rozmawianiu z rodzinami ofiar? Z Karoliną Trzeszkowską poszło sprawniej, bo zachowywała się na

tyle nieuprzejmie i chłodno, że nie musiał myśleć o jej stracie. Pani Amelia mogła odgrywać twardą babę, ale empatyczna część Grzesia odbierała jej autentyczne emocje. Kiedy jako zielony mag spędzał całe dnie między roślinami, ta empatia nie była tak męcząca jak teraz, gdy kontaktował się głównie z ludźmi.

Już miał rzucić jakiś pocieszający komunał, gdy nagle łzy napłynęły mu do oczu, znikąd pojawił się ucisk na zatoki i Grześ zaczął kichać. Raz za razem, coraz głośniej i coraz gwałtowniej. Z nosa mu ciekło, a oczy swędziały do tego stopnia, że miał ochotę je sobie wydrapać. Zdążył wyciągnąć z kieszeni chusteczkę i zasłonić usta, zanim kichnął tak potężnie, że prawie zleciał z fotela. Łzawiąc, rozglądał się dookoła, bo wiedział, po prostu wiedział, że gdzieś tu musi być kolejni sierściuch!

I był. Szary, pręgowany kot z ciemniejszym grzbietem i białymi skarpetkami na przednich łapkach prześlizgnął się między tralkami balustrady, przemaszerował przez werandę, ocierając się jeszcze o nogę fotela, na którym siedział Grześ, i zdecydowanym krokiem skierował się w stronę Lichoty.

- Uwaga - wychrypiał Drzewiecki, choć końcówkę słowa stłumiło kolejne kichnięcie.

Tymczasem kot dotarł już do pani domu, która spoglądała nieufnie na kichającego posterunkowego. Siadł przed fotelem i trącił ją łapką, wydając przy tym głośne miauknięcie. Gwałtownie odwróciła wzrok od Grzesia i jego zaczerwienionego, spuchniętego nosa.

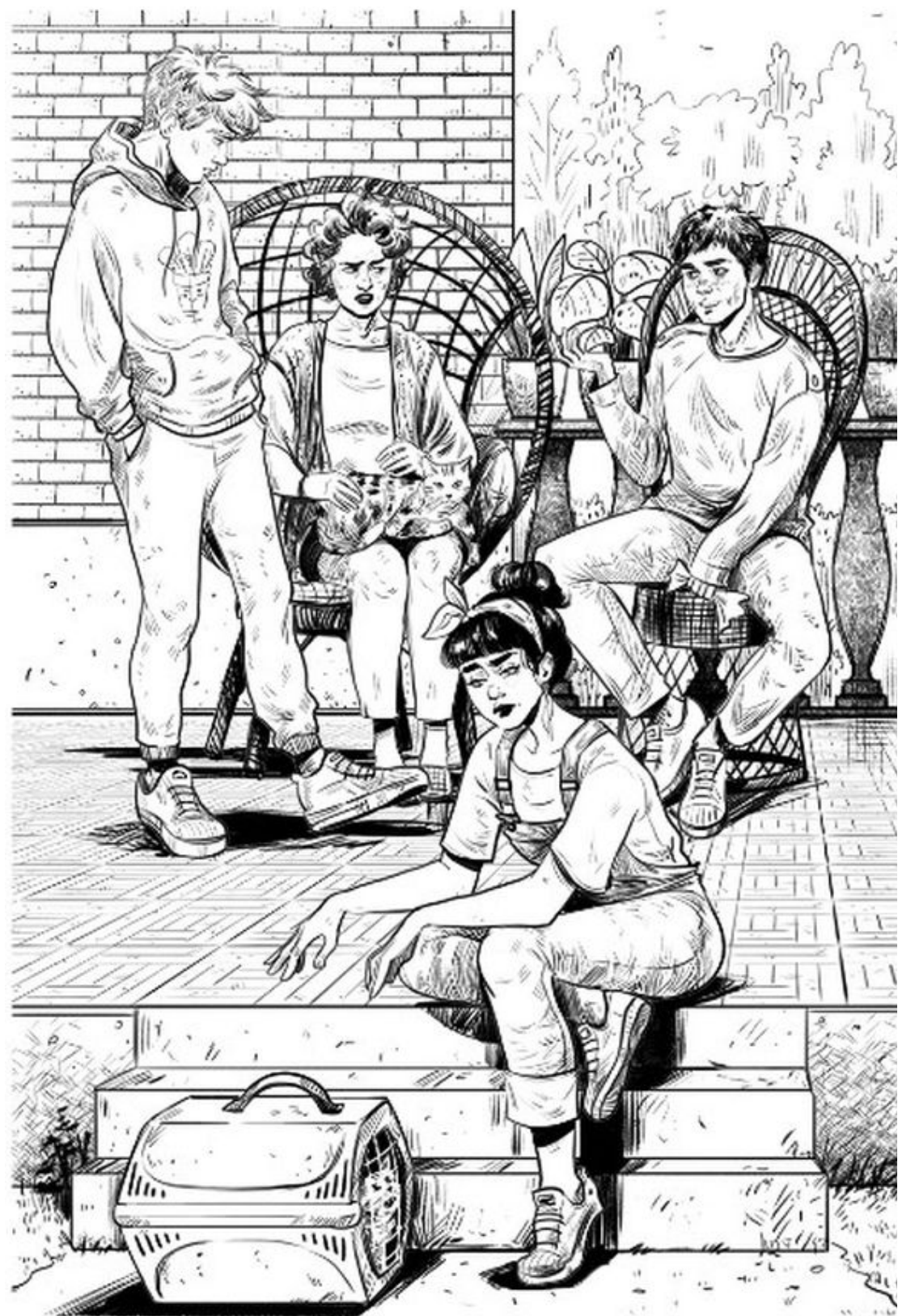
- Tu jesteś, kochanieńki - zaczęła i pochyliła się, by podnieść kota i posadzić go sobie na kolanach.

Bestia ocierała się pyszczkiem o jej szyję, prężyła się pod pieszczącą jej kark ręką, mruzczała i pomlaskiwała z zadowoleniem. Co, do cholery?

- Klon! - zawołał Grześ z chusteczką przyciśniętą do twarzy.

Jego kuzyn oczywiście przegapił kichanie i wrzaski, całkowicie skupiony na wisterii rosnącej w głębi ogrodu.

- KLON!!! - wrzasnął Grześ, a z oczu spływały mu strużki łez. - KOT!!! - Machał chusteczką w stronę zwierzaka. Krtań zaczynała go swędzieć. Wyciągnął z kieszeni inhalator, nie czekając, aż alergen go znokautuje. Reakcja organizmu okazała się intensywniejsza niż w domu Trzeszkowskich.



Klon podbiegł niespiesznym truchtem, jakby życie jego kuzyna nie wisiało na włosku, a potem zagapił się na kota.

- Jak on się tu dostał? - zapytał zaskoczony.

- Nie wiem! Złap go, zanim ucieknie! - wysapał Grześ i zaaplikował sobie dwa wdechy lekarstwa.

Lichota coś mówiła, ale nie słuchał jej, bo musiał wydmuchać nos. Klon pobiegł do samochodu zostawionego przed bramą po transporter, z którego ta futrzana bestia musiała się jakoś wydostać. Może powinni obwiązać go sznurkiem albo zabezpieczyć kajdankami? Grześ miał kajdanki i był je gotów poświęcić, jeśli to odizolowałyby go na dłużej od tego siedliska alergenów.

- Czego pan chce od mojego kota? Ja go nie oddam! - Pani Amelia, z groźną miną, przyciskała zwierzaka do piersi. Kot wbijał pazurki w jej ubranie, zgadzając się z jej deklaracją w stu procentach.

W tym samym momencie wydarzyły się dwie rzeczy. Malina wypadła z domu z brązową buteleczką w dłoni, a Klon wrzasnął przez cały podjazd:

- To nie ten sam! Tamten siedzi w klatce!

Grześ nie wiedział, czy nagły ból głowy, który prawie zwałił go z nóg, to wynik przeciążenia zatok, czy prosta konsekwencja kłopotów, które niechybnie przyniesie mu najbliższa przyszłość, ale uciskał wolną dłonią bolącą nasadę nosa i zastanawiał się gorączkowo, co to właściwie znaczy. Bo w jednej kwestii nie miał wątpliwości - ten kot nie był podobny do tego, którego znaleźli w domu Trzeszkowskiej. Był identyczny. Łącznie z białymi skarpetkami i białym czubkiem ogona, który wyglądał, jakby zwierzę zanurzyło go w puszcze z farbą. Grześ dobrze go pamiętał, bo trzymał go w garści, próbując wyciągnąć kota spod łóżka, kiedy ta wściekła bestia go podrapała, a jego dopadła pierwsza fala alergii.

Przypominał sobie szkolenie. To ja sprawuję kontrolę nad sytuacją, nie sytuacja nade mną, pomyślał.

- Dobrze więc, mamy problem i zaraz go wyjaśnimy - oznajmił, siląc się na spokój.

Lichota zerknęła na niego nieufnie. Malina ścisnęła w dłoni buteleczkę, na pierwszy rzut oka podobną do tej znalezionej u Trzeszkowskich. Z kolei Klon drapał się po głowie i wybrał ten właśnie moment, by powiedzieć:

- Potrzebny jest drugi transporter, nie zmieści się do jednego z tamtym furiatem.

- NIKT NIE ZABIERZE MOJEGO KOTA!!! - ryknęła pani Amelia.

Grześ wstał z fotela i powiedział spokojnym, profesjonalnym tonem:

- Pani Amelio, nie ma powodu do nerwów, zaraz sobie wszystko wyjaśnimy.

Brzmiałby może bardziej przekonująco, gdyby nie musiał co chwilę wycierać nosa.

- Herbaty? - zapytała Malina desperacko. - Coś czuję, że z herbatą ta rozmowa, która nas czeka, pójdzie bardziej gładko - dodała, zgarnęła dzbanek ze stołu i zniknęła za drzwiami.

Lichota nie zamierzała wypuszczać kota z rąk i nieufnie popatrywała na Klona i Grzesia. Była bliska wyrzucenia ich z domu. Grześ wiedział o tym, zdawał sobie też sprawę, że nie ma podstaw prawnych do zajęcia tego zwierzaka. Nawet nie powinno go tu być. Musiał to załatwić bardziej dyplomatycznie i na spokojnie. Szczęśliwie inhalacja zaczynała przynosić rezultaty i przestał wydawać z siebie świsty i rżenia, które denerwowały kota. Bestia w ramionach pani Amelii wciąż co prawda rzucała mu gniewne spojrzenia, ale przestała ostrzegawczo syczeć.

*

Malina rozlewała do filiżanek zieloną herbatę ze starannością aptekarki dawkującej relanium. Przez dobrą minutę cała czwórka zajmowała się swoimi napojami, jakby nie było na świecie nic ważniejszego. Napięcie powoli się ulatniało i Grześ musiał przyznać, że Malina w swoich panicznych reakcjach bywa iście genialna. Lichota nieco się uspokoiła, on też bardziej panował nad sytuacją. Leki na alergię przyniosły wyraźną ulgę, dzięki czemu nie czuł, że zatoki uciskają mu mózg i utrudniają myślenie.

Odchrząknął i powiedział:

- Pani Amelio, pozwoli pani, że wyjaśnię, skąd całe to zamieszanie. Kiedy zobaczyłem pani kota, byłem przekonany, że to ten, którego zgarnęliśmy u Trzeszkowskich. Pani Karolina zgłosiła w komisariacie, że do jej willi dostał się dziki i agresywny kot. I faktycznie, zastaliśmy u niej kocura o wyjątkowo nieprzyjaznym charakterze. Co gorsza, kot ten jest magiczny, a my na razie nie wiemy, jakiego typu magią dysponuje - wyjaśnił.

- Oczywiście, jeśli kot Karoliny był agresywny i magiczny, to dobrze, że go odłowiliście. Ale Tofik jest łagodny. To miły i kochany kotek. Musiał wyczuć moją rozpacz i osamotnienie, więc przyszedł mnie pocieszyć. Śpi ze mną, towarzyszy mi całe dnie, nie ma w nim za grosz agresji - zapewniała Lichota, głaszcząc zwierzaka między uszami.

Ten nadal wbijał w Grzesia zielonomiodowe spojrzenie, w którym czaiła się groźba: „Może dotąd nie byłem agresywny, ale lepiej mnie nie prowokuj”.

- Pani Amelio, naprawdę rozumiem, tylko, widzi pani, to jest ten sam kot. A przynajmniej identyczny. Zaczynam podejrzewać, że nie przypadkiem dwa takie same osobniki pojawiły się w domach zaginionych mężczyźni - tłumaczył posterunkowy.

- Co pan sugeruje? Że to koty są w jakiś sposób odpowiedzialne za zniknięcie naszych mężów? Przecież to jest szaleństwo! - wykrzyknęła kobieta.

- Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale... - Grześ zwrócił się do Maliny. - Czy... Tofik jest równie magiczny jak kot zabrany od Trzeszkowskich?

- Świeci jak żarówka. Bez wątplenia magiczny. A w gabinecie pana Lucjana znalazłam coś takiego. - Pokazała buteleczkę, rzeczywiście identyczną jak ta z sypialni Trzeszkowskiego, również bez etykiety. - To wszystko jest bez wątplenia powiązane: koty, buteleczki i zniknięcia.

- Ależ ja się z wami nie kłóczę, może i jest powiązane. Protestuję tylko przeciwko pomysłowi, by zabrać mi Tofika z powodu niepopartych niczym podejrzeń, alergii posterunkowego i uprzedzeń, na które zapracował całkiem inny kot - odpowiedziała twardo Lichota.

- Pani Amelio, może umówmy się tak: niebawem zjawi się tu urzędniczka z Inspektoratu Terenów Zielonych, jest zwierzęcym magiem. Rzuci okiem na koty i oceni ryzyko lepiej niż my. Co pani na to? - zaproponował Grześ łagodnym tonem, którego zwykle używał wobec dzieci.

Lichota zgodziła się z ociąganiem. Grześ wstał od stolika i okrążając kota szerokim łukiem, zszedł na podjazd. Wybrał numer do Paulinki.

- Jestem dosłownie pięć minut od komisariatu - powiedziała na powitanie.

- O nie, w żadnym wypadku nie możesz podjechać do komisariatu! - zawołał, a potem szybko ugryzł się w język.

- Hmm. Rozumiem, że moja wizyta będzie z gatunku tych nieoficjalnych?

- Komendant niespecjalnie wspiera całe to śledztwo i woli nie mieszać w sprawę Inspektoratu – przyznał niechętnie.

Prychnęła jak kotka.

- To gdzie cię znajdę? Czego oczy komendanta nie widzą, tego w raporcie nie zamieści – powiedziała krótko.

Grześ podał jej adres Lichotów i dodał:

- Ach, i mamy kolejnego magicznego kota. Identycznego jak ten pierwszy.

- Identycznego czy podobnego? – zapytała natychmiast.

- Identycznie umaszczonego i tak samo świecącego.

Paulina westchnęła.

- Grzesiu, nie zastanawiałeś się może, czy gdzieś tam nie biega trzeci kot? Trzech zaginionych, dwa koty... Ja bym to sprawdziła.

Grześ poczuł, jak na samą myśl o kolejnym futrzaku zaczynają łzawić mu oczy, ale sapnął tylko i powiedział:

- Jeśli tam jest, złapiemy go.

- Oczywiście, że go złapiemy. Mogę to zrobić sama, żebyś nie musiał się do niego zbliżać. Zaraz będę, nie bój żaby – rzuciła i usłyszał w jej głosie rozbawienie.

Szczerzył się wgapiony w ekran, na którym jeszcze przez trzynaście sekund wyświetlało się zdjęcie Paulinki. Zrobił je kilka miesięcy temu, gdy pomagał jej zabezpieczyć teren Dziurlikowskich, na którym wyrosły chronione prawem rośliny. Był pewien, że maczał w tym palce jego kuzyn, ale nie umiał się na niego gniewać, bo dzięki temu spędził z Pauliną cały dzień.

Były chwile, kiedy żałował, że w miasteczku tak niewiele się dzieje i nie ma zbyt wielu okazji do wzywania Inspektoratu Terenów Zielonych. Przyszło mu nawet do głowy, że mógłby poprosić Klona o jakąś małą dywersję, ale potem sam się obsztorcował za tę myśl. Miał strzec prawa, a nie bawić się w strażaka-piromana tylko po to, by mieć okazję do nawiązania kontaktu z Pauliną.

Ledwie schował komórkę do kieszeni, przed bramę podjechała zielona furgonetka z logo ITZ. Paulina Wierzbińska sprawnie zaparkowała między jego radiowozem a samochodem Klona i wyskoczyła zza kółka – jak zawsze pełna energii i gotowa do działania. Zdaniem Grzesia była

najdoskonalszą kobietą chodzącą po ziemi. Piękna, niesamowicie inteligentna i utalentowana, a na dodatek przekonana, że jego żarty są zabawne. Cud dziewczyna!

Zbierał się od lat, by zaprosić ją na randkę, a gdy już prawie mu się udało, stracił magię i to w jego oczach skomplikowało wszystko. Patrzył więc z daleka, wzdychał i marzył. Wyszedł teraz Paulince na powitanie, ze wszystkich sił starając się nie zachowywać jak zakochany szczeniak, choć gdyby miał ogon, pewnie by nim merdał. Może wtedy lubiłaby go bardziej, jak to mag zwierzęcy. Niestety, Grześ był teraz już tylko zwykłym człowiekiem.

*

Paulina bez trudu spacyfikowała panią Amelię i na czas badania przełożyła jej kota do nowego transportera. Gdy Lichota zamierzała protestować, Paulinka rzuciła mimochodem:

- Odkąd raz prawie straciłam palce, kiedy coś, co wyglądało jak wydra, okazało się blisko spokrewnione z żarnikami i zaczęło zionąć ogniem, wolę być ostrożna. Strzeżonego i tak dalej.

Narysowała wokół obu transporterów kręgi ochronne, a naprzeciwko nich trzeci krąg, uzbrojony w pentagram, po czym usiadła w nim po turecku. Przez kilka minut tkwiła tak z zamkniętymi oczami, poruszając palcami w powietrzu, jakby przesuwiała koraliki na niewidzialnym liczydło. Gdy wreszcie uniosła powieki, jej tęczęwki jarzyły się intensywną zielenią.

- Dobra wiadomość: żaden z nich nie jest awatarem, demonem czy bóstwem. Żaden też nie jest kotem, przynajmniej nie do końca - orzekła.

- Jak to: nie jest kotem? Wygląda jak kot! Spał ze mną w łóżku! - zawołała pani Amelia.

- Nie jest zmiennokształtnym ani typowym morfem. Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem, czym jest, ale to rozgryzę. Za to mi płacą - uspokoiła ją Paulina.

- Czy chce pani, żebyśmy do tego czasu zaopiekowali się zwierzęciem? - zapytał Grześ prawie pewien, co usłyszy.

- Tak byłoby rozsądnie - przyznała pani Amelia, patrząc ze smutkiem na kocura. - Uwielbiam go i jeśli się okaże, że nie stanowi zagrożenia, chcę go z powrotem. Myślałam, że to zwykły kot... - dodała smutno.

- Włos z ogona mu nie spadnie - zapewniła ją Paulina i wstała z ziemi. Zanim Grześ rzucił się jej do pomocy, dźwignęła oba transportery, gotowa zanieść je do swojej furgonetki.

- To co, poszukamy trzeciego? - zapytała.

- Jasne - zgodził się ochoczo, nie zważając na ryzyko kolejnego ataku alergii.

Pożegnali się z niepocieszoną Amelią Lichotą i ruszyli do samochodów.

Do Grzesia dotarło coś, co podświadomie rozpoznawał jako oznakę nowych kłopotów. Malina była dziwnie milcząca. Grześ nie pamiętał, by ta dziewczyna kiedykolwiek tak długo siedziała cicho.

- Czego mi nie powiedziałaś? - zapytał, kiedy dotarli do radiowozu.

Westchnęła.

- Miałam nadzieję, że sama zidentyfikuję ten eliksir z buteleczek, ale zastosowano tu zbyt złożone zaklęcie, nie mam dość magii. Mogłabym sięgnąć po magię sabatu, tylko wtedy wszystkie natychmiast się dowiedzą, że robię coś podejrzanego, i pewnie się zjawią z milionem pytań. A musimy się dowiedzieć, co jest w tych przeklętych buteleczkach! - wyrzuciła z siebie.

- Nie da się wyizolować jednej z ciotek do pomocy tak, by reszta nie wsiadła ci na głowę? - zapytał Klon. - Wiesz, w pojedynkę większość z nich jest całkiem rozsądna. Tylko musisz wybrać tak, żeby później pozostałe nie poczuły się urażone.

Grześ niemal widział trybiki obracające się w głowie Koźlaczki.

- Dobrze kombinujesz, Klonie, bardzo dobrze. Jadę do Róży! - oświadczyła. - Podrzucisz mnie?

- No przecież. - Posłał jej szeroki uśmiech, a potem obrócił się do kuzyna. - Grzesiu, dacie sobie radę z tym zwierzakiem?

Paulina prychnęła na niego jak kot. Jedyne kot, na którego Grześ nie miał uczulenia.

VIII

Malina

W środku tygodnia odszukanie ciotki Róży nie było trudne. Od poniedziałku do piątku, między dziewiątą a siedemnastą przesiadywała w swoim sklepiku z ziołami i magicznymi akcesoriami, ulokowanym w samym centrum miasteczka, przy rynku.

Znalezienie miejsca parkingowego okazało się małym wyzwaniem, ale w końcu Klonowi udało się stanąć w jednej z wąskich uliczek odchodzących od placu i pieszo ruszyliśmy do Kryształu i Miotły. Już z daleka rzucał mi się w oczy śliczny, artystyczny szyld w postaci miotły kutej z metalu, otoczonej pięcioma kryształami z ręcznie formowanego szkła w kolorze różowego kwarcu, tworzącymi wierzchołki pentagramu.

Zrobił go mąż ciotki Róży, Jawor, w ramach prezentu zaręczynowego. Lubiłam wujka Jawora, był cierpliwy i łagodny i wszystkie zakładałyśmy, że jeśli czyjeś małżeństwo może przetrwać, to właśnie ich. Mieli trzy córki i sześć wnuczek, tworzyli zgodną rodzinę, aż pewnego razu, jakieś pięć lat temu, wujek oświadczył, że potrzebuje przestrzeni. Tego samego dnia ruszył w egzystencjalną podróż (sam tak to nazwał) i niewykluczone, że nadal szwendał się po Indiach. Nie rozwiedli się, więc kto wie, czy kiedyś nie wróci. Może trzydzieści trzy lata u boku Koźlaczki to zbyt wiele nawet dla najcierpliwszego i najłagodniejszego mężczyzny i wyjazd w głąsę, by pokrzyknąć na kamienie, jest niezbędny dla zachowania równowagi psychicznej?

Witryna sklepiku od lat prezentowała się tak samo. Liczne warstwy cieniutkich welonów w rozmaitych odcieniach różu, wyglądające jak płatki kwiatów, izolowały wnętrze od ostrego światła, bo nic tak nie zabija klimatu tajemnicy i magii, jak jaskrawe światło dzienne. Za szybą w drzwiach kiwała się tabliczka z napisem „Otwarte” podświetlona

malutkimi diodami. Nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi, trącając wiszący nad nimi dzwonek.

W środku nie zastałam nikogo. Ani klientów, ani, co gorsza, ciotki Róży, przeważnie siedzącej za kontuarem z górującą nad wszystkim wokół staroświecką kasą fiskalną.

Sklepik składał się z dwóch części - dostępnej dla klientów przestrzeni wypełnionej wszystkim, czego mogliby potrzebować (i kilkoma tysiącami rzeczy całkowicie niepotrzebnych, ale tak urzekających, że w każdej wiedźmie rodziła się gwałtowna potrzeba ich posiadania) oraz oddzielonej ciężką żakardową zasłoną pracowni ciotki. To tam Róża przygotowywała eliksiry, zaklęcia, mieszanki ziół, słoiczki ochronne i amulety indywidualne. O ile ta pierwsza była uroczo zagracona, o tyle w drugiej panowały porządek i niemal sterylność czystości, jak w laboratorium. Tam się skierowałam. Klon szedł za mną, nieco spięty, z rękami w kieszeniach, jakby nie chciał ryzykować dotknięcia czegokolwiek. W sklepiku nie znalazłby czarnych zaklęć czy artefaktów, ale kilka balansowało w strefie szarości, co zważywszy na charakter jego magii, niewinnej i zieloniutkiej, wywoływało u niego znaczny dyskomfort.

Nie odchyliłam zasłony, tylko zapukałam w futrynę. Nigdy nie zaskakuj wiedźmy w warsztacie, nawet jeśli wcześniej dzwonek nad drzwiami zaanonsował twoją obecność.

- Już, już! - Usłyszałam głos ciotki i dźwięk szurania czy przesuwania czegoś.

Po chwili zasłona się uniosła i zobaczyłam ciocię Różę, ciut zarumienioną i jakby lekko speszoną. Za jej plecami ujrzałam ciotkę Rutę oraz nieznanego mi mężczyznę. Hmm, co najmniej dziwne.

- Przeszkadzam? - zapytałam.

- Nie wygłupiaj się, Malinko. Minerwa wprowadziła nas w temat i wspomniała, że wpadniesz - odpowiedziała Róża i przytuliła mnie do swojej obfitej, miękkiej piersi pachnącej wanilią i szałwią.

I choć to absurdalne, poczułam ulgę, słysząc, że ciocia Minerwa przewidziała moją wizytę w tym miejscu. To oznaczało, że w jakiś tajemny sposób podążam drogą jej wizji, a ta kończyła się uwolnieniem mamy i katastrofą odrobinę mniejszą niż pierwotnie przewidywana.

Przywitałam się z cicią Rutą, cichą i nieśmiałą w porównaniu z resztą naszej rodziny, a potem Róża przedstawiła mi obcego.

- Malinko, to mecenas Antoni Małecki, prawnik twojej mamy.

- Jagoda wspomniała, że mama już ma prawnika - rzuciłam, przyglądając się facetowi w dobrze skrojonym garniturze. Nigdy wcześniej nie widziałam typu w okolicy i byłam pod wrażeniem, że ciotki tak szybko kogoś znalazły. I to nie były papugę!

Przystojny w ten nazbyt idealny sposób, po czterdziestce, z gęstą czarną czupryną, oliwkową karnacją i zmysłowymi ustami, wyglądał jak aktor grający prawnika równolegle z rólką w serialu o ratownikach z kalifornijskiej plaży. Założył nogę na nogę i odchylił się na krzesło, w pełni świadomy tego, że jest oceniany.

- Już tak - powiedział. - I jej prawnik bardzo chciałby zobaczyć dokumentację z aresztu prewencyjnego, a wieść niesie, że właśnie ty ją masz.

Miał melodyjny niski głos i ufne niebieskie oczy. Spodziewałam się rekina, a dostałam Florka z Małej Syrenki. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba. Jeśli miał stać w narożniku mamy, powinien mieć zęby, liczne i ostre.

Wyciągnęłam z torby plik papierów i podałam mecenasowi. Coś w mojej minie musiało zwrócić jego uwagę, bo odbierając dokumenty, pochylił się na krzesło, by spojrzeć mi w oczy, i zapytał, jakby czytał w moich myślach:

- Nie spełniam twoich oczekiwań jako obrońca Aronii?

Speszona wzruszyłam ramionami.

- Mama zasługuje na najlepsze - odparłam. - Mogę tylko mieć nadzieję, że jest pan najlepszym prawnikiem, którego w tym momencie możemy dla niej znaleźć.

Zaśmiał się i nagle jakby zrzucił skórę. W sklepiku nie było już choćby cienia Florka, zerkał na mnie rekin o wyrachowanym spojrzeniu. Co więcej, jego oczy odbijały światło lampy w dziwnie nieludzki sposób, jakby źrenice pokrywał czerwony filtr. Coś się zmieniło w jego rysach i nagle wyglądał zupełnie inaczej, ostrzej, mniej ludzko. Uśmiechnął się, obserwując moją reakcję.

- Tak lepiej? - zapytał.

Ostrożnie pochyliłam się w jego stronę i zaciągnęłam jego zapachem. Nie wydawało mi się, pachniał dymem i piekłem.

- Nie jestem pewna, czy „lepiej” oddaje istotę rzeczy.

- Des przesyła pozdrowienia - rzucił imię demona, który kiedyś zagroził, że wytnie całą moją rodzinę w pień, byle tylko złamać klątwę rzuconą na jego córkę przez ciotkę Glicynię (czarną owcę mojego klanu).

Na jego usprawiedliwienie powiem, że miał prawo się wkurzyć, bo ciotka naprawdę namieszała i przekroczyła wszelkie granice. Udało się nam posłać Glicynię do piekła i rozstaliśmy się z Desem w zgodzie, nie podejrzewałam więc, że wyśle kogoś, by wyrównał rachunki. Choć może nasza deklaracja, że on, Łucja i Ivi mogą myśleć o nas jako o rodzinie, nie znaczyła dla niego tyle, ile dla nas?

- A przeciwnie - powiedział nagle prawnik - znaczyła dokładnie tyle samo. Dlatego tu jestem. W końcu nie możemy pozwolić, by nasza krewniaczka siedziała za kratkami, nie? - Mrugnął i znów zaczął roztaćzać urok przystojniaka bez właściwości. Niezły kamuflaż ułatwiający udawanie człowieka.

- Mama o tym wie? - zapytałam, bo nie byłam pewna, czy będzie czuła się komfortowo, mając demonicznego obrońcę. Moja babcia, w zamian za moc, próbowała opchnąć córkę demonowi za żonę.

- Wie akurat tyle, by spać spokojnie - odpowiedział.

Musiało mi to wystarczyć. Zresztą poczułam się pewniej, wiedząc, że jednak ma w narożniku rekina, a nie Florka.

- O co chodzi z tym Florkiem? Nie rozumiem odwołania - przyznał rozbawiony.

Pstryknęłam palcami, zatraskując bariery ochronne wokół mojego mózgu.

- Trzymaj się od moich myśli z daleka, a nie będę musiała cię skrzywdzić. Jeśli narysuję ci bardzo malutkiego, taki zostanie - rzuciłam złośliwie.

Parsknął śmiechem, ale uniósł ręce w geście poddania.

- Ciociu, mam prośbę - powiedziałam i wyciągnęłam z torby brązowe buteleczki. - Starczyło mi mocy na przeszukanie magiczne dwóch domów, ale nie potrafię rozpoznać tego eliksiru - przyznałam lekko skrępowana własnymi ograniczeniami. Na tle mojej rodziny

byłam niezbyt utalentowana i niekoniecznie potężna. Potrafiłam rysować magiczne komiksy, jednak magia bojowa czy choćby przydatna w sytuacjach kryzysowych pozostawała poza moim zasięgiem.

Róża założyła okulary o okrągłych szklach podbarwionych bursztynowo i wzięła jedną z buteleczek. Uniosła ją do światła i w milczeniu analizowała emanującą z niej magię. Dzięki okularom nie musiała nawet sięgać po znaki widzenia.

- To skomplikowany eliksir, Malinko, nic dziwnego, że nie potrafiłaś go rozpleść. Nie jest w pełni kompatybilny z naszą magią, a na dodatek coś z nim nie tak... Wyczuwam jakąś dysharmonię, niekompletność albo naddatek - powiedziała ciotka w zamyśleniu.

- Czy mógł spowodować zniknięcie tych, którzy go spożywali? - zapytałam, licząc na odpowiedź twierdzącą.

- Nie wiem. Nie znam takiego eliksiru, ale chyba wszystko jest możliwe, nie? - Odkręciła korek, powąchała prawie pustą butelkę i cofnęła się z obrzydzeniem. - Na moczary, jak to cuchnie!

- Dasz radę go rozpleść? - zapytałam z nadzieją.

Uniosła pod światło drugą buteleczkę. Jej zawartość przelewała się jak gęsty syrop.

- Widzę kilka problemów. - Westchnęła. - Po pierwsze, problem techniczny: nie wiemy, kto to zrobił, z jakiej wywodzi się tradycji, jaką włada magią ani czy nie powplatał w formułę patentu, który wybuchnie nam w twarz.

Jeżeli eliksir był czymś dziełem autorskim i twórca chciał zapobiec powielaniu receptury przez innych magicznych, mógł umieścić w formule pułapki. Stanowiły gwarancję, że klient, gdy skończy pierwszą porcję specyfiku, wróci po kolejną, zamiast pójść gdzieś indziej po tańszą podróbkę.

- Po drugie, mamy niewielką ilość eliksiru. Całość zużyjemy do testów. A to może nam poważnie zaszkodzić w trakcie procesu - dodała.

Antoni pokiwał głową i powiedział:

- Zdecydowanie wolałbym dysponować próbką, jeśli dowiedziesz, że ta substancja i zaginięcia są połączone. Nawet jeżeli nie uda się określić, kto i w jakim celu ją opracował, porównanie sygnatur magicznych eliksiru i Aronii może się okazać bardzo pomocne.

- Czyli co? Nie da się tego rozgryźć w żaden sposób? - zapytałam sfrustrowana.

- Niekoniecznie. Ciągłe możemy zrobić kilka rzeczy bez pompowania w to tony magii - odparła Róża.

Postawiła na stole mały palnik Bunsena z wiszącą nad nim szklaną czarką, a za nimi umieściła duże lustro w drewnianej ramce. Ustawiła je pod kątem pozwalającym nam widzieć odbicie urządzeń i jednocześnie uniknąć skutków ewentualnego wybuchu.

Wyregulowała zaworek palnika tak, by ogień ledwie lizał szkło, a potem nabrała pipetką kropelkę eliksiru. Upuściła ją na czarkę. Wstrzymałyśmy oddech, czekając na rezultat. Zwierciadło się zamgliło i nagle z mgły wyskoczył kot, uderzając podobny do tych, które siedziały w transporterach w furgonetce ITZ. Trwało ledwie ułamek sekundy, nim widmo zniknęło, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości, że było to znane nam już zwierzę.

- Hmm, niewiele nam to dało - mruknęła sfrustrowana Róża.

- Przeciwnie. Zyskałyśmy dowód, że dwie dziwne rzeczy, które zdarzyły się w tym samym czasie, nie tylko są powiązane, ale i wynikają z siebie nawzajem - odpowiedziałam, marszcząc brwi. Miałam konkretne podejrzenia i czułam, że powinnam się nimi podzielić z Pauliną i Grzesiem.

- Gdybyśmy choć wiedziały, kto za tym stoi! Nie musiałybyśmy niczego rozplatać, poszłybyśmy wytrząsnąć odpowiedzi z twórcy eliksiru. - Spojrzała na prawnika, jakby się obawiała jego reakcji na takie metody.

Antoni wyszczerzył białe zęby w rekinim uśmiechu i powiedział:

- Odrobina perswazji bezpośredniej jest jak smar dla trybików maszyny sprawiedliwości.

Powinien to sobie wyhaftować na makatce i powiesić na ścianie w kancelarii.

- Niewykluczone, że będę mogła z tym pomóc - odezwała się cicha dotąd Ruta.

Obracała w dłoni pustą buteleczkę, dokładnie oglądając zakrętkę i denko.

- To niepopularny model, pojemność jest nietypowa. Za mała jak na opakowanie uniwersalnych remediów przyjmowanych długotrwale, za

duża na coś jednorazowego. Kolor też jest niestandardowy, ciemniejszy niż zwykle bursztynowe szkło do użytku magicznego. Wyraźnie widać domieszkę czerwonego barwnika. To nie jest fabryczna, seryjna robota, widzę ślady ręcznej obróbki i stemplowania na gorącym szkłe – mruzczała pod nosem, jakby zapomniała, że ktoś jej słucha.

Ciocia Ruta była artystką, zajmowała się ceramiką i nie istniała rzecz, której by nie wiedziała o barwnikach.

Wyciągnęła komórkę z tylnej kieszeni džinsów i cyknęła buteleczce kilka fotek.

- Wrzucę na moją grupę rękodzielniczą, może ktoś ją rozpozna. Jeśli zidentyfikują twórcę szkła, dopytamy, komu je sprzedawał. A może nam się poszczęści i ktoś skojarzy znachora czy wiedźmę sprzedających eliksiry w takim opakowaniu – powiedziała, po czym zaczęła stukać palcem po ekranie smartfona.

- Dodaj, że to ktoś, kto nie nakleja etykietek. Nie ma tam przecież śladu po kleju. Dostyc lekkomyślnie – zauważyłam.

- Słusznie, za coś takiego może stracić uprawnienia – zgodziła się Róża.

Ciocia Ruta uniosła wzrok znad ekranu i oznajmiła:

- Wrzucone, dam ci znać, kiedy coś z tego wyniknie. Odbieraj telefony, szkrabie – dodała i posłała mi całusa.

Przyznam, że mi ulżyło. Informując ciotki, obawiałam się eskalacji wydarzeń, ale teraz, wiedząc, że mam po swojej stronie Różę i Rutę oraz, jak się okazało, demonicznego prawnika, czułam się znacznie spokojniejsza.

- Postaraj się trzymać Narcyzę z daleka od tego zamieszania – rzuciła nieoczekiwanie Róża.

- Prababcia jest w Zielonym Jarze? – zapytałam, a krew odpłynęła mi z twarzy.

Narcyza i reszta Harpii, gangu zaprzyjaźnionych magicznych i śmiertelnie niebezpiecznych emerytek, spędzały ostatni tydzień w rodzinnych stronach Lukrecji, świętując jej setne urodziny (przynajmniej czwarty raz, choć głowę bym dała, że dwa lata temu wspólna wyprawa do Paryża miała być prezentem dla Lukrecji na sto dwudzieste urodziny, ale w przypadku Harpii liczby zwykle zawodziły).

- Nieuchronnie zmierza w naszym kierunku – odparła Róża.

- Ktoś upadł na głowę i powiedział jej o Aronii? - jęknęłam.

- Gorzej - przyznała ciotka. - Powiadomił ją o tym newsletter „Zewu Jaru”. Jak widać, Narcyza lubi być na bieżąco z gadzinówką Dziurlikowskiego.

Jakby mi nie wystarczał stres z powodu matki siedzącej za kratami, to jeszcze doszła do tego tykająca bomba nieubłaganie zmierzająca prosto do miasteczka...

- Muszę iść, śledztwo i w ogóle - wymamrotałam.

- Idź, my odwiedzimy Aronię - zapewniła Róża.

- Wpuszczą was? - zdziwiłam się.

Antoni tylko uniósł brew, jakby ucieszył się na samą myśl, że mogliby go próbować zatrzymać.

IX

Grześ wątpił, czy zdoła złapać trzeciego kota, ale okazało się, że Paulina potrafi oswajać dzikie bestie.

Z dostaniem się do domu Kazika Brożkiewicza poradzili sobie całkiem sprawnie. Od zniknięcia właściciela budynek stał pusty i bez aktu zgonu nie mogła ruszyć procedura spadkowa. Zresztą jedyni krewni zaginionego żyli na drugim końcu Polski, a była żona Brożkiewicza mieszkała w wielkim mieście i nie zamierzała się fatygować „na dziką prowincję”, jak poinformowała posterunkowego Drzewieckiego, kiedy do niej zadzwonił. Chciał podpytać, czy jej mąż wspominał coś o wyjeździe, ale wyśmiała sam pomysł, że miałyby „z tą kutwą, którą nieopatrznie poślubiła, rozmawiać na jakikolwiek temat”. Wyraziła też zdziwienie, że ktokolwiek zauważył zniknięcie tego „niepotrzebnego nikomu smutnego typa”, bo ona by raczej nie zauważyła, nawet gdyby wciąż mieszkała w tym samym domu.

Brożkiewicz żył samotnie w okazałej willi z oknami wychodzącymi na rzekę, otoczonej sporym ogrodem, który zasługiwał na więcej uwagi i troski, niż dostawał. Grześ musiał zwalczyć odruch pogłaskania zasuszonych krzewów.

Klucz do drzwi znalazł tam, gdzie poprzednio. Wtedy przyjechał tu z sierżantem Rybikiem, po telefonie sekretarki Brożkiewicza, Moniki Kamińskiej, zaniepokojonej tym, że szef nie daje znaku życia. Obawiała się, że dostał zawału w wannie albo zmarł na kibelku, jak Elvis. Z jakiegoś powodu w jej najczarniejszych domysłach szef był nagi i martwy. To od niej Grześ się dowiedział, że Kazik z zasady nie nosił przy sobie kluczy do domu, bo regularnie je gubił. Po którymś razie, gdy zabulił ślusarzowi za wizytę w niedzielę wieczorem, uznał, że bezpieczniej i taniej będzie powierzyć je ślimakowi. A konkretnie – ogrodowej figurce ślimaka winniczka z umieszczonym w jej wnętrzu

schowkiem na klucze. Grześ odłożył posążek na swoje miejsce po upewnieniu się, że trup Brożkiewicza nie zalega nigdzie na widoku.

Na tym właściwie komendant zakończył śledztwo.

- Przecież się nie zapadł pod ziemię, to dorosły facet, wróci - orzekł. - Skoro nie znaleźliście śladów przemocy czy włamania, nie ma co szukać dziury w całym, Drzewiecki - burknął, kiedy posterunkowy próbował zgłosić wątpliwości.

Do drugiego zaginięcia zniknięcie Brożkiewicza nie było traktowane zbyt poważnie. Ot, facet poszedł w długą. Samotny, majątny - częściej słyszało się komentarze zazdroszczących mu dobrej zabawy niż głosy zaniepokojenia. Nikt nie zadawał pytań w rodzaju: „W jaki sposób oddalił się od domu, skoro jego samochód stoi w garażu, a jego komórka i portfel leżą na kuchennym stole?” czy „Czemu nie skontaktował się z nikim, choćby z sekretarką, by odwołać umówione spotkania?”.

Paulina patrzyła rozbawiona, jak Grześ wyjmuje klucz ze skrytki w ślimaku. Mieszkała w sporym mieście sześćdziesiąt kilometrów od Zielonego Jaru i różnice kulturowe chwilami uderzały ją jak obuchem. Sam pomyślał, że ktoś miałby zostawiać klucze w ten sposób... Więcej, od kilku dni dom stał pusty, a nikt się nie włamał i nie wyniósł telewizora czy drogiego sprzętu nagłośnieniowego.

Zielony Jar ją fascynował, dlatego lubiła tu przyjeżdżać i zawsze cieszyła się, kiedy miała ku temu służbową okazję. Także z tego powodu, że nigdzie indziej jej daru bycia zwierzęcym magiem nie traktowano w sposób tak naturalny i oczywisty. Magia w miasteczku była czymś normalnym, i nikt nie wątpił w jej istnienie.

W mieście, zwłaszcza dużym i niegdyś wojewódzkim, sprawy wyglądały inaczej. Paulina miała wielu magicznych znajomych, którzy siedzieli w szafie na miotły, ukrywając swoją magię z obawy przed reakcją otoczenia. Ona nie zdołałaby zatajać tak ważnej części swojej tożsamości, ale jej praca i magia były kompatybilne. Wątpiła, czy gdyby - jak kuzynka Sara - pracowała w banku przy obsłudze milionowych kredytów dla przedsiębiorców, spieszyłaby się z ujawnianiem, że jest wiedźmą powietrza i do odsetek za nieterminową spłatę kredytu może dorzucić tornado, które zmiecie z powierzchni ziemi pół miasta. Zresztą może już by nie potrafiła. Wypierana magia

ma tendencję do karłowacenia i usychania. Może za pokolenie czy dwa w linii Sary nie będzie już magii.

Odpędziła tę myśl, koncentrując się na posterunkowym Drzewieckim, który właśnie otwierał drzwi do domu zaginionego. Choć wysoki i postawny, w jakiś sposób wydawał się młodszy niż w rzeczywistości. Może to wpływ zielonej magii, którą nosił do niedawna? Był absolutnie uroczy. Słodziak, jak powiedziałyby jej siostra. Odkąd go znała - a to już trzy lata - patrzył za nią niby szczeniak, który nie ma śmiałości poprosić o smaczki. Może myślał, że ich mundury są przeszkodą? Regulamin, któremu podlegała, w żaden sposób nie odnosił się do randkowania z oficerami innych służb. Sprawdziła.

Weszli do środka. W domu unosił się specyficzny smrodek długo niewynoszonych śmieci i - bez najmniejszych wątpliwości - kociego moczu. Kota jednak nigdzie nie było. Nawoływała, zwabiała, grzechotała torebką smaczków (uniwersalnie skuteczna metoda przywołania futrzaków, która tym razem zawiodła). Musiał tu przebywać całkiem niedawno, o czym świadczył bałagan w kuchni - przewrócony kosz i wybebeszona zawartość szafki. Z pewnością szukał jedzenia, udało mu się jednak dostać tylko do pudełek z suchym prowiantem, a jeszcze nie spotkała kota, który zaspokoiłby głód surowym makaronem i nieugotowaną kaszą gryczaną. Na futrynie okna uchylnego znalazła trop w postaci kłaczek.

- Jeśli mamy szczęście, nadal jest w ogrodzie. Zostań, bo przepłószysz go kichaniem - powiedziała Paulina. Miała nadzieję, że rzeczywiście futrzak nie umknął daleko. Koty to zwierzęta terytorialne, ale w zależności od sąsiedztwa i charakteru osobnika jego terytorium mogło być naprawdę duże.

Wyjęła z szafki dwie puszki - z konserwą turystyczną i tuńczykiem - po czym wyszła do ogrodu. Otworzyła obie i ustawiła je na krawędzi tarasu wyłożonego jasnymi płytkami. Usiadła na jego drugim końcu i zaczęła mówić spokojnym, monotonnym głosem, jakie to pyszności są w puszczech i jakich przysmaków może się spodziewać zainteresowany wyżerką kot, gdy tylko się pokaże. Jeśli przecucie jej nie myliło, zwierzak rozumiał ludzką mowę lepiej niż miauczenie innego kota.

Po kilku minutach usłyszała szelest w zaroślach, nieopodal miejsca, w którym zostawiła puszkę. Najpierw zza krzaka ostrożnie wychyliły się kocie uszy, potem głowa, a wreszcie, z wyraźnym wahaniem, białe łapki. Siedziała bez ruchu, a kot nabrał dość odwagi, by rzucić się na zawartość puszkę z konserwą.

- Na długo ci brzuszka nie zapełnią te skromne puszcunki - powiedziała cicho i łagodnie. - Jeśli masz trochę oleju w tej ślicznej główce, znajdziesz sobie stałego żywiciela. Na przykład miłą dziewczynę, która już ci dała dwie puszkę. I ma mnóstwo smaczków. Nawet nie wiesz, jak bardzo pokochasz smaczki. Zaraz wstanę i wejdę do domu. Możesz iść za mną i mieć pełny brzusek nie tylko dziś, ale też jutro i pojutrze. Albo zostaniesz tutaj, zjesz sobie tuńczyka i konserwę, a gdy zgłodniejesz, zagryziesz suchą kaszą z kuchni, ewentualnie tym, co zdołasz upolować. Słyszałam, że krety są pyszne, tylko wcale nie jest łatwo je złapać.

Wstała i przeszła przez taras do uchylonych drzwi. Jeszcze nie przekroczyła progu, a kot z desperackim miauczeniem potruchtał za nią i zaczął się ocierać o jej łydki.

- Nie taki głupiutki pan kotek, prawda? - Schyliła się i wzięła go na rękę.

Kiedy weszła do kuchni z kotem w ramionach, głośne kichnięcie Grzesia wyrażało mieszankę podziwu, zaskoczenia i rezygnacji.

Może nie z powodu munduru nie zaprosił mnie na randkę? Może i mu się podobam, ale kto by chciał się umawiać z dziewczyną, która morduje twoje zatoki i sprawia, że oczy łzawią na jej widok? - pomyślała. Bo jedno było w jej życiu pewne: całe dni dotykała zwierząt, więc pewnie roztaczała nie mniej alergenów niż one.

Zapakowała kota do służbowego transportera, a ten przypięła specjalnymi pasami w tylnej części furgonetki.

- Masz jakieś spokojne miejsce, gdzie mogłabym uwolnić trochę magii i przeprowadzić kilka testów? - zapytała.

- Znam jedno takie, nikt ci nie będzie przeszkadzał, choćbyś się rozkręciła jak doktor Frankenstein - zażartował.

Uśmiechnęła się. Koty zaczęły przeraźliwie miauczeć, zrozpaczone, że dały się złapać.

X

Malina

Klon skierował się do stodoły Grzesia, bo najwyraźniej tam znajdowało się teraz nasze centrum operacyjne. Dostał esemesa z zamiarami, ledwie ruszyliśmy spod sklepiku cioci Róży. Było to logiczne, w końcu naznaczyliśmy mu tę stodołę jesienią, wnosząc tam trupa znalezionego w labiryncie.

Cały czas myślałam o emanacji kropli eliksiru podczas testu przeprowadzonego przez Różę. Raz po raz zadawałam sobie pytanie: po co, u diaska, Lichota i Trzeszkowski pili to paskudztwo? Teraz, gdy związek między magicznym wywarem a kotami w domach zaginionych został potwierdzony, musiałam zaakceptować niemal niemożliwe.

Wiem, wiem, kto jak kto, ale ja nie powinnam zaprzeczać możliwości transmutacji. Po pierwsze, mój dziadek Zefiryn od kilkudziesięciu lat żył w ciele kruka. Nikt w rodzinie nie wiedział, jak to się stało, i moje ciotki, podobnie jak siostry babci, nigdy nie zdołały go odczarować. Babcia Delfina podobno nie angażowała się w te próby, bo twierdziła, że z dziadkiem o wiele łatwiej sobie poradzić w jego ptasiej formie. Prawdopodobnie mniej ją wkurzał. Resztę rodziny doprowadziło to do przekonania, że maczała palce w jego przemianie i niewykluczone, że sięgnęła w tym celu po magię demoniczną - co by tłumaczyło, dlaczego wysiłki Koźlaczek spełzyły na niczym.

Ze świeższych przykładów - minęło ledwie jedenaście miesięcy od innej spektakularnej transmutacji. Tym razem to ja przypadkowo zmieniałam swojego chłopaka w koziołka pokrytego łuskami. Na szczęście udało mi się to odwrócić, bo choć Klon okazał się absolutnie przesłodkim koźlątkiem, był o niebo fajniejszym chłopakiem.

Chociażby więc na tych dwóch przypadkach opierało się moje przypuszczenie, że nie jest to aż tak niemożliwe, jak twierdzi większość podręczników. Być może od małego budowanie w nas, magicznych, przekonania, że pozostaje to poza naszym zasięgiem, ma nas uchronić od niebezpiecznych eksperymentów. Szczerze mówiąc, nie widziałam innego wyjaśnienia dla całego tego bałaganu, z jakim przyszło nam się mierzyć.

Kiedy zaliczyłam spektakularną wpadkę z przemianą Klona i nie wiedziałam jeszcze, jak mogło do niej dojść, przejrzałam wszelkie dostępne materiały. Inne Koźlaczki również. I dopiero Jagoda, moja superdoskonała siostra, wpadła na pewien trop. Wtedy odrzuciłam jej hipotezę, bo szukałam czegoś, co mogłoby zadziałać przez przypadek i na spontanie. Miałam pewność, że nie poiłam Klona przez całe tygodnie eliksirem, co więcej - wymagałoby to jego współpracy i zaklania za każdym razem, gdy przyjmowałby kolejne dawki. Ale nie wiem, czy teraz też wykluczyłabym tę opcję.

Tylko jak przekonać do tego wyjaśnienia Paulinę Wierzińską i Grzesia Drzewieckiego? I najgorsze - nawet jeśli się zgodzą z moją hipotezą, nie znajdziemy się ani krok bliżej rozwiązania.

Zaparkowaliśmy przed stodołą, zaraz za radiowozem i furgonetką ITZ. Zza uchylonych wrót buchały kłęby pachnącego dymu, rozlegała się też seria donośnych kichnięć. Trzy koty nadal siedziały w transporterach, wokół których wyrysowano ośmioramiennie gwiazdy i tajemnicze sygile. Nigdy wcześniej takich nie widziałam. Paulina wyglądała na odrobinę przypieczoną, z ciemnymi smugami od popiołu na policzkach i dymem unoszącym się nad jej jasnymi włosami. Uśmiechnęła się szeroko na nasz widok i zawołała:

- Znalazłam waszych zaginionych!

- Zmienili się w koty, prawda? - powiedziałam, po raz pierwszy stwierdzając to głośno.

- Zmienili się w koty! - krzyknęła Paulinka i uniosła ręce w geście triumfu. - To niesamowite! Prawdziwa, kompletna, stabilna transmutacja! Whoohooo!!!

- Czy to znaczy, że potrafisz odwrócić proces? - zapytał Klon z nadzieją.

- Co? A skąd! To będzie cholernie trudne i nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć... Taka transmutacja nie powinna być właściwie możliwa... - Zamyśliła się, rozmazując popiół na policzku.

- Chyba wiem, jak do tego doszło... A przynajmniej znam kawałek tej układanki i potencjalny przebieg zdarzeń - stwierdziłam ostrożnie.

I opowiedziałam, w jaki sposób emanacja w zwierciadle połączyła koty i zawartość brązowych buteleczek. Wspomniałam także, co Jagoda wyczytała kiedyś o transmutacji w magii ceremonialnej.

- Chwila, czyli jeśli poznamy dokładny skład eliksiru i inkantacji, damy radę to odwrócić! - zawołała podekscytowana Paulina.

Tu musiałam jej wyjaśnić, czemu analiza magicznego wywaru jest właściwie poza naszym zasięgiem. Zmarszczyła brwi i zaczęła krążyć po stodole, mamrocząc pod nosem:

- Spektrometria nie pokaże inkantacji... Może analiza widmowa? Nie, musielibyśmy zabić przynajmniej jednego kota...

Miała też kilka innych pomysłów, ale wszystkie wiązałyby się ze śmiercią któregoś z zaginionych. Najwyraźniej w niektórych przypadkach najwięcej odpowiedzi dostarcza magiczna sekcja zwłok.

Nagle przystanęła i zawołała:

- Musimy znaleźć twórcę eliksiru i wycisnąć z niego konkrety!

Wiadomość od cici Ruty przysłała w samą porę, bym mogła powiedzieć:

- A zatem do dzieła!

Wywiad rękodzielników nie zawiódł. Znakomity początek końca tej katastrofy.

XI

Malina

Wybrałam numer cioci Ruty z nadzieją, że wyjaśni mi, co właściwie znaczy, że za stan zaginionych odpowiada wiedźmin, bo brzmiało to z lekka surrealistycznie. Wprawdzie myśl, że na mojej drodze stanie Henry Cavill, nie była nieprzyjemna, miałam jednak wrażenie, że nie w tym rzecz.

Ciocia Ruta odebrała prawie od razu. Na powitanie uprzedziłam:

- Cioteczko, jesteś na głośnomówiącym, słyszy cię funkcjonariusz miejscowej policji i przedstawicielka Inspektoratu Terenów Zielonych.

Tak na wszelki wypadek, żeby nie palnęła nic, co mogłoby ją obciążać w sądzie. Może się wydawać, że to ostrożność na wyrost, ale znałam swoje krewniaczki.

- Nie bój żaby, Malinko, wszystko na legalu. Nigdzie nie musiałyśmy się włamywać, w sumie wystarczyła grupa rękodzielników. Bez problemu znalazłyśmy twórcę butelek, a on okazał się miłym i chętnym do pomocy rzemieślnikiem. Oczywiście na dobre zapalił się do współpracy, gdy Róża obiecała zamówić większą partię jego towaru. Robi bardzo ładne słoiczki i pojemniki, na przykład takie dekorowane szkłem weneckim i barwione kobaltem, w sam raz do przechowywania zaklęć na bazie słonej wody...

Słyszając, że ciocia oddała się od konkretów, wtrąciłam:

- Więc dał wam listę klientów, którzy nabyli ten rodzaj buteleczek?

- A owszem. I to nawet dość krótką, bo złożoną z tylko jednego nazwiska. Ten kolor powstał na zamówienie i miał to być „brąz wiedźmiński”. Podobno klient okazał się wybredny i dopiero po kilku próbach udało się trafić w idealny odcień. Jak dla mnie próżny trud, bo brąz i tak jest mało atrakcyjny i niewiele się różni od tego zwykłego,

aptecznego, więc po co dopłacać za rzemieślnicze szkło, skoro to standardowe znajdzie się w każdej hurtowni? Ale klientowi się w kieszeń nie zagląda, dopóki płaci...

- O co chodzi z tym wiedźminem? - naprowadziłam ją znów na główny wątek, bo artystyczna dusza cioci Ruty w każdej chwili mogła, niczym rumak na stepie, ochoczo pogalopować w siną dal.

- Zabawne, że pytasz... Otóż klient od butelek to Tadeusz Broniarek, mieszka w Złotowie. Znałyśmy jego prababkę, miała mnóstwo magii, ale ani jednej córki, więc linia osłabła. I teraz jej prawnuk jest, mówiąc delikatnie, trochę niewydarzony magicznie. Zdołał jednak rozkręcić biznes. Głównie dzięki penisowi, jeśli mam być szczerą.

- Coś jak żigolak? - zapytałam, pocierając powieki, bo zapowiadało się na niekonwencjonalną historię.

- Sądząc po jego fotce w internecie, tak by raczej nie dorobił do czynszu. Na swojej stronie mieni się „wiedźminem”. - Niemal słyszałam, jak ciocia Ruta bierze to słowo w cudzysłów.

- Czyli co? Zabija potwory? - wtrąciła się Paulina, mrużąc oczy.

Jako przedstawicielka ITZ miała osobisty stosunek do potworów, a wiele z nich było pod ochroną.

Ciotka Ruta parsknęła.

- Eee tam! Ma, widzicie, bardzo specyficzną grupę docelową. Wyłapuje klientów mających nieco wstydlive dolegliwości, którzy wolą nie rozmawiać o nich z kobietami, więc nie pójda do lokalnej wiedźmy.

- Jak impotencja czy wysypka na prąciu? Gość robi magiczną viagrę? - dopytałam.

Wiedziałam, że są takie eliksiry. Moja cioteczna babcia Jasmina stworzyła kilka formuł i wpisała je do rodzinnego grimuaru. Nie słynęły jednak ze skuteczności i według prababci Narcyzy, jeśli w ogóle działały, to dzięki efektowi placebo i entuzjazmowi partnerek. Miałam nadzieję, że nie będę musiała wypytywać pani Karoliny i pani Amelii, czy ich mężowie w łóżku potrzebowali magicznego wspomaganie.

- Z informacji na jego stronie wynika, że nie ma męskiej przypadłości, której nie zdołałby uleczyć. Szczerze mówiąc, trudno w to uwierzyć, ale najwidoczniej, jeśli odpowiednio mocno odwołasz się do wstydu i męskiej solidarności, panowie wyskoczą z forsy - odpowiedziała Ruta.

- Nie przyjmuje kobiet? - zapytał zdziwiony Grześ.

- Ma takie zastrzeżenie nawet na stronie internetowej. Podpytałam na grupie, bo mamy kilka dziewczyn ze Złotowa i okolic. Są zgodne co do tego, że to szarlatan, poza tym miewał już kłopoty z prawem, mimo to biznes mu kwitnie. Niewykluczone, że z jego usług korzystają również miejscowi oficjele. Nie wiem, czy gość jest niebezpieczny, ale wolałabym, Malinko, żebyś nie pakowała mu się do sklepu sama - dodała z troską.

- Będzie miała towarzystwo - zapewnił Grześ.

- W takim razie doskonale! Przyciśnijcie go. Jeśli wyciągniecie od niego formułę, Róża zdoła uwarzyć antidotum. I uważajcie na siebie, nikt, kto na poważnie nazywa siebie wiedźminem, nie może być do końca normalny - powiedziała ciocia Ruta i się rozłączyła.

- Grzesiu, czy ty masz dwa miecze? - zapytał Klon poważnym tonem.

- A po co mi miecze? - zdumiał się posterunkowy.

- No wiesz, jeden na potwory, drugi na ludzi, nie wiadomo, do której kategorii należy Broniarek.

- Ja świetnie sobie radzę z potworami - wtrąciła się Paulinka. - Ludzi zostawiam wam. Ale ciężko w raporcie przedstawić użycie miecza tak, by wyglądało na obronę konieczną.

*

Pojechaliśmy furgonetką Inspektoratu. Paulina uznała, że spokojnie zmieścimy się w czwórce, a inna konfiguracja byłaby zwyczajnie nieekologiczna. Jej zdaniem zaistniałe okoliczności nie uzasadniały zbędnego powiększania śladu węglowego, a jej samochód był wystarczająco pojemny.

Do Złotowa mieliśmy prawie trzydzieści kilometrów, pół godziny jazdy. Akurat dość, by poznać zamiłowanie Pauliny do muzyki country i obserwować z bliska, jak Grześ wzdycha z zachwytem, że ktoś naprawdę przestrzega zasad ruchu drogowego. Wymienialiśmy z Klonem porozumiewawcze spojrzenia, bo to, jak iskrzyło między tą dwójką, było absolutnie urocze. Para nieśmiałych i nieco osobliwych magicznych nerdów, którzy nie potrafią wykrztusić jedno przed drugim, że są sobą zainteresowani, więc prawią sobie nietypowe i chwilami krępująco niezręczne, zawołowane komplementy. Gdy Grześ

z wyraźnym podziwem w głosie zapytał, czy zdarzyło jej się w ostatnim czasie znów tropić coś w kanałach, bo ciągle pamięta, jak sprawnie porusza się w woderach, a ona odwdzieczyła mu się uznaniem za to, jak kilka miesięcy wcześniej wspinał się na drzewo, by pomóc jej z jakimś rzadkim nietoperzem, którego ktoś wypuścił w lesie, choć dla żyjącego w ciepłych krajach gatunku nasz klimat jest po prostu za surowy, Klon nachylił się w moją stronę i szepnął:

- Mam ochotę wysiać coś ekstra, byleby Grześ miał pretekst, żeby ją tu znów ściągnąć. I tak do skutku. Myślę dziesięć, może dwanaście lat podchodów i powinni spojrzeć prawdzie w oczy.

- Nie popędzaj miłości - odpowiedziałam szeptem. - Jeśli będziesz w kółko coś wysiewał, nabiorą podejrzeń. Mogę poprosić ciotki o dywersję. Będą w swoim żywiole.

Parsknął śmiechem, aż Grześ obrócił się w naszą stronę, lekko zarumieniony, jakby dopiero do niego dotarło, że nie podróżują sami.

- Coś zabawnego? - Odchrząknął, bo jego głos zabrzmiał dziwnie piskliwie.

- Nic takiego. Zastanawialiśmy się tylko, z jaką to wstydliwą dolegliwością Trzeszkowski, Lichota i Brożkiewicz nie chcieli iść do Koźlaczek. I w sumie ciekawe, czy zażywali ten sam eliksir na tę samą przypadłość, czy też dostali identyczny specyfik, choć uskarżali się na różne problemy - zaimprovizowałam.

- Może to jakiś odpowiednik uniwersalnej mieszanki ojca Klimuszki, magiczny amol czy coś w tym stylu - podłapał Klon.

- To akurat byłaby bardzo zła wiadomość - powiedziała Paulina, nie odrywając spojrzenia od drogi.

- Czemu? - zapytałam zaciekawiona.

- Bo w okolicy wkrótce zaroiliby się od magicznych kotów do odłowienia, a alergja Grzesia ostro dałaby mu się we znaki. Swoją drogą, nie kichasz - zauważyła.

Grześ westchnął.

- Nie ma w pobliżu żadnego kota, więc mi przeszło - stwierdził.

- Świetnie. - Uśmiechnęła się szeroko. - To znaczy, że choć pewnie mam na sobie pełno alergenów, na mnie nie jesteś uczulony.

- Jeszcze by tego brakowało. - Pokręcił głową.

- Nie myślałeś, żeby z tym jakoś powalczyć? Odczulić się? - zapytała.

- Robiłem testy, wyniki mówią, że nie mam alergii, zero, nic a nic. Ale widziałaś mnie w towarzystwie kota. - Wzruszył ramionami.

- Od dawna tak ci się dzieje? - dociekała.

Grześ nagle się usztywnił i zbladł.

- Z kotami od dawna mam trudną relację - przyznał - choć nigdy nie była aż tak zła. Pogorszyło się, odkąd straciłem magię - powiedział ciszej i umilkł, wbijając wzrok w boczną szybę. Skończyło się niezdarne flirtowanie, a Grześ dosłownie zatrzasnął się w sobie jak ostryga.

Paulina na długą chwilę odwróciła spojrzenie od drogi i w milczeniu wpatrywała się w Grzesia.

Na szczęście dojeżdżaliśmy już pod właściwy adres.

*

Spodziewałam się biznesu podobnego do sklepiku ciotki Róży, magicznego „mydła i powidła”, z pomieszczeniem handlowym i zapleczem roboczym. Tymczasem Jama Wiedźmina, jak dumnie głosił prosty szyld nad drzwiami, przypominała raczej poczekalnię w gabinecie terapeuty skrzyżowaną z karczmą. Na umeblowanie składały się głównie masywny drewniany stół i fotele jak wyciosane piłą mechaniczną z jednego pnia. Tylko siedzisko wiedźmina wyglądało niczym połączenie skórzanego fotela prezesa z Żelaznym Tronem. Na ścianach w kolorze sepii, będącej nieudaną próbą osiągnięcia wiedźmińskiego brązu, wisiały grafiki w stylu *high fantasy*, niczym porno wersja *Władcy pierścieni* - sporo golizny, skórzanych gorsetów, antygravitacyjnych piersi i dam w opałach.

Mimo że nasze przybycie obwieścił dzwoneczek umieszczony nad drzwiami, przez dłuższą chwilę nikt się nie pojawił. Chłonęliśmy więc ten absurdalny wystrój, wpatrując się w cokolwiek wypłowiałą, brązową kotarę wiszącą za fotelem wiedźmina. Podejrzewaliśmy, że skrywała wejście na zaplecze.

Po minucie czekania Grześ nie wytrzymał i zawołał służbowym tonem:

- Panie Broniarek, policja!

Za kotarą się zakotłowało i po chwili wyłonił się zza niej, jednocześnie próbując się z niej wyplątać, mężczyzna koło pięćdziesiątki. Niewielki wzrost nadrabiał muskulaturą i fryzurą na

detektywa Rutkowskiego, z tym że wysokiemu językowi towarzyszyła bujna plereza opadająca mu na ramiona miękkimi kasztanowymi falami. W zamszowym kaftanie i takichż portkach wyglądał, jakby się bawił w budżetowy cosplay Wiedźmina.

- O co chodzi? - zapytał, po czym wbił wzrok we mnie i w Paulinkę i dodał już ostrzej: - Co panie tu robią? Tu jest strefa męska, wolna od toksycznego estrogenu!

Paulina spojrzała na niego zimno, pokazała odznakę i powiedziała:

- Do mojego estrogenu pan się nie miesza. Mamy kilka pytań. I od pana zależy, czy odpowie pan na nie tutaj, w prawie przyjacielskiej atmosferze, czy zabiorę pana do siedziby ITZ.

- Chyba że woli pan komisariat policji. To też się da załatwić - dorzucił Grześ.

Amatorska edycja Geralta westchnęła przeciągle, jakby szykowała się do odśpiewania pieśni o swej męce, ale widać szybki rachunek przeprowadzony w głowie wskazał, że jednak lepiej współpracować.

- Tylko się proszę nie afiszować, bo mi to reputację nadszarpnie - oświadczył. - Przejdźmy na tyły, nie będzie was widać z ulicy - dodał, po czym odwrócił się i zniknął za kotarą.

Wymieniliśmy spojrzenia. Jedną z rzeczy, która mnie niepokoiła, było to, że nie mieliśmy nakazu przeszukania ani w sumie żadnych podstaw, by się domagać wpuszczenia do części roboczej. Najwyraźniej nie wiedział, jak bardzo ułatwiał nam życie, zapraszając nas na zaplecze. Skwapliwie skorzystaliśmy z tego zaproszenia.

Niestety czekało mnie rozczarowanie. Zamiast schludnego laboratorium zastaliśmy niechlujne mieszkanie, niewiele większe od przeciętnej kawalerki, z dwójgiem drzwi prowadzących zapewne do łazienki i do sypialni. Większość przestrzeni wypełniał stół zavalony papierami, dziesiątkami butelek, z dużą kadzią bulgoczącą nad palnikiem gazowej kuchenki turystycznej ustawionej centralnie na blacie. Pod jedną ścianą stała rozłożysta brązowa kanapa, drugą zajmowała przeszklona biblioteczka, wypełniona głównie butelkami i słoiczkami w różnych rozmiarach, konsekwentnie w kolorze brązowym, a także kilkudziesięcioma książkami. Obok znajdowała się zamykana szafka, na której stały niewielka antena do telewizji naziemnej i pudełko dekodera. Światło dzienne wpadało przez wąskie

okno, teraz przysłonięte do połowy roletami. Na podłodze leżał turecki dywan. Możliwe, że biznes nie szedł wiedźminowi tak dobrze, jak sugerowała jego strona internetowa.

Gospodarz przysiadł na wysokim taborecie u szczytu stołu, zaplótł ręce na piersi, aż zaskrzypiały skórzane rękawy, i zapytał:

- ITZ i policja, a ta dwójka to co? Gwardia ogrodowych elfów? - Kiwnął w stronę moją i Klona, bardzo zadowolony ze swojego żartu. Mina zaraz mu jednak zrzędała, kiedy Grześ powiedział:

- Ona jest tu na wypadek, gdybyśmy musieli wyciskać z ciebie odpowiedzi nielegalną magią, a on na wypadek, gdyby nas poniosło i trzeba cię było zakopać. Dopilnuje, by ci na grobie wyrosło coś ładnego.

- Po co ta nieuprzejmość? - burknął wiedźmin. - W czym miałbym pomóc?

- Trzeszkowski, Lichota i Brożkiewicz, trójka twoich klientów z Zielonego Jaru. Co im sprzedales? - zapytał Grześ.

- Tajemnica służbowa, panie władzo. To jest kwestia zaufania. Oni mi ufają, a ja jestem jak ksiądz - odparł nadętym tonem.

- To znaczy macasz ministrantów? - wtrącił Klon, a ja z trudem powstrzymałam prychnięcie.

Broniarek spojrział na niego urażony, a Grześ chrząknął, ściągając na siebie jego uwagę.

- Pan nie rozumie, w jakiej znalazł się sytuacji. To nie jest moment, kiedy może się pan powoływać na wydumany kodeks handlowy. Trzech pańskich klientów doznało poważnych obrażeń magicznych na skutek zażycia otrzymanego od pana eliksiru. Muszę wiedzieć, co im pan dał, muszę znać formułę, by możliwe było przygotowanie antidotum - tłumaczył posterunkowy jak dziecku.

- Jeśli dostaniemy to, po co przyszliśmy, czyli komplet odpowiedzi i formułę, może nie naśle na ten przybytek każdej inspekcji, jaka mi przyjdzie do głowy, i nie zaplombuję lokalu jako stanowiącego zagrożenie dla obywateli - dorzuciła Paulina.

Wiedźmin z odzysku wodził spojrzeniem między jednym a drugim, jakby kalkulując, czy zdoła się wywinąć.

- Co im się stało? Skąd mam wiedzieć, że w ogóle cokolwiek? I czy nie jest to próba wyłudzenia ode mnie formuły mojego eliksiru? Od lat

jest bestsellerem i nikt się nigdy nie skarżył! – upierał się.

- Transmutacja animalna. Anatomicznie identyczna z oryginałem – powiedziała Paulina.

Broniarek energicznie kręcił głową.

- Nie ma takiej możliwości! – zaklinał się. – Ja nie robię takich rzeczy! To był porządny środek na porost włosów, nic, powtarzam, nic, co mogłoby spowodować przemianę!

- Elixir na porost włosów nie zmienia dorosłych facetów w koty! – huknęła Paulina.

W tym samym momencie Grześ kichnął. Za potężnym kichnięciem przyszło następne i następne. Nagle znów pocięło mu z oczu i nosa, a on przyciskał chusteczkę do twarzy.

Rozejrzałam się, szukając źródła jego problemów. I znalazłam! Futrzak leżał na szczycie biblioteczki, częściowo schowany za cokolikiem. Teraz wstał, przeciągnął się, nastroszył ogon, jakby się zorientował, że na jego terytorium wkroczyli obcy. Zwinnie zeskoczył na stół i przemaszerował przez blat z wysoko zadartym ogonem, nastroszony, jakby ktoś go wyprał w perwollu. Zatrzymał się na chwilę przy maszynie turystycznej, pomachał ogonem nad kociołkiem, po czym zeskoczył z blatu i podszedł do jednych z zamkniętych drzwi. Miauczał z irytacją tak długo, aż wiedzmin zerwał się z taboretu i je otworzył. Po chwili dał się słyszeć odgłos kopania w kuwecie.

Cały ten pokaz trwał może dwie minuty i przez ten czas żadne z nas się nie odezwało. Ja, Klon, Paulinka, nawet Grześ z za chusteczki higienicznej – wszyscy wpatrywaliśmy się w sierściucha.

- Jest identyczny – powiedział zdezorientowany Klon.

- Czy to znaczy, że będziemy wracać do domu z kotem w samochodzie? – jęknął Grześ.

- Nikt nie zabierze mojego kota! – oburzył się Broniarek.

- To prawdziwy kot, nie człowiek zamieniony w kota – dorzuciła Paulinka.

- Nie wyczułam na nim ani odrobinki magii – przyznałam – za to chyba wiem, czemu moja ciotka tak pilnuje przestrzegania zasad BHP w laboratorium.

Bo nagle wszystko stało się jasne.

- Panie Broniarek, to nie są żarty - oświadczył twardo posterunkowy. - Trzech mężczyzn musi teraz korzystać z kuwety i wygląda dokładnie tak jak pana kot. Pańska reputacja już dostała w dupę, ale jeśli będzie pan utrudniał postępowanie, przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie zapłacze pan na ruinach tego mikroimperium.

Pokonany wiedźmin z ciężkim westchnieniem podszedł do biblioteczki i wyciągnął z niej duży notatnik w płóciennej oprawie. Położył go na stole i otworzył na stronie zaznaczonej żółtą karteczką samoprzylepną.

Zbliżyłam się i zaczęłam czytać, próbując zrozumieć, jak mogło dojść do tak poważnego fakapu. Elixir okazał się niespecjalnie skomplikowany. Osiemnaście składników, dwunastogodzinne warzenie bez przykrycia. Dwadzieścia cztery godziny oddychania, a potem butelkowanie. Brązowe szkło, jakżeby inaczej. Poniżej drukowanymi literami wypisano najbardziej kretyńską inkantację wzmacniającą, jaką w życiu widziałam. Nic, co mogłoby zapobiec katastrofie...

Każdego dnia po kolacji Trzeszkowski, Lichota i Brożkiewicz upijali z buteleczki trzy łyki eliksiru na porost włosów, po czym wypowiadali trzy linijki inkantacji, która miała wzmocnić działanie remedium i pobudzić cebulki do pracy. Tylko sama inkantacja była tak nieprecyzyjna i mętna, że wzmocniłaby wszystko, nawet skutki uboczne. Albo dodała mocy obcemu elementowi, który skaził eliksir. Gdyby któraś z żon dosypała do butelki arszeniku, inkantacja jak nic podkreśliłaby działanie trucizny. Ja pierdołę. Za coś takiego matka uziemiłaby mnie na miesiąc i zmusiła do nauczenia się na pamięć trzech rozdziałów o magicznym BHP z *Magii dla opornych*.

- Ile pan tego sprzedał? - zapytałam cicho.

- Litry. To moja najpopularniejsza receptura. I nie sądzę, by było z nią cokolwiek nie tak, sam ją piję - oznajmił i odgarnął z ramienia pukle plerezy.

- Za chwilę możemy mieć stada magicznych kotów biegających po ulicach miast - powiedziałam ponuro.

- Potrzebujemy pełną listę pana klientów. Trzeba ich ostrzec - oświadczyła Paulina.

- Wykluczone! To szanowani ludzie, nie możecie ich nachodzić! - zawołał mężczyzna.

- Możemy zamieścić w prasie ogłoszenie ze wszystkimi szczegółami, by dotrzeć do każdego zagrożonego obywatela - powiedziałam. - Wrzucimy też post do mediów społecznościowych, na każde forum i każdą grupę magicznych. Podamy pana imię i nazwisko, by informacja łatwiej dotarła do potencjalnych ofiar - dodałam.

Wbijał we mnie wściekłe spojrzenie, w końcu jednak wyrwał z notesu czystą kartkę i zanotował kilkanaście nazwisk. Podał ją Grzesiowi.

- Jeśli zaszkodzi pan mojemu biznesowi, to pana zniszczę - warknął przy tym.

- Widzę salę sądową w pańskiej najbliższej przyszłości - odciął się posterunkowy.

- A ja poproszę jeszcze butelkę eliksiru z tej samej partii, którą mieli Trzeszkowski, Lichota i Brożkiewicz - zażądałam. - Jeśli moja ciotka ma przygotować antidotum, poza formułą musi mieć próbkę na wypadek, gdyby się okazało, że do kociołka wpadło coś więcej niż kocia sierść. Zdaje sobie pan sprawę, że jego zawartość i pewnie znaczny zapas pańskich eliksirów są skażone i nie nadają się do użycia? Gdy je pan komuś sprzeda, dowiem się i dopilnuję, by karma pana dopadła - powiedziałam twardo.

Spojrzał na mnie jadowicie, ale się nie odezwał. Zerknął w kalendarz, a potem wyszukał w biblioteczkce odpowiednią buteleczkę. Na jej pękatym brzuszku widniała ledwo przyklejona etykieta z nazwą i datą uwarzenia mikstury. Papierek już odłaził, kleju tam było jak na lekarstwo.

- Wie pan, że to jest prośenie się o kłopoty? - wytknęłam mu, a on tylko wzruszył ramionami.

- Specjalnie takie zamawiam - rzucił. - Żeby klient miał zapewnioną dyskrecję. Jeśli nie chce, by żona wiedziała, co popija, wystarczy, że odklei etykietkę, bez namaczania i zdrapywania. To część usługi.

Nie skomentowałam. Mieliśmy już wszystko.

Opuszczaliśmy Jamę Wiedźmina w konsternacji.

- I tak naśle na niego inspekcję - powiedziała Paulina.

- Doskonały pomysł - przyznałam. Dla dobra ludzkości ten wiedźmin powinien zakończyć praktykę.

- Może jestem dziwny - odezwał się Klon - ale wolałbym być łysy niż zmienić się w kota i lizać się po jajkach.

- Ciągle masz bujne włosy. Zobaczymy, jak zaśpiewasz, kiedy zaczną ci się cofać zakola - zażartował Grześ.

- Jeśli się zmienisz w kota, mogę cię przygarnąć - powiedziała Paulina i mrugnęła do Grzesia - choć nie wiem, czy wtedy twoja alergia da ci życie.

XII

Grzegorz

Jedno nigdy się nie zmieniało. Pojedyncza Koźlaczka to lekki zawrót głowy, z każdą kolejną ryzyko migreny i załamania nerwowego rosło. Teraz, siedząc w kącie na zapleczu sklepu Róży Koźlak, unikając potrącenia i zdeptania przez właścicielkę, jej siostrę Rutę, córki – Oliwię, Malwinę i Laure – oraz Malinę i jej siostrę Jagodę, zrozumiałem, że popełniłem błąd. Należało wysadzić Malinę i Klona pod sklepem i poczekać na antidotum u siebie w domu. To miałoby więcej sensu. A tak zapędziły nas na krzesła pod ścianą, byśmy im nie przeszkadzali w warzeniu.

Na początku były tylko dwie ciotki Maliny. Każda z Koźlaczek osobno jest wyrazista, zwykle zbyt głośna i nieco zbyt żywotna, ale w pojedynkę są przerażające. Różę i Rutę jakoś bym zdzierzył. Tyle że potem zwołały posiłki, bo siedem wiem, czyli minisabat, mogło wskórać dużo więcej niż dwie. Rozsądnie, biorąc pod uwagę sytuację bieżącą. Czego nie przewidziałem, to że gdy Koźlaczki zaczną się schodzić, otaczając stół pośrodku niewielkiego pomieszczenia, odetną mnie od wyjścia.

Paulinka siedziała obok, z laptopem rozłożonym na kolanach, całkowicie pogrążona w pracy, a ja wierciłem się na krześle, walcząc z małym atakiem paniki. Nie chodziło tylko o rosnącą liczbę osób w pomieszczeniu, ale i o magię. Kiedyś może bym nawet nie zauważył, teraz pełzała mi po skórze jak ogniste mrówki. W jakiś sposób przypominało to bóle fantomowe. Swędziało mnie miejsce, w którym miałem magię, nim mi ją odebrano. Rana wciąż była świeża i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek się zagoi.

Musiałem coś wymamrotać, bo Paulinka nagle uniosła wzrok znad laptopa i zapytała:

- Co jest? Wibrujesz.

- Muszę stąd wyjść - szepnąłem, czując, że robi mi się gorąco i nie mogę oddychać.

- To idziemy - zarządziła i szybko pozamykała programy. Zanim wybrzmiał brzęczyk sygnalizujący wyłączenie systemu, zatrzasnęła laptop, wsunęła go do plecaka i wstała, gotowa do wyjścia. Z zatroskaną miną zapytała:

- Grzesiu, co się dzieje?

Pokręciłem głową. Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Trząśłem się w środku, aż kolano zaczęło mi podrygiwać, gdy stopą wystukiwałem nerwowy rytm. Nie chciałem jej pokazywać swojej pojebanej, wystraszonej, okaleczonej części. Już zawsze, patrząc na mnie, miałyby ją w pamięci. Pod naporem magii Koźlaczek coś we mnie pękło i bałem się, że za chwilę wybuchnę płaczem. Nie wiem, co zobaczyła w moich oczach, ale schwyciła moje dłonie i pociągnęła, pomagając mi wstać. A potem, z naturalną asertywnością, nie żałując „przepraszam, przepraszam, musimy przejść”, przeprowadziła nas do drzwi.

- Gdzie idziecie? - zapytała Malina, mieszając w kociołku ceramiczną łyżką.

- Zjeść coś. Gdy antidotum będzie, podrzucicie je do Grzesia.

I zanim ktokolwiek zaprotestował, a Klon uświadomił sobie, że jego samochód stoi na moim podwórku, wyciągnęła mnie na ulicę. Kolana mi drżały. Oparłem się o ścianę, bojąc się, że upadnę. Oddychałem szybko, wciągając nosem świeże powietrze. Nawet tu czułem magię. W nasyconym nią Zielonym Jarze wyczuwało się ją w każdym zaułku. Teraz jednak była łagodniejsza, słabiej napierała.

- Masz w domu coś do jedzenia czy musimy zrobić zakupy? - zapytała Paulinka, czekając, aż się pozbieram.

- Mam - odpowiedziałem już pewniejszym głosem. Jej praktyczne podejście, a także to, że nie pytała, nie naciskała, nie dramatyzowała, pomagało mi odzyskać równowagę.

- Chodźmy - rzuciła krótko, wzięła mnie pod ramię i poprowadziła do swojej furgonetki.

Gdybym nie kochał tej kobiety od trzech i pół roku, zakochałbym się w niej tu i teraz.

*

Dojeżdżaliśmy do domu, gdy zabręczała moja komórka. Skrzywiłem się, widząc na ekranie nazwisko szefa. Nie chciałem odbierać. Nie mogłem nie odebrać. Z rezygnacją klepnałem w ekran i ciśnienie podskoczyło mi od pierwszej sekundy rozmowy. Komendant Gawroński był wściekły.

- Gdzie ty, do kurwy pramatki, jesteś, gamoniu? Wywoływali cię przez radio! Myślisz, że my tu sami sobie będziemy jedzenie przynosić? A może mamy płacić za dostawę, bo ciebie na drzemkę wzięło? Masz dziesięć minut, żeby się tu zjawić, i lepiej, żebyś miał ze sobą żarcie! - wydzierał się do słuchawki.

Szukałem słów, które nie rozsierdzą go jeszcze bardziej. Ale zanim cokolwiek przyszło mi do głowy, Paulinka zaparkowała na poboczu, wyłuskała mi z ręki telefon i włączyła na głośnomówiący.

- Komendant Gawroński? - zapytała służbowym, sztywnym tonem, którym dałoby się krochmalic pranie.

Zamurowało go na dobrych dwadzieścia sekund. Wreszcie, już bardziej opanowany, powiedział:

- Komendant. A pani to kto?

Mistrz konwersacji, dosłownie.

- Starsza inspektor Paulina Wierzińska z Inspektoratu Terenów Zielonych - wyrecytowała. - Może mi pan wyjaśnić, czemu dopiero dziś dowiaduję się o magicznych zaginięciach i transmutacji obywateli Zielonego Jaru? Po tym, jak zaginął trzeci z nich? Czy ta zwłoka w złożeniu stosownego raportu ma jakiegokolwiek uzasadnienie, czy po prostu już znudziła się panu kariera i marzy pan o zielonej trawce?

- Ale co też pani opowiada, jaka transmutacja? - wyburczał zaskoczony.

- W stworzenie podstawowego kanonu fauny ziemskiej. Gdyby nie posterunkowy Drzewiecki, pomyślałabym, że jest panu wszystko jedno i ma pan mieszkańców Zielonego Jaru, którzy jako płatnicy podatków utrzymują także pana stanowisko, w głębokim poważaniu - kontynuowała twardo.

- Co też ten gamoń pani naopowiadał? I jakim prawem wezwał panią bez mojej zgody? - dopytywał zirytowany Gawroński.

- Panie komendancie, chyba nie sądzi pan, że nie dowiem się o takiej katastrofie bez udziału pana i pańskich podwładnych? Naprawdę uznał pan, że żaden z obywateli nie zadzwoni do Inspektoratu, by się poskarżyć, że minął ponad tydzień i nie wszczął pan żadnego śledztwa?

- Śledztwo zakończyło się aresztowaniem - warknął.

- Fantastycznie. Więc zapewne zgromadził pan wystarczające dowody, by postawić podejrzaną przed sądem? I ma pan pełną kontrolę nad sytuacją? - drażniła się z nim, a ja widziałem, że sprawia jej to nieco zbyt wiele radości.

- Oczywiście, że mam kontrolę - odpowiedział, teraz już wyraźnie rozzłoszczony.

- Znakomicie. Proszę przygotować raport, z pewnością będzie potrzebny w związku z nadchodzącą kontrolą. A jedzenie musi pan sobie dziś załatwić sam. Posterunkowy Drzewiecki jest mi niezbędny do dalszego postępowania. Oczywiście może mu pan rozkazać powrót do komisariatu, ale nie omieszkam uznać tego za przejaw złej woli i braku współpracy między naszymi jednostkami. I gdy następnym razem coś panu wyrośnie pod nosem albo wyjdzie z lasu i wystraszy dzieciaki, mogę akurat mieć pilniejsze sprawy do załatwienia.

Wiedziałem, że trafiła w miękkie i Gawroński właśnie szacuje straty wizerunkowe.

- Posterunkowy Drzewiecki został skierowany do tego śledztwa. Jeśli nie dopełnił swoich obowiązków i uchybił sumienności, wyciągnę wobec niego konsekwencje - oświadczył w końcu.

- Do jego pracy nie mam zastrzeżeń. Będziemy w kontakcie, komendancie. A teraz proszę wybaczyć, mam pilne zobowiązania i nie dość czasu na pogawędki - oznajmiła i rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Prychnęła jak kotka i podała mi telefon.

Mogłem powiedzieć tylko jedno:

- Wyjdź za mnie.

Przekrzywiła głowę i przez chwilę patrzyła na mnie z delikatnym uśmiechem.

- Pomyślę nad tym. Choć może najpierw zaprosisz mnie na randkę?

Pochyliłem się i uderzyłem czołem o deskę rozdzielczą. Zaśmiała się cicho.

- Zauważ, nie odrzucam tych uroczych oświadczeń. Po prostu z tego, co rozumiem z ludzkich obyczajów, zwykle wcześniej dochodzi do rytualnego dzielenia się pokarmami, czyli randki. Gdybyśmy byli ptakami, miałbyś przed sobą skomplikowane tańce godowe, więc kolacja wydaje się raczej nisko zawieszoną poprzeczką.

Teraz to ja parsknąłem.

- Na tańce w sumie też cię mogę zabrać. Mam koszulę hawajską, która przyćmiłaby kolorami rajskiego ptaka.

Wyszczrzyła się w uśmiechu i przekręciła kluczyk w stacyjce.

- To później. Najpierw mnie nakarm, bo umieram z głodu, nic nie jadłam od wczesnego śniadania.

*

Kręciłem się po kuchni, przygotowując możliwie szybki posiłek, czyli burrito z pastą z czarnej fasoli, serem, sałatką i pikantną opiekaną ciecierzycą. Podśledzałem jakiś czas temu, że Paulina jest wegetarianką, więc optymistycznie w wolnym czasie nauczyłem się gotować bezmięsne dania i odkryłem, że właściwie sam takie wolę, dlatego zawsze trzymałem w spizarni więcej składników wege niż mięsa. Zresztą jako zielony mag nie jadałem go zbyt wiele i przeważnie ograniczałem się do kurczaka.

Paulina od razu poszła do stodoły skontrolować stan kotów, więc miałem trochę czasu, by się popisać. A przynajmniej pokazać od nie całkiem spierdolonej strony. Nadal nie mogłem uwierzyć w to, co powiedziała w samochodzie, ale odrzucałem racjonalizacje, które podtykał mi mózg - że była głodna i nie wiedziała, co mówi. Albo że tylko żartowała. Albo że za chwilę wejdzie do kuchni i uda, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Wsunąłem brytfankę z ciecierzycą do nagrzanego piekarnika. Wymieszałem sałatę z pomidorami, kukurydzą i szczypiorkiem, aż łagodny sos ładnie wszystko pokrył. Był kluczowy w całym zestawie - bez niego ostra pasta z fasoli i cieciorka po prostu nie miałyby przeciwwagi. Rozerwałem opakowanie tortilli. Gdybym miał czas, zrobiłbym je od zera, a przynajmniej bym spróbował... Rozejrzałem się po blacie roboczym, zastanawiając się, czy o czymś nie

zapomniałem, i wtedy zauważyłem Paulinę. Stała w drzwiach, opierając się barkiem o framugę, i obserwowała mnie z uśmiechem. Ściągnąłem fartuch z napisem „Kto nie całuje szefa kuchni, zmywa” (prezent od siostry) i speszony wcisnąłem go do szuflady ze sztuccami. Cholera.

- Nie chciałem zaplamieć koszuli mundurowej - wykrztusiłem.

Sam nie wiem, czemu czułem się aż tak zmieszany. Może dlatego, że dla mnie stawka w tej grze była dużo wyższa.

Paulinka odepchnęła się od futryny, podeszła bliżej i wsadziła palec w pastę fasolową. Spróbowała.

- Zaczynam myśleć, że wyjście za ciebie to znakomity pomysł - powiedziała. - Tylko wiesz, nie znoszę zmywania - dodała, mrugając.

I parsknęła cichutkim śmiechem, kiedy na moje policzki wypłynął rumieniec tak intensywny, że miałem ochotę wsadzić głowę pod kran. Co się ze mną działo, do cholery!

Zabrzączał minutnik piekarnika. Wyjąłem cieciorkę i przesypałem ją do miseczki. W tej samej brytfance na trzy minuty umieściłem w piekarniku tortille. Zanim się podgrzały, zaniósłem pozostałe składniki na stół i nalałem nam do wysokich szklanek wody z cytryną i miętą.

Usiadła przy stoliku i patrzyła, jak się krzątam. Prawie upuściłem talerze i sztucce. Przyniosłem podgrzane placki. Opadłem na krzesło spocony, jakbym przebiegł maraton.

- Ręce mi się za bardzo trzęsą, więc zwijasz sobie sama - oznajmiłem.

Paulina zaczęła nakładać dodatki na swoją tortillę. Po chwili wgrzyła się w nią i przeżuwała w milczeniu. A że nie skrzywiła się i nie zaczęła pluć w serwetkę (może dlatego, że nie miałem serwetek), ja też zabrałem się do jedzenia. I prawie się zakrztusiłem, kiedy nagle powiedziała:

- Nie jestem w tym dobra. We flirtowaniu i w ogóle. Nie lubię tych niepisanych zasad, przez które ludzie nie komunikują się wprost i na których opiera się fabuła połowy komedii romantycznych. Żadna z tych fabuł nie miałaby racji bytu, gdyby ludzie po prostu ze sobą rozmawiali i mówili o swoich uczuciach. Więc powiem otwarcie: Grzesiu, lubię cię. Myślę, że ty mnie też. I sądzę, że w jakiś sposób do siebie pasujemy. Nie denerwujesz mnie jak większość ludzi. Zwykle wolę wiewiórki

z wścieklizną od większości bliźnich. Nie odnoszę wrażenia, że chciałbyś, bym była kimś innym, niż jestem, ani że wstydziłbyś się mnie przedstawić rodzinie. Znam część twojej rodziny, jest tak samo dziwaczna jak moja. To może wypalić. I chyba chcę, by wypaliło.

Nie oczekiwała odpowiedzi, po prostu wróciła do jedzenia. Upiłem łyk wody, bo zaschło mi w gardle, a potem wyrzuciłem z siebie, zanim doszedłbym do wniosku, że to głupi pomysł i że powinienem ugryźć się w język:

- Kocham się w tobie, odkąd cię znam. Zaprosiłbym cię na randkę trzy lata temu, ale straciłem magię i uznałem, że nie zasługuję nawet na szansę.

Uniosła oczy znad talerza.

- To, że straciłeś magię, nie ma dla mnie znaczenia, Grzesiu. Rozumiem, że twój świat się zawalił i musisz go sobie zbudować od nowa. Jeżeli chcesz, mogę ci w tym pomóc albo przynajmniej być w twoim narożniku, żebyś nie musiał się z tym mierzyć sam. Ale z magią czy bez, lubię cię. Mój tata nie ma magii. Nigdy nie miał, taki się urodził. To dla mnie bez znaczenia. Szczerze mówiąc, jeśli kiedyś dorobilibyśmy się potomstwa, to tylko ułatwiłoby sprawę. Moja magia bywa ekspansywna, więc nasze dzieci prawie na pewno zostałyby magami zwierzęcymi, czyli bestiarami. Byłoby ci smutno, gdyby nie odziedziczyły twojego zielonego kciuka. Jedyne, co nas czeka, to rozwiązanie twojego problemu z alergią - zrobiła palcami znak cudzysłowu - bo jestem niemal pewna, że to wcale nie alergią. Myślę, że wyczuwasz magię, a ta jakoś podkreca twoją nerwicę i wywołuje objawy alergiczne.

- Myślisz, że cieknie mi z nosa przez nerwy? - zapytałem zaskoczony.

- Czy miałeś alergię na koty, zanim straciłeś magię?

- No nie... Ale przecież ludzie dostają uczulenia na coś także w dorosłym wieku.

- Nie martw się, to się da sprawdzić i wyprostować, jeśli zechcesz. A jak nie chcesz, będę nosiła zapas chusteczek - powiedziała i wróciła do jedzenia.

Jak mogłem być tak niedbały i nie kupić na wszelki wypadek pierścionka? Zwalczyłem pokusę, by paść przed nią na kolana z zawleczką od puszki po cieciorce.

Usłyszałem głośne pukanie do drzwi i chwilę potem do kuchni wmaszerowali Klon z Maliną.

- Mamy antidotum! - zawołała Koźlaczka.

- O, jedzenie. Starczy dla nas? - zapytał Klon.

*

Paulinka i Malina podały kotom antidotum. Potem przez dobrych dwadzieścia minut wypowiadały inkantacje, które miały uaktywnić składniki eliksiru. Czekaliśmy.

Liczyłem, że to będzie kwestia kwadransa, może godziny, ale tak naprawdę nikt nie wiedział, ile to zajmie. Paulina wypuściła futrzaki z transporterów, aby przemiana nie nastąpiła w klatkach, a te siedziały grzecznie w wyrysowanych dla nich kręgach wzmacniających zakłęcie i czekały w napięciu nie mniejszym niż nasze.

Po godzinie Malina westchnęła głęboko.

- Nie spieszy się im, cholera. Musicie mieć je na oku. Gdyby coś się zaczęło pieprzyć, zadzwońcie, przyjedziemy.

- Gdzie się wybierasz? - zapytałem zaskoczony.

Przewróciła oczami.

- Nie bardzo mam wyjście. Siostra wysłała mi esemesa, podobno cały sabat pojawił się w naszym domu. Koźlaczki chcą wiedzieć, co zrobiłam, by uwolnić matkę. Jeśli nie będą usatysfakcjonowane moją odpowiedzią, mogą ostro nawywijać.

- Gdzie Narcyza? - zapytałem pełen złych przeczuc.

- W drodze, za dwie godziny dotrze do Zielonego Jaru razem z Harpiami. Muszę rozbroić tę bombę, zanim wybuchnie, inaczej prababcia wysadzi areszt i zlincuje komendanta. Do ciebie nic nie ma, Róża jej wyjaśniła, że mi pomagasz, ale na twoim miejscu przez kilka dni nie pokazywałabym się w mundurze.

- Brzmi... groźnie - skwitowała Paulinka, rozkładając derkę na belach słomy, które ułożyła tak, że tworzyły coś w rodzaju małej kanapy. - My tu zostaniemy i pogapimy się na koty, aż im się zrobi głupio i się zmienią. W sumie nie ma się co dziwić, że to musi potrwać. Cholera wie, jak długo pili ten eliksir i ile razy wypowiadali inkantację. Na wszelki wypadek będę ją jeszcze powtarzać.

- A wy powstrzymajcie apokalipsę - dorzuciłem.

- Zaraz apokalipsę... To tylko Koźlaczki - odrzekł Klon i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Nie każdy dostrzegłby różnicę - zauważyłem.

Odjechali. A ja przez kolejne godziny wpatrywałem się w koty, jak ten facet, który gapił się na kozy w eksperymentach amerykańskich naukowców z czasów zimnej wojny. Paulina co jakiś czas nuciła inkantację. Czekaliśmy.

Choć nie rozmawialiśmy o niczym wielkim czy ważnym, czułem, że rozmawiamy naprawdę, a nie wymieniamy puste formułki. Ani razu nie pomyślałem przy tym, że tyle to trwa i najchętniej wróciłbym do domu, by odpocząć w samotności. Zwykle długie godziny obcowania z ludźmi wyczerpywały mi baterie. Z Pauliną nawet nie zbliżałem się do rezerwy.

Gdy zrobiło się ciemniej i chłodniej, zapaliłem lampę naftową i przyniosłem koc z bagażnika. Paulina znów śpiewała inkantacje, a jej niski głos otulał mnie jak miękki biały szum.

Obudziłem się gwałtownie, czując, że coś się dzieje. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, kichnąłem głośno, budząc Paulinę, która spała obok mnie zwinięta w kłębek, z głową umoszczoną wygodnie w dolinie mojej pachy. Próbowałem zatkać nos, by znów nie kichnąć - bezskutecznie. Wymacałem w kieszeni chusteczkę i dociskając ją do nosa, wysunąłem się z naszego zaimprovizowanego posłania. Nie bardzo pamiętałem, jak doszło do tego spania i przytulania. Znów niewiele widziałem - czyli nafta musiała się wypalić. Pchnąłem wrota stodoły i wpuściłem pierwsze promienie słońca. Paulina gwałtownie usiadła i wpatrywała się uważnie w śpiące na klepisku koty.

- Czujesz to? - zapytała.

Kiwnąłem głową, choć nie byłem pewny, co ma na myśli. Ja w każdym razie czułem się koszmarnie.

Z nosa mi ciekło, kolejne kichnięcia były tylko kwestią czasu, więc wygrzebałem z kieszeni tabletkę loratadyny i połknąłem ją na sucho. Nigdy nie działały, jak powinny, ale nie traciłem nadziei. Paulinka miała rację, coś się działo. Po skórze biegały mi ogniste mrówki.

I nagle, dosłownie w ułamku sekundy, gdy pierwsze promienie słońca dotarły w głąb stodoły i zatańczyły na futerkach trzech zwiniętych jak precle śpiących kotów, w rozbłysku światła zwierzęta

zaczęły się zmieniać. Futro znikало, odsłaniając różowawą skórę. Nie minęło dwadzieścia sekund, a na klepisku w miejscu kotów leżało trzech nagich, wyraźnie zdezorientowanych mężczyzn.

- Co się tu, do cholery, dzieje? - krzyknął Trzeszkowski, a potem gwałtownie zaczął się krztusić, pokasływać i płuć, aż pozbył się z ust i gardła kociej sierści.

- Ciiiiicho, nie drzyj się tak - burknął Lichota, zasłaniając wciąż nadwrażliwe uszy.

Brożkiewicz, może przez to, że najdłużej paradował w kocim futrze, nic nie mówił. Zgiął się w pół, jakby sprawdzał, czy wciąż jest wystarczająco elastyczny, by sięgnąć tu i ówdzie. Nie był. Z wyraźnym rozczarowaniem klapnął na podłogę i powiedział:

- Nie można mieć wszystkiego.

- Może na początek zarzucicie coś na grzbiety? - zaproponowałem.

Niechętnie założyli ciuchy, które przygotowałem im wieczorem. Byłem wyższy i szczuplejszy, więc znalezienie czegoś, w co wejdą i co zasłoni ich wrażliwe rewiry, nie było łatwe. Dlatego Lichota i Brożkiewicz mieli na sobie piżamowe szorty i rozciągnięte T-shirty, a Trzeszkowski dresowe bermudy i flanelową koszulę, która za nic nie chciała się dopiąć na jego obfitym brzuchu.

Zaprowadziłem mężczyzn do radiowozu, planując zawieźć ich do komisariatu. W sekundzie, w której pojawią się tam w swoich ludzkich ciałach, zarzuty wobec Aronii muszą zostać oddalone, nie ma chuja we wsi.

Myślałem, że najgorsze mamy za sobą. Do czasu. Kiedy trzech faceci zobaczyli swoje odbicia w szybie samochodu, zaczęli w panice obmacywać sięgające hen daleko zakola i dotykać łysych placków na czubku głowy.

Zrozumiałem, że antidotum było naprawdę potężne. I nie wybierało, które efekty działania eliksiru cofnąć. Poszło na całość. Na swój sposób magiczny specyfik musiał być skuteczny, bo nigdy wcześniej nie widziałem Trzeszkowskiego z łysiną lśniącą jak kolano ani Lichoty z zakolami głębokimi niczym Wielki Kanion. Brożkiewicz z determinacją próbował przykleić śliną dłuższe kosmyki znad uszu w poprzek łysej czaszki.

- Nie minie tydzień i znów do niego pojedą - szepnęła Paulina.

Musiałem przyznać jej rację. A potem zagoniłem do radiowozu prominentnych obywateli mego miasteczka, odzianych jeno w moją bieliznę.

Musieliśmy zdążyć, zanim Koźlaczki wysadzą ścianę aresztu. Tuż obok celi, w której przebywała obecnie Aronia, stało moje biurko, a przy nim krzesło ergonomiczne, które kupiłem za swoje, bo na tym z wyposażenia komisariatu rozwaląłem sobie kręgosłup. Jeśli naprawdę więdźmy coś podpalą czy rzucą granatem, mogłem się z nim pożegnać. A naprawdę nie jest łatwo znaleźć krzesło ergonomiczne dla kogoś, kto ma metr dziewięćdziesiąt pięć!

*

Nie podpaliły niczego. Wybrały subtelniejsze metody zastraszenia komendanta. Ten nie zdołał im uciec i siedział teraz zestresowany w komisariacie, a kordon wściekłych Koźlaczek otaczał budynek. Podobno przyszły ze wschodem słońca, prowadzone przez prababcię. To ona też, jak niosły wieści, wybrała piosenkę, którą śpiewały przez ostatnie półtorej godziny. „Pieski małe dwa, chciały przejść przez rzeczkę, nie wiedziały jak, znalazły kładeczkę!” – huczała Narcyza, a z nią jej córki, wnuczki, prawnuczki i całkiem pokaźne stadko praprawnuczek. Były tu wszystkie. Te, które na stałe mieszkały w Zielonym Jarze, i te spoza miasteczka. Starsze od kurzu i kilkuletnie. Nawet wnuczka Róży, Stella, która niedawno nauczyła się chodzić, wygrażała piąstką w okna komisariatu, gdzie za franką majaczył cień komendanta.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała Malina i mocno mnie uściskała. - Nie wiem, jak długo jeszcze zdołałabym je utrzymać w przekonaniu, że ta forma zastraszenia miesza w głowach wrogów bardziej niż koktajle Mołotowa.

Wyciągnąłem z radiowozu trzech zaginionych i poprowadziłem ich do głównego wejścia. Pochód zamykała szeroko uśmiechnięta Paulinka. Szajba Koźlaczek wyraźnie przypadła jej do gustu. Musiałem ze wszystkich sił naprzeć na drzwi, by przesunąć drewnianą ławkę, którą zatarasowali się w środku moi koledzy.

- Panie komendancie! - zawołałem. - Sprawa zamknięta, znalazłem zaginionych i winnego ich zniknięcia. Może pan wypuścić Aronię.

Mój szef pojawił się w korytarzu z miną jak gradowa chmura. Zamarł w pół kroku, wpatrując się w Trzeszkowskiego, Lichotę i Brożkiewicza, żywych i w jednym kawałku, nawet jeśli z cokolwiek przetrzebionym owłosieniem. Wtedy do mnie dotarło: Gawroński był pewny, że jeżeli coś znalazłem, to ciała.

- To wcale nie znaczy, że nie stała za tym Aronia Koźlak - burknął, ale bez przekonania.

- Tym razem winny był pewien wiedźmin i jego braki w zakresie BHP - odpowiedziałem. - Już panu wszystko opowiem, spiszymy raport i zamkniemy ten bałagan.

- A ja poświadczę. Wszystko widziałam - dorzuciła Paulinka.

- Ile to potrwa? Chcę do domu - oznajmił płacząco Lichota.

- Zaraz zadzwonimy do pana żony - zapewniłem.

- Po moją możecie nie dzwonić - wybąkał Trzeszkowski. - Jeszcze by przyjechała.

- Ktoś mnie będzie musiał odwiedzić - stęknął Brożkiewicz i opadł na ławkę dla interesantów, wyraźnie zmęczony chodzeniem na dwóch nogach.

Godzinę później, gdy formalnościom stało się zadość, komendant popchnął mnie w stronę drzwi prowadzących do aresztu i powiedział:

- Ty ją wypuść. Ja mam coś pilnego do zrobienia.

Po czym zniknął w swoim gabinecie i zamknął za sobą drzwi. Podejrzewałem, że gdyby nie kordon Koźlaczek, po prostu poszedłby do domu. Z tego, co wyciągnąłem od Rybika, wynikało, że bali się zostawić uwięzioną samą w budynku, dlatego obaj spędzili noc w komisariacie.

Poszedłem więc po Aronię, pobrzękując kluczami. Miałem nadzieję, że nie będzie strzelać do pościa.

Nie strzelała. Spała jak suseł na wąskiej pryczy, opatulona puchową kołdrą w kwiecistej powłoczce. Otworzyłem kratę i przez chwilę wahałem się, czy powinienem zawołać, potrząsnąć jej ramieniem czy zadzwonić kluczami.

Nagle Aronia otworzyła oczy, uśmiechnęła się słodko na mój widok i przeciągnęła.

- Nie pamiętam, kiedy tak długo spałam - oznajmiła. - Wszystko się już domknęło?

Skinąłem głową.

- Jest pani wolna, przepraszam za komendanta - powiedziałem.

- Nie przepraszaj za cudzą głupotę. Dziękuję, że pomogłeś mojej córeczce - dodała, czym dowiodła, że była znakomicie poinformowana o przebiegu wydarzeń.

Wstała, zarzuciła na jedwabną piżamę elegancki szlafrok, zwinęła kołdrę i miękką poduszkę, po czym wepchnęła je do dużej niebieskiej torby z Ikei. Następnie schowała do niej kolejne nieregularne przedmioty: filiżankę z chińskiej porcelany, puszczkę z herbatą, turystyczny czajnik elektryczny, książkę i lampkę do czytania. Oczami wyobraźni widziałem, jak komendantowi drgała żyłka na skroni, kiedy prawnik (to musiał być on, skoro Gawroński nie położył się Rejtanem na progu celi) przyniósł te wszystkie rzeczy, absolutnie niezbędne, by jego klientka miło spędziła czas w areszcie. Aronia tymczasem złożyła przewieszoną na krześle sukienkę w meksykańskie wzory, umieściła ją na wierzchu tobołka, dopchnęła butami na platformie i powiedziała:

- Starczy tego szaleństwa. Wpadnij w piątek na uroczyste świętowanie mojej wolności. Będzie zabawnie. - Mrugnęła i wymaszerowała z celi królewskim krokiem, w czym nie przeszkadzały jej ani papucie z króliczymi uszami, ani nocna garderoba, ani odcisnięty na policzku hacik z poduszki, ani włosy w nieładzie.

- Wow, po prostu wow - szepnęła Paulinka, która nagle znalazła się za mną i objęła mnie lekko w pasie. - Jak dorosnę, chcę być jak ona.

- W tym celu musiałabyś się chyba urodzić Koźlaczką - powiedziałem rozbawiony.

Zatrzasnąłem kratę celi.

- To tyle? - zapytała Paulinka. - Koniec sprawy i już mnie nie potrzebujesz?

Czy naprawdę słyszałem odrobinę smutku w jej głosie?

- Spieszysz się do pracy? - zapytałem.

Pokręciła głową.

- Śniadanie? - zaproponowałem.

- Jak ty mnie dobrze znasz - odpowiedziała i wymaszerowała z komisariatu.

A ja za nią, nie bacząc na zazdrosne spojrzenia Rybika. Komendant siedział w swoim gabinecie, wciąż pewnie obawiając się zemsty Aronii.

EPILOG

Malina

Na tym oczywiście cała ta afera się nie skończyła. Miała w sobie coś z opery mydlanej. Za każdym razem, gdy myślisz, że to już koniec, scenarzysta skacze przez rekina i znów kończy odcinek cliffhangerem. Pozwólcie, że opowiem wam o różnych końcach historii tak dziwacznej, że w końcu trafiła na łamy ogólnopolskiego tabloidu. Oczywiście większość ludzi nie uwierzyła w ani jedno słowo z artykułu, zwalając wszystko na rozkochaną w clickbaitach kulturę brukowców.

Ale po kolei.

Ciocia Minerwa jak zwykle się nie myliła. Komendant nie przeżył tej przygody, jednak Aronia nie miała z tym nic wspólnego. Jego żona potrąciła go ze skutkiem śmiertelnym, wycofując auto z podjazdu. Zaklinała się, że go nie widziała. Nikt nie miał zastrzeżeń co do jej prawdomówności, bo pod postacią kota komendant był naprawdę niewielki i kolorystycznie stapiał się ze zwirem na podjeździe. Po złożeniu zeznań Gawrońska relacjonowała przebieg zdarzeń każdemu, kto chciał słuchać. Dobre dwie godziny spędziła przy kawiarnianym stoliku w StarBunny, szlochając, popijając kawę i zjadając stres ciastkami. Okazało się, że komendant także korzystał z eliksiru, i to od lat. Mimo ostrzeżenia nie zamierzał się pozbyć zawartości buteleczki czy choćby wstrzymać się z przyjmowaniem kolejnych dawek. I widocznie był ledwie trzy dawki w plecy w stosunku do Trzeszkowskiego.

- Nawet się nie zmienił po śmierci! No... w człowieka! Jak ja go pochowam? Jaką trumnę mam kupić? I jak ja to wytłumaczę jego rodzinie? - wyrzucała z siebie pytania Gawrońska, a przyjaciółka poklepywała ją pocieszająco po plecach i powtarzała:

- Nie takie rzeczy w Zielonym Jarze widywano. Niczym się nie martw, kochanie, w salonie pogrzebowym ze wszystkim ci doradzą.

Dopiero po śmierci komendanta zaczęli się zgłaszać do Róży kolejni klienci wiedźmina i niedoszące ofiary eliksiru na porost włosów. Zgodnie z jej przewidywaniami odzew na apel do obywateli Zielonego Jaru, by oddali do utylizacji pozostające w ich posiadaniu zapasy magicznej substancji, przeszedł bez echa. Nikt się nie rwał do ujawnienia, że czuprynę zawdzięcza odrobinie magii. Nie kusiła ich nawet perspektywa otrzymania antidotum, oferowanego przez Różę za darmo wszystkim, którzy przynieśliby choćby puste buteleczki po specyfiku. Dopiero przypadek komendanta tchnął w obywateli odrobinę rozsądku. Czterdziestu siedmiu mieszkańców Zielonego Jaru odwiedziło Różę i wymieniło eliksir na antidotum. Całkiem pokażne stadko niedoszących kocurów. Nie łudziłyśmy się, że to wszyscy, cudów nie ma, ale miałyśmy nadzieję, że jeśli ktoś ciągle trzymał w domu buteleczkę, miał też dość rozumu, by nie brać kolejnych dawek. Następne tygodnie minęły bez incydentów, więc może tak właśnie było.

Moja rodzina przez tydzień hucznie świętowała uwolnienie Aronii. Dom pękał w szwach.

- Świetnie się spisałaś, Malinko, lepiej nawet, niż przewidziała Minerwa - powiedziała mi mama i uściskała mnie czule.

- Ja w sumie niewiele zrobiłam, to Grześ i Paulinka, ciocie Róża i Ruta... - zaczęłam wymieniać, ale mama pokręciła głową i mi przerwała:

- Kochanie, to ty ich zaangażowałaś do działania i znalazłaś sposób na kontrolowanie naszej, że tak powiem, energicznej rodзинki. Gdybyś zawiodła, zdaniem Minerwy musiałybyśmy się wyprowadzić z Zielonego Jaru.

Krew mi odpłynęła z twarzy. Usiadłam i schowałam głowę między kolanami, jakbym znajdowała się w samolocie, który właśnie leciał na czołówkę z glebą.

- Nie powiedziałaś mi! - wydusiłam w końcu przez zaciśnięte gardło.

- Dodatkowa presja nigdy dobrze na ciebie nie działała, Malinko. Czasami lepiej nie znać stawki, bo to paraliżująca świadomość - wyjaśniła. - Wierzyłam, że ci się uda.

- Tak wierzyłaś, że ściągnęłaś do Zielonego Jaru demonicznego prawnika. Bo to ty, prawda? Musiałaś dać mu znać wcześniej, zanim cię zamknęli.

- Oczywiście. To nie znaczy, że nie spodziewałam się twojego sukcesu. Po prostu chciałam być przygotowana na najgorszą wersję wydarzeń - wytłumaczyła.

Nawet nie mogłam się na nią gniewać. Gdybym wiedziała, że przyszłość mojej rodziny zależy od tego, jak się spiszę, też bym szukała wsparcia wszędzie gdzie to możliwe. Nawet w piekle.

Do głosowania nad wotum nieufności nie doszło. Rada miasta wrzuciła wniosek do kosza i zrugła Dziurlikowskiego, który postanowił złożyć apelację od tej decyzji. Prawnik mamy tylko na to czekał. Dosolił mu pozwami o zniesławienie i z entuzjazmem czekał na rozprawę. Kręcił się po mieście i robił, co w jego mocy, by go wkurzać. Jeśli mama mu płaciła, był wart każdej złotówki.

À propos procesów. Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym rezultacie tej afery. Trzeszkowski, Lichota i Brożkiewicz pozwali wiedźmina o straty moralne i narażenie życia... i przegrali z kretesem. Najwyraźniej obrośnięcie futrem liczyło się jako porost włosów, czyli dokładnie to, co oferował znachor. Sędzia po zapoznaniu się z treścią ulotki i wymienionymi tam skutkami ubocznymi stwierdził, że tylko idiota zażyłby taki preparat. Wprawdzie nie wymieniono wśród nich przemiany w kota, ale widniała tam cała litania rzeczy jeszcze gorszych, więc - argumentował - powinni się cieszyć, że im się upiekło i żyją.

Poważniejsze konsekwencje dla Broniarka miały kontrole, które naślała na niego Paulina. Zawieszono mu licencję na trzy lata za rażące zaniedbania w dziedzinie BHP. Media miały używanie, rozpisywały się o tej sprawie całymi tygodniami. Wiedźmin odgrażał się lokalnej prasie pozwem o zniesławienie, ale nigdy go nie złożył. Może nie chciał dodawać wiatru w żagle całej tej historii i liczył, że temat sam wygaśnie, gdy wydarzy się coś wartego pierwszej strony. Po trzech tygodniach się doczekał, jednak reputację miał tak zszarganą, że zamknął swój sklepik i wyprowadził się ze Złotowa.

Trzeszkowscy się rozwiedli kilka miesięcy później. Ku zdziwieniu wszystkich - za porozumieniem stron. Pani Karolina świętowała swoje

pięćdziesiąte urodziny na luksusowym statku wycieczkowym, w drodze do Kopenhagi. Podobno kogoś spotkała.

Lichotowie nadal żyli w zgodzie. Pani Amelia adoptowała kota ze schroniska. Ponoć tęskniła za uspokajającym mruczeniem. Lucjana nie zachwycała obecność zwierzaka w domu, ale starał się powstrzymać odruchy terytorialne. W końcu nie był już kotem.

Wygranym w tej aferze okazał się Brożkiewicz, pierwszy zaginiony, który spędził w kociej postaci najwięcej czasu. Jego dramatyczna historia wzbudziła zainteresowanie w kręgach miejscowych wdów i rozwódek. Zaręczył się ze znaną w miasteczku kociarą, Barbarą Kuglik. Chodziły plotki, że lubili przebieranki, a listonosz zaklinał się, że dostarczył im futrzany koci kostium. Paczka była uszkodzona, więc sprawdzili przy nim zawartość do protokołu zdawczego. Nikt im złego słowa nie powiedział, w końcu po tym, co Kazik przeżył, każdy uznał jego skłonność do przebieranek za w pełni zrozumiałą.

NIE TAKA MAŁA TAJEMNICA



LUBA I ŻYWA

Dziecięce obrazki mogą kryć wiele niespodzianek. Czasami nadmiar rączek, niedobór oczek i rogi oznaczają coś więcej niż nieograniczona wyobraźnia młodej artystki.

Malina musi znaleźć sposób na ocalenie rodziny przed krwiożerczą bestią, ale tak, by nie zranić uczuć małej dziewczynki – i krwiożerczej bestii, która (poza rosnącym apetytem) jest właściwie całkiem słodka. Pod warunkiem, że przymknie się oko na te wszystkie zębiska, pazury i mlaskanie...

I tylko pisać Malina nikomu o tym nie może, bo to taka mała tajemnica!

- Cześć, Żywko! - przywitałam siostrzenicę, która jako jedyna, mimo hałasu panującego w domu, usłyszała dzwonek do drzwi.

- Rany, ciociu, skąd ty zawsze wiesz, że to ja? - odpowiedziała, szczerząc się w szczerbatym uśmiechu.

Z brązowymi, mocno kręconymi i potarganymi teraz włosami, wielkimi piwnymi oczyskami, w zielonych ogrodniczkach, żółtej koszulce i kolorowych skarpetkach, wyglądała jak przeuroczy krasnal ogrodowy.

Zadanie wcale nie należało do łatwych, skoro Żywa i Luba były bliźniaczkami jednojajowymi. Mogłabym powiedzieć małej, że jedyne, po czym je w tym momencie rozróżniam, to ich ubytki w uzębieniu (Luba straciła jak na razie mniej mleczaków), ale to odebrałoby mi tę odrobinę tajemniczości.

- Magia, Żywko, magia!

Dziewczynka zachichotała i wciągnęła mnie do środka. Padałam z nóg po ekstremalnie długiej zmianie w kawiarni, moja sukienka i legginsy wiele godzin temu straciły pozory świeżości, ale byłam spóźniona i gdybym jeszcze jechała do domu się przebrać, ominęłoby mnie przynajmniej jedno danie. Tylko idiota traciłby posiłek na imprezie moich kuzynek. Córki cioci Róży - Oliwia, Malwina i Laura - były doskonałymi kuchennymi wiedźmami i na dodatek, poza warzeniem eliksirów, znakomicie gotowały. Ba, z łączenia potraw i magii zrobiły rodzinny biznes. Ich firma Trzy Siostry działała już osiem lat i wypełniła na rynku lukę, o której istnieniu nikt chyba nie miał pojęcia. Zaczynały od cateringu dietetycznego, w którym magicznie zmniejszały liczbę kalorii bez utraty walorów smakowych (zmodyfikowały rodzinne zaklęcie, które akurat powodowało wzrost kalorii, co uznały za mało praktyczne), a teraz prowadziły restaurację, organizowały wszelakie imprezy i zaspokajały popyt na magicznie podrasowane jedzenie. I były w tym świetne.

Razem nie tylko pracowały, ale i mieszkały. Ich trzy szeregowo ustawione domy w praktyce tworzyły całość, mającą wprawdzie troje drzwi, ale dziewczyny połączyły parter w ogromną wspólną przestrzeń, z rozległą kuchnią, jadalnią, salonem i pomieszczeniem biurowym. Dopiero na pierwszym i drugim piętrze każda miała osobną część mieszkalną. Dzięki temu poza naszym rodzinnym gniazdem, czyli domem, w którym żyłam z mamą i prababcią, a okazjonalnie też innymi członkami

rodziny, to właśnie dom Oliwii, Malwiny i Laury mógł pomieścić większe zgromadzenia. Nad rodową siedzibą miał też przewagę natury kulinarnej. Praktycznie nigdy nie mogłam być pewna, że w naszej lodówce coś jest, bo ani ja, ani Aronia nie miałyśmy czasu robić zakupów, a prababcia Narcyza rzadko miewała odruch uzupełnienia zapasów. Jeżeli była głodna, a nie znalazła w kuchni nic jadalnego, szła do jednej ze swoich potomkiń albo odpalała kampera i jechała do Pragi czy Cieszyna, bo tamtejsze knedliczki są palce lizać, ewentualnie do Mediolanu, bo jednak wołałaby pizzę.

Do Żywki dołączyła Luba, identycznie potargana i wielkooka, ale w czerwonych ogrodniczkach, koszulce w biało-granatowe paski i z bosymi stópkami, po czym obie poprowadziły mnie do jadalni. Nawet gdybym nie wiedziała, gdzie ta się znajduje, hałas ściągłaby moją uwagę. Panował gwar, jak zawsze, gdy w jednym miejscu zgromadziły się więcej niż dwie Koźlaczki. Wybuchy śmiechu, głośne rozmowy i przekrzykiwanie świadczyły o tym, że impreza musiała się zacząć wcześniej niż o siedemnastej, jak sugerował mail od Laury.

- Chyba nie zjadły wszystkiego? - zapytałam konspiracyjnie Lubę, która ścisnęła moją rękę w wilgotnej łapce.

- Mamusia odłożyła ci porcję zupki, a drugie dopiero będzie - odpowiedziała szeptem.

- Twoja mama jest najlepsza - oświadczyłam, a ona energicznie pokiwała głową.

Stół, przeznaczony dla osiemnastu osób, po rozsunięciu i wstawieniu dodatkowych paneli pozwalał na posadzenie trzydziściorga biesiadników. Dziś siedziało przy nim dobrze ponad dwadzieścioro, łącznie z mężami Koźlaczek i ich starszymi dziećmi. Dla maluchów przygotowano niższy stolik zaraz obok. Jakimś cudem Laura zdołała ściągnąć wszystkich bez wcześniejszego uprzedzenia. Cóż, zważywszy, że mail z zaproszeniem przyszedł dziś rano, zapewne miała z tym coś wspólnego reputacja tutejszych posiłków.

Usiadłam na wolnym krześle między mamą a Jagodą i cmoknęłam uślinioną łapkę Kalinki. Moja siostrzenica ewidentnie ząbkowała jak szalona, bo natychmiast spróbowała przetestować moje palce w roli gryzaka. Chwilę później Malwina postawiła przede mną miskę barszczu z malutkimi uszkami (ile one musiały ich ulepić na tę imprezę?!), a ja poczułam, że schodzi ze mnie całe napięcie. Umierałam z głodu. Przez jedenaście godzin w pracy nie miałam czasu nic zjeść.

- Malwino, kocham cię, jakbyś mi była rodzoną siostrą albo bardziej, bo Jagoda nie daje mi jedzenia - powiedziałam żarliwie i rzuciłam się na posiłek, ignorując kukuśnika od mojej starszej siostry.

- Słyszałam, że miałaś dziś stresujący dzień - zagadnęła ciocia Ruta, siedząca naprzeciwko mnie. - Wiesz już coś?

Pokiwałam głową, przełykając uszko.

- Barnaba dzwonił, wszystko będzie dobrze, poparzenia nie są tak głębokie, jak się baliśmy. Założyli Kaśce opatrunki i odwiózł ją do domu. Więcej czasu spędzili w poczekalni, niż trwała konsultacja z lekarzem i opatrywanie ran - zrelacjonowałam.

- Uff, to dobrze, bo brzmiało naprawdę groźnie!

Czy zdziwiło mnie, że moja ciocia słyszała już, co wydarzyło się dziś w StarBunny? Wcale. To był Zielony Jar, a wypadek w naszej kawiarni widziało kilkoro świadków, było więc pewne, że wieści się rozejdą. Na szczęście nie skończyło się tak źle, jak się zapowiadało.

Kaśka była nowo zatrudnioną kelnerką, która miała dziś niewiarygodnego pecha. Akurat sięgała po dzbanek gorącej kawy, kiedy jedna z naszych klientek, pani Stefa, doznała objawienia. Te zdarzały się jej rzadko i nie dało się ich przewidzieć (o ironio objawień!), za to gdy choć raz widziało się wówczas panią Stefę, trudno było o tym zapomnieć, bo w jej żyłach płynęła krew banshee. Nagle zaczęła wydawać z siebie nieludzki, wysoki pisk, oczy uciekły jej w głąb czaszki i nieprzytomna osunęła się na podłogę. Wszystko trwało może czterdzieści sekund. Zanim zdążyłam do niej dobiec z drugiego końca kawiarni, wstała zawstydzona i zaczęła wszystkich przeproszać. Czterdzieści sekund może się wydawać mgnieniem oka, ale wystarczy, by wywołać istne pandemonium. Pisk pani Stefy był tak wysoki, że szkło w lokalu rozprysło się na miliony odłamków.

Na szczęście nie w oknach, bo szyby okazały się wystarczająco odporne, ale szklanki, wazoniki i dzbanki poszły w drobny mak. W tym dzbanek gorącej kawy, który trzymała Kaśka. Płyn o temperaturze około dziewięćdziesięciu stopni zalał jej dłonie, dekolt i szyję, a ostre odłamki pokaleczyły skórę, stała więc w szoku, w koszulce nasiąkającej krwią. Wyglądało to naprawdę kiepsko. Szef z miejsca zabrał dziewczynę na pogotowie, a ja do jego powrotu zostałam sama ze sprzątaniami i koniecznością ogarnięcia wszystkiego.

Szczęśliwie nikt oprócz Kaśki nie doznał większych obrażeń, poza kilkoma drobnymi skaleczeniami.

Ciocia Róża poprosiła, bym przekazała koleżance, że dostanie u niej maść łagodzącą ból i przyspieszającą gojenie, by nie zostały jej żadne blizny. Przy stole chwilę dyskutowano, kogo mogła dotyczyć nowa przepowiednia pani Stefy. Nie dysponowałam tą wiedzą, bo odzyskawszy przytomność, klientka nie zająknęła się na ten temat, ale rozumiałam niepokój krewniaczek. Pani Stefa niestety przewidywała głównie śmierć, ciężkie choroby i katastrofy. Pewnie dlatego była bardzo dyskretna i niechętnie wspominała, z czym wiązały się jej objawienia. Jeśli to najnowsze dotyczyło w jakiś sposób miasteczka czy jego mieszkańców, zapewne jutro pani Stefa wpadnie do ratusza i zostawi liścik z ostrzeżeniem. Któryś z urzędników postara się, by wiadomość dotarła do zainteresowanych. Pani Stefa krępowała się informować ludzi osobiście, bo mało kto witał ją z otwartymi ramionami.

Kuzynki podały drugie danie - obłędny pieczony schab nadziewany śliwkami, z kluskami śląskimi i sosem pieczeniowym, plastrami pieczonego buraka i autorskim coleslaw Oliwii. Cudowność zaklęta w kulistości. Zabrałam się do jedzenia jak wygłodzony wilk (choć chwilę wcześniej wtrąbiłam barszcz z uszkami), gdy wokół mnie płynęła rozmowa. Najlepsze w zgromadzeniach rodzinnych było dla mnie to, że zwykle nie musiałam wiele mówić, wystarczyło pomrukiwać w odpowiedniej tonacji i w odpowiednich momentach. Tej sztuki nauczył mnie mąż cioci Minerwy, Bożydar. Był w niej prawdziwym mistrzem. Może to właśnie umiejętnemu jej stosowaniu zawdzięczał dwadzieścia dwa lata małżeństwa, bez groźby rozwodu czy separacji. Rzecz w rodzinie Koźlaczek prawie nieosiągalna. Z siostr mamy jeszcze tylko ciocia Morwa miała aktualnie męża, ale pobrali się dopiero trzy lata temu, na wyraźną prośbę ich córki, wtedy czteroletniej.

Rozmowy zeszły na tematy rodzinne, planowanie nadchodzącej równonocy i ostatnie problemy z belgijską policją, wynikłe za sprawą poczynań prababci Narcyzy.

- Tym razem to naprawdę nie była jej wina - oznajmiła mama z westchnieniem i opowiedziała historię, którą dla niej od belgijskich władz wydobył nasz prawnik. - Ktoś ją wziął za drobną, bezbronną staruszkę i próbował okraść.

- Chciał jej zabrać torebkę? - Ciocia Róża wytrzeszczyła oczy.

- Gorzej: cadillaca. Wyszarpnął jej z ręki kluczyki i usiłował świsnąć brykę - odpowiedziała mama, po czym znów westchnęła.

- W jakim jest stanie? - zapytała ze współczuciem ciocia Ruta.

- Połamane wszystkie palce prawej dłoni i przetrącone rzepki - odparła pośpnie Aronia.

- Rany, to straszne! - zawołał Modest, mążzonek kuzynki Laury. - Jeśli trzeba, pojedę do Belgii i przywiozę Narcyzę do domu!

- Miło z twojej strony, ale woli sama prowadzić - odparła Aronia.

- Ale jak? Z tymi kolanami? - naciskał wyraźnie strapiony Modest.

- Co jest nie tak z kolanami babci? Są może trochę wystające, niemniej zupełnie sprawne - odpowiedziała mu Róża, wyraźnie zdezorientowana.

- No ale przecież rzepki! Aronia mówiła... - Zawahał się i spojrzał na swoją matkę.

Modest to bardzo miły gość. W pełni człowiek. Od prawie siedmiu lat był mężem Laury, jednakże jeszcze nie całkiem kumał rodzinną dynamikę i całą tę magię.

- Z kolanami Narcyzy jest wszystko w porządku - zapewniła go Jagoda tonem zarezerwowanym dla małych dzieci domagających się wyjaśnienia oczywistości. - To ona przetrąciła rzepki złodziejowi. Policja też potrzebowała chwili, by to przyswoić.

Aronia pokiwała głową.

- Nie pasowało im to do założonej wersji wydarzeń. Myśleli, że babcia kogoś kryje. Jakiegoś mafiosa, który biega z kijem bejsbolowym i uszkadza przestępcom rzepki kolanowe - wyjaśniła.

- Babcia miała kij bejsbolowy? - zainteresowała się ciocia Ruta. - Myślałam, że po tej sytuacji w Łodzi dała sobie spokój z takimi zabawkami.

- Użyła kijków do nordic walkingu. Na szczęście, bo zdaniem prawnika kij bejsbolowy mógłby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie służb - powiedziała, przy ostatnich słowach wykonując gest cudzysłowu.

Domyśliłam się, że cytowała mecenasa Małeckiego, naszego prawnika z piekła rodem. Dosłownie. Pojawił się pewnego dnia, by wyciągnąć Aronię z aresztu. I już został. Twierdził, że się z nami świetnie bawi i w porównaniu z Zielonym Jarem w piekle jest nudno. Zapewne miał rację - tam nie było Narcyzy, a to ona dostarczała mu najwięcej rozrywek.

Kiedy rodzina poznała fakty na temat kolejnych poczynań prababci, płynnie przeszła do innych tematów.

- Wydaje mi się, że coś się nam włamało do domu - oznajmiła Malwina.

Starła się zachować spokój, ale widziałam, że jej ręka trzymająca kieliszek z winem drży. Czy to dlatego moja kuzynka nieoczekiwanie zwołała znaczną część rodziny na kolację? Możliwe.

- Coś, nie ktoś? - dopytała ciotka Róża, wyraźnie zaniepokojona.

- Tak myślę. Zostały ślady na podłodze... - Malwina westchnęła.

- Najprawdopodobniej ślady pazurów. I bałagan w spiżarni. Oraz otwarta lodówka ze śladami buszowania - dodała Oliwia.

- Sęk w tym, że nasze bariery są nietknięte, całkowicie stabilne i mocne. Nic nie wskazuje, by tej nocy cokolwiek je przekroczyło - zauważyła Malwina.

- Macie standardową barierę Koźlaczkową, prawda? - upewniła się mama, a one potwierdziły.

- Czy jesteście pewne, że to nie Staszek, Tomasz albo Modest? - zapytała nieoczekiwanie ciocia Ruta, a mężowie moich kuzynek zgodnie posłali jej oburzone spojrzenia. - No co? Czytałam ostatnio o jakimś biednym facecie, który lunatykował i przez sen wypił całą butelkę płynu do mycia naczyń! Strasznie się rozchorował. To się zdarza! - Ciocia Ruta rozłożyła ręce na znak, że świat jest dziwny i ona tę dziwność przyjmuje na klatę.

- Cioci się zawsze wydaje, że co złego, to my - mruknął naburmuszony Staszek, mąż Oliwii.

Ciocia Amelia, partnerka cioci Ruty, wyraźnie uszczypnęła ją pod stołem.

- No może faktycznie, po prostu u mnie chłopca nigdy nie było i nic mi spiżarki nie zdemolowało - wycofała się lekko speszona Ruta i przepaszająco poklepała po ręce siedzącego po jej lewej stronie Staszka.

- To żaden z nas - zapewnił Tomasz, mąż Malwiny. - Zauważyłbym, gdybym przez sen wtrąbił blachę ciasta, nawet bez popijania jej płynem do mycia naczyń.

Modest w ogóle nie zamierzał komentować tej sugestii. Nakładał sobie repetę kluseczek, zostawiając zamartwianie się intruzem wiedźmom. Rozsądny facet, choć poślubił jedną z nas.

Przy stole zawrzało jak w ulu. Koźlaczki prześcigały się w domysłach i pytaniach, zastanawiając się, co mogło się włamać, jakie to było ciasto i czy to znaczy, że dziś nie będzie deseru. A gdy Oliwia zapowiedziała, że

deser zostanie podany jak zwykle, bo nie ma mowy, żeby jej jakiś intruz rujnował menu, nieco się uspokoiły i przeszły do rozważań, jak uszczelnić znany ze swej skuteczności krąg ochronny Koźlaczek.

Dyskretnie wstałam i odeszłam od stołu, bo mój pęcherz coraz mocniej dawał o sobie znać. Minęłam stół dziecięcy, przy którym Lula, Żywa, Poppy, Rozalka i Ula były już na etapie deseru, i dotarłam do łazienki znajdującej się między jadalnią a kuchnią. W środku paliło się światło, mimo to zapukałam.

- Zajęte! - usłyszałam głosik Luby.

Mogłam pójść na drugi koniec potrójnego domu, bo przy części biurowej mieściła się kolejna łazienka, albo skoczyć na piętro do jednej z domowych toalet, ale wolałam poczekać. Przeszłam do kuchni, by nie stresować Luby. Mała miała nieśmiały pęcherz i tylko bym przedłużyła czekanie, tkwiąc pod drzwiami.

W oko wpadły mi wiszące na lodówce rysunki. Mnóstwo rysunków. Sporo z nich naprawdę niezłych! Zwłaszcza te podpisane przez Lubę rzucały się w oczy - dziewczynka lepiej niż siostra radziła sobie z perspektywą i kolorem, nawet cieniowała! Ma niesamowitą wyobraźnię, pomyślałam, oglądając kilka prac przedstawiających jakąś magiczną kreaturę. Był to rogaty i kudłaty stwór o przekroju beczułki, z długimi jak u szympansa rękami, fioletową sierścią i dziwacznymi, jakby ptasimi stopami o sześciu pazurzystych paluchach. Na niektórych rysunkach był mniejszy od Luby, na innych większy, domyśliłam się więc, że to jej pomysł na oddanie perspektywy. Miał tylko jedno oko, centralnie umieszczone nad szerokim kulfoniastym nosem i pełnymi zębów ustami. Poza tym, sądząc na podstawie niektórych rysunków, przepadał za słodkościami.

Drzwi do łazienki otworzyły się z cichym trzaskiem. Luba wycierała mokre i nie do końca opłukane rączki o nogawki ogrodniczek.

- Już - oznajmiła i zwolniła łazienkę.

Załatwiając swoje sprawy, zastanawiałam się, czy możliwe, że widzę w tych rysunkach więcej, niż tam jest. Bo miałam nadzieję, że nie będę jedyną Koźlaczką z rysunkową magią. Ale nawet jeśli Luba nie dysponowała takową, bez wątpienia była utalentowana plastycznie i chciałam, by czuła, że ma wsparcie. Właśnie dlatego, wycierając dłonie ręcznikiem, uznałam, że nie zaszkodzi przeprowadzić małej pogawędki o sztuce.

Luby nie było przy stoliku dziecięcym ani w ogóle w jadalni, więc wróciłam do kuchni. Zauważyłam uchylone drzwi do spiżarki i zajrzałam, sądząc, że może tam znaleźć dziewczynkę.

Owszem, stała w środku, z garścią zbożowych batoników w pergaminowych opakowaniach – sztandarowym produktem Trzech Sióstr. Jakim cudem po takiej wyzerce znalazła jeszcze miejsce na przekąski? No i dlaczego spojrzała na mnie lekko spłoszona, rumieniąc się po samiutkie brwi?

– Widziałam twoje rysunki na lodówce – powiedziałam, uśmiechając się zachęcająco. – Są naprawdę super.

Kiwnęła głową, wciąż jakby trochę przestraszona.

– Podobał mi się zwłaszcza potwór – dodałam.

– Nie mogę o nim mówić – wyszeptała, wlepiając we mnie wielkie oczy. – Musiałabys przysiąc, że nikomu nigdy o nim nie powiesz.

Zawsze była bardziej nieśmiała i powściągliwsza od siostry.

– A chciałabys o nim porozmawiać? Kiedy już obiecuję? – zapytałam.

Przytaknęła energicznie.

– No dobrze, obiecuję, że nikomu nigdy nie powiem – oświadczyłam.

– Krzyżyk na sercu, kłódka na buzi! Na kije, patyki i żwir! – zażądała.

Powtórzyłam za nią słowa przysięgi i nagle poczułam szarpnięcie magii. Była wiążąca. Moja mała siostrzenica uwiła prawdziwą przysięgę! Miała siedem lat, a zaserwowała całkiem konkretny kawał magii! Czy Malwina wiedziała? Cóż, ja nie zdołałabym jej powiedzieć. Na samą myśl, że miałabym zdradzić cokolwiek z tej rozmowy, czułam potężny ucisk w gardle. Ani słówka!

Mała popatrzyła na mnie, przekrzywiając główkę, i powiedziała:

– Już działa. Chcesz zobaczyć ślady potwora?

– Chyba tak – przyznałam.

Luba uśmiechnęła się szeroko.

– Teraz jest naprawdę duży, kiedyś był zupełnie malutki – oznajmiła i kucnęła. Wsunęła batoniki do kieszeni ogrodniczek. Przesunęła niewielki chodnik, który leżał u jej stóp, i pokazała palcem sześć głębokich rys w drewnianej podłodze. – O, zobacz, to od jego pazurków. Nie chciał zostawić śladów, ale nie mógł dosięgnąć tam, na półkę, gdzie mama zostawiła pieguski czekoladowe do ciasteczek...

– No tak, dla piegusków warto się troszkę postarać – powiedziałam, siląc się na lekki ton. – Opowiesz mi o nim więcej?

- O Zenusiu? - upewniła się.
 - Ma na imię Zenuś? - zapytałam, a głos lekko mi zadrżał.
 - Hmm, miał takie długie i trudne imię, nie mogłam go zapamiętać, więc dałam mu nowe i bardzo mu się spodobało - wyjaśniła, nieświadomie potwierdzając moje najgorsze przeczucia.
 - Jak się zaprzyjaźniliście? - zapytałam cicho.
 - Nie tu, ktoś może usłyszeć - Ściszyła głos do szeptu.
 - Może u ciebie w pokoju? Tam będziemy same - zaproponowałam.
 - No, prawie - powiedziała.
- Cokolwiek to znaczyło...

*



Przemknęliśmy cichutko na schody i niezauważone przez zajętą rozmową przy stole rodzinę wdrapałyśmy się na pierwsze piętro. Tam, na końcu korytarza, mieściła się sypialnia Luby. Dziewczynka przystanąła, nasłuchując, zanim przekreśliła gałkę i wpuściła mnie do pokoju.

- Żywa wie o Zenusiu? - zapytałam ostrożnie.

Luba pokręciła głową.

- Chciałaby go tylko dla siebie - powiedziała. - Nie zawsze umie się dzielić. - Skrzywiła się lekko. - Ona ma gekona, ja mam Zenusia - dodała z lekkim, ale triumfalnym uśmiechem, po czym zamknęła za nami drzwi.

Usiadła na okrągłym dywanie przed łóżkiem i kiwnęła, żebym zrobiła to samo.

- Zenuś trochę się boi dużych ludzi - wytłumaczyła.

Pierwszy raz w życiu ze swoim wzrostem wynoszącym całe metr pięćdziesiąt byłam dla kogoś dużym człowiekiem. Paradoksalnie jakoś mnie to pocieszyło, bo przecież musiało znaczyć, że Zenuś jest malutki, prawda?

Niestety, płonne nadzieje!

Ledwie opadłam na dywan obok siostrzenicy, a drzwi szafy zaskrzypiały i z wnętrza wychynęła stópka, czerwonawa, zakończona okazałymi czarnymi pazurami, za nią szponiasta ręka, a po nich reszta wielkiej futrzanej postaci. Nie miałam pewności, czym jest ten stwór. Prawdopodobnie był mojego wzrostu - nie licząc rogów, bo te, niebieskie i lekko zakrzywione, dodawały mu dobrych dwadzieścia centymetrów. Zenuś stanowił dziwną mieszankę cech przerażających i słodkich. Pazury, rogi i liczne zębiska kontrastowały z wielkim wilgotnym okiem o spojrzeniu spaniela i miękkim fioletowym futerkiem, układającym się w kędziorki wokół sporych uszu i po bokach szerokiego, nieco spłaszczonego pyska. Podobne do ptasich nogi wyglądały, jakby nosił podkolanówki w pomarańczowe i żółte paski. Efekt byłby pewnie lepszy, gdyby nie długie pazury, którymi lekko drapał o drewnianą podłogę, kiedy się do nas zbliżał.

A ja miałam jedno, za to konkretne pytanie.

- Jakim cudem nikt nie wie, że on tu z tobą mieszka? - zapytałam oszołomiona.

W końcu to nie był chomik, którego dałoby się wsadzić do kieszeni czy ukryć w pudełku na buty pod łóżkiem!

- Nie zawsze był taki duży - wyjaśniła Luba, drapiąc Zenusia pod brodą.

Nadstawiał się jej do pieszczot jak kocię.

- Jak mały był, kiedy się poznaliście?

- Może taki? - Pokazała dłońmi kulkę, która spokojnie zmieściłaby się w kieszeni.

- I wtedy się wprowadził? - zapytałam, czując, że krew odpływa mi z twarzy.

- Nie, no co ty, to było latem... Wprowadził się, jak się zaczęło robić zimniej. Nie chciałam, żeby zmarzł, jak spadnie śnieg. Zaraz przed Halloween zabrałam go do siebie. Wcale nie było łatwo, krąg mamy jest bardzo szczelny, ale znalazłam sposób. Wyjaśniłam magii domu, że to przyjaciel i że jest moim gościem - powiedziała Luba, nader z siebie dumna.

- I wtedy go nazwałaś? - domyśliłam się.

- Troszkę wcześniej... Nie mogłam zapamiętać jego imienia, a on miał dosyć powtarzania - przyznała.

Potałam skronie, gdy zaczęły do mnie docierać konsekwencje tego, co słyszałam.

- Czyli Zenuś mówi? - zapytałam ostrożnie.

Luba energicznie pokiwała głową.

- Chyba się ciebie troszkę wstydzi, bo dotąd znał tylko mnie - odpowiedziała, po czym głaszcząc pękaty brzuszka potwora, zachęciła go: - Nie bój się, to Malina, moja kuzynka, ale jest prawie jak ciocia, dlatego jest duża. Bardzo jej się podobał twój portret, który narysowałam. - Uśmiechnęła się do mnie i wyjaśniła: - Wisiał tam chyba z pół roku i nikt na niego specjalnie nie zwracał uwagi. Mama raz zapytała, co na nim jest, a ja powiedziałam, że to mój przyjaciel, i ona po prostu założyła, że to wymyślony przyjaciel. Jak bym mogła wymyślić takiego Zenusia!

Faktycznie, mało prawdopodobne. Zenuś tymczasem nabrał odwagi na tyle, by zrobić w moją stronę krok, potem następny. Ciało kołysało mu się na boki, jak u misia pandy. Pochylił się w moją stronę i zaczął mnie obwąchiwać, dotykając suchym, ciepłym nosem mojej głowy. Zamarłam, czując na sobie jego oddech i lekkie draśnięcie, gdy zahaczył zębem o moją szyję. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam, więc odruchowo poprosiłam, by powtórzył, a on odsunął się, spojrział mi w oczy i szepnął:

- Smaczna.

Głośno przełknęłam ślinę.

- Mam dla ciebie jedzonko - przypomniała sobie Luba, nieświadoma napięcia panującego w pokoju.

Wyciągnęła z kieszonki batoniki musli w pergaminowych owijkach.

- Spróbuję po kolacji wykraść jakieś mięsko - dodała, kiedy Zenuś obwąchał słodkości i wydał z siebie odrobinę zawiedzione jęknienie.

- Zenuś jada mięsko? - dopytywałam, siląc się na neutralny ton.

- Odkąd jest duży... Trudniej go teraz wykarmić - przyznała Luba. - Kiedy był malutki, wystarczyło jabłko, garść rodzynek i płatków kukurydzianych na cały dzień. Ale odkąd brzuszek tak mu urósł, że już się nie mieści pod łóżkiem, ma większy apetyt i po mięsku śpi spokojniej. Mama coś chyba podejrzewa, ale udaję, że to ja tyle jem, bo rosnę. Czasami oddaję mu całe jedzonko, bo kiedy jest głodny, płacze...

Pani, miej w swojej opiece te niezbyt rozsądne dzieci, by dorosły do rozumu, którego poskąpiłaś im przy urodzeniu!

Tymczasem Zenuś patrzył na mnie głodnym ślepiem, a w kąciku pyska gromadziła mu się ślina, którą co chwilę głośno zasysał.

- A wiesz, skąd się tu w ogóle wziął? W Zielonym Jarze? Nigdy nie widziałam w okolicy takiego potworka jak on - odezwałam się, próbując nie myśleć o potrzebach żywieniowych Zenusia.

- Niewiele pamięta, był malutki. Chyba rodzice go zgubili. Może przed kimś uciekali? - mówiąc to, mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

O nie, proszę, losie, to byłoby zbyt okrutne nawet jak na ciebie! Niech prababcia Narcyza ze swoją reputacją „kosy na smoki” nie tkwi u początków tego bałaganu! Nie wiem, co w sumie byłoby gorsze: gdyby gdzieś w okolicznym lesie czaiły się dorosłe wersje Zenusia, złorzeczące Lubie, która podkrađła im syneczka, czy gdyby Zenuś dorósł i odkrył, że to Narcyza Koźlak ubiła mu rodziców, popychając go na drogę zemsty.

Chciałam jeszcze dyskretnie zapytać, czy Zenuś pamięta, jakim dokładnie jest gatunkiem potwora (choć było to mało prawdopodobne, skoro zgubił się jako brzdąc), ale usłyszałyśmy wołanie Malwiny:

- Luba! Malinka! Gdzie się podziewacie? Jedzenie czeka!

Zenuś, który w tym czasie wtrząchnął wszystkie batoniki kilkoma kłapnięciami zębisk, zaczął się ślinić na samo słowo „jedzenie”.

- Idę? - zapytał Lubę i wdzięcznie zamrugnął, trzepocząc rzęskami.

- Wystraszyliby się ciebie, Zenusiu. Przyniosę ci mnóstwo jedzonka - zapewniła dziewczynka i przytuliła się do jego pękatego, przepastnego brzuszka.

- Się nie boi - wydukał i pokazał na mnie pazurem.

- Malinka jest artystką, ona się nie boi potworów - wyjaśniła Luba.

Myliła się całkowicie. Bałam się potworów nie mniej, a może bardziej niż większość mojej rodziny.

Zenuś szepnął coś Lubie do ucha, a ona pokręciła głową.

- Nic się nie martw, ona nie wygada. Złożyła naszą przysięgę. - Uśmiechnęła się do niego czule.

Czyli najwyraźniej władał w jakimś stopniu magią. Ja się zastrzeżę! Będzie szybciej i mniej boleśnie.

- Lubaaa! Malinaaa! - usłyszałyśmy ponowne wołanie Malwiny.

- Już idziemy! - odkrzyknęła dziewczynka i pociągnęła mnie do wyjścia.

Kolana mi trochę drżały, kiedy szłam za nią po schodach.

*

Nikt, absolutnie nikt z siedzących przy rodzinnym stole nie miał pojęcia, że piętro wyżej błyskawicznie rośnie mały potwór, który niebawem przestanie się mieścić w szafie. I jest wiecznie głodny. A ja pachnę mu apetycznie - oni pewnie też. Czułam, że w skroniach zaczyna mi pulsować.

Jadłam automatycznie, właściwie nie czując smaku ciasta. Jednocześnie obserwowałam, jak Luba dyskretnie ściąga z półmiska kawałek schabu, owija go w serwetkę i wpycha do kieszeni. Na jak długo taki kęs wystarczy Zenusiu? Kiedy wcale nie taki mały potworek uzna, że musi zatroszczyć się o więcej, najlepiej z sąsiedniej sypialni?

Już się wymykał z pokoju Luby. Przecież Malwina zauważyła ślady w spizarce i bałagan w lodówce. Tak bardzo chciałabym im o tym opowiedzieć! Zrzucić ten problem na mamę, kuzynki, ciocie. One były dużo lepiej predestynowane do zajmowania się potworami, miały magię bojową. Ja, do diaska, rysowałam komiksy! Niestety, gdy tylko próbowałam zagaić temat, zaczynało mnie gnieść i podduszać, jakby to sam Zenuś w swej krągłej postaci siedział mi na mostku i pilnował, by żadna tajemnica nie zdołała opuścić moich ust.

- Wszystko w porządku? - zapytała Aronia, szturchając mnie lekko łokciem.

- Jasne, po prostu długi dzień i za wiele emocji - odpowiedziałam wymijająco.

Kiwnęła głową, ale jeszcze przez moment czułam na sobie jej spojrzenie i wiedziałam, że jakoś podrażniłam jej matczyne instynkt.

Zajęło mi chwilę zrozumienie, że gdy przebywałyśmy z Lubą na górze, głównym tematem rozmów przy stole był potwór i to, jak się uporać z jego niechcianą obecnością. Moje ciotki przerzucały się rozwiązaniami, a ja zdałam sobie sprawę, że każde doprowadzi do eskalacji problemu. Bo Koźlaczki nie wiedziały o jednym, absolutnie podstawowym aspekcie tej sprawy. Właściwie dwóch. Po pierwsze, Zenuś był tu legalnym gościem, więc magia domostwa stała po jego stronie i atak mógł zostać uznany przez dom za akt wrogości. Po drugie, nie mogłam zagwarantować, że nadając potworkowi imię, zaprzyjaźniając się z nim i wspólnie czarując, Luba niechcący nie zrobiła z niego familiusa. A jeśli tak, uderzając w niego, mogą zabić dziewczynkę. Znów mnie ścisnęło w piersi, gdy tylko pomyślałam, że powinnam im o tym powiedzieć. Rozkasłałam się tak mocno, że dopiero kilka łyków zimnej wody uspokoiło podrażnioną magią przysięgi krtań.

- Lepszej okazji nie będzie - skwitowała dyskusję Ruta. - Zajmiemy się tym w wigilię równonocy. Akurat zdążą się naładować kamienie węgielne, jutro skropię je olejami zaklinającymi.

Powieka zaczęła mi nerwowo drgać, jakbym przez ostatnią godzinę w domu Malwiny spaliła wszelkie zgromadzone przez mój organizm zapasy magnezu.

- Czasami lepiej, by zechciał odejść sam - wykrztusiłam. Przysięga uznała, że to wystarczająco neutralne stwierdzenie, skoro na nie pozwoliła.

- Gdyby to było takie proste... - powiedziała Aronia. - Pamiętacie awanturę u Żeleńskich?

Poczułam, jak na to wspomnienie drżą mi ręce. Egzorcyzmowanie domostwa skończyło się pożarem i obrażeniem leśnego bóstwa, które przyplątało się do domu w wiązce jedliny na wieńce ozdobne. Dopiero ucieczka z miasteczka i przenosiny do wielkiego miasta, z dala od lasów, pozwoliły Żeleńskim przełamać klątwę rzuconą na nie przez lesiątko.

Musiałam znaleźć jakieś rozwiązanie. Zanim Zenuś zje moją rodzinę. Albo zanim moja rodzina rozpęta tu piekło, próbując się pozbyć Zenusia.

*

- Malinko, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - dotarły do mnie słowa mamy.

- Nie całkiem, przepraszam, rozproszyłam się - odpowiedziałam szczerze zza kierownicy.

Normalnie to Aronia prowadziłaby w drodze do domu, ale dziś wypiła kilka kieliszków wina i skorzystała z tego, że ma ją kto podwieźć.

- Właśnie pytałam, co cię tak gryzie - powtórzyła.

Nawet się nie odezwałam, a uczucie miazdżenia krtani i ucisku w piersi wróciło. Jakby magia przysięgi wyczuła, że aż mnie skręca, by o wszystkim powiedzieć mamie.

Pokręciłam głową i rzuciłam Aronii spłoszone spojrzenie. Naprawdę wolałabym, by to ona знаła tę tajemnicę i wkroczyła na scenę jako głowa naszego sabatu, pełna pomysłów, magii i doświadczenia.

Mama wyprostowała się i wbiła we mnie ciemne, inteligentne oczy.

- Rozumiem - powiedziała i słowo daję, uwierzyłam, że faktycznie tak jest. - Malinko, jesteś Koźlaczką, władasz magią, może nietypową, ale władasz, bez dwóch zdań. Nic cię nie przerasta.

- A jeśli? - zapytałam cicho.

- Wtedy pewnie coś wybuchnie i nie będziesz musiała nic mówić. Same zjawimy się na miejscu - obiecała.

Bardzo, bardzo nie chciałabym, żeby coś wybuchło. Jeżeli moje podejrzenia były słuszne, taki wybuch odbiłby się na Lubie i reszcie domowników.

Musiałam poszperać, poskładać fakty i znaleźć rozwiązanie.

- Pamiętaj, w każdej z nas płynie krew Narcyzy. W tobie też, Malinko. Czasem myślę sobie, że nawet więcej masz po niej niż po mnie - dodała mama miękkim, prawie wzruszonym tonem. W winie prawda, czy jakoś tak.

Możliwe, że miała rację, a to był ten moment, kiedy powinnam się zastanowić, co na moim miejscu zrobiłaby Narcyza.

*

W nocy spałam fatalnie. Mój mózg nie chciał zwolnić nawet na chwilę, a syndrom niespokojnych nóg sprawił, że trzy razy wstawałam, by poprawić pozwijane prześcieradło. Gdy tylko zamykałam oczy, wyobraźnia podsuwała mi makabryczne obrazy. Krwawe i przewracające żołądek na drugą stronę. O piątej się poddałam i wstałam. Przeszłam do biblioteki na palcach, by nie obudzić mamy, i szukałam rozwiązania w księgach magicznych. Przeglądałam z uwagą rodzinny grimuar. Świtało, kiedy doszłam do przygnębiającego wniosku – najwyraźniej żadna z moich przodkiń nie mierzyła się z podobnym problemem. A jeśli nawet, nie raczyła zostawić dla potomnych żadnych wskazówek. Zasnęłam na siedząco, przy pulpicie. Obudziłam się z policzkiem upapranym atramentem, a kleks mojej śliny rozmazał kilka słów w zakłęciu ciotki Jasminy. Dobrze, że to na nią trafiło, jej eliksiry na potencję i tak rzadko działały.

Zerwałam się, przypominając sobie, czemu właściwie śpię z twarzą na grimuarze, zdrętwiała, zapuchnięta, z bosymi stopami zimnymi jak sople lodu. I choć niczego nie znalazłam w zapiskach krewniaczek, gdzieś na pograniczu jawy i snu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może niezbyt mądry, ale nie miał konkurencji. Kiedy byłam dzieckiem, zawsze wkładałam pod poduszkę podręczniki w noc przed klasówką, mając nadzieję, że przez sen wchłonę coś z mądrości zapisanych na ich kartach. Może ta metoda nie była tak szalona i głupia, tylko należało usunąć poduszkę?

Miałam plan. Poniekąd.

*

Tuż po siódmej zadzwoniłam do Barnaby z pytaniem, czy świat mu się zawali, jeśli odbiorę nadgodziny z tego tygodnia. Westchnął i powiedział, że spodziewa się mnie w poniedziałek tak punktualnie, że szwajcarskie zakonnice mogłyby wedle mojej punktualności regulować zegar na klasztornej dzwonnicy.

Jednego prababcia Narcyza trzymała się zawsze i wszędzie – kluczem do zwycięstwa jest rozpoznanie. Dlatego właśnie zaszyłam się w domowej biblioteczkę i ściągnęłam z regału jej podręczne bestiariusze, jeszcze z czasów, gdy przejawiała większą aktywność jako „kosa na smoki”. Mierzyła się zresztą nie tylko ze smokami, ale i z wszelkimi stworzeniami, które zagrażały społeczności naszego miasteczka i okolicy. „Łatwiej

negocjować z czymś, co w razie fiaska negocjacji potrafisz zabić”, mawiała.

Wczoraj w nocy skupiłam się na sposobach pozbywania się zaproszonych gości, potencjalnie familiusów, ale jeśli mój nowy plan miał się powieść, musiałam wiedzieć jak najwięcej o samym bohaterze całego zamieszania. Właściwie zawsze powinno się zaczynać od bohatera!

Nie czułam powołania do zabijania potworów. Nie miałam też nic przeciwko nim – chyba że żyły w szafie mojej siostrzenicy i wyglądały jak coś, co nie powinno przebywać w pobliżu małych dzieci.

Tliła się we mnie nadzieja, że przecucie i skojarzenia mnie zawodzą, jednak po przejrzeniu bestiariuszy (odręczne pismo prababki było po prostu upiorne, ale kreskę miała całkiem niezłą, więc może mój talent nie wziął się znikąd) najprawdopodobniej znalazłam gatunek zenusiopodobny.

Na jednej ze stron widniał rysunek wykonany ołówkiem i podkolorowany fioletową kredką świecową, przedstawiający stworzenie, które w sumie wyglądało jak większa wersja Zenusia. Żeby jego rozmiary nie umknęły potomnym, prababcia Narcyza narysowała obok krowę. Zwierzę sięgało stworzeniu mniej więcej do pępka. Z drugiej strony drukowanymi literami prababcia zapisała nazwę: „Zeminonkalakus”. Gdybym miała to zapamiętać, pewnie byłabym w takich samych opałach jak Luba i też nazwałabym go Zenuś. Nie mogłam wykluczyć, że to nie przypadek, choć w notatce sporządzonej przez Narcyzę nie znalazłam ani słowa o tym, by stwory nawiązywały przyjaźnie z małymi dziewczynkami albo jadały jabłka i płatki kukurydziane. Wyczytałam natomiast, że o ile młode są niezbyt groźne, o tyle dorosłe klasyfikują się na piątym miejscu w siedmiostopniowej skali zagrożenia.

Przymknęłam oczy, przeklinając pod nosem.

Pod powiekami pulsowało mi wypisane czerwonym atramentem słowo, podkreślone i oznaczone trzema wykrzyknikami, jakby cała reszta była mniej istotna. Gdybym miała zapamiętać z tej strony bestiariusza jedną rzecz, to właśnie tę: LUDOJAD!!!

Prababcia Narcyza mierzyła się z dwoma osobnikami tego gatunku jeszcze przed narodzinami mojej mamy i zapisała koślawym pismem kilka technik, które okazały się nieskuteczne, a także dwie, które zrobiły robotę. Niestety, o ile nie chciałam, by moja rodzina skończyła jako posiłek bestii, a także jeśli zamierzałam sprawić, by moja siostrzenica kiedykolwiek się jeszcze do mnie odezwała, nie mogłam sięgnąć po nie w przypadku Zenusia. Metody prababci niemal bez wyjątku były krwawe

i isticie średniowieczne. Na jej usprawiedliwienie mogę dodać, że pewnie nigdy nie znalazła się w sytuacji, kiedy potwora, którego zamierzała zabić, własną pierśią próbowałaby zasłonić mała dziewczynka.

Nie mogłam uwierzyć, że ze wszystkich stworzeń świata Luba musiała wybrać na przyjaciela ludojada!

Myśl, Malino! Myśl! – powtarzałam, uciskając pulsujące skronie.

*

I wymyśliłam. Szukałam dziur w logice swojego rozumowania, jednak, o dziwo, żadnej nie znalazłam. To mogło zadziałać. Postanowiłam z całą świadomością uczepić się tej nadziei i działać tak, jakby sprawa miała się zakończyć sukcesem.

Resztę dnia spędziłam, intensywnie pracując. Wszystko kotłowało się w mojej wyobraźni i aż się prosiło, by to przelać na papier. Mama zajrzała do mnie na chwilę przed wyjściem na jakieś spotkanie w ratuszu, zaskoczona, że nie pognałam do pracy. Wyjaśniłam, że mam wolny weekend i muszę popracować. Spojrzała tylko na moją deskę kreślarską z przyklejonymi papierową taśmą arkuszami kremowego papieru, karteluszkami notatek i szkiców, na baterię kredek, mazaków, ołówków i pędzli sterczących ze słoików, i powiedziała:

- Tylko nie zapomnij o jedzeniu. I nie pij wody do maczania pędzli.

I jakby nie dowierzała, że wezmę to sobie do serca, wróciła jeszcze do kuchni i przyniosła mi dzbanek z wodą, w której pływały plastry cytryny i listki mięty, oraz szklanę. Postawiła naczynia na komodzie, którą przysunęłam do biurka, bo w jej szufladach leżała większość farb, tusze i reszta materiałów plastycznych.

Zanim wyszła, pogłaskała mnie po głowie, jakbym znów była małą dziewczynką, o którą się zamartwia. Dziwne.

Zabrałam się do pracy. Nie umiałam przewidzieć, kiedy potrzeby żywieniowe Zenusia staną się problemem mojej rodziny, ale pamiętałam, że do wigilii równonocy zostało tylko kilka dni. Gdyby jeszcze wczoraj ktoś mnie zapytał, ile zajęłaby mi realizacja planu, który powzięłam, powiedziałabym, że kilka tygodni, może miesięcy. Tymczasem miałam niecały tydzień. A właściwie weekend, bo po dniówce w kawiarni ciężko siadać do deski kreślarskiej i zmuszać kręgosłup i barki do kolejnego wysiłku. Pewnie dlatego mój projekt posuwał się do przodu w ślimaczym

tempie. Tyle że tam na szali leżała tylko potencjalna kariera i przyszłość zawodowa, a nie zdrowie i życie mojej rodziny.

Pracowałam, jakby jutra miało nie być. Weszłam w ten dziwny stan, w którym świat po prostu przestaje istnieć. Byłam ja i kartka papieru, ołówki i mazaki. Docierały do mnie odgłosy domu, trzaśnięcie drzwi, gdy kilka godzin później wróciła Aronia, rozmowy dobiegające z kuchni, echo kroków, ale dochodziły z tak daleka, jakby między mną a nimi znajdowała się ściana wody.

Nie przerwałam, nawet kiedy mama zawołała mnie na obiad. Przyniosła mi naleśniki i poczekała, aż zjem choć jednego. Wpychałam go sobie do ust, nie odrywając oczu od kartki, szukając błędu... Musiał tam być, bo coś mi się nie zgadzało z perspektywą. Słyszałam głos Aronii, ale jej słowa brzmiały jak szum w obcym języku, którego teraz nie potrafiłam przyswoić.

Po wielu godzinach pracy czułam skurcze w dłoni i musiałam siłą prostować palce, rozciągać ścięgna, rozluźniać nadgarstki, bo piórko drżało i kreska robiła się nierówna. Ale nie potrafiłam przestać. Nigdy praca nie pochłonęła mnie tak, jakby nic poza nią nie istniało...

Gdy zapadła noc, nie poszłam spać. I tak bym nie zasnęła. Nie wiedziałam, czy to, co robię, ma sens, czy naprawdę może zadziałać, tyle że nic innego nie przychodziło mi do głowy, a z uczuciem bezradności ciężko byłoby mi sobie poradzić. Na parapecie rósł stos arkuszy z gotowymi ilustracjami. Ale przecież wiedziałam, że nawet kiedy skończę rysować, pozostanie jeszcze jedno wyzwanie, coś, czego nigdy wcześniej nie próbowałam. Ilustracje to dopiero połowa planu. Może należało zacząć od tej drugiej połowy, ale bałam się, że gdyby mnie wtedy zamurowało albo okazało się, że jednak nie potrafię, zostałabym w miejscu, a tak, krok za krokiem, przynajmniej dokądś zmierzałam.

Mama zaglądała do mnie co jakiś czas. Donosiła mi coś do picia albo do jedzenia. Nie pytała, co robię, nie kazała mi przestać, nie próbowała mnie odciągać od deski kreślarskiej, choć siedziałam przy niej pozwijana w paragraf, a kręgosłup dawał mi się we znaki, podobnie jak przeciążony nadgarstek. Chyba w jakiś tajemniczy sposób wyczuwała, że robię coś ważnego. Nie próbowała zerkać na deskę kreślarską.

Chwilami się śmiałam, w innych momentach wzruszenie chwyciło mnie za gardło nie mniej niż przysięga złożona Lubie. Niedziela śmignęła błyskawicznie. Ciągnęłam resztką sił, ale cel znajdował się już blisko i wart był tego, by wycisnąć siebie do cna, jak cytrynę.

W nocy z niedzieli na poniedziałek uznałam pierwszą część projektu za gotową. Teraz musiałam się wziąć do tego, co nie przychodziło mi aż tak naturalnie. Żałowałam, że nie mam dość czasu, by poszukać w sieci kogoś, kto mógłby to dla mnie zrobić. Gdzie są ghostwriterzy, kiedy ich potrzebujesz?

Masz to, wymyśliłaś to, narysowałaś to, napisanie tego powinno być już jak zjeżdżanie sankami ze zbocza, na łeb na szyję, a nie jak wciąganie ich pod górę.

Powiedzmy.

Zderzyłam się z klątwą migającego kursora i przekleństwem białej strony. Ale przełamalam je, zdeterminowana, by doprowadzić rzecz do końca. Pisałam do rana.

Nie usłyszałam budzika. Nie pamiętałam, kiedy wstałam z krzeselka i poczłapałam do łóżka. Nie byłam dość przytomna, by wejść pod kołdrę, więc obudziłam się na niej, zwinięta w kłębek. Zerknęłam na zegarek – siedemnaście po dziesiątej. Wrzasnęłam z przerażenia, jakby na wskazówkach objawił mi się archanioł Gabriel ze zwiastowaniem. Wyskoczyłam z łóżka, stękając, bo mój kręgosłup nienawidził teraz ruchu, a także mnie za durny pomysł zmiany pozycji. Zrzuciłam z siebie piżamę, w której spędziłam weekend, i ubrałam się najszybciej, jak zdołałam. Nie było czasu na makijaż, więc tylko opłukałam twarz zimną wodą, by opuchlizna choć trochę zeszała z oczu, i w biegu wklepałam krem z filtrem.

Nie zwolniłam nawet, by zasznurować trampki czy poprosić mamę o podrzucenie mnie do kawiarni. Po prostu pobiegłam.

Wpadłam do StarBunny spocona i zadyszana. Pusty żołądek skręcał mi się z głodu i nerwów, a ja, jak nic czerwona jak burak, próbowałam wykrztusić z siebie przeprosiny dla Barnaby i przysięgę, że już na pewno nigdy więcej się nie spóźnię.

- Malino, oddychaj - burknął mój szef, ale nie wyglądał na złego, bardziej na zmartwionego.

Łapałam krótkie, szybkie oddechy, aż musiałam usiąść, bo zrobiło mi się słabo.

- Już lepiej? - zapytał Barnaba, a ja pokiwałam głową, wciąż niezdolna do mówienia. Podał mi szklanekę wody i oznajmił: - Twoja matka była tu z samego rana.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Mówiła, że cały weekend pracowałaś nad czymś tak intensywnie, że doprowadziłaś się do obłądu. Uznała, że to bardzo ważne, bo nigdy wcześniej nie widziała cię w takim stanie. To prawda?

Pokiwałam głową.

- Czy już skończyłaś?

- Prawie - przyznałam. - Zasnęłam nad ranem.

- Więc idź do domu. Skończ. Wyśpij się. Wykap, na bogów, bo ten zapaszek odstraszy mi klientów. Widzimy się jutro - powiedział, a gdy w milczeniu spojrzałam na niego wielkimi oczami, dodał: - Malino, na dziś dostajesz urlop na żądanie, przecież masz prawo do czterech takich dni w roku. Nie przyzwyczajaj się i pamiętaj, że odliczają ci się od normalnego urlopu, ale w sumie wolę, byś je przeznaczała na ratowanie świata niż leżenie z kacem po imprezach.

- Skąd pomyśł, że ratuję świat? - zapytałam cicho.

- Tylko rodzina i groźba apokalipsy mogłyby cię wyżyć do tego stopnia. Gdyby chodziło o rodzinę, Aronia pewnie coś by o tym wiedziała - dodał i popatrzył na mnie uważnie.

- Nie mogę nikomu powiedzieć. Nawet mamie - wyszeptałam.

Barnaba pokiwał głową, wszedł za ladę i zapakował do papierowej torebki dwie drożdżówki, nalał do kubka kawy na wynos i podał mi śniadanie ze słowami:

- Gdybyś potrzebowała więcej czasu, zadzwoń. Zmienimy użetkę na zwykły urlop. Dziewczyny rozdzieliły pomiędzy siebie twoje godziny.

Uściskałam go, wzruszona. No bo przecież mam najlepszego szefa na świecie! W żadnej korpo nie dostałabym użetki na ratowanie świata!

*

Wróciłam do domu, do biurka, do swego projektu. Nigdy wcześniej nie czułam tak wielkiego przymusu całkowitego poświęcenia się pracy. Cóż, konkursy czy wizja zauroczenia wydawnictwa moimi pomysłami i talentem nie motywują tak jak ryzyko, że mała dziewczynka skończy jako przekąska. Czyżbym właśnie odkryła sposób na ominięcie pułapki prokrastynacji?

Kilka godzin później masowałam palące żywym ogniem nadgarstki. Palce zaczęły mi drętwieć jakiś czas temu, ale udało mi się skończyć pisanie. Mogłabym po prostu wydrukować tekst, włożyć ilustracje między strony i uznać, że starczy. Jednak cichutki głos w głowie podpowiadał, że

muszę to zrobić jak należy. Zamiast więc zafundować sobie przerwę, coś zjeść czy paść na twarz i spać przez najbliższe dwanaście godzin, skanowałam ilustracje, robiłam skład i szykowałam stronę tytułową, a gdy całość wyglądała zadowalająco, wybrałam polecenie „drukuj” i zadzwoniłam do cioci Minerwy.

Tym razem potrzebowałam jej złotych rąk, a nie prekognicji i snów.

- Hej, cioteczko, chcesz mi pomóc uratować świat? - powiedziałam na tyle ogólnie, że przysięga nie ścisnęła mi gardła.

- Zawsze. Wpadaj, Malinko, upiekłam ciastka.

*

Nie komentowała, nie pytała. Przeglądała w milczeniu strony książeczki i ilustracje, aż dotarła do ostatniej.

- Niesamowita - powiedziała w końcu i uścisnęła mnie z dumą.

- Musi wyglądać jak prawdziwa książka - wytłumaczyłam.

- Kochanie, to jest prawdziwa książka, ale mogę ją pozszywać, zadbać o okładkę i nadać jej odrobinę sznytu - stwierdziła z uśmiechem.

Ciocia Minerwa miała uciążliwy i często przykry dar prekognicji. Widziała przyszłość, ale zwykle w sposób zbyt nieostry, by móc ją łatwo zmienić, zwłaszcza że z zasady widywała rzeczy nieprzyjemne, groźne lub niebezpieczne. Dlatego była ciągle zestresowana. Kiepsko sypiała, toteż wciąż szukała nowych sposobów na relaks. I okazało się, że nic jej tak nie relaksuje jak rękodzieło. Twierdziła, że sam akt wykonywania jakiegoś przedmiotu, bez względu na jego walory estetyczne czy użytkowe, koi jej nerwy.

Odkąd pamiętam, ciocia robiła na drutach, szydełkowała, haftowała przekleństwa krzyżykami, tworzyła biżuterię najróżniejszymi technikami, próbowała decoupage'u czy wykonywała śliczne drobiazgi z żywicy epoksydowej. Czasem sięgała po narzędzia stolarskie i za pomocą filmików na YouTube budowała kurnik wyglądający jak domek na kurzej łapce, który, gdy dorośnie, chciałby zostać pałacykiem. Albo ni stąd, ni zowąd zaczynała remontować pokój i kłaść tapety na ścianach. Szyła poduszki. Robiła witraże, świeczki sojowe i glicerynowe mydełka, które wyglądały jak nadające się do zjedzenia. Szyła, splatała mandale lub wyciągała z garażu krosna i tkala dywanik. Niekiedy szła do pracowni cioci Ruty i mówiła: „Pokaż mi, jak zrobić miskę czy doniczkę, muszę czymś zająć ręce”.

Próbowała chyba wszystkiego. Czasami w poszukiwaniu nowego konika spędzała dzień, oglądając filmiki rękodzielników, aż coś trafiło jej w gust. Zapalała się, kupowała narzędzia i materiały i dawała się porwać nowej pasji. Na jakiś czas. Wiele aktywności porzucała, gdy tylko przestawały dawać jej radość. Częściej jednak moment rezygnacji nadchodził, gdy skutek osiągniętej wprawy wykonywanie danej rzeczy podejrzanie przypominało jej pracę, a nie relaks. Wiele z wyrobów zresztą sprzedawała, co stanowiło znaczne, dodatkowe źródło dochodu. Miała sklepik na Etsy, wystawiała się też ze stoiskiem na festynach, a niektóre przedmioty trafiały do sklepu cioci Róży, jeśli pasowały do jego asortymentu.

Jako dziecko uwielbiałam jej dom i uwielbiałam spędzać z nią czas, bo zawsze była taka kreatywna i robiła tyle fantastycznych rzeczy! Dopiero gdy dorosłam, zaczęłam wiązać tę szaloną liczbę hobby z nerwicą i przekleństwem jej daru.

Kilka lat temu ciocia Minerwa zapaliła się do introligatorstwa. Na gwiazdkę wszystkie krewniaczki dostały ręcznie wykonane grimumy, każdy cudowny i dopasowany do gustu adresatki. Mój, w aksamitnej wiśniowej okładce z mosiężnymi okuciami i dekoracyjnym zapięciem, służy mi do dziś.

- Zabawne - powiedziała ciotka - akurat wczoraj robiłam porządek w warsztacie i wyciągnęłam z kąta skrzynię z narzędziami introligatorskimi...

Niezwykłe, jak działał mózg wieszczki. I jak wiele rzeczy znajdowało się na półkach i w szufladach jej warsztatu. Gdybym przyszła i obwieściła, że chcę zrobić haftowaną koralikami makatkę albo zbroję do cosplayu Arweny, też miałyby wszystko pod ręką.

Patrzyłam jak zaczarowana, gdy składała wszystkie kartki, wyrównując je kostką introligatorską. Tak ułożone arkusze przycinała gilotynką, dziurkowała w równych odstępach, a potem przesywała czerwoną nicią, łącząc w zgrabny blok. Była w pełni skoncentrowana na pracy, nie mówiła wiele, co najwyżej wydawała polecenia:

- Malinko, sięgnij po to pudełko na samej górze regału, tylko weź drabinkę, bo jest ciężkie. Powinam mieć jeszcze trochę marmurowego papieru, który kiedyś robiłam, przyda się na wyklejkę.

Albo:

- Bez kapitałki i zakładki to zupełnie nie będzie stylowe, tam w szufladce są pasujące tasiemki...



Patrzyłam z fascynacją, jak ściśnięte imadłem i przygniecione deseczką kartki zmieniały się w książkę. Coś mnie dławiło w gardle, nie przysięga, ale jakieś wzruszenie! Ciocia posmarowała grzbiet klejem, umocowała kapitałkę i zakładkę wykonaną z kawałka ślicznej krajki. Wszystko wzmocniła paskiem merli i podczas gdy całość schła, zabrała się do wykonania okładki. Docięła tekturkę i przez chwilę przebierała w szufladzie z tkaninami, szukając odpowiedniego materiału.

- Co powiesz na to kaliko? - zapytała, wyciągając kawał fioletowego płótna o gęstym splocie. Wydawało się migotać pod światło, jakby osnowa była ze srebra. - Został mi spory kawałek po grimuarze dla Lili, pasowałby do twojego Zenusia, co?

- Idealny - zapewniłam.

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu nam to zajęło. Kilka godzin na pewno. Po wszystkim siedziałam, trzymając w dłoniach najpiękniejszą książkę świata. Miała nawet moje imię i nazwisko oraz tytuł wypisany srebrnymi literami na okładce i na grzbiecie. Gdy ją otworzyłam, uderzyła mnie cudowna pstrokatość marmurkowego papieru, z różowymi, fiołkowymi, niebieskimi i czarnymi maziakami układającymi się w pawie oczka. W tym towarzystwie nawet zwykły papier do drukarki wyglądał lepiej, a ciocia jeszcze przesrebrzyła brzegi stron.

Gdyby nie Zenuś i Luba, ta książeczka nigdy by nie powstała, a ja nie wiedziałabym, jakie to uczucie trzymać ją w rękach i czuć dławiącą, obezwładniającą dumę. I magię. Czułam ją, rysując i zapisując każdą stronę, czułam ją w wydrukowanym maszynopisie, ale dopiero teraz była tak silna, że mrowiła mnie w palce. Jakby ciocia Minerwa wzmocniła moje zaklęcia swoją pracą i swoim talentem.

- Pamiętasz, ciociu, tę scenę w ekranizacji Małych kobietek, kiedy Jo March trzyma w rękach pierwszy egzemplarz swojej książki? - zapytałam cicho. - Wiem dokładnie, co wtedy czuła. Dziękuję. - Uścisnęłam ją, pociągając nosem.

Nie miałam pojęcia, czy mój plan się powiedzie, czy moja magia spełni pokładane w niej nadzieje, ale wiedziałam, że stworzyłyśmy coś pięknego i już dzięki temu świat stał się odrobinę lepszy.

*

Malwina, otwarłszy mi drzwi, nie kryła zaskoczenia. Było już późnawo na niezapowiedziane wizyty, jednak nie chciałam czekać ani chwili dłużej.

- Malino, coś się stało? - zapytała zdziwiona.

- Mam coś dla Luby. Chyba jeszcze nie śpi? - Minęła dwudziesta pierwsza, więc pytanie nie było całkiem bezzasadne.

- Nie ma tak dobrze, ciągle słyszę, jak buszuje po pokoju. Jakim cudem takie małe nóżki tupią tak głośno, nigdy się nie dowiem - odpowiedziała, wpuszczając mnie do środka.

Po chwili wróciła do sprzątnięcia kuchni i ładowania zmywarki, a ja wdrapałam się po schodach na piętro, do pokoju Luby. W sypialni Żywy było już ciemno i przez uchylone drzwi słyszałam cichy, równy oddech dziewczynki. Za to jej siostra była na nogach, ewidentnie pobudzona.

- Zenuś nie może zasnąć - oświadczyła zmartwionym szeptem. - Myślę, że ma koszmary.

- Może mam na to sposób - powiedziałam, pokazując jej książeczkę.

Zenuś już się wytoczył z szafy, znacznie większy niż kilka dni temu, więc wyglądało to tak, jakby mebel wypluł go, nie mogąc pomieścić. Wszystkie ubrania Luby leżały ściśnięte pod ścianą albo zalegały w stercie na spodzie szafy.

- Co dla mnie ma? - zapytał, łypiąc na mnie oczkiem.

- Tu jest napisane „Zenuś”! - zawołała Luba podekscytowana.

- Bo to jest historia Zenusia. Mogę wam przeczytać? - zapytałam.

Czytałam więc, rozdział za rozdziałem, z przystankiem na każdą ilustrację. Siedziałam na łóżku, Luba wtulała mi się w bok, a Zenuś leżał na dywanie koło łóżka, pomrukując co jakiś czas. Magia już nie tylko szczypała mnie w palce. Z każdym słowem oplątywała nas srebrną przędzą, cieniutką, ale silną jak pajęczyna.

Gdy skończyłam, Luba uścisnęła mnie mocno, z oczami wilgotnymi od łez. Zenuś pociągał nosem i posapywał z emocji.

- I naprawdę tak będzie? - zapytała dziewczynka.

- Myślę, że może być.

- Tylko skąd ja wezmę walizkę? Jak zabiorę jedzonko bez walizki? - zmartwił się Zenuś.

- Przyniosę ci ją, jeśli chcesz. Albo plecak, może być wygodniej podróżować z plecakiem. I zabiorę tyle jedzonka, żeby ci starczyło na dłużej. Ale tylko, jeżeli chcesz - podkreśliłam.

- Pomyślę - mruknął i wpełzł do szafy.

Zwinął się w kłębek na bluzkach i sukienkach Luby, a drzwi już się nie domykały, gdy napierał na nie dupką.

- To urocza historia. Troszkę straszna, a troszkę słodka - powiedziała Luba. - Szczypie w oczka i ściska w brzuszku, ale nie jest smutna.

- No nie jest. Bo Zenusia nie spotkało tam nic złego, tylko ruszył szukać przygód i potworków takich samych jak on.

- Myślę, że bardzo tęskni za mamusią i tatusiem. Często o nich mówi - szepnęła i przytuliła się do mnie jeszcze mocniej.

Głaskałam ją po plecach, zastanawiając się, czy książeczka wystarczy, by rozwiązać problem błyskawicznie rosnącego potworka z nadciągającą zmianą diety. Miałam nadzieję, że zechce odejść, zanim nabierze apetytu na ludzinę. Srebrne pajęczki nici wciąż unosiły się w powietrzu.

*

Byłam tak zmordowana ostatnimi wyzwaniem, że nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Obudziła mnie Malwina. Świtało, Luby nie było w pokoju. Zauważyłam, że drzwi do szafy są szczelnie zamknięte.

- Kawy, Malinko? - zapytała kuzynka. Sięgnęła po leżącą na dywanie książkę i zaczęła ją przeglądać. - O rany... - wyrwało jej się.

Wypełzałam spod koca, którym ktoś mnie przykrył, gdy spałam.

- Co rany? - zapytałam zaniepokojona. Czy rozpoznała Zenusią?

- Niesamowite, jak pracuje twoja wyobraźnia! Jest taka... pokręcona! Jak ci w ogóle takie rzeczy przychodzą do głowy?! - wykrzyknęła.

- Nie wiem, samo tak... - wydukałam.

- Powinnaś to wydać, Malino, dzieciaki to pokochają. To niesprawiedliwe, by tylko Luba mogła się tym cieszyć - oświadczyła, a mnie zamurowało.

- Może? Nie myślałam o tym - przyznałam.

- To pomyśl. Gdy zarobisz miliony, możesz mi kupić coś ładnego w podziękowaniu za ten genialny pomysł. - Mrugnęła i odłożyła książeczkę na łóżko. - Kawy? - ponowiła pytanie.

- Która jest godzina? - Przypomniałam sobie, że dziś już naprawdę muszę trafić do kawiarni na czas.

- Spokojnie, jeszcze nie ma siódmej.

- A gdzie Luba? To za wcześnie na szkołę, prawda?

Malwina kiwnęła w stronę okna.

- Zamiast jeść śniadanie, pobiegła do ogrodu. Najwyraźniej coś jej się śniło i koniecznie musiała to sprawdzić.

Wychyliłam się przez okno. Wśród zieleni krzewów migiała czerwona bluza Luby.

A na parapecie i rynninie wyraźnie odznaczały się ślady pazurów.

*

Po pracy zjawiłam się w domu Malwiny. Z solidnym płóciennym plecakiem harcerskim wypełnionym kanapkami, konserwami, krakersami i smakołykami, z manierką i wielorazową butelką na wodę. Były w nim też śpiwór, latarka i ręcznik turystyczny. Nie wiedziałam, czego jeszcze może potrzebować mały potwór w czasie wielkiej przygody, ale ufałam, że sobie poradzi.

Byle tylko nie minęła mu ochota na podróże...

Czekali już na mnie z Lubą, jak na szpilkach. Jedno przez drugie zaczęli wypytywać, czy pamiętałam o plecaku, bo przecież tu nie ma co zwlekać! Przygoda czeka! I inne potwory, z którymi Zenuś mógłby się zaprzyjaźnić!

*

O świcie wróciłam pod dom Malwiny i poczekałam w ogrodzie. Kilka minut później okno się uchyliło, a na parapet wygramolił się pękaty, fioletowy potwór. Pazury zazgrzytały o metal. Potem złapał się rynniny i zjechał na sam dół, niczym po rurce w remizie strażackiej. Po chwili dołączyła Luba. Na szczęście dziś też wybrała schody i wyslizgnęła się na taras przez drzwi kuchenne.

Plecak Zenusia był pełny, z pewnością coś jeszcze do niego dopakowali. A teraz ściskali się na pożegnanie. Kwadrans później potworek zniknął między drzewami zagajnika, a my machałyśmy mu cały czas, bo przecież mógł się jeszcze odwrócić i byłoby mu smutno, gdybyśmy nie machały.

- Będę za nim tęskniła - wyszeptała Luba bliska płaczu.

- Wiem, kochanie, Zenuś był fajnym kumplem - przyznałam.

- Gdyby nie rósł, mógłby u nas zostać - dodała.

Przytaknęłam. Nie wspominałam, że byłoby też lepiej, gdyby z wiekiem nie stał się ludojadem.

- Ale miałaś rację, ciociu - szepnęła, a łzy jak grochy zaczęły się jej toczyć po policzkach. - Niech ma przygody i znajdzie miejsce, gdzie nie

będzie musiał być malutki ani się ukrywać w szafie. Zasluguje, żeby być całym dużym sobą, z brzuszkiem, rogami i pazurami, jakie chce mieć.

- Wszyscy na to zasługujemy - zgodziłam się.

- Może kiedyś wróci? - zapytała z nadzieją.

Cóż, może niekoniecznie? Życzyłam Zenusiowi jak najlepiej. Wczoraj wnikliwie studiował narysowaną przeze mnie mapkę. Droga, którą dla niego wyznaczyłam, prowadziła przez las i z dala od siedzib ludzkich. Wiodła prosto do Starego Boru, magicznej puszczy, w której nie będzie jedynym potworem i gdzie może faktycznie znajdzie przyjaciół. Zgodnie z tym, co przeczytałam w bestiariuszu Narcyzy, jego rodzina przybyła prawdopodobnie stamtąd.

- Przynajmniej go nie zapomnę - westchnęła Luba, ściskając fioletowy tomik. Ustalili z Zenusiem, że książeczka zostaje z dziewczynką, bo on może zobaczyć, jak wygląda, kiedy chce, przeglądając się w wodzie.

Wróciłam do domu kwadrans przed ósmą. Miałam dziś drugą zmianę, którą zaczynałam dopiero w południe, więc uznałam, że zdążę się jeszcze zdrzemnąć przed pracą. Udało mi się kupić w piekarni ciepłe bułki dla mamy na śniadanie. Nic tak nie poprawiało Aronii humoru z samego rana jak bułeczki i świeża kawa. Zanim dopadnę łóżka, nastawię ekspres i gdy o ósmej zadzwoni jej budzik, będzie miała niespodziankę... Nie byłam pewna, czy po odejściu Zenusia przysięga przestała działać. Może nigdy nie zdołam opowiedzieć mamie, co tu się wydarzyło, ale chciałam, by wiedziała, że jestem jej wdzięczna za wsparcie.

Ku mojemu zaskoczeniu Aronia czekała na mnie w kuchni. Siedziała przy stole, rozczochrana, w jedwabnym kimonie narzuconym na piżamę, podpierając brodę na dłoniach. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, a potem się uśmiechnęła.

- Czyli już po wszystkim? - zapytała.

Skinęłam głową i ostrożnie, upewniając się, że nie zacznie mnie dusić przysięga, powiedziałam:

- Malwina nie potrzebuje już żadnych egzorcyzmów ani rytuałów przepędzenia.

- No i pięknie. Widzisz, wystarczy, że się na czymś skupisz, a możesz osiągnąć piękne wyniki.

- Mamo kochana, nie psuj tej chwili. Spisałam się i to musi ci wystarczyć, bez oczekiwania, że kiedykolwiek powtórzę tę sztuczkę.

Aronia roześmiała się cicho.

Chwilę później padłam na łóżko. Nawet nie przebierałam się w piżamę, jedynie zdjęłam dresy. Zagrzebałam się w pościeli i westchnęłam z lubością. Prawie zasypiałam, kiedy nagle mózg wywinął mi fikołka i pod powiekami zaczęły mi migać obrazy. Ściślej - ilustracje. A w głowie paliła się żarówka pomysłu. Na drugi tom przygód Zenusia.

- Zastrzelcie mnie - wyjęczałam w poduszkę.

DOPÓKI MU SIĘ UCHO NIE URWIE



RUTA

W Zielonym Jarze nigdy nie jest całkiem spokojnie, ale tym razem to naprawdę gruba afera!

Smutni panowie z CBS podejrzewają Aronię o zarządzanie lokalnym kartelem narkotykowym, ktoś strzela do starego druida, a konkurencja posuwa się do bardzo brudnych zagrywek i sabotażu.

Miasteczko huczy od plotek i tylko czekać, kiedy coś wybuchnie!

Koźlaczki nie zawodzą, więc oczywiście nie zabraknie i wybuchów.

Malina

Niektórych rzeczy nie da się przewidzieć. Na przykład tego, jak terażniejszość zapisze się w ludzkiej pamięci i kronikach miejskich. Tegoroczny maj był dziwny. Każdy maj jest odrobinę dziwny - taki już urok majów - ale ten...

Kto by pomyślał, że w miesiącu, gdy CBS nawiedziło ratusz i doprowadzało Aronię do szaleństwa, gdy na jaw wyszła największa zbrodnicza intryga w dziejach miasta, gdy okazało się, że Zielony Jar jest sceną międzynarodowej przestępczości zorganizowanej, a trup ścieł się gęściej niż kiedykolwiek, moja ciotka Ruta - najspokojniejsza i najcierpliwsza z Kozłaczek - wywinie coś takiego, że ów maj przejdzie do historii jako miesiąc, w którym garncarce się ucho urwało.

Cóż, rozumiałam, czemu zrobiła, co zrobiła. Gdybym miała jej możliwości, skończyłoby się to pewnie dużo gorzej. Mimo zniszczeń i innych konsekwencji może dobrze się stało? Był to czytelny sygnał dla wszystkich, którzy chcieliby sobie pogrywać z mieszkańcami Zielonego Jaru. Niektórych rzeczy się po prostu nie robi. Jesteśmy przyjaźni, ale nie pozwolimy sobie wejść na głowę!

Jednak nie uprzedzajmy faktów...

Ruta

O piątej rano Zielony Jar należał prawie wyłącznie do mnie.

Większość mieszkańców spała jeszcze snem sprawiedliwych i bez wątpienia stanowiło to część uroku tej pory dnia. Nie żebym nie lubiła ludzi, nie przesadzajmy, po prostu wolałam, gdy występowali w mniejszych grupach, a przed świtem na ulicach mogłam się natknąć co najwyżej na Staśka Kupałę, którego piekarnia mieściła się kilka kroków od mojej pracowni. To przyjemne sąsiedztwo, bo Stasiak był pogodnym człowiekiem, roztaczającym zapach drożdży i ciepłego chleba. Za godzinę będzie wyciągał z pieca rogalie i słodkie bułeczki i jeśli zapukam w szybę, sprzeda mi kilka, ani słowem nie wspominając, że oficjalnie otwiera o siódmej trzydzieści.

O tak wczesnej porze nie było żadnego ruchu na drogach, jechałam więc swoim holendrem jak królowa szos, nie martwiąc się koniecznością unikania samochodów. Zielony Jar był niewielkim miasteczkiem, ale w godzinach szczytu – a mieliśmy takie! Nawet korki się zdarzały! – przemieszczanie się rowerem stresowało mnie dużo bardziej. Z domu do pracowni miałam w linii prostej piętnaście kilometrów i traktowałam tę przejażdżkę w obie strony jako cardio. Nie byłam wielką fanką rowerów, ale moja partnerka uważała, że po czterdziestce powinnam dbać o kondycję – bo serce, ciśnienie i bogowie wiedzą, co jeszcze. Była lekarką i bardzo poważnie podchodziła do takich kwestii jak poziom cholesterolu czy glukozy, nawet u mnie. Próbowaliśmy jej tłumaczyć, że będąc wiedźmą, jestem długowiecznym okazem zdrowia, a wyniki miałam zawsze znakomite, wskazywałam moją babkę Narcyzę jako dowód na to, że i po setce jesteśmy nad wyraz dziarskie, ale Amelia była w pełni człowiekiem, zawierzała medycynie i nauce, toteż frazy typu: „Magia utrzymuje mnie w dobrej formie, tak że nie musisz się martwić” jej nie przekonywały. Jeździłam więc tym rowerem bardziej dla niej niż z rzeczywistej potrzeby, bo pomijając magię, w dobrej kondycji utrzymywało mnie codzienne zajęcie. Kilka czy kilkanaście godzin dźwigania gliny, pracy na kole garncarskim, noszenia wyrobów do schnięcia, a potem pakowania ich do pieca zapewniało mi więcej ruchu niż Amelii praca w przychodni.

Minęłam rynek wybrukowany kocimi łbami i wjechałam w alejkę przecinającą park, wiodącą prosto do Zaułka Garncarzy. Zgodnie z oficjalnym nazewnictwem był to Zaułek Prosowy, ale miejscowi od wielu lat nazywali go właśnie tak. Najwyraźniej wiązało się to z otworzeniem przeze mnie w Zaułku pracowni ceramicznej wraz ze sklepikiem, niezależnie od innej, już tam istniejącej, o nazwie Gliniany Dzban. Teraz znów byłam jedyną osobą w okolicy, która parała się garncarstwem. Czy mieszkańcy powrócą do dawnej nazwy?

Ciągle nie mogłam się z tym pogodzić... Śmierć Pawła uderzyła w nas niespodziewanie. To on był tym drugim garncarzem, a właściwie pierwszym, bo jego przybytek liczył dobrych dwadzieścia lat więcej niż mój. Młody mężczyzna, ledwie po siedemdziesiątce, pełen wigoru i krzepy... Mógłby dożyć setki, gdyby nie wypadek.

To dlatego jazda uliczkami Zielonego Jaru obecnie kosztowała mnie sporo nerwów. Do dziś nie znaleziono kierowcy, który potrącił Pawła i zostawił na śmierć zaraz za rogatekami Zielonego Jaru. Gdyby się zatrzymał, wezwał pogotowie, można było go uratować - tak mówiła Amelia. Z reguły, gdy po piątej zajeżdżałam do swojego warsztatu, u niego w oknach już się świeciło. Wtedy też pewnie jechał tak wcześniej, po potrąceniu nie miał jak wezwać pomocy, a szanse, że ktoś poza sprawcą wypadku będzie się o tej porze kręcił po okolicy, były nikłe.

Traktowałam Pawła jak mentora. Kiedy wprowadziłam się po sąsiedzku - robiąc mu oczywistą konkurencję - przyniósł mi w prezencie piękną misę na owoce i powiedział:

- No to teraz się ludziom utrwali, że jak po gliniane skorupki, to tu.

Wiele mnie nauczył, często rozmawialiśmy, był moim przyjacielem. Przez ostatnie tygodnie na widok ciemnych okien jego warsztatu ogarniał mnie autentyczny smutek. Nadal miałam odruch, by biec do Pawła i się pochwalić, kiedy wyjątkowo dobrze wychodziła mi glazura czy gdy otrzymywałam dostawę porcelanowej gliny, którą uwielbiał i z której robił prawdziwe cuda.

Rozważałam kupno jego lokalu. Miał mniejszy sklepik, za to większą przestrzeń na zapleczu i naprawdę okazały piec, prawie dwukrotnie większy niż mój. Zwykle wystarczał mi własny, ale gdy dostawałam zamówienie na coś okazalszego, jak fontanna ogrodowa, Paweł użyczał

mi dostępu do swojej pracowni. Niestety pomysł okazał się nierealny z przyczyn finansowych, a także wobec braku możliwości scalenia obu zakładów przedzielonych sklepikiem z pasmanterią. Mimo to nie odrzuciłam go od razu.

Nie upłynęło wiele czasu, a ktoś obcy, spoza miasta, kupił przybytek Pawła. Wyrzucałam sobie własne wahanie. Jasne, gdybym kupiła ten lokal, którego tak naprawdę nie potrzebowałam, wyczyściłabym konto z oszczędności, wciąż jednak nie dawało mi spokoju, co się stanie z narzędziami zmarłego, jego sprzętem, piecem, zapasami gliny, słoikami szkliva i farb... Były częścią jego sztuki i fachu, cenił je bardziej niż pomieszczenia czy witrynę. Nie miał dzieci ani żadnej bliskiej rodziny. Nic nie wiedzieliśmy o jego krewnych, dopóki się nie okazało, że spadkobiercą jest jego bratanek. Nigdy się tu zresztą nie pojawił. Miejscowy prawnik, który spisał testament, miał się teraz zająć sprzedażą nieruchomości. Oferta spadła niemal natychmiast. Ja się zastanawiałam, czy kupno pracowni to dobry pomysł, a ktoś zwyczajnie rzucił w prawnika forszą i w kilka godzin od umieszczenia ogłoszenia lokal był sprzedany. Tak po prostu. Nikt nie znał nowych właścicieli ani ich planów dotyczących wykorzystania pomieszczeń. Dałam znać prawnikowi, że chętnie odkupię wyposażenie, narzędzia i wszelkie materiały, bo nie mogłam znieść myśli, że wszystkie te rzeczy trafią na śmietnik, ale jak na razie nie dostałam propozycji kupna.

Tymczasem w Glinianym Dzbanie nic się nie działo. Nikt się tam nie kręcił, nie zaglądał, nic nie wwoził ani nie wywoził. Ciemne okna każdego dnia przypominały mi o Pawle, który wykrwawił się samotnie na rogatkach miasta.

Pewnie dlatego, gdy wczoraj zauważyłam w jednym z okien błysk światła, poczułam irracjonalną ulgę, niemal radość. Jakby wszystko znów było po staremu.

Nawet zapukałam do drzwi, ale nikt nie wyjrzał. Przez cały dzień podświadomie wyczekiwałam, aż ktoś stamtąd wychynie, a ja rzucę okiem i będę wiedziała, czego się spodziewać. Albo zagadnę o narzędzia i resztę na wypadek, gdyby prawnik nie poinformował nowych właścicieli o mojej ofercie. Nie miałam o nim dobrego zdania. Był młody, niezbyt ogarnięty i gdyby w Zielonym Jarze działał jakikolwiek inny prawnik, nie licząc demona, z którym współpracowała moja rodzina, Paweł raczej by go nie wybrał na egzekutora swojej woli.

Czekałam na próżno. Po kilku godzinach okna znów były ciemne, ale akurat zajmowałam się klientką, więc nie zauważyłam, kiedy ktoś opuścił Gliniany Dzban.

Przypięłam rower do stojaka i jak każdego dnia spojrzałam z dumą na front swojego sklepiku. Prezentował się pięknie. W okiennej wystawie dominowały wiosenne motywy - od glinianych kurek do dekoracji ogrodu, przez naczynia ozdobione wiosennymi kwiatami, po pękate donice, które aż się prosiły, by je zabrać do domu i wsadzić do nich cebulki sezonowych roślin ozdobnych. Stolarkę okien i drzwi pomalowałam na fioletowo, a kolor ładnie kontrastował z jaskrawym odcieniem cegieł. Nad wejściem widniała ułożona łukowato z ceramicznych, połyskujących turkusowo liter nazwa pracowni - Terra Ruta. Wymyśliła ją Amelia i od razu mi się spodobała. To była moja ziemia, moje terytorium, a ze swoją magią miałam szczególnie silne więzi z ziemią.

Zanim weszłam do środka, pomacałam ziemię w donicach wiszących pod oknem. Była lekko przesuszona - koniecznie musiałam ją podlać. Martwe pelargonie to kiepska ozdoba witryny.

Otworzyłam drzwi, zapaliłam światło i natychmiast poczułam się jak w domu, spokojna i szczęśliwa. Wszystko było na swoim miejscu. Ja byłam na swoim miejscu.

Aronia

Zgarnęłam do swojej przepastnej torby komórkę, terminarz i stos teczek z dokumentami do przejrzenia. Koniec pracy na dziś. Byłam głodna, zmęczona i wkurzona. Przez kilka godzin wojowałam z właścicielem firmy, która wygrała przetarg na rewitalizację placu zabaw w parku i od trzech dni powinna być na miejscu, ale nikt ich jeszcze w mieście nie widział. Miałam złe przeczucia, bo facet bardzo specyficznym podchodził do kwestii terminów i złożonych na piśmie zobowiązań i najwyraźniej nie widział różnicy między ostatnim tygodniem kwietnia a połową maja - albo i jego końcówką, bo nie zdołałam z niego wyciągnąć konkretnej daty rozpoczęcia prac. Jeśli teraz unieważniłabym przetarg, musiałabym zaczynać od nowa i mogłabym zapomnieć o otwarciu placu zabaw przed rozpoczęciem wakacji. Jeżeli przez całe lato będzie ogrodzony czerwoną taśmą, rodzice pożą mnie żywcem.

Zamknęłam drzwi i odruchowo spróbowałam naprostować tabliczkę z napisem „Aronia Koźlak. Burmistrzynie”. Bezskutecznie, co niezmiennie mnie irytowało. Ceniłam perfekcję, a tej tabliczce wiele do niej brakowało. Pan Janusz, konserwator zatrudniony w ratuszu, przykleił ją na oko i krzywo. Kto by sięgał po poziomice przy tak błahym zadaniu? Najchętniej bym ją zdjęła i zamontowała prawidłowo, ale przymocował ją klejem tak mocnym, że prędzej puściłaby okleina drzwi niż tabliczka. Niby drobiazg, niemniej wkurzał mnie każdego dnia.

Moja sekretarka Aniela wróciła właśnie z łazienki z tacą pełną wilgotnych, świeżo umytych filiżanek i zaczęła je ustawiać na wózku kawowym.

- Zadzwoń jutro do Wrony? - zapytała.

Westchnęłam. Od samego początku chciałam, by to on się zajął placem zabaw. Pochodził z Zielonego Jaru, był słowny i doskonale rozumiał, że jeśli chodzi o wykonanie roboty, w grę wchodzi wyłącznie perfekcja albo fuszerka, a tą się brzydził. Niestety przepisy wymagały zorganizowania przetargu i wygrała oferta zaniżona. Wrona miał żal do rady miasta i do mnie w szczególności. Ale miał też trzyletnią wnuczkę mieszkającą z mamą ledwie ulicę od parku.

- Zadzwoń i postaraj się go namówić na spotkanie - zwróciłam się do sekretarki. - Może da się ugłaskać i weźmie to zlecenie, a ja ogarnę formalności.

Aniela kiwnęła głową i zanotowała coś na karteczce samoprzylepnej, którą następnie przykleiła do monitora.

- Podrzucić cię do domu? - zapytałam jeszcze, bo mieszkała na drugim końcu Zielonego Jaru. Niby niedaleko, ale po całym dniu w szpilkach, które uparcie nosiła do pracy, choć nie wymagał tego od niej żaden dress code, pokonanie nawet niewielkiej odległości byłoby uciążliwe.

- Dzięki, mąż już w drodze. - Uśmiechnęła się promiennie, jak zawsze, gdy o nim mówiła, choć pobrali się dwadzieścia lat temu. Niektórzy po prostu mieli to szczęście.

Myślami ciągle byłam przy tych gołąbeczkach, kiedy dotarłam do auta i wrzuciłam torbę na tylne siedzenie, a moja komórka rozdzwoniła się jak szalona. Może dlatego tak zaskoczyło mnie imię widniejące na wyświetlaczu. Na chwilę się zawiesiłam, patrząc na słowo „Jaromir”. Czyżbym myślą o udanych małżeństwach przyciągnęła byłego męża?

- Jaromir, co się stało? - zapytałam.

- Czemu coś miałoby się stać? - odpowiedział pytaniem.

- Wybacz, uderzyłam się w głowę i zapomniałam o tych wszystkich, jakże licznych, rozmowach telefonicznych, które odbyliśmy przez ostatnich kilkanaście lat, jakie upłynęły od rozwodu - rzuciłam z ironią.

Nasze rozstanie nie należało do brutalnych czy nieprzyjaznych, a on był ojcem moich córek i utrzymywaliśmy poprawne relacje, ale nie mieliśmy w zwyczaju wydzwaniać do siebie poza sytuacjami awaryjnymi. Na przykład: „Potrzebuję porady prawnika, bo Europol ściga moją babkę” czy „Moja narzeczona na ślubnym kobiercu okazała się potworem ze starego ludu. Zajęły się nią nasze córki. Myślisz, że będą potrzebowały terapii?”.

Zaśmiał się.

- Punkt dla ciebie, jak zawsze. I masz rację, coś się stało, choć właściwie nie wiem co. Miałem dziwną wizytę i pomyślałem, że zechcesz o niej wiedzieć.

- Ktoś magiczny znów smali do ciebie cholewki? - Zaniepokoiłam się, bo Jaromir w tajemniczy sposób przyciągał kłopoty. Coś, co bez

wątpienia odziedziczyła po nim nasza młodsza córka.

- Gorzej. Odwiedzili mnie smutni panowie w garniturach i wypytywali o ciebie, wyobrażasz sobie?

O proszę, a to nowość.

- Przedstawili się jakoś? - zapytałam.

- Pokazali bardzo ładne legitymacje. CBS, wyobraź sobie. I to mnie zastanowiło. Bo muszą się tobą faktycznie bardzo interesować, skoro zadali sobie trud odnalezienia twojego byłego od niespełna dwóch dekad męża. Zrobiłaś coś, co ściągnęłoby ich uwagę?

- Pytali o mnie czy o Narcyzę? - upewniłam się.

Znów się zaśmiał.

- O ciebie, o Narcyzie chyba jeszcze nie wiedzą. Nazwali to wywiadem zwiadowczym, co brzmi idiotycznie, sama przyznasz. Ale wypytywali mnie o dość zaskakujące sprawy. Na przykład o to, jakie jest twoje stanowisko w kwestii przestrzegania prawa, czy masz powiązania z grupami przestępczymi, czy dysponujesz źródłami dochodu nieuwzględnionymi w oficjalnej deklaracji.

- I postanowili wypytać o to właśnie ciebie? Chociaż od dwudziestu lat nie masz ze mną nic wspólnego? - Nie rozumiałam.

- Myślę, że liczyli na brudy. Wiesz, rozżalony były mąż, który dałby im amunicję przeciwko tobie.

- Idioci - westchnęłam.

- Jakby nasze córki kiedykolwiek mi wybaczyły, gdybym przyłożył rękę do twojego aresztowania.

- Chcę wierzyć, że nie tylko to cię powstrzymuje przed sprzedawaniem moich brudów.

- Gdybyś ty jeszcze miała jakieś brudy! Powiedziałem im, że jesteś nieznośną formalistką i nawet w środku nocy przechodzisz przez ulicę na pasach. Przecież składałaś korektę PIT-u, bo zauważyłaś, że nie doliczyłaś siedemnastu groszy. Jesteś zbyt nudna i poukładana, by hasać po przestępczych ścieżkach - wyjaśnił.

- Nudna? - Brew poszybowała mi w górę.

- Nie pytali o magię czy osobowość, pytali o podatki, Aronio - odpowiedział z rozbawieniem. - Więc jak, nabroiłaś? Potrzebujesz prawnika?

- Nie uwierzysz, ale mam już jednego. Demonicznego, prawdziwego piekielnika. Czerpie stanowczo za dużo radości z teatrzyku sądowego, niemniej jest skuteczny.

- Narcyza osiadła na stałe w Zielonym Jarze? - zapytał pozornie bez związku.

- Też. Choć, prawdę mówiąc, zatrudniłam go, gdy mnie aresztowali... Długa historia, z finałem, który nie usatysfakcjonował Dziurlikowskiego, jednak prawnik postanowił zostać i pokręcić się w okolicy, bo ponoć dostarczamy mu odpowiedniej dawki chaosu, a uwielbia chaos.

- Oczywiście, przecież jest demonem, a to Zielony Jar - powiedział rozbawiony. Choć był w pełni człowiekiem, spędził w naszym miasteczku ładnych kilka lat.

- Dzięki za ostrzeżenie, przyjrzę się temu - zapewniłam. - A poza tym? Wszystko u ciebie dobrze?

Przez chwilę milczał, a potem westchnął i wyznał:

- Doszedłem już do siebie, jeśli o to pytasz. Paradoksalnie najtrudniejsze jest to, że nikt nie pamięta, co się wydarzyło na ślubie. Niektórzy w ogóle nie pamiętają o istnieniu Teresy, inni mają jakieś strzępki wspomnień i gdy mnie widzą, pytają, czemu nam nie wyszło, bo to była taka wspaniała kobieta... Nie wiem, czy nie wolałbym, by pamiętali, jak po zdemaskowaniu zniknął jej urok i stanęła w płomieniach. Przynajmniej czuliby się na tyle skrepowani, by nie wracać do tematu.

- Dziewczynki nie miały czasu się upewnić, że porcja eliksiru była wystarczająca - przypominałam. - Niektórzy mają większą odporność na działanie magii. Ale wiesz, że zrobiły, co w ich mocy.

- Tak, wiem, jestem im wdzięczny. Zajęły się zemrą jak profesjonalistki. Byłem z nich naprawdę dumny. Nie rozumiem, jak mogłem niczego nie zauważyć. Przecież nie jestem nowicjuszem, widziałem sporo przez te lata spędzone z tobą.

- Zemry są potężne. Jeśli chcesz, możemy testować twoje lube, zanim sprawy zajdą tak daleko jak ostatnio. Wiesz, możesz je przywozić do Zielonego Jaru, a my wszystko wywąchamy - zażartowałam.

- Aż mi zimny dreszcz przeszedł po plecach. Uważaj na siebie, Aronio, i gdybyś potrzebowała pomocy, dawaj znać. Mogę też podpytać

tu i tam o to CBS i jego zamiary - zaproponował.

- Jeżeli coś usłyszysz, dzwoń. Ja zacznę kopać od swojej strony. Dziękuję. Dobrze cię było usłyszeć, Jarku.

Pożegnał się, a ja przez chwilę stałam na parkingu przed ratuszem, ściskając w ręku komórkę. Czego, u diabła, mogło chcieć ode mnie CBS?

Malina

W kawiarni StarBunny wrzało jak w ulu. Wszystkie stoliki, także te na zewnątrz, były zajęte, więc uwijałyśmy się z Kaśką jak w ukropie. Nawet Barnaba wyłonił się z zaplecza i stał na kasie, zostawiając mi robienie „fikuśnych kawek”, jak nazywał wszystko, co nie było czarną kawą bez cukru. Majówka płynnie przeszła w długi weekend i miałam wrażenie, że nastrój celebracji się rozkręca, a każdy mieszkaniec Zielonego Jaru choć raz w ciągu tych kilku dni przestąpił progi kawiarni. To, że poza kawą i ciastkiem miejscowi mogli tu dostać nową porcję ploteček, tylko wzmagало pragnienie odwiedzin.

Błyskawicznie uprzątnęłam zwolniony stolik, na który się czały trzy dziewczyny, a potem, balansując między ruchliwymi gośćmi i szeroko rozstawionymi krzesłami, zniosłam tacę pełną naczyń za kontuar i szybko powkładałam je do zmywarki. Przy takim młynie niewiele trzeba, by brakło nam filiżanek i talerzyków.

Zajęta zmywarką, jednocześnie wyłapywałam fragmenty historii pana Tomali, który siedział przy kontuarze i opowiadał Barnabie o upadku obyczajów. Szef potakiwał machinalnie, wyraźnie myśląc o czymś innym, jemu to jednak nie przeszkadzało.

- Coś tam jest nie tak, mówię ci, jakiś przekręt jak nic! Kręcą się, furgonetka za furgonetką, nocami świecą mi po oknach! Hałas bym ignorował, ale prawo jazdy to oni chyba w delicyjach szampańskich znaleźli! Wczoraj, wyobraź sobie, jeden zepchnął mnie z drogi! Jechałem rowerem, tuż po zmroku, miałem światła i wszystko! Przejechał tak blisko, że mnie ten pęd powietrza pchnął z szosy prosto w krzaki! - Podekscytowany pan Tomala machał Barnabie przed nosem podrapanymi przedramionami.

- A gdzie to było? - wtrąciłam z zainteresowaniem.

- Zaraz obok mnie, przy tej zamkniętej mleczarni - powiedział. - A czemu pytasz? - dodał podejrzliwie, jakby dopuszczał myśl, że to ja siedziałam za kierownicą furgonetki. Rodzinna reputacja zbierała żniwa.

- Czy to nie w tamtej okolicy kilka tygodni temu potrącili pana Pawła?

Pan Tomala energicznie pokiwał głową.

- Masz rację, wcale niedaleko! Myślisz, że to oni go tak załatwili?

- Niewykluczone. Jeśli jeżdżą jak wariaci? Policja chyba dotychczas nie ustaliła, kto był sprawcą. Ciocia Ruta mówiła, że gdyby tamten się zatrzymał i wezwał pogotowie, Pawła dałoby się uratować.

Pan Paweł był przyjacielem cioci, więc bardzo przeżyła jego śmierć.

- Myślę, że powinien pan dać znać policji, co pan widział - podsunęłam, ale ten prychnął z pogardą.

- Jakby oni cokolwiek mogli. Kiedy w osiemdziesiątym ósmym ukradziono mi kozę, to przyszli, posapali i orzekli niską szkodliwość czynu. I jeszcze zasugerowali, że może sam ją złożyłem w ofierze szatanowi! Jestem, do diaska, uczciwym druidem, a to była moja ulubiona koza! - Znów podniósł głos.

- Od osiemdziesiątego ósmego trochę się zmieniło - zauważyłam.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Może z perspektywy trzystuletniego druida to nie aż tak wiele? Postanowiłam, że sama o tym wspomnę Grzesiowi Drzewieckiemu, kiedy go zobaczę. Na pewno sprawdzi, czy incydent z Tomalą może mieć jakiś związek ze śmiercią Pawła.

- A słyszeliście, że Gliniany Dzban sprzedany? Szybko poszło! - zagaiła pani Klementyna, zamawiając pucharek lodowy. Miała donośny głos emerytowanej nauczycielki, odpowiednie wyczucie dramatyzmu i gestykulację rodowitej Włoszki.

- O, wiadomo komu? I co tam będzie? - zapytałam, bo z pewnością zainteresuje to ciocię Rutę.

- Na razie nikt nic nie wie, prócz tego, że prawnicy podpisali papiery i że nowi właściciele się nie targowali, jeszcze z górką zapłacili, byle wszystko szybko domknąć. Moja córka słyszała od Kowalczyka, że udało mu się wreszcie dopiąć kwestie związane z testamentem Pawła i ten lokal był ostatnią sprawą, która wisiała mu nad głową - odpowiedziała, dyskretnie szafując swoim źródłem informacji. Córka pani Klementyny, Justysia, pracowała jako asystentka w lokalnym biurze nieruchomości.

- Jeśli przez prawników, to chyba nikt stąd - zawyrokowała pani Kubasik, stojąca za nią w kolejce. - Kto by u nas wynajmował prawnika do takich rzeczy?

- Dziurlikowski, żeby nie było wiadomo, że to on - zaopiniował Barnaba.

Pozostali z miejsca mu przytaknęli. Pan Tomala skrzywił się przy tym z niesmakiem, jaki może czuć tylko stary druid wobec właściciela tartaku kierującego się drapieżną polityką eksploatacji okolicznych lasów.

- Dziurlikowskiemu ten lokal na nic, przecież nie zacznie lepić garnków czy oprawiać obrazów - zaprotestowała pani Kubasik. - Sprawdzałam to miejsce, bo mi ciasnawo w moim biurze rachunkowym na Balladyny, ale Paweł zapisał to w testamencie tak, że pracownia musiała być sprzedana pod działalność rzemieślniczą, żadnych sieciówek, biur czy innych biznesów niepasujących do charakteru Zaułka Garncarzy. Dlatego mimo dobrej ceny Kowalczyk nie był przekonany, czy znajdą kupca.

- Cały Paweł! Nawet po śmierci pilnuje, by mu Zaułek nie zszedł na psy. - Pani Klementyna była szczerze wzruszona. - Taka strata... I jaki on był utalentowany! Nikt nie robił takich pięknych lamp... Zamierzałam w tym roku kupić nowe na patio i taki pech!

- Tak, na pewno mu wstyd, że dał się zabić, zanim kupiłaś lampy na patio - burknął pan Tomala, który wolał skupiać uwagę na sobie, ale z energiczną osobowością pani Klementyny nie miał wielkich szans, nawet ze swoją opowieścią o upiornych furgonetkach i uniknięciu śmierci o włos.

- Byś się wstydził, Tomala, takie rzeczy wygadywać - obruszyła się pani Klementyna. - Trochę szacunku dla zmarłego!

- Toć nie zmarłemu dogryzałem! - Druid aż się uniósł w szczerym oburzeniu.

- Kłóćcie się dalej, a wyrzucę z kawiarni - uciął Barnaba. Wiedział, że jeśli im pozwoli, za chwilę sprzeczka zmieni się w awanturę. Nikt nie sięgał pamięcią na tyle daleko, by wiedzieć, czy nie znosili się od zawsze, czy ich wzajemna niechęć miała jakieś konkretne źródło, ale jeżeli zostawali w jednym miejscu dłużej niż kilka minut, nieodmiennie między nimi iskrzyło.

- Pani Klementyno, zwolnił się stolik w ogródku! Pani szybko sobie go zajmie, a ja zaraz przyniosę lody! - zainterweniowałam.

Westchnęła, ale odwróciła się, by się upewnić, że jej nie wkręcą. Widząc, że stolik naprawdę się zwolnił, i to najlepszy, w pełni osłonięty parasolem, wypadła z kolejki i potruchtała do wyjścia.

Barnaba uchylił mi nieistniejącego kapelusza. Zawsze uważałam, że po kilku latach pracy w obsłudze klienta ma się wystarczające doświadczenie w deeskalacji konfliktów, by móc się zatrudnić jako ekspert od pertraktacji z terrorystami.

Ruta

Sklep otwierałam dopiero o dziesiątej. Rzadko się zdarzało, że o wcześniejszej godzinie ktoś pilnie chciał kupić talerz czy filizankę, więc miałam prawie cztery godziny na spokojną pracę. Upewniłam się, że w suszarni wszystko jest w porządku, że żadna z zostawionych tam wczoraj donic nie pękła (biorąc pod uwagę rozmiar, ścianki musiały być grubsze niż zwykle, a to zawsze stanowiło dodatkowe ryzyko), a potem zabrałam się do największego i być może najtrudniejszego zamówienia w mojej karierze. Bo dziś był dzień próby.

Kilka tygodni temu skontaktowała się ze mną właścicielka otwierającej się właśnie w sąsiednim miasteczku japońskiej restauracji. Chciała zamówić całą zastawę. Wszystko miało być unikalne, jednostkowe, pasujące do siebie, ale niepowtarzalne. Żadnych linii prostych, żadnych okrągłych talerzy. W kwestii kształtów miałam się inspirować rzeczynymi otoczakami, a w zakresie dekoracji i kolorów – barwami natury. Na tym etapie wydawało mi się to fajnym wyzwaniem, a honorarium zapowiadało się jako bardzo konkretny zastrzyk finansowy. Starczyłoby na gruntowny remont werandy, o czym z Amelią rozmawialiśmy od miesięcy, jednak po pierwszej wycenie przedstawionej przez fachowców odłożyliśmy ten projekt na później.

Tyle że zadowolenie pani Hiromi okazało się niełatwe. Wysyłałam jej zdjęcia projektów, wariantów i szkiców, ale uznała, że musi zobaczyć naczynia na żywo, dotknąć ich, zważyć je w dłoni, upewnić się, że na pewno pasują do koncepcji. Podchodziła do każdego detalu bardzo osobiście. I choć nie potrafiła precyzyjnie określić, czego chce, wiedziała doskonale, czego nie chce.

Przygotowałam więc dziesiątki próbek szkliwienia i kształtów. Lepiłam naczynia, suszyłam, wypalałam, malowałam, szkliwiłam, znów wypalałam i układałam na regale, który powoli wypełniał się dziesiątkami naczyń gotowych do poddania się jej ocenie. Zamówienie zżerało mi mnóstwo czasu, choć musiałam też przyznać, że z ciekawego zlecenia stawało się wyzwaniem i pobudzało moją kreatywność. Zajmowałam się ceramiką od trzydziestu lat, uwielbiałam to, ale niewykluczone, że w którymś momencie poczułam się zbyt wygodnie

w tym, w czym byłam dobra. Popchnięcie własnych umiejętności na nowe terytorium okazało się odświeżające.

Pracowałam nad kształtami, dekoracjami, fakturami, doбираłam kolor szklwienia, eksperymentowałam z minerałami, zmieniałam proporcje, mieszałam odcienie farb. Bawiłam się znakomicie, ale też urabiałam sobie ręce po łokcie. I wreszcie, po wielu tygodniach, pani Hiromi (nigdy nie używałam wobec niej nazwiska po mężu – Kowalik, bo lekko się wtedy wzdrygała) miała się zjawić w mojej pracowni i wydać ostateczny wyrok. Gdzieś w głębi duszy bałam się, że nic nie przypadnie jej do gustu i nici będą z zamówienia, werandy i zawodowej satysfakcji.

Maksymalnie spięta, przestawiałam gotowe egzemplarze na regaliku, układając je w potencjalne zestawy i tworząc kompozycje z różnorodnych elementów. Gdy tuż po dziesiątej rozbrzmiał dzwoneczek nad drzwiami, byłam kłębkim nerwów.

Do Terra Ruta wkroczyła drobna Azjatka pod pięćdziesiątkę, w zwiewnej lnianej sukience wyglądającej jak uszyta z długich pasów wodorostów wakame. Patrzyła z łagodnym uśmiechem, a mnie z miejsca zrobiło się lżej na duszy. Dotąd kontaktowałyśmy się tylko telefonicznie i mailowo, teraz, gdy stanęłam z nią oko w oko, zrozumiałam coś istotnego. Nie dostrzegłam w niej grama złościwości czy cienia gniewnej zmarszczki na twarzy. Emanowała jakąś ulotną duchowością, jakby zamiast kawy dawkowała sobie poezję. Kolor, faktura, styl jej sukni pasowały do tego, czego chciała też od naczyń – było w niej coś organicznego, niewymuszonego i harmonijnego.

Pani Hiromi przywitała się ze mną mocnym uściskiem dłoni i powiedziała:

- Zobaczmy piękno, które wyszło spod pani rąk.

Oglądała wszystko, każdy talerzyk, półmisek, czarkę na herbatę, dzbanuszek i miseczkę. Ważyła je w dłoni, spoglądała na nie pod światło, a nawet postukiwała paznokciem w krawędzie naczynek i nasłuchiwała z zamkniętymi oczami. To było doświadczenie, które wymagało czasu i namysłu.

Na swój sposób stanowiło doznanie niezmiernie wzruszające, bo zrozumiałam, że naprawdę traktowała moją pracę jak sztukę i chciała, by harmonijnie uzupełniała jej artyzm kulinarny. Wiedziałam też, że gdy

tylko otworzy restaurację, a my pojedziemy tam z Amelią, czeka nas ucztą kulinarna i duchowa.

- Jestem wzruszona - powiedziała łagodnym głosem prawie godzinę później, układając na długim stole kilka wybranych wzorów. - To jest dokładnie to, czego oczekiwałam.

Nawet malutkie podstawki pod pałeczki, o nieregularnym kształcie inspirowanym wodorostami, trafiły w punkt satysfakcji pani Hiromi. U większości kobiet łatwiej znaleźć punkt G!

- Otwieram restaurację pierwszego czerwca. Do tego czasu powinnam mieć sto takich zestawów. Czy da pani radę? - zapytała.

Teraz, kiedy dokładnie wiedziałam, co muszę zrobić, uznałam, że najtrudniejszy etap mam za sobą. Musiałam tylko zaplanować pracę, rozpisać w kalendarzu każdy szczegół i przystąpić do realizacji.

- Tak, wszystko będzie gotowe na czas - zapewniłam, a ona rozjaśniła się, jakbym podarowała jej najpiękniejszy prezent.

Aronia

Dorzucając składniki do gara z zupą, myślałam nad tym, co mi powiedział Jaromir. I robiłam mały rachunek sumienia. Czy którakolwiek z moich decyzji mogłaby przyciągnąć uwagę CBS? Raczej nie. Nigdy nie wzięłam łapówki i na ogół ściśle przestrzegałam prawa. A jeśli czasem musiałam je nieco nagiąć czy złamać, to z powodu Narcyzy.

To przez nią kłamałam agentowi Europolu i wielokrotnie pomagałam się jej wykaraskać z różnych tarapatów, w które ona i jej Harpie wpadały raz za razem. Narcyza przyciągała kłopoty jak miodek misie i nigdy specjalnie się nie zastanawiała nad konsekwencjami. Od tego miała mnie. To ja się w kółko głowiłam nad skutkami jej czynów – szczególnie w ostatnich latach. Do czasu upowszechnienia kamer życie z Narcyzą było dużo spokojniejsze. Wcześniej też siała chaos i zniszczenie, ale nie zostawiała za sobą śladów. Przed epoką komputerów i baz danych wiele rzeczy uchodziło jej na sucho. Teraz teoretycznie rozumiała, że musi być bardziej ostrożna, jednak wprowadzenie tej wiedzy w czyn przychodziło jej z niejakim trudem.

Tyle że kolesie z CBS nie pytali o Narcyzę. Pytali o mnie. Czemu?

Na wszelki wypadek zamierzałam jutro wezwać księgową i poprosić ją o dyskretny audyt finansów urzędu miasta. Czy możliwe, że znaleźli jakieś nieprawidłowości przy rozliczeniu funduszy unijnych czy dotacji?

Rany, czym właściwie zajmuje się Centralne Biuro Śledcze? – zapytałam samą siebie, bo prawdę mówiąc, nigdy nie poświęciłam temu zagadnieniu nawet minuty swojego życia. Odłożyłam łyżkę na bok i w wyszukiwarce na komórce wpisałam „CBS”. Analiza kryminalna, przestępczość zorganizowana, także ekonomiczna, narkotyki, akty terroru, informacje niejawne... Rany boskie! Nadzieja, że mają mnie na celowniku przez RODO czy inną pierdółkę umarła z kwiknięciem na kuchennej podłodze.

Te „akty terroru” sprawiły, że znów pomyślałam o Narcyzie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy do niej nie zadzwonić i nie zapytać, czy znów czegoś nie zmalowała, ale odpuściłam. Z tego, co wiedziałam, pojechały z Harpiami na jakiś festiwal muzyki folkowej. Jeśli tylko

babcia usłyszy o CBS, uzna, że w Zielonym Jarze dzieją się dużo ciekawsze rzeczy, i zaraz wszystkie się tu zjawią. Nie mogłam do tego dopuścić – zwłaszcza jeśli faktycznie ktoś miał mnie na oku.

Spróbowałam zupy. Smakowała okropnie, chyba posoliłam ją dwa razy. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i po chwili do kuchni wparowała Malina.

- Co na obiad? - zawołała.

- Pizza - odpowiedziałam z rezygnacją. Gotowanie zawsze było moją słabą stroną, ale najwyraźniej przyrządzanie potraw i myślenie o CBS oraz aktach terroru po prostu się wykluczało!

Ruta

Obudziłam się sporo przed świtem. Sama, bo Amelia miała nocny dyżur w szpitalu. Przez chwilę przewracałam się w pościeli, a gdy zrozumiałam, że już nie zasnę, uznałam, że równie dobrze mogę jechać do warsztatu. Miałam mnóstwo pracy i niespełna miesiąc na realizację. Początkowo wydawało się, że to dużo, dopóki nie policzyłam, ile czasu zajdzie na ulepienie wszystkich elementów, potem na ich schnięcie, ile zajmie wypalenie biskwitów, a później malowanie i ponowne wypalanie. Musiałam też uwzględnić ograniczone miejsce w suszarni i to, że przez ten miesiąc będę także obsługiwać klientów. Wczoraj zrobiłam szczegółowy plan, co miało mnie uspokoić, a zamiast tego – zestresowało, bo wyszło mi, że właściwie nie mam marginesu bezpieczeństwa.

Ubrałam się i wsiadłam na rower. Ciągle panował mrok, latarnie przy ulicy się paliły, ale odcinek między naszym domkiem a szosą był drogą prywatną i oświetlały go tylko lampy na baterie słoneczne, które zamontowałyśmy na kilku drzewach. Po nocnym deszczu czuło się chłód i wilgoć, więc kręciłam pedałami ze wszystkich sił, by dotrzeć do Zaułka, zanim całkiem przemarznę.

Jechałam już szosą, kiedy z nieoświetlonej bocznej drogi ginącej w gęstym lesie wyskoczyła biała furgonetka. Kierowca chyba mnie nie zauważył, mimo moich świateł i odblasków, albo miał w nosie to, że nie jest sam na drodze. Przejechał tuż obok, a pęd powietrza uderzył we mnie jak mały taran. Zachwiałam się i z trudem złapałam równowagę. Zjechałam na pobocze, czując, jak serce łomocze mi w piersi. Furgonetka była już za daleko, bym zobaczyła numery rejestracyjne. Co, u diaska, ten samochód robił tu o tak wczesnej porze?

Ręce mi się trzęsły i dopiero po chwili skojarzyłam tę sytuację z tym, co spotkało Pawła. Bogini, czy to mógł być ten sam kierowca? Jakie było prawdopodobieństwo, że potrafiłby dwoje garncarzy z Zielonego Jaru?

Dotarło do mnie, że znaczne, skoro Paweł, tak jak ja, jeździł tą trasą o świcie. Wsiadłam na rower i ruszyłam do pracowni.

Zgodnie z moim planem dziś był dzień lepienia talerzy. Ich nieregularny owal przypominał kształt liści hiacynta wodnego. Zrobiłam wcześniej kilka gipsowych form, na które teraz nakładałam cienko rozwałkowane placki gliny, wyrównywałam, docinałam, dodawałam spodni rancik, wygładzałam brzegi, aż ich kanciastość po obróbce nożem przekształcała się w naturalne, łagodne linie. Następnie zносиłam naczynia do suszarni. Istniały szybsze sposoby robienia talerzy, ale to właśnie ten wzór zachwycił panią Hiromi.

Nawet nie zauważyłam, kiedy minęło pięć godzin, choć moje plecy i barki bez wątpienia odczuły upływ czasu. Musiałam rozprostować kości. Poszłam do łazienki umyć ręce. Z lusterka nad umywalką zerkając na mnie kobieta o złotawej skórze, z krótkimi kręconymi włosami i wielkimi sarnimi oczami mego dziadka, Włocha z pochodzenia, demonicznego podnóżka z wyboru. Choć on nie potrzebował okularów, a na moich, na lewym szkłe, widniały teraz ciemne smugi. Umyłam je dokładnie, zanim glina zaschłaby na dobre. Ręcznikiem starłam też ślady z szyi i policzków.

Paweł zawsze się nabijał, że mam idealnie czyste stanowisko pracy, bo jeśli coś utyłam, to twarz i włosy. On mógł pracować w białym fartuchu i nie byłoby na nim ani kropli farby, za to Pawłowy stół po całym dniu wyglądał jak pobojowisko, a na podłodze walały się kulki papierowych ręczników uwalanych w farbie, glazurze i płynnej porcelanie, która rozpryskiwała się podczas wlewania do form.

Myśl o jego śmierci znów uderzyła mnie z całą mocą. Może nawet bardziej niż zazwyczaj, przez ten poranny incydent z furgonetką widmem. Znowu musiałam przetrzeć okulary, teraz wilgotne od łez. Ależ by się Paweł naśmiewał z tego mazania się bez powodu...

Dziwne, jak to się układa. Gdy żył, nigdy tyle o nim nie myślałam, nie rozważałam jego roli w moim życiu. Naszą przyjaźń, dzielenie się wynikami pracy, przechwałki, kiedy jednemu z nas coś wyszło lepiej niż zwykle, albo nabijanie się, gdy wręcz przeciwnie, były stałą częścią mojej codzienności. Widywałam Pawła każdego dnia w pracy, a i nierzadko po niej, bo zapraszałyśmy go z Amelią na kolację czy grilla. Zawsze przynosił dobre wino i bagietki od Staśka Kupały.

Zaburczało mi w brzuchu. Uznałam, że czas na śniadanie. Po otwarciu sklepu zapomnę o jedzeniu na długie godziny, a później Amelia spojrzy na mnie z wyrzutem, że o sobie nie dbam, bo przecież śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia i tak dalej.

Wyszłam z pracowni, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. W okienku ciągle wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte”, a w Zielonym Jarze to wystarczało, by nikt nie szarpał za klamkę. Dochodziła dziesiąta i robiło się coraz cieplej. Wiosna przyszła tego roku szybko i nagle. Pomachałam srokom, które skrzeczały na mnie z linii energetycznej. Codziennie witały się ze mną, gdy tylko podjeżdżałam rowerem, ale dziś zaspaly, małe gałgany, bo zjawiłam się wcześniej niż zazwyczaj.

Przeszłam kilka kroków do piekarni na rogu Zaułka Garncarzy. Stasiek podśpiewywał włoskie arie, otoczony setkami złotych bułeczek, chałek i rogalików. Też nie próżnował od rana.

- Słyszałaś już? - zapytał, pakując moje rogaliki do papierowej torebki.

- A co konkretnie?

- No wiesz, o sklepie Pawła - odpowiedział i popatrzył na mnie z troską, jakby się bał, że się rozsypię.

- Słyszałam tylko, że ktoś go kupił, nic ponadto. Wczoraj świeciło się w środku, ale nie widziałam nowych właścicieli - odparłam, sięgając do torby i urywając kawałeczek rogalika. Włożyłam kęs do ust, zbyt głodna i łakoma, by czekać, aż wyjdę z piekarni.

- Ponoć będą otwierać jeszcze w tym tygodniu - powiedział i odchrząknął nerwowo.

- Wiesz, co konkretnie?

Oczywiście, że wiedział, inaczej nie zaczynałby tematu. Stasiek był świetnie poinformowany, bo zawsze znajdował chwilę, by zamienić dwa słowa z klientami.

- To, co było: warsztat i sklep z ceramiką. - Znów to pełne niepokoju spojrzenie, jakby się spodziewał, że ta wiadomość mnie załamie.

- To dobrze - odparłam. - Przynajmniej nie trzeba będzie zmieniać nazwy na Zaułek Garncarki.

Pokiwał głową, ale bez przekonania. A ja nie wiedziałam, jak się czuję z tą wiadomością. Co myśleć o tym, że to nadal będzie pracownia,

choć bez Pawła? Czy wolałabym, żeby otworzyli tam sklep obuwniczy?
Zabrałam rogaliki i wróciłam do siebie, by pomyśleć o tym nad herbatą.

Malina

- Strzelali do mnie! Wyobrażasz sobie! Jakby starego druida mogło załatwić jedno pif-paf, i to nawet nie z zimnego żelaza! - wykrzykiwał pan Tomala do pani Klementyny, energicznie wymachując pięścią.

Przez chwilę nie docierało do mnie, co właściwie mówił. A gdy dotarło, odstawiłam tacę z brudnymi filiżankami na blat i podeszłam do jego stolika.

- Jak to strzelali? Kto do pana strzelał? - zapytałam zaniepokojona.

Pan Tomala uśmiechnął się niby kot obżarty śmietanką, jakbym podarowała mu prezent, którego pani Klementyna poskąpiła, nie spiesząc się z dopytywaniem o szczegóły zdarzenia.

- Normalnie, strzelali, z broni palnej, przecież nie z kapiszonów czy gumy od majtek! Poszedłem tam do nich i chciałem im nagadać, bo znów nawywijali, ale tym razem to już konkretnie. Jeden z tych głąbów w furgonetkach nie wyrobił na zakręcie i skosił mi kawałek ogrodzenia, jeszcze świątka przewrócił. No to się wkurzyłem i poszedłem tam na przełaj, przez las, bo jak skręcali, to mogli jechać tylko w jedno miejsce...

- A gdzie konkretnie? - zapytałam.

- No do starej mleczarni, co stoi opuszczoną, odkąd właściciele poszli z torbami. Wiesz, Malinko, zaraz za moim zagonkiem - tłumaczył jak dziecku.

- I ktoś kupił tę mleczarnię? - Nie rozumiałam. W tym miasteczku wiedzieliśmy, kiedy ktoś nabywał nieruchomość, zwłaszcza taką, która od lat stała pusta.

- Zaraz tam kupił, wiedziałbym, jakby kupili - oświadczył stanowczo pan Tomala. - Na dziko się musieli wprowadzić i bogowie wiedzą, co oni tam wyprawiali z tymi furgonetkami... No i jakby się osiedlili, żeby hodować słoneczniki, to przecież by nie strzelali do sąsiadów, nie?

Mleczarnia padła, gdy byłam jeszcze w podstawówce. Księgowa z kierownikiem produkcji wyczyścili konto, zwiali z kasą i tyleśmy ich widzieli. Budynek podupadał, dach groził zawaleniem, a znaczną część okien lata temu wybili chłopcy trenujący strzelanie z procy. Obiekt nie

nadawał się do pomieszkiwania i nawet squatersi, gdyby nawiedzili Zielony Jar, znaleźliby lepsze miejscówki. Niepokoiło mnie to, że mleczarnia leżała dokładnie w połowie drogi między domami pana Tomali i Ruty. Szczerze obawiałam się o bezpieczeństwo ciotki i Amelii.

- No więc idę tam do nich i z daleka wołam: „Gnoju, zapłacisz mi co do grosza za nowy płot i jeszcze sam go postawisz!”, a ten zaczyna strzelać! Ołów się mnie niespecjalnie ima, ale też nie bardzo się rwałem do sprawdzania, czy starczy mi magii, żeby uniknąć każdej kuli, bo żem kostura nie wziął, psia jego mać. Porachowałbym im kości, jakbym nie zapomniał kija!

- I co się działo dalej? - zapytałam, gdy umilkł, jakby wyczerpał temat.

- No w sumie to nic. Wróciłem do domu, zjadłem zalewajki i położyłem się spać, bo to już prawie północ była, a ja może i stary jestem, ale snu potrzebuję jak niemowlę...

- Nie poszli za panem?

- A co mieli iść? Chyba ich trochę wystraszyłem, bo nad ranem znów słyszałem te ich furgonetki, ale jak wyjrzałem, to wszystkie się stamtąd zmywały, a potem już było cicho. - Pokiwał głową z zadowoleniem.

- Powiadomił pan policję?

- Policję? A po co? - prychnął z pogardą.

- Panie Tomala, ktoś do pana strzelał! - odparłam podniesionym głosem.

- Ale nie trafił! - upierał się stary druid.

- Ale może trafić kogoś innego! Moją ciotkę na przykład! Dziecko jakieś! Albo zacnie strzelać do jeleni poza sezonem łowieckim! - tłumaczyłam.

I o ile bezpieczeństwo mojej ciotki i dzieci raczej go nie obeszło, o tyle na myśl, że ktoś polowałby na jego zaprzyjaźnione jelenie, trochę go ruszyło i zmarkotniał. Jednak nie na tyle, żeby zapomnieć o swoich zatargach z miejscowymi stróżami prawa, a zwłaszcza z komendantem Gawrońskim, który czymś mu podpadł dwadzieścia lat temu. To, że komendant od jakiegoś czasu spoczywał w grobie, najwyraźniej niewiele zmieniło.

Zostawienie sprawy w rękach pana Tomali nie miało sensu. Wróciłam za kontuar i zadzwoniłam do posterunkowego Drzewieckiego.

- Grzesiu, nie wybierasz ty się może do StarBunny po kawkę? - zapytałam słodko.

- Wybrałbym się, ale ciągle jestem na służbie - jęknął. - A kiedy skończę, to pewnie nie zostanie już dla mnie ani pół drożdżówki...

- Grzesiu, myślę, że ta wizyta będzie w dużej mierze służbowa. Właśnie na własne uszy słyszałam, że ktoś strzelał do pana Tomali. Jak się domyślasz, Tomala nie pójdzie na komisariat. Jednak sam przyznasz, że nie można wariatów z bronią zostawić samopas - powiedziałam.

- Już idę - obiecał.

Nie minęło dziesięć minut, a posterunkowy Drzewiecki wkroczył do StarBunny, w mundurze i z poważną miną. Pomaszerował prosto do stolika pana Tomali i przysunął sobie krzesło.

Stary druid spojrział na mnie z wyrzutem.

- Baristów nie obowiązuje tajemnica spowiedzi! - przypominałam. - A to jest poważna sprawa! Proszę to zrobić, jeśli nie dla mieszkańców, to dla Bambi!

Westchnął i utkwiał ciężkie spojrzenie w posterunkowym.

- Przynajmniej nie jesteś najgorszy - burknął. - Ze wszystkich niebieskich najbardziej zielony - dodał tonem wyjaśnienia.

Grześ zarumienił się po czubki uszu. Ludzie zazwyczaj mieli dość taktu, by mu nie przypominać o utraconej magii zielonego kciuka, niestety pan Tomala, jeżeli miał kiedykolwiek takt, to dawno zapomniał, gdzie go położył.

- Ale nie zamierzam iść do tej nory wypełnionej idiotami - zaznaczył twardo druid.

- Mogę sporządzić notatkę tutaj, poza komisariatem - zgodził się Grześ. Było to może nie do końca zgodne z przepisami, ale wszyscy wiedzieli, że jeśli pan Tomala i sierżant Rybik znajdą się w jednym pomieszczeniu, będą leciały wióry.

Wróciłam do brudnych filiżanek i załadowałam je do zmywarki, spokojna, że Grześ nada bieg sprawie.

Ruta

Od samego rana pracowałam nad japońskim zamówieniem i koło czternastej musiałam zrobić małą przerwę. Czekano mnie spotkanie z Joanną Kaczmarek, potencjalną klientką. Kolejną, która stawiała przede mną spore wyzwanie, choć nieco innego rodzaju. Joanna chciała wyjątkowe kafelki na ścianę nad kuchenką, ale kompletnie nie potrafiła zdecydować, jakie mają być. Gdyby choć zawęziła oczekiwania co do stylu lub koloru, łatwiej mogłabym jej coś doradzić czy zaoferować, na to jednak było jeszcze za wcześnie. Przez czterdzieści minut przeglądałyśmy zdjęcia w moim katalogu zrealizowanych projektów, a potem, przez kolejne pół godziny – jej folder na Pinterescie.

Musiałam przyznać Joannie, że gust miała uniwersalny, przynajmniej jeśli chodzi o kafelki. Podobało jej się mnóstwo rzeczy, często całkowicie sprzecznych – od minimalistycznych, nowoczesnych i monochromatycznych, przez pałacowe ze złoceniami i kunsztownymi ornamentami, po organiczne, kolorowe, nieregularne czy dekorowane w stylu meksykańskiej ceramiki, o odważnych barwach i wyrazistych wzorach. Wiedziałam, że w końcu znajdzie coś, do czego jej serce zaśpiewa, ale to mogło potrwać. Na razie sama idea, że miałyby wybrać jeden wzór, a tym samym odrzucić wszystkie inne, zupełnie ją przerastała. To był jej pierwszy dom, podejmowała pierwsze poważne, dorosłe decyzje i panicznie się bała, że popełni błąd. Jakby od wyboru kafli nad kuchenką zależało, czy zda egzamin na dobrą panią domu.

W końcu wydrukowałam w kolorze kilka wzorów i zaproponowałam, by przyczepiła je sobie taśmą na ścianie, po czym zastanowiła się, których nie chciałaby oglądać każdego dnia przez najbliższych kilka lat. Czasami łatwiej wykreślić coś z listy, niż wybrać jeden konkretny wzór. Odprowadziłam ją do drzwi, zapewniając, że nie ma powodu czuć się winna i że absolutnie nie zmarnowała mi czasu, bo oglądanie pięknych kafli jest tego warte, poza tym nigdzie nie napisano, że takie decyzje należy podejmować w biegu. Obiecała, że wróci z odpowiedzią w ciągu dwóch dni. Wiedziałam, że potrwa to dłużej, ale wcale mi to nie przeszkadzało.

Zlecenie zapowiadało się na ciekawe i choć nie dostałabym za robotę takiej kasy jak za japońskie naczynia, to przynajmniej Joannie się nie spieszyło, mogłabym więc zabrać się do pracy po zrealizowaniu zamówienia pani Hiromi.

Rozmyślania przerwał huk oraz znany mi doskonale odgłos tłuczonej ceramiki. Dźwięk, który często wypełniał moje koszmary. Wyjrzałam na zewnątrz, obawiając się, że może wiatr strącił jedną z donic, ale te tkwiły na swoim miejscu. W przeciwieństwie do szyldu Pawła.

To było dzieło sztuki. Kobaltowoniebieski prostokąt z wypukłymi, kolorowymi literami układającymi się w słowa „Gliniany Dzban”. Paweł naprawdę się namęczył przy wypalaniu tak dużej, płaskiej powierzchni i był dumny ze swego dzieła. Teraz szyld leżał w kilku kawałkach na bruku, a jakiś facet stał na drabinie i tłukł młotkiem w płaskorzeźbę przedstawiającą ustawione w chwiejną wieżę dzbany.

- Hej, co pan robi?! - zawołałam wściekła.

- Co mi się żywnie podoba - odpowiedział, nie odwracając się w moją stronę.

Podeszłam i pozbierałam z ziemi kawałki szyldu. Może zdołam je skleić. Jak mogłam nie pomyśleć o tym, żeby go zabezpieczyć? Facet widział, co robię, ale najwyraźniej nie zamierzał się kłócić. W końcu dla niego to były tylko śmieci.

W tym momencie dotarło do mnie, że coś się zmienia na zawsze. Nieważne, czy powstanie tu sklep z butami, czy nowa pracownia ceramiczna. To już nie będzie sklep Pawła. Nigdy.

Tego dnia nie potrafiłam wykrzesać z siebie za grosz kreatywności. Posprzątałam warsztat, wrzuciłam kilka nowych produktów do sklepu internetowego, który pomogła mi założyć Malinka, a potem po prostu obróciłam tabliczkę z „Otwarte” na „Zamknięte”, choć jeszcze nie wybiła szesnasta. Miałam dosyć, a możliwość zmiany planów była jedną z zalet szefowania samej sobie.

Amelia powtarzała mi nieraz, że starość zaczyna się wtedy, gdy przestajemy być elastyczne i zaczynamy się obawiać zmian. Nie bałam się tego, co nadchodziło, ale złościł mnie koszt tych zmian. A przede wszystkim to, z czego wynikały. Jeśli to oznaczało, że jestem stara - trudno.

*

Czekałam na Amelię z kolacją. Przygotowałam pieczone ziemniaki z jej ulubionymi szparagami z jajkiem i sosem holenderskim. Gotowanie zwykle pomagało mi się zrelaksować, podobnie jak wyrabianie gliny czy monotonne turkotanie koła garncarskiego – ale nie dziś. Na stoliku w salonie leżał posklejany szyld Pawła. Brakowało kilku malutkich kawałków. Już nigdy nie będzie taki jak kiedyś.

Amelia wróciła zmęczona i podminowana, prawie godzinę później niż zwykle. W ostatniej chwili przywieźli jakiegoś dzieciaka z zatrzymaniem akcji serca. Nie udało się go uratować. Podejrzewała narkotyki, ale to pewnie wykaże dopiero profil toksykologiczny po sekcji.

W porównaniu z takimi przeżyciami mój dzień nie wydawał mi się już taki dramatyczny, ale i tak opowiedziałam jej wszystko, próbując wytłumaczyć kłębiące się we mnie emocje.

- Cokolwiek by zrobił, nie będzie Pawłem – podsumowała, przytulając mnie na kanapie.

- To prawda, ale czy nie mógłby przynajmniej być odrobinę... sama nie wiem, mniejszym dupkiem? – zapytałam.

- Nie musisz się z nim przyjaźnić dlatego, że uprawiacie ten sam zawód – tłumaczyła, cytując niemal słowo w słowo to, co usłyszała ode mnie, gdy skarżyła się na koszmarny szowinizm nowego ordynatora.

- Niby nie muszę – przyznałam.

- Obawiasz się konkurencji? – zapytała z błyskiem w oku.

Prychnęłam.

- Jakby mógł ze mną konkurować – zażartowałam, bo przecież nie wiedziałam, jakie umiejętności ma nowy właściciel pracowni Pawła.

- A skoro o tym mowa... – Poruszyła wymownie brwiami i musiałam się roześmiać.

Spędziłyśmy wieczór, oglądając The Great Pottery Throw Down – brytyjski program, w którym konkurowali ze sobą garncarze i amatorzy ceramiki. Był uroczy, ciepły, zabawny i poprawiał mi humor, bo nikt nie traktował rywalizacji śmiertelnie poważnie, a lepienie w glinie bardziej ludzi łączyło, niż dzieliło. Miła odmiana na tle innych programów tego

typu, gdzie nawet pieczenie ciast uruchamiało w uczestnikach agresję, a gotowanie prowadziło do wojen na wizji.

Oglądając Keitha Brymera Jonesa centrującego na kole bryłę gliny, by w kilka minut zmienić ją w smukłą, pełną wdzięku amforę, nie mogłam przewidzieć, że pewne rzeczy w moim życiu nieodwracalnie się zmienią. Na przykład to, jak postrzegają mnie członkinie własnej rodziny.

Aronia

Dziękowałam w duchu Jaromirowi, gdy dwóch smutnych panów w tanich garniturach wkroczyło zdecydowanie do mojego gabinetu, z minami wyrażającymi coś pomiędzy nieustępliwością a kłopotami z wypróżnieniem. Machali legitymacjami i szafowali nazwą „CBS” we wszelkich możliwych kontekstach, a ja z całkowitym spokojem piorunowałam ich wzrokiem.

Godzinę wcześniej księgowa zaklinała się na wszystkie świętości, że dokumentacja jest kompletna i prowadzona nienagannie, każdy grant rozliczony na szóstkę z plusem i nie ma się do czego przyczepić, więc mój spokój nie był udawany. Ład dawał mi siłę. Przydałoby się też trochę cierpliwości, której zapasy smutne typy w garniturach spalały jak ogień siano, ale widać nie można mieć wszystkiego.

- Zaczniemy od tego, że panowie usiądą i się wytłumaczą - zaproponowałam chłodno.

Wymienili zdeorientowane spojrzenia.

- Miałam się posikać ze strachu na widok tych legitymacji? Muszę panów zawieść, mam mocny pęcherz, więc równie dobrze możecie usiąść i wyjaśnić, co tu robicie i w czym mogę pomóc organom ścigania. Może zaczniecie od tego, czemu nachodziliście mojego byłego męża i dlaczego przyglądaliście się moim finansom. Bo na tę chwilę to wygląda na nękanie i próbę zastraszenia bardziej niż na cokolwiek innego - oświadczyłam i zaplotłam ramiona na piersi.

Patrzyłam na nich jak na dzieci, które wyżarły cały zapas czekolady i albo przeproszą, albo czeka je kara. Spojrzenie to do perfekcji opanowała moja matka Delfina. Działo, zanim jeszcze zaczęła się zabawiać czarną magią i wchodzić w konszachty z demonami, kiedy to przewina mogła się dla nas skończyć piekielną służbą.

Poskutkowało. Zmieszali się, jakbym wytrąciła im z ręki przygotowany scenariusz. Postanowiłam rzucić im koło ratunkowe.

- Na początek może się panowie przedstawić? - zaproponowałam i wskazałam ręką krzesła dla interesantów. Wiedziałam, że jeśli usiądą, przejmę kontrolę nad sytuacją. Zaklaskałam w duchu, kiedy pierwszy klapnął na siedzenie, a drugi po dłuższej chwili poszedł w jego ślady.

- Nazywam się Bogumił Szwabik - przedstawił się starszy.

Na oko tuż po czterdziestce, wysoki, szczupły, w niedopasowanym, zbyt obszernym garniturze wydawał się uosobieniem niezręczności. Z opalonej kanciastej twarzy spoglądały na mnie z wyrzutem podkrążone oczy.

- Sławomir Macioszek - powiedział drugi, kiwając głową z wyraźną rezygnacją.

Miał dwadzieścia parę lat i prezentował typ urody wiecznego gimnazjalisty: okrągłutkie policzki, perkaty nos, niewielki tyłozgryz, który nie rzucałby się w oczy, gdyby nie drobny podbródek. Modna fryzura u niego dawała efekt nieco komiczny, bo podgolone boki ściągały wzrok na nieproporcjonalnie duże, odstające uszy, a odgarnięte do tyłu, dłuższe na czubku włosy podkreślały cofające się zakola. Piaskowy kolor garnituru wyciągał z cery Macioszka dziecięcoprościaczkową różowość.

- Aronia Koźlak, skoro już się przedstawiamy, burmistrzynie Zielonego Jaru. Może więc teraz panowie powiedzą, co was tu sprowadza i dlaczego CBS interesuje się moją skromną osobą. Bo jakoś trudno mi uwierzyć w losowe prześwietlenie samorządowców - powiedziałam.

Macioszek posłał Szwabikowi lekko spanikowane spojrzenie, a ten z wyraźnym poczuciem dyskomfortu wpatrywał się we mnie, jakbym stanowiła problem, który nie wiedzieć czemu nie chce się sam rozwiązać. Ta wymiana spojrzeń mogłaby pewnie trwać w nieskończoność, bo Szwabik był bez wątpienia natury flegmatycznej, na szczęście dla mnie Macioszka nosiły emocje i gdy jego starszy kolega zbyt długo milczał, chłopiátko zaczerwieniło się jeszcze bardziej i wydusiło z siebie:

- Znalazła się pani na naszym radarze w związku z prowadzonym śledztwem. Poważnym śledztwem. Związany z przestępczością zorganizowaną, przemytem narkotyków i przynajmniej jednym zgonem.

Zaskoczył mnie. Spodziewałam się donosu od Dziurlikowskiego albo podejrzeń dotyczących dotacji unijnych, ale narkotyki i przestępczość zorganizowana? Zagwizdałam oszołomiona.

- I w tym poważnym śledztwie jestem obiektem waszego zainteresowania w jakim dokładnie charakterze? - zapytałam wprost.

- To znaczy? - próbował uściślić Szwabik.

- Zastanawiam się, czy przy tej rozmowie powinien mi towarzyszyć mój prawnik. A powinien, jeśli jestem podejrzana - wyjaśniłam.

Macioszek westchnął ciężko.

- Po drobiazgowym śledztwie wyszło nam, że niekoniecznie. Choć nie wykluczamy, że dysponuje pani przydatnymi informacjami - powiedział i znów się zaczerwienił po czubeczek odstających uszu.

- Mają więc panowie dwie ścieżki działania - odparłam, bo cała sytuacja zaczynała trącić absurdem.

- Jakie konkretnie? - zainteresował się Szwabik.

- Możemy porozmawiać w cywilizowany sposób, bez stroszenia piórek i gróźb, albo możecie próbować mnie torturować, ale nie wiem, czy zadziała cokolwiek poniżej podtapiania, bo wychowałam się w dużej rodzinie i potrafię dochować tajemnicy.

- Pani sobie żartuje, a to jest poważna sprawa! - oburzył się Szwabik.

- W takim wypadku cywilizowana rozmowa wydaje się dużo bardziej na miejscu - przyznałam.

Nacisnęłam guzik interkomu i poprosiłam sekretarkę o dzbanek kawy, trzy filiżanki i ciastka, ostatecznie spychając nadchodzącą rozmowę na tory uprzejmej pogawędki. Już trzy minuty później Aniela wkroczyła do gabinetu z tacą. Ustawiła na biurku filiżanki, które napełniła kawą, cukierniczkę i mlecznik oraz kryształową miseczkę pełną delicii.

- Proszę nie łączyć rozmów przez najbliższą godzinę - poprosiłam.

- O jedenastej pojawi się Wrona - przypomniała.

Zerknęłam na zegarek. Było już po dziewiątej. Z czymkolwiek przyszli, to biorąc pod uwagę temperament Szwabika, spotkanie mogło trochę potrwać.

- Zadzwoń do niego już teraz, przeproś serdecznie za zmianę planów i umów nas na jutro czy pierwszy pasujący mu termin. Wyjaśnij, proszę, że wypadło mi coś ważnego, by nie myślał, że przeprowadzam jakieś ciche pertraktacje za jego plecami. I bez tego zdrowo się dąsa.

- Oczywiście. - Skinęła głową i wyszła z tacą pod ramieniem. Zamknęła drzwi i wiedziałam, że własną piersią obroni je przed intruzami.

- Dobrze, może panowie wyjaśnią mi teraz, o co chodzi w tym całym śledztwie, a ja się zastanowię, jak mogę pomóc - powiedziałam rzeczowo.

Macioszek popatrzył na starszego kolegę, szukając akceptacji, a gdy ten z pewną rezygnacją kiwnął głową, młodzian zaczął wyłuszczać mi najbardziej absurdalną historię, jaką słyszałam. A przynajmniej byłaby absurdalna, gdyby nie dotyczyła mojego miasta!

- No więc chodzi o narkotyki. Jakies dwa miesiące temu pojawiło się nowe źródło, które zaczęło zalewać rynek cholernie niebezpieczną mieszanką kokainy i fentanylu, bardziej uzależniającą i zabójczą niż cokolwiek, z czym mieliśmy styczność do tej pory - zaczął tonem prymusa, który przećwiczył prezentację maturalną tyle razy, że teraz już nawet nie musi robić przerw na oddechy.

Spojrzał na mnie, jakby chciał się upewnić, że nadażam. Zachęciłam go kiwnięciem głowy, by mówił dalej, bo wciąż nie wiedziałam, jak koks i fentanyl doprowadziły ich do mnie.

- Nie będziemy pani streszczać przebiegu kilkumiesięcznego śledztwa, zwłaszcza że ciągle jest w toku - wtrącił Szwabik. - Wystarczy, że odsłonimy ten kawałek, który dotyczy pani słodkiego królestwa. - Uśmiechnął się kwaśno, a ja miałam ochotę wbić mu w oczodół ołówek i kręcić nim, aż się naostrzy.

- Mamy powody przypuszczać, że Zielony Jar jest centrum tej operacji. Że to właśnie stąd rozsyłany jest towar po całym kraju - uzupełnił Macioszek poważnym tonem.

- To niemożliwe - powiedziałam zdecydowanie. - Znam to miasteczko, panowie, lepiej niż wy własne matki. To nie jest jakaś przybudówka do kartelu, ale miasto z krwi i kości, z kręgosłupem moralnym i ludźmi żyjącymi tak blisko, że wiedziałabym, gdyby załęgło się w nim coś takiego.

Naprawdę byłam pewna, że to musi być nieporozumienie.

- Tak właśnie myśleliśmy. W tak małym mieście nic nie mogłoby się wydarzyć bez wiedzy burmistrza. - Szwabik znów się uśmiechnął, tym razem złośliwie.

- Ale gdyby pani w tym siedziała, zostałby jakiś ślad w finansach. Tymczasem prześwieciliśmy wszystko. Jeśli nie napycha pani forszą

materaca, to trudno mi uwierzyć, że dostaje pani dołę za przymykanie oka - wyjaśnił Macioszek rzeczowo.

- Mogę panom pokazać mój materac, jeżeli to ostatecznie pośle ten pomysł do piachu - zadeklarowałam.

Szwabik machnął ręką.

- Gdybyśmy ciągle panią podejrzewali, byłaby pani teraz na przesłuchaniu, tymczasem my tu sobie rozmawiamy, popijamy kawkę i jemy delicje - dodał i sięgnął po ciastko.

- Jak więc mogę pomóc, panowie?

- Znam takie miejsciny. Bez lokalnego wsparcia niczego się nie dowiemy, nikt z nami nie będzie rozmawiał. A pani zna tych ludzi - powiedział Macioszek.

- I w pani interesie jest, by problem opuścił pani małe, słodkie miasteczko - dorzucił Szwabik.

- Dobrze. Po kolei: skąd w ogóle pomysł, że to Zielony Jar? - zapytałam.

- Mieliśmy na oku jednego kuriera, podejrzewaliśmy, że ma towar, i chcieliśmy go złapać z ręką w słoiku, ale coś zwąchał i zaczął zwiewać. - Macioszek się zająknął.

- Prosta akcja, a skończyło się jak w jakimś tanim sensacyjniaku: pościg na autostradzie i pożar, kiedy ten jełop wjechał w bandę. - Szwabik z dezaprobatą pokręcił głową.

- No przesłuchać się go nie dało - Macioszek był wyraźnie rozczarowany - ale nie wszystko w aucie spłonęło i znaleźliśmy trochę papierów, a tam jak byk stała nazwa „Zielony Jar”.

- Coś więcej, jakiś adres? - zapytałam.

Zaprzeczył.

- W tak małej miejscowości znalezienie siedziby kartelu powinno być łatwe - rzucił optymistycznie Macioszek.

- Nasze miasteczko jest otoczone parkiem krajobrazowym i całymi kilometrami kwadratowymi lasu, w którym nietrudno o domki, szopy czy leśniczówki. Jeśli jednak macie rację i ktoś mi tu pod nosem bawi się w Escobara, znajdziemy go - oświadczyłam.

Zaterkotał telefon. Spojrzałam na niego zirytowana, wiedziałam jednak, że Aniela nie przeszkadzałyby, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

Uniosłam słuchawkę i wysłuchałam, co miał mi do powiedzenia posterunkowy Drzewiecki. Zapewniłam go, że zaraz tam będę i na pewno nie powiem pełniącemu obowiązki komendanta Rybikowi, od kogo się dowiedziałam o sytuacji. Nawet nie okazałam zdziwienia, kiedy wyrwało mu się, że znalazł trupa poniekąd za sprawą mojej młodszej córki. Od dawna wyglądało na to, że Malinka odziedziczyła po Narcyzie talent do wywoływania chaosu. Dużo jej brakowało do poziomu prababki, ale ogniska zamętu, które raz po raz rozniecała wokół siebie, stały się już regułą. Tyle dobrego, że najwyraźniej posterunkowy był w starej mleczarni sam, czekał na posiłki, a Malinki nie było w okolicy. Małe szczęścia. Może nawet nie wpadnie na to, by się tam udać w najbliższym czasie. Jagoda nigdy nie fundowała nam takich stresów.

- Panowie, muszę was przeprosić. Posterunkowy właśnie znalazł trupa i, jak twierdzi, ślady poważnych działań przestępczych. Chyba że chcecie się zabrać ze mną? - zapytałam i wstałam od biurka.

Macioszek aż podskoczył z ekscytacji. Szwabik lepiej panował nad emocjami, ale oczy zaświeciły mu się jak małe diodki. Ewidentnie nic tak nie cieszy CBS jak świeży trup.

*

Budynek mleczarni - prosty, betonowy i kanciasty - wyrastał na działce otoczonej laskiem jak pomnik architektury PRL-u i popadał w ruinę. Dach z blachy falistej powoli się zapadał, gdzieniegdzie z rynien wyrastały badyle i małe drzewka. Większość szyb okiennych była wybita, kilka okien ktoś zabił dyktą, którą, podobnie jak ściany zewnętrzne, miejscowa dzieciarnia udekorowała graffiti i paintballowymi kulkami. Przez lata właściciele nie interesowali się nim, zbyt zaafetowani śledztwem w sprawie kradzieży i upadłością, by choć wystawić go na sprzedaż. A kiedy w końcu to zrobili, nikt nie był zainteresowany ruiną.

Budynek znajdował się na uboczu, poza granicami Zielonego Jaru, i oprócz dzieciaków, które zaanektowały mleczarnię na swoją namiastkę wielkowiejskiej dżungli, nikt tu raczej nie zaglądał. Teraz przed szeroką bramą stał radiowóz, a posterunkowy Drzewiecki krążył nerwowo nieopodal wejścia, czekając na resztę ludzi z komisariatu

i zapewne na ekipę dochodzeniową z komendy wojewódzkiej, którą zgodnie z protokołem musiał wezwać w chwili znalezienia zwłok. Jak go znałam, zrobił to, zanim jeszcze powiadomił miejscowych policjantów. Rozumiałam jego dylemat. Komisariat w Zielonym Jarze przechodził trudny okres. Wieloletni komendant, Gawroński, pożegnał się z życiem, a pełniący obowiązki komendanta sierżant Rybik kompletnie sobie nie radził z tym zadaniem. Przez lata cieszył się szczególnymi względami Gawrońskiego, który cenił go przede wszystkim za całkowity brak samodzielnego myślenia. Jednocześnie to Rybik był najwyższym stopniem policjantem w naszym komisariacie i dopóki nie przyślą kogoś na stałe z komendy wojewódzkiej (a najwyraźniej nikt nie chciał przyjść do Zielonego Jaru nawet za karę i góra czekała, aż ktoś spierdoli coś na tyle skutecznie, że będzie można go tu zesłać w ramach dyscyplinarki), to on podejmował decyzje. I wyraźnie go przerastały. W sytuacji kryzysowej zwykł sięgać po wyuczone mechanizmy – wyparcia i zamiatania pod dywan. Nie zdziwiłabym się, gdyby po znalezieniu ciała w mleczarni postanowił pochować je gdzieś w lesie i udawać, że żadne morderstwo nie miało miejsca. Gawrońskiego też by zresztą kusilo takie schludne rozwiązanie. Grześ był wyjątkiem i jako służbista na pewne rzeczy po prostu nie mógł się zgodzić, więc zapewne zadzwonił po wojewódzkich, zanim sierżant Rybik zdołał bezpośrednio mu tego zabronić.

Zaparkowałam przed bramą, a za mną ciemny SUV agentów CBS. Rybik zapewne szczerze ich pokocha... Mogłam sobie wyobrazić kłótnie o granice kompetencji i ustalanie, w czyjej gestii jest prowadzenie sprawy. Uznałam, że nie będę się w to mieszać i pozwolę im rozstrzygnąć te kwestie we własnym gronie. Teraz musiałam się dowiedzieć, co się tu właściwie dzieje, więc podeszłam do posterunkowego Drzewieckiego.

- Gdyby nie Malina, mógłby tu leżeć w nieskończoność - powiedział Grześ, wyraźnie wstrząśnięty.

Poczułam, jak krew odpływa mi z głowy.

- Co dokładnie moja córka miała z tym wspólnego? - zapytałam. Wyobraźnia z miejsca podsunęła mi wizję Maliny, która potyka się o zwłoki, ląduje w kałuży krwi i wzywa Grzesia, nawet nie myśląc o powiadomieniu mnie, czyli, było nie było, własnej matki!

- Przekonała pana Tomalę, by złożył doniesienie, że ktoś tu do niego strzelał. Przyjechałem to sprawdzić. Kimkolwiek byli ci ludzie, dawno się ulotnili, ale zostawili po sobie bałagan. Uszkodzone auto, gościa z rozwaloną głową i dowody na to, że spędzili tu sporo czasu. - Głos mu lekko drżał. Był tak blady, że jego piegi odznaczały się bardziej niż zwykle. Miałam ochotę go przytulić, ale ponieważ właśnie zajechał pod mleczarnię radiowóz, z którego wyskoczył podminowany Rybik, nie chciałam dzieciaka wystawiać na odstrzał, więc tylko go zapewniłam:

- Wszystko będzie dobrze, Grzesiu, nie jesteś z tym sam.

Powiedziałam mu o agentach CBS i moim podejrzeniu, że ich wizyta i trup mogą się jakoś łączyć.

Grześ westchnął.

- To by w sumie pasowało do narkotyków. Miejscowi rzucają w siebie klątwami albo obijają się sztachetami czy kosturami, ale raczej nie odstrzeliwują sobie głów - powiedział.

- Myślisz, że zabity to ktoś stąd? - zapytałam.

- Jeśli tak, za mało z niego zostało, żeby dało się go rozpoznać.

Nie spieszyło mi się do oglądania ofiary. Musiałam tu jednak być, by znaleźć odpowiedź na dręczące jak wysypka pytanie: co się, u diabła, dzieje w moim mieście?

*

Dwie godziny później wracałam do domu, zostawiając za sobą miejsce zbrodni, techników, policjantów kłócących się o kwestie rejonizacji i kompetencje, agentów ściągających własnych ludzi do oględzin śladów w dawnej hali produkcyjnej, które ich zdaniem faktycznie wiązały prowadzoną przez nich sprawę z morderstwem. Czułam się wytracona z równowagi, a w pamięci tkwiły mi obrazy, które z pewnością przez jakiś czas będą wracały w koszmarach. Grześ nie przesadzał, mówiąc, że ciężko rozpoznać ofiarę...

Dojechałam do głównej drogi, ale impulsywnie, zamiast skrócić w lewo, w stronę Zielonego Jaru, skrzyłam w prawo, a po kolejnych dwóch kilometrach - w wąską, nieutwardzoną drogę biegnącą w głąb lasu. Na jej końcu, w starym drewnianym domku, mieszkały moja siostra Ruta i jej partnerka Amelia. Musiałam się upewnić, że są całe i zdrowe.

Małe autko Amelii stało tuż przy podniszczonej werandzie. Wykręciłam, by łatwiej móc potem wyjechać, wysiadłam i zapukałam do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Pewnie nie ma ich w domu, o niczym nie wiedzą, są bezpieczne, myślałam gorączkowo. Powinnam wcześniej zadzwonić... Na szczęście usłyszałam kroki i po chwili w progu stała potargana i lekko zaspana Amelia.

- Aronia? Coś się stało? - zapytała, pocierając twarz.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy u was dobrze - wyjaśniłam.

- A czemu miałyby nie być? - zdziwiła się, brzmiąc już trochę przytomniej.

- W starej mleczarni doszło do... incydentu, a to całkiem niedaleko - odparłam wymijająco.

- Incydentu, powiadasz. - Zmrużyła oczy. - Może wejdiesz, napijesz się herbaty? Ruta powinna wrócić lada moment.

Zawahałam się, ale szybko uznałam, że nie powinnam zostawiać dziewczyn samych. Gdyby tamci wrócili...

Opowiedziałam Amelii o tym, co się wydarzyło w ostatnich godzinach. O CBS, morderstwie i podejrzeniu, że gdzieś tu toczy się operacja przemytniczo-narkotykowa. Nie usłyszałam: „To niemożliwe, nie w naszym mieście!”. Popatrzyła na mnie ze smutkiem i powiedziała:

- Niewykluczone, że ofiar jest więcej. Miałam ostatnio pacjenta. Młody chłopak, zatrzymanie akcji serca. Podejrzewam narkotyki. Zleciłam profil toksykologiczny i sekcję, bo wyglądało to podejrzanie. Myślę, że policja też powinna rzucić na niego okiem. Nie był stąd. Ktoś podrzucił go nam na próg i nawet nie raczył poinformować, jak się dzieciak nazywa. Nie wiem, czy miał chociaż dwadzieścia lat, Aronio, no gówniarz. Coś złego zawitało do naszego miasta i trzeba to wyplenić, zanim zapanuje korzenie.

Lepiej bym tego nie ujęła.

Musiałam czym prędzej porozmawiać z Malinką, nim zaczną ją maglować policjanci i agenci, a geny babci Narcyzy popchną ją do czynów tyleż głupich, co pełnych rozmachu.

Malina

Wróciłam z kawiarni przed osiemnastą, spodziewając się, że zastanę mamę w domu, ale okazało się, że jeszcze coś załatwia. Wyciągnęłam z lodówki składniki na sos boloński na wypasie, jak go nazywałyśmy z Jagodą jako dzieci. Posiekałam cebulę, startam na tarce cukinię i marchewki, a potem poddusiłam mielone mięso z cebulką, dodałam warzywa i zalałam wszystko dwoma litrami passaty pomidorowej. Przyprawiłam i zostawiłam, by bulgotało. Pewnie powinnam była nastawić pranie albo wziąć się do rysowania, coś jednak nie dawało mi spokoju. Swędziało mnie kark, jakby na coś się zanosilo. Chodziłam po domu, szukając sobie miejsca, i czekałam na mamę. Nie potrafiłam dokładnie określić dlaczego, ale czułam, że będę spokojniejsza, kiedy już dotrze do domu.

Żeby się czymś zająć, zadzwoniłam do Grzesia Drzewieckiego, ciekawa, czy złapał typa, który strzelał do pana Tomali. Odebrał po dłuższej chwili, ale zanim zdążyłam zapytać, jak tam łowy, powiedział stanowczym tonem:

- Malinko, nie mieszaj się w to, sprawa jest zbyt poważna. To są bardzo niebezpieczni ludzie, nie zawahają się zostawić za sobą kolejnego trupa. Najlepiej będzie, jeżeli ty, twoja mama i reszta waszej rodziny zostawicie to odpowiednim służbom. Nie chcę się tłumaczyć Klonowi z twojej śmierci. Jemu naprawdę na tobie zależy i ciężko by ją zniósł.

Po czym się rozłączył. Tak po prostu! Co, do cholery? Jakiego trupa? Patrzyłam w oszołomieniu na komórkę, jakby znała odpowiedzi na wszystkie pytania, które zaroiły mi się w głowie.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi wejściowych, a potem głośne westchnienie ulgi i stuknięcie o ścianę butów mamy. Wyszłam jej na spotkanie z ramionami zaplecionymi na piersi.

- Czy wiesz coś o trupie? - zapytałam.

Znów westchnęła i nerwowo przeczesła włosy palcami.

- Malinko, obiecaj mi, że będziesz się od tego trzymała z daleka! W tym momencie daj mi słowo honoru albo rzuć klątwę, która cię

uziemni do czasu, aż się to wszystko wyjaśni – powiedziała, ale zamiast typowej dla niej stanowczości usłyszałam w jej głosie prawie błaganie.

- Nie wiem, czemu wszyscy zakładają, że gdy tylko usłyszę o trupie, rącho jak łania pobiegnę na miejsce zbrodni – odparłam nieco urażona.

- To przez geny prababci – przyznała mama. – Masz z niej więcej niż ja czy Jagoda, a to, przyznasz, może stanowić powód do niepokoju.

Z tym raczej nie mogłam dyskutować, choć do prababci Narcyzy było mi daleko. Może za pięćdziesiąt albo sto lat zdołam ją dogonić, ale do tego jeszcze długa droga.

- Zrobiłam kolację – powiedziałam więc tylko. – Nakarmię cię, jeśli mi wszystko opowiesz.

- Najpierw obiecaj, że będziesz się trzymała z dala od morderców, narkotyków i trupów! Nie myśl, że nie zauważyłam tej zmiany tematu.

- Może choć daj tej obietnicy jakieś ramy czasowe? – zaprotestowałam. – Nie mogę obiecać, że przez całe życie zdołam uniknąć każdej z tych rzeczy.

- Byłoby super, gdybyś zdołała, zwłaszcza morderców. Bez trupów też mogłabyś się obejść. A i z narkotykami nie ma co szaleć: zasada ciotki Chryzokoli obowiązuje.

- Tak, pamiętam, sama naturka, żadnej chemii, wyłącznie z organicznych hodowli i nigdy nie mieszać grzybków i meskalu – wyrecytowałam posłusznie, bo cioteczna babka wtłaczała nam to od małego.

- Więc?

- Dobrze, dobrze, obiecuję się trzymać od tego mordercy, tego trupa i tych narkotyków z daleka – powiedziałam uroczyście.

Aronia przewróciła oczami.

- Daj mi dziesięć minut, to był kijowy dzień i potrzebuję prysznic. Porozmawiamy przy kolacji, dobrze?

Moja matka miała przytłaczająco silną osobowość, była kobietą z żelaza. Ale teraz wydała mi się starsza, bardziej krucha, jakby natychmiast potrzebowała kocyka i kieliszka czerwonego wina.

- Jasne, wstawiam makaron. Otworzę wino, co?

- Na boginię, koniecznie, zasłużyłam co najmniej na butelkę – jęknęła i zaczęła się wspinać po schodach do swojej sypialni, przytrzymując się balustrady.

Nawet bez tego, co mi powiedział Grześ, wiedziałabym, że sprawy się spierdoliły i mama dźwiga ciężar, który ją przerasta. Zrobiło mi się nieswojo. Przecież mamy nic nigdy nie przerastało!

*

Zjadłyśmy prawie bez słowa. Aronia pochwaliła mój sos, choć nie jestem pewna, czy naprawdę jej smakował, czy po prostu chciała być miła. Rozgrzebała większość porcji po talerzu i wypła duszkiem kieliszek wina, po czym od razu naląła sobie drugi.

Dopiero wtedy opowiedziała mi o telefonie od taty, wizycie CBS i znalezisku w mleczarni. A także o tym, jakie właśnie rozpętało się piekło w kwestii jurysdykcji. Dowiedziałam się też, że przez jakiś czas była podejrzana o prowadzenie lokalnego kartelu i że zdaniem agentów zniknięcie dzikich lokatorów z mleczarni nie rozwiązuje problemu, bo takich operacji nie da się przenieść w trzy minuty, więc można się spodziewać, że przestępcy wciąż gdzieś tu są, bo ktoś przecież musi odebrać przesyłki nadciągające do Zielonego Jaru.

- A nie mogą po prostu zadzwonić do kierowców i zmienić adresu dostawy? - zapytałam rezolutnie.

- Też o to zapytałam. Smutni panowie upierają się, że są jakieś konkretne powody, adresy, listy przewozowe i bogini wie, co jeszcze, które czynią taką zmianę mało prawdopodobną. Poza tym operacja w Zielonym Jarze toczyła się nad wyraz zgrabnie. Musieli być przygotowani na zaistniałe okoliczności. Jestem pewna, że wiedzą dużo więcej, niż mi mówią, i tylko udają takich domyślnych, ale nie bardzo mam jak się z nimi kłócić. Nie wiadomo, czy tamci wyjechali, więc w sumie wolę, by agenci założyli, że nie, i szukali ich tutaj, niż żeby wynieśli się w siną dal i zostawili nas z tym gównem, zdanych na szare komórki Rybika - podsumowała.

- To wszystko jest bez sensu - powiedziałam. - Gdyby nie ten trup i strzelanie do pana Tomali, uznałabym, że cała afera z CBS to kolejna odsłona intrygi Dziurlikowskiego.

- Nawet on nie zabiłby przypadkowej osoby tylko po to, by się mnie pozbyć ze stołka burmistrza - stwierdziła mama. A po chwili dodała: - Raczej.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam.

- Współpracować z nimi, patrzeć im na ręce i wyplenić stąd to gówno raz a dobrze. Tak, by każdy następny pionek kartelu trzy razy się zastanowił, zanim postawi stopę na naszym terytorium.

- Doskonały plan. Czy mogę ci jakoś pomóc? Bez zbliżania się do morderców i trupów? - zastrzegłam, bo spiorunowała mnie spojrzeniem. A gdy twoja matka jest wiedźmą elektryczną, bierzesz takie spojrzenia na serio.

Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- W sumie... Widziałam, że ruina była imprezownią dla dzieciaków. Bywałaś tam? - zapytała spokojnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Raz czy dwa, jeszcze w liceum, zrobiliśmy tam imprezę na dzień wagarowicza. Ale przeważnie trzymaliśmy się z daleka, bo to był teren drużyny. Nadal jest tam wielkie logo na froncie? - zapytałam.

Skinęła głową.

- No więc było tam już, jak chodziłam do drugiej klasy. Starsi chłopacy urządzili sobie coś w rodzaju bazy. Podobno ciągle się tam kręcą i przeżywają lata chwały.

- Ktoś konkretny?

- Głównie Zygzak i jego ziomki, Zygmunt Wolański, pamiętasz go? Chodził do klasy z Jagodą.

- Przecież to już jest stary byk - zauważyła Aronia. Nie wiem, czy moja dwudziestosześcioletnia siostra, jako rówieśniczka Zygzaka, pozwoliłaby się nazwać starą krową, ale w tym kontekście określenie pasowało.

- Zygzak utknął, w przeszłości i w Zielonym Jarze. Nie poszedł na studia, bo ojciec uparł się, że ma pracować w jego firmie, czego Zygzak nie cierpi, ale chyba nie ma dość jaj, żeby mu się postawić. Więc ciągle powraca do czasów chwały i szczytu swojej popularności, kiedy był kapitanem i królem strzelców, a drużyna nosiła go na ramionach. Słyszałam, że popija na smutno i wspomina mecz finałów, w którym zdobył sześć bramek. Próbuje uwodzić nastolatki, ale ze swoją reputacją nie ma u nich szans.

- To smutne - przyznała Aronia. - Stary Wolański marnuje chłopaka.

- Z tego, co słyszałam w kawiarni, kiedy przyjdzie czas, by Zygzak przejął firmę, nie będzie miał już wątroby i szarych komórek, żeby to

zrobić, więc stary i tak przegra tę próbę woli.

- Zawsze był upartym osłem. - Mama wzruszyła ramionami. - Dasz radę się skontaktować z tym Zygziem i podpytać go o mleczarnię? Niech powie, kiedy był tam ostatnio i czy coś rzuciło mu się w oczy.

- Ja nie bardzo, bo się właściwie nie znamy. Ale bujał się w Jagodzie i pewnie wystarczy, że ona zadzwoni, a wyśpiewa jej wszystko. Zajmę się tym - obiecałam.

- A narkotyki? Czy ktoś, no wiesz, jest znany z tego, że załatwi, gdy czegoś szukasz? - zapytała Aronia z pewnym skrepowaniem.

Pokręciłam głową.

- Pojęcia nie mam. Choć Zygziak może wiedzieć. Bo zgodnie z radą ciotecznej babci Chryzokoli, jeśli w ogóle, trzymam się naturki.

- Tę nadal serwują Drzewieccy?

- A to akurat poufna informacja i nie mogę się nią dzielić z miejskimi organami władzy - odpowiedziałam z udawaną powagą.

Machnęła ręką.

- Odkąd pamiętam, zawsze jakiś Drzewiecki uprawiał poletko konopi. Za mojego pokolenia to był wujek Klona. Na pewno ktoś przejął schedę.

- Być może - przyznałam - ale żadnych imion ode mnie nie usłyszysz.

- Nie potrzebuję imion, ale byłoby dobrze, gdyby Klon ostrzegł krewnych. Jeśli faktycznie mamy tu grupę przestępczą, powinni mieć oczy dookoła głowy, bo tacy nie lubią się dzielić terytorium i mogą uznać Drzewieckich za konkurencję.

- Przekażę, by się nieco przyczaili - obiecałam. - A jutro pogadam z Jagodą.

- A ja będę dyszeć w kark chłoptasiom z CBS, aż pękną.

- Byłabyś doskonałą szefową kartelu, gdyby cię naszła ochota - powiedziałam.

Kącik jej ust drgnął, kiedy próbowała powstrzymać uśmiech.

- Wtedy na pewno nie gnieździłoby się w tej ruinie. Wszystko byłoby dużo lepiej zorganizowane i chodziło jak w zegarku - przyznała wspaniałomyślnie.

- I nie zostawiłabyś za sobą trupa - dodałam.

- Tak, to przejaw niechlujstwa - orzekła i opróżniła kieliszek.

Gdyby moja matka postanowiła, że zamiast burmistrzynie woli zostać głową organizacji przestępczej, szybko zbudowałaby imperium. Czy organy ścigania doceniają, ile mają szczęścia?

Ruta

Znów jechałam do pracowni o świcie, tym razem ostrożniej. Amelia opowiedziała mi o wizycie Aronii i o tym, co się działo w mleczarni.

- Wynieśli się stamtąd, ale lepiej bądź czujna. To są bezwzględni ludzie - dodała z troską.

Nie wspomniałam, że mogłabym dokładnie określić, o której się wynieśli, bo jedna z ciężarówek zepchnęła mnie z drogi. Wolałam dodatkowo nie stresować Amelii. I tak była przejęta - śmiercią pacjenta, problemami z nowym ordynatorem, a teraz też działalnością przestępczą tuż pod naszym nosem.

Gdy mijalam pracownię Pawła - dziś już pracownię Pietra - okna były ciemne i nie widziałam śladu żywego ducha. Kwestia czasu. Podobno zdobył już wszystkie pozwolenia, a nawet zapisał się do miejscowej Gildii Rzemieślników i organizacji przedsiębiorców Złota Sieć. Bez wątpienia miał nosa, z kim warto się znać. Ja nie należałam do osób tego rodzaju, więc do mnie nie zaglądał. Widywałam go, jak się kręci po dzielnicy i zagaduje ludzi - jakby chciał się zaprzyjaźnić z każdym, tylko nie ze mną. Staralam się nie brać sobie tego do serca. Źle zaczęliśmy. Może z czasem się ułoży?

Gdy o tym pomyślałam, przed oczami stanął mi niekompletny, popękany szyld Pawła. Nie, raczej się nie ułoży. Dzieliło nas więcej, niż kiedykolwiek mogłoby połączyć.

Kiedy wkroczyłam do pracowni i zapaliłam światła nad stołem roboczym, z miejsca zapomniałam o nowym sąsiedzie. Głowę wypełniały mi obrazy, a palce świerzbiły, by zanurzyć je w glinie.

Często śniłam o ceramice, o wzorach, kształtach, kolorach. W moich snach królowały wazy, donice, talerze, porcelanowe filiżanki. Zdarzało mi się śnić nawet o krasnalach ogrodowych. Ewidentne skrzywienie zawodowe. Amelia mówiła, że nigdy nie przestaję pracować, także gdy śpię. Podobno niekiedy przez sen mamrocę o ultramarynie, glazurach, szkliwach i narzekam na nierówną oksydację.

Dziś obudziłam się z pomysłem na serię wiedzmiich talerzy, z wydrapanymi w czerni jasnymi liniami, stylizowanymi ćmami i roślinami. Gdy zamykałam oczy, widziałam delikatne ornamenty,

kontrasty ostrych linii i miękkich kształtów. Mogły się spodobać w czasie festiwalu z okazji równonocy. Zresztą nawet gdybym miała być jedyną osobą, której przypadną do gustu, musiałam je zrobić.

Nie było jednak mowy, bym się tym zajęła, dopóki nie skończę japońskiego zlecenia. Postanowiłam wobec tego przynajmniej przenieść wzory ze snu do szkicownika.

Godzinę i kilkanaście rysunków później zamknęłam notatnik. Czas wrócić na ziemię, do talerzy i miseczek dla pani Hiromi.

Malina

Niesamowite, ale Zielony Jar przegapił największą chryję od lat! Klienci od rana plotkowali o wszystkim, tylko nie o opuszczonej mleczarni, trupie i kartelu! Szokujące, ale najwyraźniej nikt z policji nie puścił farby.

Nadstawiałam uszu, przecierając stoliki i roznosząc zamówienia, ale wyglądało na to, że najbardziej ekscytująca plotka, która brzęczała jak pszczoły nad rabatką, dotyczyła niejakiego Pietra. Nieoficjalnemu klubowi swatek wpadł w oko facet, który kupił lokal Pawła w Zaułku Garncarzy i wkrótce zamierzał otworzyć pracownię ceramiczną. Panie Alina, Marta i Karolina jeszcze nie miały okazji zapoznać się z jego wyrobami, ale były pod wrażeniem oliwkowej cery, ciemnej i ponoć nadzwyczaj gęstej czupryny oraz przyjemnej dla oka sylwetki. Na dodatek wyglądało na to, że nie jest żonaty. Okazały się na tyle bezpośrednio, że zapytały go o to wprost! Niewykluczone, że nawet gdyby wiedziały o trupie, nie mogłyby się on mierzyć z Pietrem. Trup miał znikomy potencjał matrymonialny!

Gorzej, że gdzieś między jednym a drugim westchnieniem nad jędrnymi pośladkami i dołęczkiem w brodzie dobiegło mnie kilka razy imię ciotki, za każdym razem wymówione przyciszonym głosem, jakby było przekleństwem, a wokół szwendały się przedszkolaki (albo siostrzenica obgadywanej Koźlaczki). Wcale mi się nie podobało to, co słyszałam. Kusiło mnie skonfrontowanie się z klubem swatek w obronie honoru cioci Ruty i wszystkich rękodzielników świata, których te pomówienia obrażały, ale do kawiarni wkroczyła Jagoda.

Rano, jeszcze nim rozpoczęłam zmianę, poprosiłam ją, by wpadła do StarBunny, i wreszcie się zjawiała. Z włosami związanymi w luźny kucyk, bez makijażu i z podkrążonymi oczami, w prostej wiskozowej sukience i z Kalinką na biodrze, wyglądała jak kupka nieszczęścia. Opadła na wysoki stółek przy kontuarze i podała mi dziecko, a potem oparła się czołem o blat i uderzała w niego rytmicznie.

- Ząbkuje? - zapytałam, bo ostatnio, kiedy siostra była w takim stanie, młodej wyrzynały się dolne jędynki.

- Gorzej, dużo gorzej - jęknęła Jagoda.

Kalinka zagruchała radośnie i schwyciła mnie za nos obślinioną łapką. Pocałowałam pulchne piąstki, a potem się wytarłam.

- Myślę, że ciocia Róża wygra pulę zakładów o rodzaj magii, jaką będzie miała moja córka - powiedziała Jagoda, z twarzą wciąż przy blacie.

Spróbowałam sobie przypomnieć, co obstawiała ciocia Róża.

- Niespodzianka? - zapytałam.

- Taaa. Moje życie byłoby zbyt proste, gdyby młoda odziedziczyła magię po mnie czy swoim ojcu. Więc trafiła się nam niespodzianka. Sama powiedz, czy przypominasz sobie w naszej rodzinie kogokolwiek z magią wodnikową?

Zamyśliłam się.

- Córka ciotecznej babci Marylki jest wiłą, to też mokra magia...

- No więc ta mała łajza ma mnóstwo mokrej magii, całe litry. I oczywiście niespecjalnie objawia jej się to za dnia, ale ledwie zamknie śleпка, tapeta nad łóżeczkiem przypomina wodospad. Próbowałam tę wodę zaklinać, tworzyć ochronną kopułę nad łóżeczkiem, bez skutku. Jedyne, co działa, to obudzenie małej, na co oczywiście reaguje fatalnie. W efekcie od dwóch dni nie śpię, bo trzymam kredens. A w tym wypadku moją córkę, zanim zaleje nam cały dom. - Znów uderzała czołem o blat.

- Może po prostu przeniesiecie się na kilka dni do nas? Ciągłe mamy krąg ochronny w sypialni dla maluchów po tym, jak Ulę dręczyły koszmary - zaproponowałam. - Jeśli masz szczęście, to nie jest pełne przebudzenie magii, a tylko próba generalna i po paru dniach będzie po wszystkim - pocieszyłam ją.

- Mów mi tak, mów - zaklinała Jagoda.

U większości małych magicznych moce zaczynały się objawiać w wieku przedszkolnym, co miało swoje zalety: kilkulatka można już sporo nauczyć w kwestii kontrolowania magii, rysowania sygili czy zaklęć ochronnych, a nawet te najbardziej podstawowe pomagały w tym intensywnym okresie, kiedy magia się budziła i wylewała z dzieciaków jak szalona.

Gorzej, gdy maluch się z magią rodził lub gdy ta objawiała się na etapie niemowlęcym, bo to na rodzica spadał wysiłek jej kontrolowania. Pół biedy, jeśli magia dziecka była w pełni kompatybilna z magią rodziców. Niestety nie było to prawidłowością i dziecko mogło odziedziczyć zdolność zakopaną w genach dużo głębiej albo z krzyżówki mocy rodziców mogło powstać coś zupełnie innego lub nowego. Grab był zielonym kciukiem, jak wszyscy Drzewieccy. Jagoda miała magię ceremonialną. Przy takiej konfiguracji magia wodnikowa mogła mocno

zaskakiwać, ale nie takie rzeczy się w naszej rodzinie zdarzały. Nie musiałam zresztą szukać daleko. Aronia, wiedźma elektryczna i chodzący wykrywacz kłamstw, oraz nasz ojciec, w pełni człowiek, doczekali się jednej córki dysponującej poukładaną magią ceremonialną i drugiej z komiksomancją.



- Pomyśl, mogła odziedziczyć chaos po prababci Narcyzie - zauważyłam.

- Wodę zawsze mogę wytrzeć - przyznała Jagoda.

Kalinka wyciągnęła do niej rękę i zagruchała zachęcająco. Siostra przejęła ją płynnym, wyćwiczonym ruchem i usadziła sobie na kolanach.

- Dobra, wracając do rzeczy. Pisałaś, że masz sprawę - powiedziała.

Weszłam za kontuar i zaczęłam przygotowywać duże latte z dodatkowym kopniaczkim i babyccino dla siostrzenicy.

- Czy masz jeszcze kontakt z Zygzakiem? - zapytałam, ubijając kawę w kolbie.

Parsknęła śmiechem.

- Spodziewałam się, że może chodzić o wszystko, tylko nie o Zygzaka! - zawołała rozbawiona. - Na cóż ci on?

- Chcę się dowiedzieć kilku rzeczy, a on może mieć informacje, tyle że nie bardzo się znamy. Przecież nie podejść i nie powiem: „Hej, pewnie mnie nie pamiętasz, jestem młodszą siostrą dziewczyny, w której bujałeś się w liceum”.

Jagoda zachichotała.

- Rany, zupełnie o nim zapomniałam. Czego konkretnie chcesz się dowiedzieć?

- Kiedy ostatnio był w starej mleczarni, czy widział tam kogoś obcego i czy na miejscowym rynku wyniuchał jakieś nowe dragi.

Jagoda spoważniała. Patrzyła na mnie z uwagą podszytą troską.

- Zanim zaczniesz sprawdzać, czy nie mam śladów po igłach, wyjaśniam, że obiecałam mamie dowiedzieć się czegoś na ten temat. Wszystko ci opowie wieczorem, kiedy wpadniesz się wyspać, ale to grubsza afera i te informacje mogą być dla mamy bardzo przydatne.

- Czy to ma coś wspólnego z dwoma facetami w czerni, którzy rozbijają się po mieście? - zapytała cicho.

Skinęłam głową.

- CBS - szepnęłam.

- Po mamę? - zapytała również szeptem, a ja znów bezgłośnie przytaknęłam.

- Dziurlikowski?

- Nie sądzę - przyznałam, choć nie mogłam całkowicie wykluczyć jego udziału w tym bałaganie. Gdyby z nieba zaczęły spadać żaby,

pomyślałabym najpierw o Harpiach, a jeżeli żadnej z nich nie byłoby w okolicy, zastanowiłabym się właśnie nad Dziurlikowskim.

Wręczyłam Jagodzie kubek z kawą, a Kalince dziecięcy kubeczek z dwoma uszkami, wypełniony spienionym mlekiem. Obie z entuzjazmem zabrały się do picia, a ja przygotowałam jeszcze cappuccino z posypką na dobry humor oraz podwójną mocę pod chmurką z bitej śmietany, która poprawiała nastrój za sprawą nieprzystwoitej ilości czekolady i kalorii. Zniosłam oba napoje do stolika przy oknie, gdzie siostry Bielskie wyciągnęły już robótki ręczne i szykowały się do swojej cotygodniowej sesji pogaduszek nad włóczką i kawką.

- Zawsze mi się wydawało, że się trochę za bardzo ceni - usłyszałam, podchodząc do stolika - ale póki jej jedyną konkurencją był Paweł, z którym miała znowę cenową...

Widząc, że się zbliżam, Franciszka urwała w pół zdania. Obie uśmiechnęły się nieco wymuszenie i wyciągnęły ręce po napoje.

Wróciłam do Jagody, nachyliłam się nad kontuarem i cicho, by moje słowa nie dotarły do klientów, powiedziałam:

- Słuchaj, wpadniesz do cioci Ruty? Nie podoba mi się, że nagle znalazła się na językach. To chyba nie przypadek, że stała się obiektem plotek akurat teraz, gdy do Zielonego Jaru zawitał inny garncarz.

- Myślisz, że facet ucieka się do brudnych chwytów i nieuczciwej konkurencji? - zapytała Jagoda, jednocześnie łapiąc kubek Kalinki, zanim mała zdążyła całkiem go przechylić i wylać na siebie mleko.

- Odkąd pamiętam, nie krążyło o Rucie tyle plotek co dziś. A mówimy o pierwszej jawnej lesbijce w Zielonym Jarze, żyjącej od lat z drugą kobietą. Obie wiemy, że ciocia Ruta tylko dwie sprawy traktuje śmiertelnie poważnie...

- Amelię i swoją pracę - dokończyła natychmiast Jagoda.

- Poza tym chyba ciągle nie doszła do siebie po odejściu Pawła - dodałam.

Całe miasto było wstrząśnięte tą bezsensowną śmiercią, której dałoby się uniknąć, gdyby kierowca wezwał pomoc.

- Chyba nie myślisz... - Jagoda zawahała się, ale ugryzła się w język, jakby nie chciała wywoływać wilka z lasu.

- Myślę, że przeżywa teraz ciężki czas i warto mieć ją na oku. Bo jest najcichszą z nas, co wcale nie znaczy, że najspokojniejszą.

Siostra skinęła głową i uzupełniła:

- Najcichszą do czasu.

Oj, tak. Ciocia Ruta była mistrzynią tłumienia emocji, korkowania ich, wekowania, butelkowania, zamykania w pudełeczkach. Wszystko było pięknie, dopóki miała je pod kontrolą. Ale jeśli wybuchały... Wiedźma ziemi i niestabilne emocje to fatalne połączenie. W przypadku cioci Ruty jego wynik nazywaliśmy białym szkwałem. Miałam nadzieję, że za swojego życia nie zobaczę kolejnego wybuchu. Po ostatnim znaczna część budynków w mieście wymagała naprawy i wymiany szyb w oknach.

Ruta

Przeszłam z pracowni do sklepu, gdzie zastałam moją siostrzenicę Jagodę z wózkiem spacerowym, w którym majtała nóżkami Kalina.

- A to dopiero niespodzianka - powiedziałam, uśmiechając się szeroko.

Jagoda podeszła i przytuliła mnie mocno. Kalinka, oburzona, że dochodzi tu do czułości, w których jest pominięta, gruchała jak naćpany gołąb tak długo, aż matka wypięła ją z pasów wózka i podała mi na tulenie i całusy. Sama rozglądała się po sklepie z lekkim obłędem w oczach.

- Szukasz czegoś konkretnego? - zapytałam, przytrzymując okulary, zanim pulchna łapka zdążyłaby ściągnąć mi je z nosa.

- Prezentu dla teściowej - odpowiedziała Jagoda, unosząc z półki błękitną filiżankę w białe groszki, z wnętrzem w kolorze najdelikatniejszego różu i małą tęczą na dnie.

- Z Drzewieckimi sprawa jest prosta, dla nich donic i wazonów nigdy za wiele - zauważyłam.

- Tak właśnie pomyślałam. Ten też wezmę, dla Maliny. Kalinka stłukła jej wczoraj kubek, przy okazji wylewając na siebie kawę. Na szczęście zimną. A teraz znajdziemy coś dla teściowej - powiedziała z uśmiechem.

Szybko poszło. Zapakowałam w szary papier pękata donicę kieszeniową na zioła albo truskawki i wsadziłam ją do największej papierowej torby, jaką miałam. Potem otuliłam bibułkami kubek dla Maliny i drugi, który Jagoda wybrała dla siebie, bo uznała, że i jej się należy jakiś prezent. Gdy sprawunki były już bezpiecznie umieszczone w koszu pod wózkiem, siostrzenica odetchnęła z ulgą.

- Nie wiem, czemu zawsze się tak przejmuję. Sylwia Drzewiecka mnie lubi, nie jest teściową z piekła rodem, a i tak zawsze się spinam.

Mogłabym jej powiedzieć, że to spinanie ma po matce i podobnie jak ona, ustawia sobie zbyt wysoko poprzeczkę, ale wtedy pokazałaby mi swój terminarz z zaplanowanymi na pół roku do przodu zajęciami jogi czy inną metodą relaksu, na dowód, że absolutnie nie jest spięta.

Genów nie oszuka, Aronia zrobiłaby dokładnie tak samo. Może myślałam za głośno, bo nagle Jagoda zapytała:

- W ogóle słyszałaś o kłopotach mamy?

Zaprzeczyłam, bo mając na głowie japońskie zamówienie i konkurencję pod bokiem, nie nadążałam za tematami rodzinnymi.

- Podobno CBS ją nachodzi.

- CBS? A czego oni mogą tu szukać?

- No właśnie nie wiem - przyznała Jagoda, wyraźnie zaniepokojona. - Liczyłam, że ty coś słyszałaś.

- Ostatnio mam dużo mniejszy ruch. Musiałabyś wpaść do piekarni po świeże bułki i ploteczki, tam mogą wiedzieć.

- Chyba jednak nie. Malina robiła z tego tajemnicę, więc może lepiej nie podrzucać tematów do plotek. Aronia sama mi powie.

- Może to znowu Dziurlikowski? Na kilometr pachnie szajbą, to może być jego robota.

Jagoda zamierzała coś odpowiedzieć, ale powietrze przeszył ryk wiertarki udarowej. Odgłosy dochodziły z ulicy, więc zaciekawione wyszliśmy na zewnątrz. Akurat by zobaczyć, jak dwóch robotników w poplamionych farbą kombinezonach wyciąga spomiędzy arkuszy tektury falistej nowy szyld, który miał zawisnąć nad drzwiami drugiej pracowni ceramicznej w Zaułku Garnarczy. Wyglądał dziwnie znajomo.

Był, ni mniej, ni więcej, kopiającego mojego szyldu. Z niewielką różnicą. Na moim widniała nazwa „Terra Ruta”, na tamtym - „Terra Ruda”.

- Czy to w ogóle jest legalne? - zapytała Jagoda.

- Pojęcia nie mam, na pewno szyld jest mylący. Praktycznie taka sama nazwa i adres, bo między szóstką a ósemką różnica jest równie niewielka jak między „Ruta” a „Ruda” - powiedziałam, czując ukłucie złości.

Jedna z tych pracowni harowała na swoją reputację od dwudziestu lat, druga się pod nią podpinała. W tamtym momencie nie pomyślałam, że może być inny powód, dla którego ktoś postanowił skopiować moją nazwę.

Podaliśmy Kalinkę Jagodzie, wyminęłam robotników i pchnęłam drzwi sklepu. Winowajca obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem.

- Jeszcze zdążysz kupić sobie coś ładnego, zamknięte - burknął z wyższością.

- Czy ty na głowę upadłeś? Kradniesz mi nazwę i robisz taki sam szyld? - wyrzuciłam z siebie ze złością.

- Wolny kraj - odparł i wzruszył ramionami.

Uśmiechał się przy tym tak złośliwie, że krew uderzyła mi do głowy.

- To jest nielegalne! Nie możesz przyjeżdżać do mojego miasta i kraść mi nazwy sklepu, mojego biznesu!

- Nazwa nie jest taka sama. Moja faktycznie coś znaczy - odpowiedział. - A jeśli twój biznes jest dobry, nie powinnaś się obawiać odrobiny konkurencji, prawda? Wolny rynek wszystko ureguje.

Znów wyszczerzył się szyderczo, a ja czułam, jak adrenalina zaczyna mi szumieć w żyłach. Jeszcze nie widziałam na biało, ale było blisko. Wypuściłam gwałtownie powietrze i wyszłam ze sklepu. Typak nie był wart tego, bym straciła nad sobą panowanie. Jakoś nie wątpiłam, że wcale by go to nie zmartwiło - przeciwnie. Jakby miał w tym wszystkim jakiś cel, który na razie mi umykał.

*

Nauka na przyszłość i wskazówka dla zakładających działalność gospodarczą - warto zarejestrować jej nazwę oraz wasze unikalne logo. Bo jeśli przez dwadzieścia lat tego nie zrobicie, to gdy się pojawi jakiś dupek i je skopiuje, nawet demoniczny prawnik nie będzie miał dla was dobrych wiadomości. Pozostawało mi iść do sądu, czyli poddać się kosztownej i czasochłonnej procedurze, z którą na dwoje babka wróżyła. Cudownie, kurwa, cudownie.

Najgorsze, że Malinka wspominała mi o tym, kiedy zakładała mi sklep internetowy, ale oczywiście machnęłam ręką. Przez dwadzieścia lat nie było mi to do niczego potrzebne, czyż nie?

Po spotkaniu z prawnikiem Amelia urządziła nam wieczór z koktajlami. Subtelny sposób, by powiedzieć, że wyglądam na kogoś, kto musi się napić.

Malina

Przez znaczną część dnia wydawało mi się, że jakimś cudem uda się utrzymać w tajemnicy to, co wydarzyło się w starej mleczarni. A potem do kawiarni wkroczył pan Tomala, owiany splendorem informacji, którymi chętnie się podzieli.

Nie powinnam być zaskoczona, od ostrzelania go wszystko się zaczęło - a przynajmniej ta część z policją, trupem i śledztwem w jego sprawie. Miałam nadzieję, że nikt nie zdradził panu Tomali dalszych szczegółów, bo jeśli tak, równie dobrze wtajemniczeni mogliby jeździć po ulicach z megafonem i obwieszczać poprzez miejskiego herolda wszelkie małe i duże tajemnice.

Ledwie przekroczył próg, lokalne plotkary, z kołem swatek na czele, wywachały zapaszek nowin. Jak rekiny zwabione kroplą krwi przysiadły się do jego stolika i chwilę później potoczyła się opowieść o tym, jak to policja, miejscowa i jakaś obca, wbiła mu się na chatę (bez nakazu!) i przesłuchiowano go całymi godzinami! Jakby on zwracał uwagę na twarz faceta, który do niego strzelał! Albo nie miał co robić, tylko zapisywać numery rejestracyjne furgonetek na leśnej drodze! Bo co on? Miejski monitoring?

- Ach, szkoda, żeś pan nic nie zapamiętał, bezużyteczna wtedy wiedza dziś byłaby na wagę złota. A tak nam się to taratachło ciągle gdzieś płacze po okolicy - zawyrokowała pani Alina i cmoknęła z niezadowoleniem.

Nie byłam pewna, czy tym „taratachłem” jest morderca, czy może obce służby kręcące się po mieście. Pani Alina mogła być dobrze po sześćdziesiątce, wszyscy jednak wiedzieli, łącznie z miejscową policją, że w sezonie letnim hoduje na balkonie konopie indyjskie, a gdy się robi chłodniej, wnosi je do zwolnionego wiele lat temu przez syna pokoju i dogrzewa lampami. Swoi machali na to ręką, ale czy obcy to nie aby jacyś służbiści?

- Pamięć ludzka jest zawodna. Tak naprawdę świadkowie są kompletnie niewiarygodni. Ale jeśli ściągnęli kryminalistyków, będą dowody. Zasada wymiany: nikt nie może popełnić zbrodni, nie zostawiając śladu ani nie zabierając na sobie czegoś z miejsca

przestępstwa - oświadczyła pani Karolina i wyduła usta z miną specjalistki, która obejrzała każdy odcinek CSI Las Vegas i CSI Nowy Jork (o CSI Miami nie miała najlepszego zdania).

- No ściągnęli tam chyba wszystkich poza papieżem - zapewnił pan Tomala, któremu się nie podobało, że rozmowa odbiegała coraz dalej od niego i jego bezcennych informacji naocznego świadka.

- Sam papież wiele by tu nie wskórał. Ten nowy to chyba nawet w egzorcyzmy nie wierzy - wtrąciła pani Marta.

- A po co tu egzorcyzmy? - Pan Tomala wpatrywał się w panią Martę szeroko otwartymi, wodnistoniebieskimi oczami.

- No a po co innego klechę na miejsce zbrodni ciągnąć? - zapytała Marta, kobieta nader praktyczna.

Godzinę później pan Tomala wciąż siedział przy stoliku, z nowym kompletem rozmówców. Wieści się rozchodziły i ludzie ściągali do kawiarni, by go wysłuchać. Jeszcze godzina czy dwie i nie będzie w Zielonym Jarze nikogo, kto z pierwszej lub drugiej ręki nie słyszałby historii o próbach zamordowania pana Tomali przez podłych mafiosów. Obrastała w coraz to nowe szczegóły, badyle suchych faktów wypuszczały pędy, gałązki, listki, które nagle zmieniały suche patyki w bujne krzewy i całe żywopłoty opowieści. Po szesnastej pan Tomala był o włos od roli świadka koronnego w procesie szefa gangu i międzynarodowego syndykatu zbrodni. Najwyższe służby oferowały mu ochronę, ale on nie potrzebował niańki - jako twardziel nad twardziele już nie z takimi szczyłami sobie radził!

Aronia

- Zastrzelcie mnie - mruknełam, obserwując starcie tytanów intelektu służb mundurowych, którzy przez ostatnią godzinę wyklócili się w moim gabinecie o granice jurysdykcji i autonomię lokalnych organów ścigania zagwarantowaną przez konstytucję, kamień z Rosetty i CD wysłane w kosmos, by mieszkańcy odległych planet mieli pełne rozeznanie w tym, co dla ludzkości jest kluczowe i niezbywalne.

Osobiście było mi wszystko jedno, czy handlarzy narkotyków i morderców zgarnie lokalny Rybik, wojewódzki Różalski czy działający na szczeblu centralnym chłopcy z CBS - Szwabik z Macioszkiem. I byłoby mi dużo bardziej na rękę, gdyby ta rozmowa nie toczyła się w moim biurze, ale z jakiegoś powodu uznano je za ziemię niczyją lub inną Szwajcarię.

Po godzinie dyskretnie wyszłam z pokoju i zostawiłam za sobą bitwę o doktrynę, niemal pewna, że ostatnie usłyszane przeze mnie słowa dotyczyły trybunału w Hadze. W tym tempie nie rozwiążą tej sprawy do końca milenium!

Aniela uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że wymykam się jak złodziej z własnego gabinetu.

- Czyżby komisja przetargowa nagle zyskała na atrakcyjności? - zapytała.

- Komisja jest równie irytująca, ale bardziej produktywna - przyznałam, zgarniając z blatu przygotowane przez sekretarkę teczki z dokumentacją poszczególnych kandydatów.

- Wrona ma się pojawić na obradach. Po nich „z przyjemnością porozmawia o partaczach, których urząd miasta zatrudnił zamiast niego, by teraz błagać go o ratunek od tej spierdolino”. To cytat - zaznaczyła.

- Domyśliłam się, Wrona zawsze miał talent do nazywania rzeczy po imieniu.

Z teczkami pod pachą zmierzałam do sali obrad, kiedy Aniela zawołała za mną:

- Szefowo, a co mam zrobić z tymi tam? - Kiwnęła głową w stronę gabinetu.

- Jak się znudzą, to sobie pójdą. Gdyby trzeba było sprać krew z dywanu, zadzwoń po serwis sprzątający, a rachunek rozbij między tych, którzy przeżyją - odpowiedziałam i zamknęłam za sobą drzwi.

Dwie godziny później, kiedy wróciłam do biura, nikogo już w nim nie zastałam. Założyłam, że panowie udali się szukać śladów i łapać bandziorów. Mój dzisiejszy sukces - wypłatałam miasto z umowy z niesłownym kontraktorem, a komisja zgodziła się na awaryjne zatrudnienie Wrony już bez konieczności organizowania półrocznego przetargu. Na szczęście jej członkowie też mieli małe dzieci lub wnuczeta i dostępność placu zabaw leżała im na sercu.

Przez kolejne dwie godziny ogarniałam biurokrację, przeglądałam nową ofertę ubezpieczeniową dla pracowników ratusza, dokumentację i warunki grantu unijnego, który przydałby się nam na organizację festiwalu przesilenia w przyszłym roku. Wypadała wtedy okrągła, siedemsetletnia rocznica uzyskania praw miejskich i miałam nadzieję, że uda się zdobyć forszę na celebrację.

Codzienna robota wciągnęła mnie tak bardzo, że zapomniałam o całym świecie. W tym o handlarzach narkotyków, trupach i kanapce, którą przyniosłam z domu, a która po wielu godzinach w torbie wyglądała mało apetycznie. Burczało mi w brzuchu, ale na myśl o zjedzeniu rozmokłego pieczywa z zaparzoną ogórkami lekko mnie zemdliło.

Zegar nad drzwiami pokazywał siedemnastą trzydzieści. Czas się zbierać.

Może Malinka zdobyła już dla mnie jakieś informacje? Miałam małe wyrzuty sumienia z powodu wplątania jej w tę sprawę. Z drugiej strony wyniuchwała ją, zanim w ogóle temat stał się sprawą. Z tą niewinną buźką i wielkimi oczyskami z łatwością skłaniała ludzi do wyznań, a do tego pracowała w miejscu, w którym równie łatwo co o kawę było o najświeższe plotki.

Malina

Tuż przed końcem zmiany pojawiła się Jagoda z Kalinką, a za nimi szedł lekko spłoszony Zygzak. Na swój sposób zatrzymał się w czasie. Mogłabym się założyć, że dokładnie te same poszarpane na kolanach dżinsy nosił w liceum, prawie dekadę wcześniej, podobnie porozciągana bluza. Ciemnoblonde włosy z końcówkami ufarbowanymi na niebiesko miał nastroszone i usztywnione żelem. Wcisnął rękę w kieszenie, zgarbiony i niepewny, jakby wkraczał do kościoła i obawiał się, że podeszwy jego znoszonych tramppek zaczną dymić w kontakcie z poświęconą ziemią.

Jagoda zapędziła go do kontuaru i z cierpliwością właściwą matkom małych dzieci zachęciła:

- No, Zygzaku, powiedz wszystko Malince, a postawię ci pyszną kawkę.

- I ciastko? - zapytał cicho.

- Nawet dwa - zapewniła i poklepała go lekko po ramieniu.

Zygzak opadł na wysoki stółek przede mną i westchnął dramatycznie.

- No dobra, co chcesz wiedzieć?

- Kiedy ostatnio byłeś w starej mleczarni? - uderzyłam od razu, zanim by się rozmyślił.

Przewrócił oczami.

- No dawno, będą ze cztery miesiące jak nic. Tam się teraz lepiej nie kręcić - powiedział.

- Z jakiegoś konkretnego powodu? - zapytałam.

- No wiesz, są tacy, z którymi lepiej nie zaczynać. Spięci, zero luzu w gaciach. Ty chcesz poimprezować, potańczyć, a oni przynoszą spluwę na parkiet. Szkoda nerwów. Są lepsze miejscówki - dodał i wyszczerzył się w zachęcającym uśmiechu.

- Jestem dla ciebie za stara, Zygzaku - rzuciłam rozbawiona. - A dragi? Coś się nowego pojawiło ostatnio na rynku? Jakies nietypowe ruchy, te sprawy?

Obrzucił mnie uważniejszym spojrzeniem, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że dopytuję o mleczarnię nie po to, by sobie tam poimprezować.

- Nie no, laska, ja nie diluję ani nic z tych rzeczy - burknął.

- Nie mówię, że jesteś dilerem. Mówię, że wiesz, co w trawie piszczy - wyjaśniłam łagodnie.

- Nie będę gadał z psiarnią - zaznaczył.

- Dlatego gadasz ze mną - przekonywałam.

Westchnął i wzruszył ramionami, jakby to wyczerpało jego energię do walki.

- Nie widać nic nowego na ulicy. Ba, jest kłopot, żeby znaleźć stare rzeczy. Jakby wyschło źródółko. Człowiek za byle pillsem musi się teraz nabiegać, najeździć. Dobrze, że już jakiś czas temu poszedłem w naturę, bo o to tu zawsze łatwiej. Coś jeszcze?

Cały się spiął i gdy zastanawiałam się czemu, zobaczyłam sierżanta Rybika przechodzącego przed oknem kawiarni.

- W sumie to wszystko - przyznałam. Zapakowałam mu na wynos ciastka, które mi wskazał, i nalałam kawy do papierowego kubka. - Gdybyś usłyszał coś ciekawego, wiesz, na przykład, gdzie się mogli przenieść ci z mleczarni, daj znać.

- O, wynieśli się? Miejscówka znów wolna? - ucieszył się z możliwości powrotu do starej bazy.

- Chwilowo kręci się tam masa policji i techników, więc lepiej wstrzymaj konie - ostrzegłam.

- No luz, panna, dzięki za ciacha - powiedział i ruszył do wyjścia, lekko zgarbiony, na miękkich kolanach.

- Co mu obiecałaś, że tu w ogóle przyszedł? - zapytałam rozbawiona.

- Nic a nic, odwołałam się do jego postawy obywatelskiej - odparła Jagoda, podrzucając Kalinkę na biodrze.

- A ma takową?

- No ba, czyściutką i nieużywaną. Szkoda, że niewiele wiedział - zauważyła.

- Hej, mamy ramy czasowe i konkretną informację, że to, co się działo w starej mleczarni, nie wpłynęło na dostępność narkotyków w mieście. Co w sumie jest pocieszające.

- Przynajmniej żaden diler nie rozdaje pod podstawówką dropsów z amfetaminą czy czym oni tam handlują...

Godzinę później skończyłam zmianę i wracając do domu, zadzwoniłam do Grzesia, aby przekazać mu informacje od Zygzaka. Dałam mu też znać, że pan Tomala odpalił Radio Wolny Druid i pół miasta już słyszało o znalezisku w starej mleczarni.

- Prosił się go o dyskrecję - jęknął Grześ.

- Równie dobrze mógłbyś go prosić o cnotę i młodość. A co poza tym? Coś nowego?

- Nie mogę ci nic zdradzić - zastrzegł - ale też nie ma o czym opowiadać, szczerze mówiąc.

Chyba nie kłamał, bo przez kolejne dni Aronia chodziła zniecierpliwiona brakiem widocznych postępów w śledztwie. Ktokolwiek stał za zabójstwem w mleczarni, nie zostawił żadnych śladów. Znaleziono za to sporo innych rzeczy. Dwa dni po mojej rozmowie z Zygzakiem mama, wróciwszy z pracy, usiadła ciężko przy stole i powiedziała:

- Wygląda na to, że przy okazji rozwiązali inną sprawę. Na terenie mleczarni znaleźli furgonetkę, wyraźnie powypadkową, ze śladami krwi na zderzaku i drzwiach bocznych. Sprawdzili ją. Czekają na pełny profil DNA, ale medyk sądowy podejrzewa, że to krew Pawła Janasa.

Poczułam nieprzyjemny chłód.

- Czyli to oni go potracili i zostawili na śmierć...

- Wszystko na to wskazuje. Jeśli tak, mają na koncie co najmniej dwie ofiary.

- A dzieciak w szpitalu?

- Nie mogą go powiązać. Nie był stąd, nawet nie wiedzą, jak się nazywa. To nie powinno się zdarzyć, nie w Zielonym Jarze - powiedziała z frustracją, przeczesując włosy palcami.

- Może po prostu wyjechali? Uznali, że takie małe miasteczko z wścibskim panem Tomalą pod bokiem to za duże ryzyko?

- Chciałabym, Rybik zresztą też. Ale Macioszek i Szwabik są dziwnie pewni, że to jeszcze nie koniec. Zatem czekamy: jak na burzę czy wybuch wulkanu.

- Nie podoba mi się ta perspektywa - przyznałam.

Aronia tylko pokiwała głową.

Ruta

Choćbym chciała udawać, że nowy właściciel pracowni Pawła nie istnieje, wszystko wokół jakby się sprzysięgło, by mi o nim przypominać. Łatwiej byłoby go ignorować, gdyby w kółko nie kłapał dziobem na mój temat, nie psuł mi reputacji, nie próbował sabotować mojego biznesu. Coś takiego nigdy wcześniej się nie zdarzało w Zielonym Jarze, a już na pewno nie w Zaułku Garncarzy. Sąsiedzi zapewniali mnie o lojalności, przekonywali, że przecież nikt nie weźmie słów jakiegoś młokosa na poważnie, ale gdy myśleli, że nie widzę, rzucali mi spojrzenia pełne współczucia.

Poza tym mnóstwo rzeczy wzbudzało moją podejrzliwość. Coś było nie tak z tym człowiekiem, z tym sklepem. Gdy jednak wspomniałam o tym Staśkowi, powiedział tylko: „Oczywiście, Ruto”, jakby podejrzewał, że w ramach zemsty za plotki i pomówienia rozpuszczam swoje. Sprawiał wrażenie lekko zawiedzionego – widocznie uważał, że powinnam patrzeć na poczynania szubrawca z wysokości mojej wieży z kości słoniowej i nie zniżać się do jego poziomu.

Z tym że w całej tej historii naprawdę coś nie grało!

Przez pierwsze dni obecności Pietra samochody kurierów i dostawców manewrowały w Zaułku Garncarzy, za każdym razem ryzykując utratę lusterek bocznych. W środę sytuacja sięgnęła zenitu, gdy wielka ciężarówka na kilka godzin zaklinowała się i zablokowała dostęp do większości tutejszych sklepików. Nikt nie usłyszał przeprosin.

Wreszcie po niecałym tygodniu nastąpiło wielkie otwarcie sklepu Pietra. Nie zamierzałam tam iść i dawać facetowi satysfakcji. Poza tym wiedziałam, że jeśli pójdę, każdy mieszkaniec będzie się na mnie gapił, czekając na jakiś mój grymas czy negatywny komentarz. Nie znosiłam być pod ostrzałem ludzkich spojrzeń. Miałam wystarczająco liczne ekstrawertyczne i przebojowe siostry i kuzynki, by rozumieć, że nigdy nie będę jak one, i nadmiar uwagi otoczenia wywoływał u mnie poczucie dyskomfortu i reakcje nerwicowe.

Staralam się robić swoje. Spędzałam długie godziny przy kole garncarskim i stole roboczym, ugniatając, formując i malując wypalone już biskwity. Nie musiałam nawet zbyt często przerywać pracy, bo

klientów miałam jak na lekarstwo. Jakby wszyscy z zapartym tchem czekali na otwarcie nowego sklepu i do tego czasu nie przejawiali żadnych potrzeb ceramicznych.

Przyznaję, byłam ciekawa asortymentu konkurencji. Amelia podzielała moje zainteresowanie, dlatego korzystając z dnia wolnego, wybrała się do sklepu Pietra. Wróciła po półgodzinie, z dezaprobatą kręcąc głową.

- Nie obawiałabym się, kochana, nie widziałam tam nawet jednej rzeczy wartej uwagi. Prawie generyczne, wykonane bez wyobraźni - powiedziała.

- Ale są zaskakująco tanie - dodała Jagoda, która pojawiła się z Kalinką, by „wesprzeć mnie w tym trudnym dniu” i „przeprowadzić mały rekonesans”.

- Jak tanie? - Zmrużyłam oczy.

Jagoda pokazała mi na komórcie kilka zdjęć zrobionych w trakcie wizyty.

Miała rację, ceny były absurdalnie niskie. Amelia też się nie myliła, nie znalazłam tam nic, co wzbudziłoby we mnie choćby ciekawość. Ale przy tych cenach... Poczulałam niepokój.

*

Interes nie szedł najlepiej. Owszem, dzięki temu miałam więcej czasu na realizację zamówienia dla pani Hiromi, tyle że nadal źle to wpływało na stan moich nerwów. Wyglądało na to, że aktualnie ceramiczne potrzeby w moim sklepie zaspokajają tylko osoby ze mną spokrewnione. Być może sprowadzało je do Terra Ruta coś innego.

Siostry i siostrzenice wpadały niby przypadkiem, jakby chciały sprawdzić, czy nie tonę we łzach i nie rwę włosów z głowy. Ja jednak nie byłam bliska załamania. Prędzej wybuchu. Bo nagle znalazłam się na językach. Nawet kiedy zaczęłam się spotykać z Amelią, a potem zamieszkałyśmy razem, nie stałam się obiektem takiego zainteresowania!

Jego echa docierały do mnie także wtedy, gdy spędzałam całe dni w pracowni. Dla ludzi cała ta sytuacja stanowiła nowinę, coś, co wykraczało poza nudną codzienność, spektakl. Dla mnie to było życie, na szali znalazły się mój dorobek i moja reputacja. O większości plotek

dowiadylałam się przez Staśka. Ostatnio obracał nimi tak intensywnie, że nie wiem, kiedy miał czas na wyrabianie chleba. Może mielenie ozorem zastępowało mu ugniatanie ciasta.

Najwyraźniej pół Zielonego Jaru przewinęło się już przez sklep Pietra, wynosząc stamtąd setki mało atrakcyjnych, za to tanich kubków. Jamiołkowa, gdy spotkałam ją przed piekarnią, uznała, że po prostu musi mi zrelacjonować rozmowę, którą odbyła z Pietrem.

- Zapytałam go, jakim cudem może mieć te kubki takie tanie. Wiesz, co mi odpowiedział? - Zerknęła na mnie małymi, głęboko osadzonymi oczami okrągłymi jak guziczki. Za ich sprawą zawsze kojarzyła mi się z kurą.

- Nie mam pojęcia - odparłam, wiedząc, że bez wątpienia za chwilę mi powie i wcale mi się to nie spodoba. Miała ten gorączkowy błysk w oku, jakby nie mogła się doczekać mojej reakcji.

- Powiedział, wyobraź sobie, że jego ceny są zupełnie normalne i widocznie ktoś był zbyt chciwy i wyceniał skorupki tak drogo, że teraz mam szok poznawczy. Rozumiesz? Szok poznawczy! Ja mu na to, że kupiłam dość ceramiki u ciebie i u Pawła, by wiedzieć, ile kosztuje kubek, a on, dasz wiarę, stwierdził, że musieliście mieć znowę cenową!! Sam za to nie zawiązuje klik i nie cycka klientów!!! - Z każdym zdaniem hojniej sypała wykrzyknikami.

A ja czułam w bebechach coraz ciaśniejczy węzeł. Tu chodziło o coś gorszego niż pomówienie o nieuczciwą konkurencję, dumpingowe ceny czy niszczenie rynku. To było oszczerstwo i psucie mi reputacji. I reputacji Pawła, który nie mógł się już bronić! Pietro nic o mnie nie wiedział, ale wyraźnie dążył do tego, by wypchnąć mnie z rynku. Czemu, do diaska, tak się wziął?

Przez ponad dwadzieścia lat w Zaułku Garncarzy istniały dwie pracownie i obie radziły sobie znakomicie. Mieliśmy z Pawłem na tyle różne style i specjalizacje, że nie wchodziliśmy sobie w parady. Paweł preferował porcelanę, stronił od tradycyjnych naczyń stołowych, które uważał za nudne. Odlewał w formach piękne lampy i delikatne żyrandole z cienkich, przejrzystych po podświetleniu płytek, pobrzękujących jak wietrzne dzwonki przy każdym ruchu. I jakby dla równowagi dla tej wymagającej i delikatnej porcelany tworzył też raku,

z jego brutalną nieprzewidywalnością. Prawie nie korzystał z koła garncarskiego, podczas gdy ja spędzałam przy nim większość czasu.

Nawet nie wiedziałam, w czym, poza sztafą i tanioczą, specjalizuje się Pietro.

Naprawdę zaszedł mi za skórę. Byłam wściekła z powodu jego oszczerstw i brudnych chwytów. Doskwierał mi jak kolec pod paznokciem, ziarenko piachu pod powieką. Miałam wrażenie, że wszyscy o nim mówią, przynoszą mi świeże plotki, kolejne litanie obraźliwych komentarzy czy zdjęcia zrobione w jego sklepie, bym na własne oczy mogła zobaczyć, że półlitrowe kubki wycenił na dziesięć złotych.

Czy siedząc przy kole garncarskim, z mokrymi dłońmi przyciśniętymi do nieposłusznej bryły, snułam fantazje o uduszeniu gada? Być może. Dopuszczałam też mniej drastyczne metody usunięcia go z Zielonego Jaru. Gdyby na przykład ludzie zdecydowali się obtoczyć go w smole i pierzu, a potem wywieźć na taczce za rogatki, nie miałabym nic przeciwko.

To były emocje, surowe i dzikie. Ale zdrowy rozsądek też miał do Pietra i jego sklepu poważne zastrzeżenia. Coś mi nie grało w tym całym biznesie. I nie chodziło nawet o ceny, których nie dało się uzasadnić względami ekonomicznymi, bo musiałby sprzedać tysiące kubków po dziesięć złotych, by zarobić na ZUS i czynsz, tylko o te cholerne dostawy!

Wyraźnie nie chciał, by rzucały się w oczy. Białe, generyczne furgonetki bez jakichkolwiek napisów czy symboli na pace przyjeżdżały przed szóstą albo po zmroku. Parkowały tyłem pod samymi drzwiami sklepu, a potem kierowca opuszczał platformę i wywoził na dwukołowym wózku duże drewniane skrzynie.

Widniało na nich słowo „Azulejos” – tak Portugalczycy nazywali kafelki. Ledwie dało się je dostrzec pod dokumentami z urzędu celnego i transportu morskiego. Widziałam podobne oznaczenia na skrzyniach, w których znajomy sprowadzał meksykańskie umywalki i sedesy. Żartował, że mnogość wielobarwnych pieczętek niemal dorównuje pstrokaciznie towaru w środku.

Nie umiałam powiedzieć, co właściwie przykuło moją uwagę. Może to, że do Terra Ruda zwożono cholernie dużo płytek jak na sklep, który

nie miał ich w ofercie.

O czym się dowiedziałam od Joanny Kowalczyk. Moja potencjalna klientka nadal się nie zdecydowała, jakie chce kafle na ścianę, mało tego, postanowiła utrudnić sobie wybór, poszerzając pulę możliwości. Być może była jedyną mieszkanką Zielonego Jaru, która po pierwszym kontakcie z Pietrem poprzysięgła, że nigdy więcej jej noga nie stanie w jego sklepie. Wpadła do mnie bezpośrednio po tym spotkaniu, roztrzęsiona, i wyrzucała z siebie relację, ledwie robiąc przerwy na oddech.

- Nakrzyczał na mnie, pani Ruto! To gbur! Ja tylko zapytałam, czy mogłabym obejrzeć kafelki, bo, widzi pani, widziałam, że stoją tam te skrzynie z napisem „Azulejos”, przecież ja mam na Pintereście te portugalskie, takie ładne jak szkiełka w kalejdoskopie, i pomyślałam, co mi szkodzi rzucić okiem, zapytać o cenę, wie pani, żeby mieć porównanie, nie żebym u niego chciała kupować, co to, to nie, ale, no rozumie pani, tak orientacyjnie. - Zaczerwieniła się, jakby nagle dopadły ją wyrzuty sumienia, że zamierzała zdradzić mnie z konkurencją.

Zachęcająco pokiwałam głową, dając jej rozgrzeszenie, którego ewidentnie potrzebowała, by kontynuować opowieść. I faktycznie, westchnęła z ulgą.

- Pani Ruto, to jest chamidło! Ledwie o nie zapytałam, wydarł się na mnie! Nazwał mnie wścibską babą! Babą! Jakbym była po sześćdziesiątce! I powiedział, że on żadnych kafli nie ma, kubki ma, talerze ma, wazony ma, a nie płytki! - Joanna nie tylko naśladowała jego głos, ale też wymachiwała rękami jak przerysowana wersja południowca. - Więc ja mu mówię, że przecież widzę tamte skrzynie pod ścianą, napisane jak byk, że „Azulejos”, że głupia nie jestem, jak nie zamierza sprzedawać albo nie chce mu się wyłożyć towaru, jego prawo, choć niezbyt to mądre, ale po co się wypierać? I wtedy, pani Ruto, jakby go szlag trafił! Wyrzucił mnie ze sklepu, wyobraża to sobie pani? Złapał mnie za rękę i wyrzucił! A mnie tak zamurowało, że nawet nie protestowałam! Siniaki będę miała! Gbur i buc!

Zgodziłam się z nią i zaproponowałam szklanekę wody, bo wciąż była czerwona na twarzy, jakby od apopleksji dzieliły ją sekundy. Napiała się, ochłonęła, a potem, ku mojemu zdziwieniu, powiedziała:

- A w ogóle, wybrałam kafelki. Chcę taki plaster miodu, w musztardowym kolorze, ale z lekkimi złotymi akcentami.

Spisałam detale i obiecałam, że zabiorę się do pracy za dwa, może trzy tygodnie, kiedy zamknę temat japońskiego zlecenia. Tym samym dawałam jej jeszcze kilka dni na zmianę zdania. Nie wykluczałam, że dokonała wyboru pod wpływem uderzenia adrenaliny, bo znałam Joannę, odkąd była małą dziewczynką, i wiedziałam, że nie ma w niej za grosz spontaniczności. Ale może dzisiejszy dzień okazał się wyjątkiem? Najpierw wyklócała się z Pietrem o kafle, a potem nagle doznała przebłysku woli i decyzyjności? Widywałam dziwniejsze rzeczy.

Jak na przykład tę samą furgonetkę, która po zmroku znów zaparkowała przed Terra Ruda. Kierowca i Pietro wpakowali do niej te same skrzynie kafelków, których podobno nigdy w sklepie nie było.

*

Być może popadałam w lekką obsesję i widziałam przejawy złośliwości Pietra tam, gdzie była tylko złośliwość losu? Przynajmniej tak sądziła Amelia, ale ona nie spotykała faceta każdego dnia i nie wysłuchiwała jego impertynencji. To nie o niej rozповідаł na lewo i prawo, że jest chciwą babą, która doi klientów i której wyroby nie są warte ułamka swojej ceny.

Owszem, popadałam w obsesję. Przez kilka dni przychodziłam do pracowni jeszcze wcześniej i zostawałam aż do nocy, wypatrując ciężarówki i kolejnych skrzyń. W końcu Amelia przyjechała po mnie, żebym nie wracała rowerem po ciemku.

- Nie pozwolę, byś skończyła jak Paweł - powiedziała drżącym głosem.

Zostawiłam więc rower pod sklepem i wróciłam z nią do domu. Rano dotarłam do pracy później niż zwykle, bo Amelia podrzuciła mnie w drodze do szpitala. Opony i dętki w moim rowerze wisiały w strzępach, jakby w nocy rozszarpało je dzikie zwierzę.

Pietro wyglądał przez okno swojego sklepu, bardzo z siebie zadowolony.

Puszczaly mi nerwy. Na tyle, że zleciały się wszystkie okoliczne sroki. Zawsze były wrażliwe na magię wypływającą ze mnie pod wpływem silnego wzburzenia. Obsiadły linię wysokiego napięcia i rynnę

i skrzeczały pocieszająco. Potarłam twarz, próbując odzyskać nad sobą kontrolę.

Przez większość życia trzymałam swoją magię na wodzy. Pamiętałam aż za dobrze, co się działo, kiedy mieszałam ją z emocjami, gdy puszczały mi hamulce. Niestety teraz nie było takiej ilości herbaty z melisy i rumianku, która zdołałaby mnie uspokoić.

Sroki za oknem darły się wniebogłose, jakby wyczuwały nieuniknione. Jeszcze myślałam, że dam radę, że jestem silniejsza niż biała wściekłość, która huczała mi w głowie i przesączała się z moich dłoni na blat roboczy, aż wszystko dygotało.

Aronia

Nie posuwali się do przodu. Macioszek i Szwabik, nie mogąc się dogadać z Rybikiem, rozłożyli się w sali konferencyjnej ratusza ze swoim „sztabem”, ale poza żłobaniem kawy tylko pierdzieli w stołki i wisieli na telefonie. Gdy wchodziłam, w pośpiechu zamykali porozkładane na stole teczki. Naciskałam na odpowiedzi, a oni odsyłali mnie do wszystkich świętych i radzili zostawić sprawę w rękach profesjonalistów. Gdybym jeszcze miała takowych pod ręką!

Sprawdzali mieszkańców miasta. Wchodzili do mego biura jak do siebie i zadawali najdurniejsze pytania. Skąd Wrocławski miał kasę na swoje stacje benzynowe? Czy wiem, że Potoccy wydają więcej, niż zarabiają, i co roku stać ich na wakacje w Tunezji? Czy to nie frapujące, że stara Traszka ma aż trzy domy, które wynajmuje? A Śliwińscy rozbudowali swój hotel w zakolu rzeki. Taka inwestycja to kupa kasy, nie?

Krew mnie zalewała. To byli moi sąsiedzi. I cholernie ciężko pracowali na to, co posiadali. Wiedziałam dokładnie, skąd Wrocławski miał pieniądze na stację benzynową – sprzedał ziemię Drzewieckim, kiedy chcieli powiększyć szkółkę leśną. Potoccy nie tylko prowadzili dobrze prosperujący zakład pogrzebowy, ale też od lat inwestowali na giełdzie, do czego mieli rękę. Stara Traszka wolałaby nadal mieć dwóch synów, a nie odziedziczyć ich domy po tym, jak pierwszy zginął w wypadku samochodowym razem z młodą żoną i trzyletnią córeczką, a drugi ledwie dwa lata później zmarł na nowotwór trzustki. Z kolei Śliwińscy mieli inwestora i kredyt w banku, który spłacać pewnie za trzydzieści lat.

Smutni panowie przyjmowali te wyjaśnienia z powątpiewaniem, które doprowadzało mnie do szewskiej pasji.

Najgorsze było to, że sama zaczęłam przyglądać się podejrzliwie sąsiadom. Czy któryś pasowałby do biznesu narkotykowego? Czy to jeden z tutejszych sprowadził tu tę zarazę? Czy komuś wiodło się lepiej niż dotąd? Czy osiedlił się ktoś nowy, kto podejrzenie szastał forszą?

Mieliśmy w Zielonym Jarze swoich Januszów biznesu, cinkciarzy, speców od małych i większych przekrętów. Do cholery, mieliśmy

Dziurlikowskiego! Ale choć nie znosiłam gnoja, nie umiałam sobie wyobrazić, że posunąłby się do handlu narkotykami i konszachtów z kartelem. Może i szkoda, bo za jednym zamachem pozbyłabym się obu problemów, długoterminowego i całkiem nowego. Może młody Dziurlikowski, który miał paskudny charakter i wrodzoną niechęć do pracy, nadawałby się na podejrzanego, ale jak na złość wyjechał z Zielonego Jaru po jakiejś awanturze z ojcem i od miesiący nikt go nie widział.

Wracałam do domu po całym dniu takiej kołomyi zmordowana i sfrustrowana, po czym rzucałam się na czekoladki lub otwierałam wino. Chciałam tylko, by to się skończyło, by intruzi aresztowali winnych i zniknęli z Zielonego Jaru, dzięki czemu wszystko mogłoby wrócić do normy, a my znów oddalibyśmy się zmaganiom z naszymi małymi, lokalnymi sprawami, zbyt nudnymi, żeby zainteresował się nimi ktokolwiek z zewnątrz. Czy naprawdę oczekiwałam zbyt wiele?

Ruta

Naprawdę próbowałam o nim nie myśleć i robić swoje. Zapakowałam pierwszą partię idealnie podsuszonych talerzy, a potem ustawiłam parametry wypalania biskwitu i uruchomiłam program. Posprzątałam półki w suszarni, przygotowując je do ustawienia kolejnej porcji naczyń. Miałam tu za mało miejsca, by zmieścić sto kompletów – łącznie pięćset elementów! – więc zlecenie musiało powstawać partiami. Przyczepiłam do każdej półki karteczkę z datą umieszczenia wyrobów w suszarni, by nie pomylić kolejności wypalania.

Było to trochę jak żonglowanie i alchemia w jednym. Naczynia musiały być wystarczająco suche, by nie rozsadziło ich w piecu, ale brakowało mi czasu i miejsca, żeby leżały tu w nieskończoność. Do tego potrzebowałam czasu na pomalowanie wypalonych biskwitów i drugie wypalanie już ze szkliwem. Odnosiłam wrażenie, że niezależnie od tego, jak szybko będę pracować, na końcu dostanę zadyszki. Nigdy dotąd nie musiałam sprostać tak dużemu zleceniu z tak krótkim deadline’em i teraz podejrzywałam, że wcześniej po prostu byłam rozsądniejsza i mierzyłam siły na zamiary. Zresztą Paweł, gdyby żył, na pewno pozwoliłby mi wypalać część wyrobów u siebie, w swoim większym i nowocześniejszym piecu.

Po godzinie w suszarni lekko zakręciło mi się w głowie. Temperatura w pomieszczeniu niewiele przewyższała tę na zewnątrz i pozostawała na tym samym poziomie przez cały dzień. Wyciąg pozwalał lepiej kontrolować wilgotność, dzięki czemu glina nie wysychała za szybko – co zdarzało się, zanim zbudowałam suszarnię – i na ściankach naczyń pojawiały się pęknięcia. Byłam zmęczona i odwodniona, wyszłam więc z suszarni i zamknęłam za sobą drzwi. Potrzebowałam herbaty i chwili odpoczynku, zanim znów siądę do koła.

Przeszłam na tyły pracowni, gdzie mały stolik i dwa sterane fotele tworzyły kącik socjalny. Napełniłam czajnik wodą i go włączyłam. A przynajmniej próbowałam. Nie działał. Pstrykałam włącznik kilka razy, bez rezultatu. Sprawdziłam wtyczkę, a potem, pełna najgorszych przeczuć, nacisnęłam włącznik światła. Nic, kaput. Dopiero teraz

dotarło do mnie, że nie słyszę szmeru lodówki ani szumu wiatraka w warsztacie. Cholera!

Piec też padł. Panel kontrolny, który powinien jarzyć się przyjemną zielenią, teraz był wygaszony.

Sprawdziłam skrzynkę z bezpiecznikami. Znajdowały się we właściwej pozycji, ale wskaźnik napięcia był niepokojąco ciemny, nie świeciła się ani jedna lampka. Padły wszystkie fazy. Nie miałam prądu w całym lokalu!

Sfrustrowana wyszłam na ulicę i zajrzałam do piekarni.

- Stasiu, u ciebie też nie ma prądu? - zapytałam.

Wskazał na świecące się lampki na piecu i cyfry na kasie fiskalnej.

Zmełłam przekleństwo i wróciłam do siebie szukać źródła awarii.

Szybko znalazłam przyczynę. Drzwiczki do zewnętrznej skrzynki elektrycznej, zawsze zabezpieczone kłódką, teraz były uchylone. Kłódka, w dwóch kawałkach, leżała na ziemi. A w środku dokonano istnej rzezi.

Kable i złączki wisiały w strzępach, a bezpieczniki spowijała gruda zaschniętej pianki poliuretanowej. Co, do kurwy jerychońskiej?

Przez dobre dwie minuty zaglądałam do wnętrza skrzynki jak do gniazda wściekłych żmij, wreszcie otrząsnęłam się na tyle, by poszukać rozwiązania.

Wróciłam do pracowni po telefon i wybrałam numer Mariana Brzęczka. Był złotą rączką i naprawiał mi już niejedną rzecz w domu i sklepie. Zawsze powtarzał, że jeśli będę potrzebować mężczyzny, mam walić do niego jak w dym.

Gdy usłyszał, co zastałam w skrzynce, cmoknął posepnie i powiedział:

- No nie brzmi to optymistycznie, Ruto kochana, ale już lecę rzucić okiem.

Martwiłam się o talerze w piecu. Czułabym się spokojniejsza, gdyby to było ich drugie wypalanie. Nie powinno im się nic stać, powtarzałam sobie, nie wybuchną tylko dlatego, że zaczęły już stygnąć, o ile w ogóle piec zdążył się mocno nagrzać. Na to, by dobił do temperatury redukcji, było jeszcze za wcześnie. Tyle że w garncarstwie nic nie jest oczywiste, pewne na sto procent i w pełni przewidywalne. Nigdy, nawet w najlepiej kontrolowanych warunkach, nie da się do końca

przewidzieć, co się wyciągnie z pieca. Zwykle ten element zaskoczenia mnie pociągał. Dziś jakby mniej.

Czekałam na Mariana, wpatrując się w zawartość skrzynki. To nie był szczeniacki numer, ale sabotaż. Nie potrafiłam się pozbyć wrażenia, że stał za tym Pietro. Spojrzałam w górę. Sroki obsiadły każdy metr linii energetycznych i krawędzie rynien.

- Widziałyście coś? - zapytałam z nadzieją.

Unikały mojego wzroku, pełne skruchy, że nie zdołały mnie ochronić przed krzywdą.

*

Wiedziałam, że jest źle, nie sądziłam jednak, że aż tak. Marian nie pozostawił mi złudzeń. Wyjaśnił, że muszę się zwrócić do energetyki z wnioskiem o przeniesienie skrzynki, a konkretnie jej obniżenie, aby dało się ją podłączyć do ocalałych przewodów. Mógł to zrobić tylko uprawniony monter. Zniszczenie skrzynki zewnętrznej będącej własnością dystrybutora energii jest przestępstwem, musiałam więc zgłosić to na policję, inaczej mogli mnie obciążyć karą. I tak czekało mnie pokrycie kosztów za usługę monterską, ale to pikuś w porównaniu z sankcjami formalnymi.

- A jak zgłoszą do kolegium, to w ogóle kiszka - przyznał Marian, drapiąc się po czubku głowy.

Kiszka to mało powiedziane, pomyślałam, zaciskając szczęki tak mocno, że zazgrzytały mi zęby, a w uszach poczułam napięcie.

Więc wezwałam policję. Przyjechali. Spisali raport. Odmienili niską szkodliwość czynu przez wszystkie przypadki. A gdy zasugerowałam, że powinni się przyjrzeć Pietrowi jako potencjalnemu sprawcy, sierżant Rybik sapnął z niezadowoleniem:

- Czy ma pani jakiegokolwiek dowody, czy też tak sobie uprawia niezdrową konkurencję i rzuca oszczerstwa na kolegę po fachu?

Zacisnęłam powieki, bo zaczęłam widzieć białe kręgi. Musiałam oddychać. Jeśli stracę kontrolę, będzie afera na całe miasto. Odwróciłam się plecami do policjantów, skrzynki i zmartwionego Mariana i starałam się wyciszyć emocje, zanim rozbuchają się do białego szkwału, przez co wszyscy będziemy mieć przejebane.

Sroki wyczuły wypływającą ze mnie magię, więc rozkrzyczały się w jednej chwili.

- Może się zajmiecie zbieraniem dowodów, sprawdzicie odciski palców, poszukacie świadków? Będziecie robić swoją robotę, a ja wrócę do własnej? - powiedziałam, kiedy wreszcie udało mi się opanować.

Zanim Rybik zdobył się na ripostę, Grześ Drzewiecki, który dojechał kilka minut po sierżancie, okazał się rozsądniejszy i zapewnił, że zrobią, co w ich mocy. Staralam się ignorować zwątpienie, które słyszałam w jego głosie.

Nie mogłam wrócić do pracy przed usunięciem awarii. Pomyślałam, że może już czas, by lokalne władze dowiedziały się o niezadowoleniu społecznym.

Pomaszerowałam do ratusza.

Aronia Koźlak mogła być burmistrznią, ale jako moja młodsza siostra musiała mi się z paru rzeczy wytłumaczyć.

*

Sekretarka próbowała mnie zatrzymać, na to jednak byłam zbyt zdeterminowana. Znow widziałam białe kręgi po tym, jak w drodze tutaj odbyłam rozmowę z pracownikiem energetyki na temat terminu robót. Tydzień. Przy dobrych wiatrach, tak powiedział. Przez ten czas będę bez prądu. A gdy fachowcy wreszcie przyjadą, będzie mnie to kosztowało małą fortunę. Dużą, jeśli z powodu tego przestoju nie zdołam zrealizować zamówienia dla japońskiej restauracji.

Gdybym jeszcze raz usłyszała: „Nic nie możemy zrobić” albo „Musi pani złożyć podanie w tej sprawie, ale czas rozpatrywania podań to trzydzieści dni roboczych”, mogłabym zmieść to miasto z powierzchni ziemi...

Aronia uniosła oczy znad papierów na biurku, a dwóch smutnych panów w garniturach odwróciło się w moją stronę z dezaprobatą. Siostra z miejsca rozpoznała znaki, więc poprosiła gości, by poczekali na zewnątrz.

- Co się dzieje? - zapytała, wbijając we mnie świdrujące spojrzenie, odziedziczone po naszej matce. Choć Aronia nigdy nie przerażała mnie tak jak Delfina.

- Co się dzieje? Już ci mówię. Pozwoliłaś osiedlić się tu facetowi, który próbuje mnie zrujnować. Kradnie mi markę, rzuca oszczerstwa, nastawia przeciwko mnie klientów, a gdy to wszystko nie zadziało, sabotuje mnie! Odciał mi prąd! Będę tydzień czekała na ekipę z energetyki, może dłużej! I zapłacę jak za zboże! A ta gadzina pozostanie bezkarna, bo miejscowa policja uważa, że szkodliwość czynów jest niska! NISKA! - Zacisnęłam powieki, bo znów wirowały mi przed oczami białe kręgi.

- Ruto kochana, jak by to wyglądało, gdybym się nie zgodziła? Kupił lokal za gotówkę. Dopelniał wszelkich formalności. Ba, zarejestrował się w związku lokalnych przedsiębiorców. Co miałam zrobić? Zakraść się po nocy i podtruc go herbatką z rtęcią? Żebyś nie miała konkurencji? - zapytała Aronia przyciszonym głosem.

Ta mieszanka troski i sarkazmu doprowadzała mnie do szału. To akurat siostra odziedziczyła po babci Narcyzie i władała tym mieczem z irytującą finezją i skutecznością.

Skuliłam się na krześle.

- Nie chodzi o konkurencję. Chodzi o zasady. I o działanie na szkodę. I o to, że nie czuję się bezpiecznie we własnej pracowni. - Głos mi się trochę łamał, kiedy przyznałam to głośno. Złość uleciała, zostały tylko przygnębienie i frustracja.

- Dokumentuj, co się da. Zamontuj kamerę, to pomoże, gdy dojdzie do procesu. Po wszystkim go pozwiemy.

- Po wszystkim? - zapytałam, nie rozumiejąc.

Mam czekać, aż mój biznes upadnie? Czy powinnam gromadzić „okoliczności łagodzące” na wypadek, gdybym musiała się tłumaczyć z zamordowania tego typu? Nie powiedziałam tego głośno, ale znałyśmy jedna drugą na wylot.

- Proszę, czy możesz się wstrzymać z mordowaniem przynajmniej do czasu, aż ulotnią się stąd smutni panowie z CBS? - poprosiła i przez chwilę spod sarkazmu wychyliła się szczerą rozpacz.

Aronia miała twardy charakter, była opoką naszej rodziny i głową sabatu. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam ją w desperacji i bez typowej dla niej otoczki pewności siebie. Nawet kiedy siedziała w areszcie z wiszącą nad nią groźbą utraty stanowiska,

emanowała energią królowej ula i ujeżdżaczki byków, która cechowała ją od małego.

- Co się dzieje, młoda? - zapytałam, korzystając z przywileju starszej siostry.

Uśmiechnęła się blado, najbardziej wymuszonym i najmniej wiarygodnym uśmiechem świata.

- Mamy poważne kłopoty. Naprawdę poważne - wyznała. - I kompletnie nie wiem, jak sobie z nimi poradzić. W kostnicy leżą dwa trupy, a Zielony Jar jest w jakiś niepojęty sposób zamieszany w przemysł narkotyków. Ci dwaj są z CBS i z trudem udało mi się ich przekonać, że nie szefują lokalnemu kartelowi. Nie mam pojęcia, jak wybrnąć z tego gówna.

Potarła twarz w geście frustracji, nie przejmując się, czy jej makijaż to wytrzyma. Zrobiło mi się głupio. Nagle własne problemy wydały mi się mało istotne.

- Czy możemy coś zrobić? - zapytałam cicho.

- Jako sabat? Zupełnie nic. Ci z CBS patrzą mi na ręce. Prześwietlają wszystko i wszystkich w obrzydliwy sposób, a ja zaczęłam się modlić, by któryś z mieszkańców faktycznie okazał się gnidą umoczoną w to gówno, żeby mogli go zamknąć i skończyć tę idiotyczną aferę. Chcę odzyskać nasze miasto...

- Przykro mi - powiedziałam szczerze, wstając z krzesła.

Poczułam się fatalnie z myślą, że zawracałam jej głowę idiotą i sabotażem.

- Ruta, zajmijmy się tym, słowo! - zawołała za mną Aronia.

Kiwnęłam jej na pożegnanie i wyszłam z gabinetu.

Dotarło do mnie z całą mocą, że szanse na wywiązanie się ze zlecenia japońskiego są niewielkie. Byłam w dupie. Głębokiej i ciemnej.

Zastanawiałam się, czy zadzwonić do pani Hiromi, ale na razie nie mogłam się na to zdobyć.

Miałam ochotę zwinąć się pod kocem i płakać w kubek lodów. A potem wyzalić się Amelii, gdy wróci z pracy. Później będę kombinować i układać nowy plan, na razie musiałam trochę ochłonąć.

Malina

Skończyłam zmianę i ledwo trzymałam się na nogach. Ze zmęczenia i głodu nie mogłam myśleć. W normalnych okolicznościach wróciłabym do domu i zrobiła najazd na lodówkę, w której powinno być coś więcej niż światło i pół słoiczka tahini, ale tuż przed końcem zmiany zadzwoniła Aronia.

- Mogłabyś zajrzeć do cioci Ruty? - poprosiła. - Odwiedziła mnie dziś w ratuszu. Konkurencja zachodzi jej za skórę, myślę, że nie tylko, martwię się, ale nie dam rady się wyrwać do dziewiętnastej.

Dlatego teraz zmierzałam do Terra Ruta, z indyjskim żarciem na wynos. Mama zamówiła je z wyprzedzeniem, więc czekało na mnie, gdy weszłam do knajpki. Nawet z CBS na głowie była lepiej zorganizowana niż ja.

W oknach się nie świeciło - no tak, mama wspomniała o zniszczeniu skrzynki bezpiecznikowej. Bałam się, że nie zastanę cioci i będę musiała podskoczyć po auto, żeby pojechać do jej domku w lesie, jednak gdy nacisnęłam klamkę, drzwi ustąpiły.

W pomieszczeniu panował półmrok. Nie widziałam wszystkich szczegółów, za to z głębi, z części, w której mieściła się pracownia, przesączało się ciepłe światło ognia. W pierwszym momencie płomień mnie wystraszył, skojarzył się z pożarem, pewnie przez tę historię z sabotażem, ale to tylko kilka płonących świec na płaskim talerzu oświetlało roboczy stół. Ciocia Ruta siedziała na swoim krześle ergonomicznym, z twarzą ukrytą w dłoniach, zgarbiona i cicha. Zawsze trzymała swoją magię na wodzy, jakby była czymś niebezpiecznym czy wstydliwym. Tłumiła ją do tego stopnia, że mogłaby uchodzić za w pełni człowieka. Teraz czułam niespokojną magię, która otaczała kobietę ciemną chmurą, zaczepiała niby drżące macki. Gdybym miała instynkt samozachowawczy, pewnie zareagowałabym odruchem ucieczki, wywołanym tą niestabilną plątaniną emocji i magii, ale byłam Koźlaczką. Na skutek wady fabrycznej nigdy nam nie zainstalowano instynktu samozachowawczego.

- Ciociu? - odezwałam się zaniepokojona.

Uniosła głowę. Miała zaczerwienioną twarz przypuchniętą od płaczu, z oczu wycierała rozpacz. A jednocześnie kłębowisko magii i emocji wsiąkało w nią, aż całkiem znikło, jakby nigdy nie istniało. Może bym uwierzyła, gdybym wciąż nie czuła gęsiej skórki na karku po tym, jak mnie musnęło.

- Malinka? Co ty tu robisz? - zapytała cicho.

Mama miała rację, nie brzmiała jak Ruta. Ciocia była twarda, asertywna, pewna siebie. Dziś mówiła jak osoba pokonana, w której nie zostało już ani odrobinki nadziei.

- Pomyślałam, że z nikim mi się lepiej nie będzie jadło tikki masali. Mam też nieprzyzwoitą liczbę czosnkowych ćapati i pełne pudełko samosów warzywnych. I dwie butelki lassi z mango - powiedziałam, stawiając na stole wypchaną torbę.

Ciocia Ruta uwielbiała indyjskie jedzenie. To z nią pierwszy raz jadłam curry i poznałam obłądny smak ostatniego kawałeczka placka, którym wycierasz dno miseczki, a potem wsadzasz go do ust i oblizujesz palce, umazane masłem czosnkowym i sosem. Miałam prawie siedem lat i to doznanie było najbliższe ziemskim rozkoszom, jakich mogłam doświadczyć w tym wieku.

Zachciało mi się śpiewać z radości, kiedy teraz uśmiechnęła się ciepło, z wciąż lśniącoymi od łez oczami, i powiedziała:

- Cudownie, umieram z głodu. To bardzo miłe z twojej strony, kochanie.

- Mama dała mi znać, że masz gorszy dzień - wyjaśniłam, wykładając pojemniki na stół.

Wiele lat temu ona nakarmiła siedmioletnią mnie, gdy dowiedziała się, że ktoś złamał mi serce. Mikołaj był moim kolegą z przedszkola. Na spacerach trzymaliśmy się za ręce, w czasie leżakowania spaliśmy obok siebie, podczas posiłków oddawałam mu swoją porcję mięsa, a on dzielił się ze mną deserem. Na maksa zaangażowałam się w ten „związek”. A potem przyszła zerówka i wszystko się rozleciało. Według dzisiejszych standardów Mikołaj był prekursorem ghostingu. Z dnia na dzień z jego dziewczyny stałam się „tą laską, której w ogóle nie kojarzy i się do niej nie odzywa, bo sam jest zbyt cool”. Zabołało, bardzo. Zalana łzami, schowałam się w gabinecie pielęgniarki szkolnej i odmówiłam wyjścia. Ponieważ pielęgniarce nie udało się

skontaktować z Aronią, zadzwoniła do cioci Amelii, partnerki cioci Ruty, dała jej znać, że małe Kozłaczatko histeryzuje, więc byłoby super, gdyby ktoś z rodziny mógł po nie wpaść.

Dwadzieścia minut później w progu ambulatorium stanęła ciocia Ruta. Nie śmiała się ze mnie, nie krzyczała, nie kazała mi poprawić korony i iść utrzyć wszystkim nosa (na co pewnie nalegałaby Aronia), ale przytuliła mnie mocno i powiedziała:

- Czasami, kochanie, potrzebujemy chwili, by serduszko się zrosło. Będzie całe, obiecuję, a teraz chodźmy i zróbmy coś, co mu się pomoże uleczyć.

Następnie zabrała mnie do siebie do domu, nakarmiła curry, pozwoliła się wygadać, nauczyła tańca „uwolnionych smutków” do piosenek Cyndi Lauper, a gdy już poczułam się trochę lepiej, posadziła mnie przy stole w pracowni w szopie za domem i pokazała, jak lepienie z gliny pomaga pozbyć się resztek rozpaczy. Nigdy tego nie zapomniałam. Czułam się wtedy widziana, zrozumiana i potraktowana może nie jak dorosła, ale i nie jak dziecko. Gdy po całym dniu zabawy ciocia Ruta odwoziła mnie do domu, miałam dużo lepszy nastrój i nawet nie pamiętałam już o Mikołaju.

- Jeśli trzeba, odpalę na komórce *Girls Just Wanna Have Fun* - dodałam.

Ciocia się uśmiechnęła i tym razem światełko sięgnęło jej oczu, a ja nabrałam pewności, że ona też pamięta tamten dzień.

- Zacznijmy od jedzenia - powiedziała.

Przysunęłam sobie krzesło do stołu roboczego i pootwieraliśmy wszystkie pojemniki. Ciocia przyniosła z szuflady dwie łyżki, a z półki z towarem dwa nowiutkie talerze. Ponakładałyśmy na nie ryżu, sosu, pierożków i przez chwilę po prostu jadłyśmy. Gdy zaspokoiliśmy pierwszy głód, zagaiłam:

- Jak mogę ci pomóc, cioteczko? Mam mu gębę obić? Sprawić, że zniknie i nikt nigdy nie znajdzie ciała? Zrobić komiks, w którym przy każdej okazji potyka się o własne nogi i spadają na niego to kowadło, to fortepian?

- To ostatnie brzmi naprawdę nieźle. Tyle że poza satysfakcją niewiele mi da. Nie rozwiąże mojego najważniejszego problemu - stwierdziła przygaszonym głosem.

- Czyli?

Wtedy opowiedziała mi o japońskiej restauracji, zamówieniu życia, deadline i o tym, jaką komplikacją stał się brak prądu.

- A nie możesz się na kilka dni przenieść do swojej starej pracowni? - zapytałam.

- Wszystko mam tu, w szopce od dawna stoją tylko rowery i narzędzia ogrodnicze - powiedziała cicho.

- Możemy przewieźć tam rzeczy, a potem, gdy już podłączą ci prąd, przywieziemy z powrotem - zaproponowałam. - To naprawdę nie problem. Przez kilka dni możesz pracować w szopie, bez przerw na obsługę klientów czy wysłuchiwanie plotek. Skupisz się na zleceniu i nadgonisz robotę. A kiedy piec znów będzie na chodzie, będziesz już miała sporo podsuszonych naczyń gotowych do wypalania - przekonywałam.

Zerknęła na swoje wielkie i nowoczesne koło garncarskie.

- Ono na pewno nie zmieści się do autka Amelii - powiedziała z namysłem.

- Klon ma furgonetkę, a pomaganie innym cieszy go prawie tak bardzo jak kiełkujące nasionka. Nawet nie mrugnie, gdy załadujesz mu pakę gliną czy narzędziami, bo gorsze rzeczy tam woził. Glina przynajmniej nie capi obornikiem.

- Naprawdę mógłby mi pomóc? - zapytała niepewnie.

- Oczywiście, masz to jak w banku. On nas naprawdę rozumie, wiesz? Rozumie, co to znaczy być Koźlaczką.

Uśmiechnęła się łagodnie i znów zaszklily się jej oczy.

- Dziękuję, Malinko. Dziś przygotuję miejsce w szopie, a jutro możemy przewieźć rzeczy. Pewnie nie zdążę, ale przynajmniej spróbuję...

Czasami tyle wystarczy, by nie kiwać się w kącie z rozpacz, pomyślałam, choć wciąż czułam niepokój i nie do końca wierzyłam, że od teraz wszystko już będzie dobrze.

Ciocia Ruta miała opinię najspokojniejszej i najlepiej kontrolującej się Koźlaczki. Można było zapomnieć, że jest potężna i niebezpieczna tylko dlatego, że nie chce, byśmy o tym pamiętali.

Nawet teraz, choć uśmiechała się do mnie łagodnie, okrucieństwo tej ciemności przeziarał z jej oczu. Miałam przeczucie, że indyjskie

jedzenie to za mało, by uleczyć rany w duszy cioci Ruty. Kłęby magii i emocji ciągle tam tkwiły, tylko lepiej schowane.

Niewykluczone, że dla dobra wszystkich powinniśmy się zająć tym pieprzonym idiotą Pietrem. Bo to, że nie wiedział, z kim pogrywa, nie znaczyło, że i my tego nie wiedziałyśmy...

Aronia

Malina знаła Rutę całe swoje życie, ale jedynie jej spokojne, opanowane oblicze. Teraz pierwszy raz zetknęła się z mroczną stroną magii mojej siostry i wyraźnie ją to zaniepokoiło, jednak nie w pełni zdawała sobie sprawę, do czego może doprowadzić utrata kontroli przez Rutę.

Mojej córki nie było na świecie przy poprzednich białych szkwałach. Nie znała Ruty w czasie dojrzewania, kiedy jej lont był krótki, a wybuchy potężne. Nie widziała, co zostało z licealnej sali gimnastycznej, która przyjęła główną siłę uderzenia magii i wściekłości mojej siostry, kiedy jakiś dureń uznał, że strasznie zabawne będzie dręczenie małej, chudej pierwszoklasistki w wielkich okularach i z trudnymi do ujarzemia lokami. Rok starsza od Ruty Jodła zwykle miała na nią oko, ale wtedy leżała w domu ze świnką, ja byłam w ostatniej klasie podstawówki, w innym budynku, więc żadna z nas nie mogła jej powstrzymać.

Rodzina oczywiście sfinansowała odbudowę obiektu, ale Ruta była przerażona własną mocą. Zamknęła się w sobie, zaczęła izolować od magii, nie chciała trenować. Pragnęła, by ludzie zapomnieli, że jest magiczna, że jest wiedźmą ziemi i należy do starej, potężnej rodziny. Chciała być tylko sobą, małą, chudą dziewczyną z sarnimi oczami ukrytymi za szklami dużych okularów. Takie małe dziewczyny nie mogłyby zrobić swemu prześladowcy nic z tego, co ona zrobiła chłopakowi, który ją dręczył. Szybciej odbudowano salę gimnastyczną i wyremontowano szkołę, niż jemu pozrastały się kości i wreszcie wypuścili go ze szpitala. Nie wrócił już do naszego liceum. Jego rodzina wyprowadziła się z miasteczka.

Przeprowadzono śledztwo, bo na pierwszy rzut oka nic się tu nie kleiło. Z jednej strony był osiemnastoletni chłopak, zawodnik drużyny siatkarskiej, metr dziewięćdziesiąt i jak nic osiemdziesiąt kilogramów atletycznego ciała, który skończył z połamanymi siedemnastoma kośćmi i wstrząśnieniem mózgu. Z drugiej - piętnastolatka, niespełna półtorametrowa, ważąca czterdzieści kilogramów, w mokrych ubraniach. Gdy strażacy do nich dotarli, on wisiał jak ukrzyżowany pod

resztkami dachu, a ona kuliała się jak myszka, w takim szoku, że zupełnie nie kontaktowała. Nie docierało do niej, że mężczyźni w uniformach przyszedli jej pomóc, wyciągnąć z ruin, więc zaczęła się bronić. Nie drgnęła, ale macki jej mocy sięgnęły w stronę strażaków, jak wcześniej w stronę chłopaka, który wpadł na idiotyczny pomysł „naprawienia lesbijki” swoim błogosławionym chujem. Rozsądnie wycofali się i poczekali, aż pojawi się Narcyza wraz z połową sabatu.

Na szczęście dla Ruty w czasie śledztwa wielu uczniów zeznawało na jej korzyść. Wszyscy widzieli, że tamten idiota ją dręczył. Paru zdawało sobie sprawę, co jej chciał zrobić tego dnia na sali gimnastycznej, w bezpiecznym, jak mu się wydawało, schronieniu za kozłem gimnastycznym, na śmierzącym potem materacu. Bali się go, nie próbowali przeciwdziałać, ale teraz urok skurwiela pękł jak jego obie kości udowe, kiedy magia Ruty obijała nim o sufit i ściany.

Myślę, że od tamtego dnia Ruta zaczęła się bać swojej magii. Nie postrzegając jej jako siły, która uratowała ją przed gwałtem, lecz jako przerażającą, trudną do ujarzżenia i niebezpieczną moc, którą lepiej ukryć głęboko w sobie.

Bez wątpienia poznanie Amelii wyciszyło część jej demonów, ale do pojednania z magią nie doszło. Może dlatego, że Amelia była w pełni człowiekiem.

Kiedy Ruta odkryła ceramikę, myślałyśmy, że wreszcie doszła do siebie. Wiedźma ziemi i glina – całkiem naturalne połączenie, prawda? Tyle że Ruta, pracując, nie sięgała po magię. W ogóle rzadko jej używała, raczej wybierała tę jej część, którą uznawała za niegroźną, jak komunikację z ptakami, ale izolowała się od tej niszczycielskiej i naprawdę potężnej. Jakby amputowała sobie tę rękę.

Magii nie można jednak odciąć jak niechcianej kończyny. I to, co zauważyła Malinka – emocje kłębiące się wewnątrz Ruty i macki jej magii – wyglądało alarmująco.

Otworzyłam laptopa i napisałam wiadomość do Róży, Lili, Minerwy, Morwy i Jodły. Streściłam sytuację i wspomniałam, że Ruta znów jest popychana za krawędź.

- Myślisz, że nadciąga biały szkwał? – napisała po chwili Róża.

- Boję się, że tak właśnie jest – odpisałam.

- Nie przesadzasz? Ruta lepiej kontroluje swoją magię niż którakolwiek z nas, stawiam ją dziewczynkom za przykład - włączyła się Lila, matka nastolatek.

- Ruta uwierzyła, że kontrola to najwyższe dobro, i jest gotowa zapłacić za nią każdą cenę - wyraziła swoją opinię Jodła.

- Ostatnio mam dziwne sny. Nie wiem, czy to przez ten kartel i CBS, czy wiąże się to z Rutą, ale coś nadciąga - napisała Minerwa. Przez chwilę jej kursor migał, a potem dodała: - Chciałabym być bardziej przydatna, niestety wizje nie współpracują.

- Nikt się nie spodziewa, że przewidzisz wszystko - odpisałam.

- Ale fajnie byłoby choć największą katastrofę, nie?

- Będziemy musiały się nieco ponarzucać Rucie ze swoją miłością - pojawiła się odpowiedź od Jodły.

- Nie bój żaby, Aronio, nie jesteś z tym sama - dorzuciła Róża.

- Czy ci agenci CBS są przynajmniej atrakcyjni? - zapytała Lila, a pozostałe zareagowały uśmiezkami.

- Wymiętolone gajerki studniówkowe i wkurzające maniery - odpisałam.

- Może choć ładni i młodzi? - chciała wiedzieć Lila.

- Nie mam tyle szczęścia - przyznałam.

- Damy radę, możesz spać spokojnie - zapewniła mnie Jodła.

Może faktycznie damy? Niestety miałam już nerwy w strzępach i wszędzie widziałam zagrożenie. Nie tylko w tajemniczym kartelu i całkiem namacalnych agentach CBS, ale też w czymś, co kryło się w ciemności.

Ruta

Wieczorem wzięłam się ostro do roboty. Wyniosłam z szopy wszystko, co gromadziłyśmy tam przez lata. Część upchnęłam w piwnicy, część ustawiłam pod ścianą szopy i przykryłam plandeką, przyznając w duchu, że gdyby ktoś w nocy ukradł te rzeczy, za żadną z nich nie uroniłabym łzy. Człowiek obrasta w masę pierdów i przydasiów, a one powolutku kradną mu życiową przestrzeń.

To właśnie w tej szopie latami spędzałam na pracy całe dni. Gdy usunęłam wszystkie te graty, znów poczułam się jak u siebie. Na ścianach wciąż wisiały półki z desek, teraz posiwiałych, bo zamontowałam je jakieś trzydzieści lat temu. Niegdyś suszyłam na nich swoje wyroby. Nawet blat roboczy nadal tu był, choć teraz stał pod ścianą. Ułożyłam go z powrotem na koziółkach stolarskich i starannie wytarłam. I najlepsze – gdy pociągnęłam sznureczek przy żarówce, rozjarzyła się światłem. A w ścianie tkwiły sprawne gniazdka, do których mogłam podłączyć niezbędne urządzenia. Daleko było mojej szopce do pracowni w Zaułku Garnarzy, ale to tu zaczynałam, stąd wyrosłam i jeśli musiałam tu wrócić, by ukończyć najtrudniejsze zlecenie w życiu, niech tak właśnie się stanie.

Amelia przyjechała ze szpitala dopiero przed północą. Zastała mnie zamiatającą drewnianą podłogę z narosłego przez lata kurzu.

- Wszystko w porządku? – zapytała, opierając się o futrynę.
- Nie bardzo. Ale może będzie – odpowiedziałam szczerze.

*

Rano mój nieśmiały optymizm się ulotnił. Dodzwoniłam się do energetyki i dostałam między oczy brutalną prawdą: monter przyjdzie nie wcześniej niż za tydzień. Mają dużo roboty, trwa sezon burzowy, po wsiach pozrywane są linie energetyczne – powinnam zrozumieć. Urzędniczka ze szczegółami wyłuszczyła mi, ile mnie ta cała zabawa będzie kosztować, a ja się zastanawiałam, czy jest cień szansy, że zdołam odzyskać choć część pieniędzy z ubezpieczenia. Czy akt wandalizmu to wypadek losowy?

Malinka faktycznie poprosiła Klona o pomoc. Pojawił się na progu mojego domu z samego rana, z pogodnym uśmiechem chłopca, który całe dni spędza na gadaniu z roślinami. Emanował spokojem, jakby przedawkował relanium. W drodze do Zielonego Jaru wchłaniałam ten spokój jak opary trawki.

- Nie ma sensu, żeby ciocia jechała rowerem - powiedział. - Ze wszystkim się pomieścimy. Ostatnio wiozłem tym autkiem tonę torfu, więc trochę gliny i bambetli wejdzie bez problemu.

Nie protestowałam. Nie czułabym się pewnie, jadąc rowerem słabo oświetloną leśną drogą.

Terra Ruta wydawała się dziwnie smutna. Z ciemnymi oknami sprawiała wrażenie opuszczonej. Część podkradzionego w czasie jazdy z Klonem spokoju natychmiast się ze mnie ulotniła. Pakowałam rzeczy do drewnianych skrzynek i wystawiałam je przed sklep, a młody Drzewiecki ładował je do furgonetki i nawet się nie zasapał. Gdy wytaszczyłam z pracowni ciężką i nieporęczną prasę do gliny, zastałam go pochylonego nad moimi donicami, w których rosły pelargonie, bratki i jeżówka.

- Czy wiesz, że ktoś je podtruł? - zapytał z zatroskaną miną.

- Może po prostu zapomniałam je podlać w tym całym zamęcie? - odparłam niezbyt bystro.

- Kilka dni temu ktoś je podlał wywarem nikotynowym, a nie dalej niż przedwczoraj doprawił jakąś mieszanką chwastobójczą - wyjaśnił cierpliwie chłopak. - Ziemia jest skażona i korzenie zaczynają obumierać.

Zakłęłam w duchu. Co ja zrobiłam temu łajdakowi, że tak się uwziął?

- Możesz je uratować? - zapytałam przez ściśnięte gardło.

- Jasne. - Klon uśmiechnął się łagodnie i zataszczył donice do furgonetki.

Gdy kończyliśmy, ze swojego sklepu wyłonił się Pietro.

- O, czyżby już kłapa? Zwijasz swój straganik? - zapytał z obłudnym uśmiechem.

- Po twoim trupie - odpowiedziałam twardo. - Byłam tu, zanim przybyłeś, będę, kiedy po tobie nie zostanie nic poza niemiłym wspomnieniem.

Zarechotał, pokazał mi środkowy palec i wrócił do siebie.

- Zabiłaś mu żonę? Uprowadziłaś szczeniaka? - zapytał Klon, patrząc w stronę drzwi, za którymi zniknął Pietro.

- Niektórzy po prostu urodzili się, by być złolami w cudzej historii - odpowiedziałam sfrustrowana.

- To on otruł twoje rośliny? - zapytał.

- Postawiłabym na to miesięczny urobek - przyznałam. - Choć nie mam żadnych dowodów, że to on stoi za wszystkimi nieszczęściami, które nękają mnie w ostatnim czasie. Policja nie przejęła się uszkodzeniem skrzynki z bezpiecznikami, nie sądzę więc, by zareagowała na wieść o podtruciu pelargonii.

- Grześ by zareagował - zapewnił Klon, prawdopodobnie przez wzgląd na rodzinną lojalność.

- Może i tak, ale teraz ma na głowie więcej niż ja.

*

Nie wiem, czy reszta rodziny wiedziała o moich kłopotach od Aronii lub Maliny, czy po prostu ludzie znów wzięli mnie na języki, ale ciotki, siostry i siostrzenice zaczęły mnie bombardować miłością. Codziennie dzwoniły, odwiedzały mnie, oferowały pomoc, wpadały wieczorami z winem i pozwalały mi narzekać na Pietra oraz uzależnienie od elektryczności, nieodmiennie przy tym kibicując w realizacji japońskiego zlecenia.

Kochałam Koźlaczki. Nawet uwielbiałam. Jednak nie przypadkiem mieszkałam w chacie pod miastem. Tylko Jodła (teoretycznie moja ciotka, ale ponieważ dzielił nas ledwie rok różnicy, byliśmy bardziej jak siostry) rozumiała, jak to jest być introwertyczką w zżytej i ekstrawertycznej rodzinie. Głównie dlatego, że była empatką i wyczuwała, gdy zaczynałam fantazjować o moim domu, lesie i samotności we dwójkę, z ulubionym człowiekiem, czyli moją partnerką. Wiele lat temu przytuliła mnie i szepnęła do ucha:

- Kiedyś myślałam, że budujesz ten dystans, bo się boisz, że cię nie zaakceptujemy, ale teraz rozumiem, że po prostu kochasz nas w nieco mniejszych dawkach, niż przyjęło się w tej rodzinie.

Poklepała mnie wtedy po plecach i szybko przerwała przytulasa. Rozumiała, że czasami najmilej jest posiedzieć w ciszy.

Teraz przyniosła mi kawałek sernika i przez godzinę wyrabiała bryły gliny, zanim przeszła do rzeczy.

- Możemy pojechać pod most kolejowy, jeśli chcesz - zaproponowała.

Westchnęłam. Gdybym wierzyła, że krzyczenie na przejeżdżające pociągi mi pomoże, siedziałabym tam i darła się całą noc. Kiedy byłyśmy nastolatkami, często spędzałyśmy czas w ten sposób. Ją przytłaczała empatia, cudze emocje, których wtedy nie potrafiła skutecznie blokować. A mnie... cóż, wszystko. Uczucia się we mnie kotłowały. Ukrywałam spory kawałek siebie. Nie tylko to, że jestem lesbijką, ale też to, że wcale nie chcę mieć dzieci, co w matriarchalnej rodzinie celebrującej prokreację jak radosną religię stanowiło chyba większy problem niż moja orientacja. Do tego dochodziła magia... Zbyt gwałtowna, zbyt przerażająca. Groźna, jeśli nie zdołałabym jej utrzymać w ryzach. Za każdym razem, kiedy wyrywała mi się spod kontroli, na chwilę przestawałam być sobą. Stawałam się żywiołem. A gdy mijał biały szkwał, jak nazwała ten stan babcia Narcyza, i białe kręgi przestawały wirować mi po wewnętrznej stronie powiek, musiałam się skonfrontować z konsekwencjami. Czy ktoś został ranny? Jak poważne okazały się zniszczenia? I czy moi najbliżsi wciąż patrzą na mnie z ostrożną rezerwą? Z czasem nauczyłam się kontrolować swoje emocje i magię, a tym samym unikać katastrofalnych skutków ich połączenia.

- Obawiam się, że na most kolejowy jest za późno - przyznałam niechętnie. - To po prostu niesprawiedliwe, wiesz? Zlecenie dla tej restauracji to dosłownie największe i najbardziej prestiżowe wyzwanie w mojej karierze. A przez ten pieprzony sabotaż wszystko wisi na włosku.

- No i ta nieprzetrawiona żałoba - dodała Jodła z przepaszającym uśmiechem.

- Być może - zgodziłam się.

To też do mnie docierało z pewnym opóźnieniem. Przez całą tę sprawę więcej myślałam o Pawle. Nie tylko o okolicznościach jego śmierci, ale też roli, jaką odgrywał w moim życiu, i łączącej nas przyjaźni, która powinna mieć jeszcze lata na rozkwitanie. Gdyby żył, nic z tego, co się wydarzyło w ostatnich dniach, nie miałoby miejsca.

Za moimi kłopotami stał więc w pierwszej kolejności kierowca, który potrafił Pawła na podmiejskiej drodze i zostawił na bolesną śmierć. Tym samym był człowiekiem, którego nienawidziłam bardziej niż Pietra. Który odebrał mi więcej niż prąd i tydzień pracy w komfortowych warunkach.

- Może kiedy skończę to zlecenie, jednak wybierzemy się pod most kolejowy - powiedziałam.

- I zabierzemy dziewczynki Minerwy. Mam wrażenie, że może im się przydać.

- Ten wiek - przyznałam.

Najstarsza, Maja, miała dziewiętnaście lat, Gaja osiemnaście, najmłodsza, Pola, piętnaście. Byłam w jej wieku, kiedy wydarzył się pierwszy biały szkwał.

*

Przez kolejne dni pracowałam niemal bez wytchnienia. Ugniatałam i wałkowałam glinę, aż odpadały mi ramiona. Mokre talerze ustawiałam na półkach. Modliłam się o bezdeszczową pogodę, by spokojnie schły. Dzięki temu, gdy mój piec wreszcie powróci do życia, będę mogła je powypalać.

W czasie pracy w glinie zazwyczaj byłam spokojna jak gromada mnichów buddyjskich i lilia wodna na powierzchni jeziora. Koło garncarskie mnie uspokajało. Tym razem jednak nie potrafiłam się pozbyć napięcia.

Ogarnął mnie nastrój katastroficzny. Podświadomie czekałam, aż znów coś się spierdoli. Złość na Pietra nie mijała. Na samą myśl o tym gadzie pod powiekami rozbłyskiwały mi białe kręgi, zgrzytałam zębami tak, że jeszcze trochę i starłabym sobie trzonowce. Racjonalna część mnie podpowiadała mi, że Pietro jest dla mnie wygodnym obiektem złości - miał twarz, w przeciwieństwie do kierowcy, który zabił Pawła. Tyle że coraz rzadziej racjonalizm wygrywał u mnie z podświadomością, wypełnioną zbyt długo tłumionymi emocjami.

*

Źle sypiałam. Czasami budziłam się z koszmarów wypełnionych brzękiem tłuczonej ceramiki. Albo przerażona, gdy w snach moją pracownię spotykała każda możliwa klęska żywiołowa, od pożaru po powódź. Zdarzyło się, że Amelia obudziła mnie, bo przez sen klóciłam się z panią Hiromi, która tłukła nowiutkie talerze, bo żaden nie spełniał jej wyśrubowanych oczekiwań. „Ich duch jest zły! Gniewny! Nie podam jedzenia na zagniewanych naczyniach!”, krzyczała, ciskając nimi o ścianę.

Amelia potrząsała mną, aż wypłynęłam na powierzchnię, roztrzęsiona i zapłakana.

Chciałam tylko, by to wszystko się skończyło. Bym mogła zamknąć to zlecenie, wrócić do swojej bezpiecznej znów pracowni i niespiesznie lepić wiedźmie kociołki na święto przesilenia.

*

Szóstego dnia od zniszczenia skrzynki z bezpiecznikami wreszcie odezwała się do mnie urzędniczka z energetyki. Podanie doczekało się rozpatrzenia i wysyłali do mnie montera. Muzyka dla moich uszu! Przełknęłam nawet to, ile mnie ta zabawa będzie kosztować, chciałam po prostu wrócić do pracy – włączyć piec i wypalić pierwszy rzut biskwitów, a potem, gdy kolejne partie ceramiki będą schły, zabrać się do dekoracji.

*

Monter, misiowaty koleś pod pięćdziesiątkę, i jego młodociany czeladnik mordowali się z kablami, złączkami i skrzynką od kilku godzin. Poszłoby szybciej, gdyby nie musieli skubać i usuwać pianki poliuretanowej wypełniającej większość skrzynki.

Kręciłam się po sklepie, czekając, aż skończą. Palce aż mnie świerzbiły, by nastawić już piec i ruszyć z wypalaniem. Przystawiałam właśnie ekspozycję przy wejściu, gdy usłyszałam za drzwiami głos Pietra. Wyjrzałam przez okienko. Stał nad fachowcami, z rękami na biodrach, i perorował:

- Nie zdziwiłbym się, gdyby sama to zrobiła. Stara wariatka, pewnie chciała być w centrum uwagi.

Monter mruknął coś pod nosem i nie zawracał sobie nim głowy, ale ja miałam dosyć. Wyskoczyłam na zewnątrz i ruszyłam wściekła na ten wrzód na dwunastnicy ludzkości.

- Wynocha! Albo wezwę policję! - ryknęłam.

- Bo co? Bo ośmielałam się chodzić po miejskim chodniku? - odpowiedział zgryźliwie.

- Doigrasz się, łajdaku!

- Och, nie mogę się doczekać - zaśmiał się i niespiesznie wrócił do swojego sklepu.

Cisnęła mi się na usta stworzona przez prababkę Aurelię klątwa, po której przez najbliższych pięć lat Pietro sikałby krwią. To byłoby małostkowe, jesteś ponad to, powtarzałam sobie w duchu, ale po raz pierwszy od dawna nie byłam pewna, czy rzeczywiście chcę być ponad to. Całe życie zmagalam się z niechcianym dziedzictwem - jako córka Delfiny Koźlak, która dla rozrywki sięgała po czarną magię i zwąchała się z demonami, oraz wnuczka Narcyzy Koźlak, mającej skłonność do brawury i lekkomyślnego rzucania klątw na prawo i lewo. Chciałam być lepsza. Rozsądna. Opanowana. Od lat trzymałam biały szkwał na wodzy. Przerazało mnie, że mogłabym się dorobić reputacji takiej jak moja matka czy babka.

A teraz zaczęłam się zastanawiać, czy gdybym postępowała jak one, ostatnie tygodnie nie byłyby spokojniejsze. W końcu kobiecie, która lepi garnki, trudniej podskakiwać niż wiedźmie pochopnie rzucającej klątwy.

Gdyby przyrodzenie nagle stanęło Pietrowi w ogniu albo ziemia połknęła go do kolan, inaczej by śpiewał... I sama myśl, że mogłabym mu to zrobić, sprawiła, że poczułam się nieco lepiej.

A potem pomyślałam, jak zawiedziona byłaby Amelia, która bardzo poważnie podchodziła do tekstu przysięgi Hipokratesa... I że musiałabym żyć ze wspomnieniem przyjemności, którą dałoby mi uwolnienie destrukcyjnej magii.

Wciąż podminowana, wróciłam do pracowni i zaczęłam zawzięcie zamiatać podłogę. Z każdym ruchem miotły gromadziłam magię i wzmacniałam osłony tego miejsca. Musiałam je poszerzyć. A przynajmniej otoczyć nimi skrzynkę z bezpiecznikami.

*

Monterzy skończyli przed osiemnastą. Zwinęli narzędzia, wystawili fakturę i puścili w moją instalację życiodajny prąd. Prawie się popłakałam ze szczęścia.

Lampki wskaźnika napięcia mrugały do mnie figlarnie, zieloniutki i piękniejsze niż cokolwiek, co widziałam ostatnimi czasy. Panel kontrolny jarzył się cudowną neonową zielenią. Miałam nadzieję, że będzie się tak jarzyć przez następnych dziewięć godzin. Nie chciałam ryzykować i włączać pieca bez upewnienia się, że tamto przerwanie cyklu i gwałtowne wychłodzenie wnętrza na długo przez wypaleniem biskwitów nie uszkodziło naczyń. Ostrożnie wyciągałam każdy przedmiot, dokładnie go sprawdzałam i odkładałam na stół. Potem znów umieszczałam je kolejno w piecu, układając misterny tetris z naczyń, podkładek i półek, by zmieścić ich jak najwięcej i by temperatura rozchodziła się równomiernie. Na samą górę wstawiłam kilka wysokich dzbanków do sake. Gdyby żył Paweł, pewnie namówiłby panią Hiromi na zestawy do sake wypalane w raku. Byłaby zachwycona unikalnymi wzorami, jakie zostawiają spalające się rośliny, pióra i inne łatwopalne rzeczy na intensywnie oksydującej glazurze. Mój przyjaciel uwielbiał tę brutalną, archaiczną formę wypalania, która wymagała wiedzy, szczęścia i odwagi. Ja byłam cykorem, wołałam mój cywilizowany i przewidywalny do pewnego stopnia piec. Czułam się dziwnie, tocząc na kole te butle z wąskimi, krótkimi szybkami. Jakbym robiła coś niewłaściwego, zabierała Pawłowi ulubioną zabawkę...

Siedziałam do późna, segregując kolejne wsady w suszarni. Po dwudziestej przyjechała po mnie Amelia, by zabrać mnie do domu, zanim, jak powiedziała, zasnęłabym, tuląc piec. Przyniosła inteligentną wtyczkę. Podłączyła ją do gniazdka, a do niej lampkę, sparowała ją z aplikacją w telefonie, której z całą pewnością nie miała jeszcze dzień wcześniej.

- Jeśli lampka zgaśnie, dostaniemy powiadomienie - oznajmiła, bardzo z siebie zadowolona.

Gdy zapytałam, jakim cudem wpadła na ten pomysł, uśmiechnęła się łagodnie i posłała mi spojrzenie pełne miłości.

- Poszłam do informatyka w przychodni i wytłumaczyłam mu problem, a on znalazł rozwiązanie. Żyjemy w dwudziestym pierwszym

wieku, Ruto, możemy z tego czasem skorzystać.

Tylko dlatego zmusiłam się do opuszczenia pracowni i powrotu do domu. Amelia znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

Wychodząc, uzbroiłam alarm, choć prawie nigdy tego nie robiłam. Obłożyłam też podłym zakłębciem zewnętrzną skrzynkę energetyczną. Tego, kto znów zechciałby w niej pogmerać, czekała bardzo nieprzyjemna niespodzianka.

Przed zaśnięciem wysłałam esemesa do Klona z pytaniem, czy mógłby mi rano pomóc z przewiezieniem rzeczy z powrotem do pracowni. Odpisał niemal od razu, że nie ma sprawy, choć pelargonie potrzebują jeszcze trochę czasu. Rozszyfrowanie, o co mu chodziło, zajęło mi dobrą chwilę.

Aronia

Zbierałam się do tej wizyty o wiele za długo, ale teraz, gdy byłam już pewna, nie mogłam jej dalej odkładać. Nie chciałam, by dowiedziała się od kogoś innego. Pragnęłam być przy niej, kiedy pozna prawdę, na wypadek gdyby miała problem z kontrolą. Ja, jeśli chodziłoby o mojego przyjaciela, chyba bym miała...

Pchnęłam drzwi do pracowni, a dzwoneczek nad nimi rozbrzmiał donośnym dźwiękiem. Wkroczyłam do królestwa Ruty i z miejsca uderzyły mnie kolory i kształty jej dzieł rozstawionych na półkach i stołach. Była tak cholernie utalentowana! Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo, bo od dziecka wykazywała tendencję do umniejszania się i chowania w cieniu silniejszych osobowości.

- Teraz twoja kolej?! - zawołała siostra z głębi pomieszczenia.

- Kolej na co?! - odkrzyknęłam, idąc w jej stronę.

- Sama nie wiem, jak to nazwać. Pilnowania szalonej Ruty? Czy wszystkie równocześnie przypomniałyście sobie, jak bardzo mnie kochacie? - odpowiedziała. Poprawiła okulary, które zjeżdżały jej z nosa. Na szkiełku zostawiła smugę gliny.

- Może równocześnie poczułyśmy się winne, że nie mówimy ci o tym dość często? - zażartowałam.

- To dajesz, bo pewnie masz milion ważniejszych rzeczy na głowie - powiedziała i uśmiechnęła się blado.

Zrobiło mi się autentycznie przykro. Czy naprawdę byłam tak zaganiana, że Ruta uznała się za mniej ważną od spraw, na których każdego dnia skupiałam uwagę?

- Przyda mi się przerwa - stwierdziłam. - Przyjmiesz na termin? Może powinnam pomyśleć o alternatywie dla kariery w ratuszu?

Rzuciła w moją stronę zapasowym fartuchem, lekko sztywnym od plam z glazury, i oświadczyła:

- Skoro tak, to zobaczymy, czy warto cię wziąć na staż. Nikomu, kto się tylko pałęta po kątach, nie będę płacić.

- A będziesz mi płacić? - zażartowałam, odwołując chwilę, w której będę musiała poruszyć bolesny temat.

- Mam rogaliki. Podzielę się adekwatnie do wkładu pracy - odparła.

Zawiązałam więc fartuch na karku i plecach, a potem zgodnie z jej wskazówkami ugniatałam, rozwałkowywałam i wycinałam paseczki według szablonu.

- Co właściwie robię? - zapytałam, obrysowując szablon nożykiem.

Ruta obróciła świeżo uformowany talerz, przyłożyła do spodu inny szablon i obrysowała go narzędziem podobnym do szydełka, a następnie wzdłuż całej linii podrapała gładką glinę, posmarowała obrys mokrym pędzelkiem i przykleiła jeden z wyciętych przeze mnie paseczków, wcześniej też podrapawszy jeden z jego boków.

- Czyli robię ranciki? - upewniłam się, patrząc, jak wprawnymi ruchami wygładza wszystko gąbką i malutką drewnianą nerczką.

- Mogą być ranciki, nóżki, podstawki, nie wiem nawet, czy to ma specyficzną nazwę - przyznała, uważnie oglądając wyrób. - W sumie bez rancika to nie byłby talerz, więc bardzo się przydajesz i zasługujesz na tego rogała.

Uniosłam pięść w triumfalnym geście.

- Dobra, Aronio, jesteś przydatna i dostaniesz ciasteczko, ale może wreszcie mi powiesz, co się dzieje? Bo otacza cię taka chmura nerwów, że mi talerze nasiąkają emocjami. Jeśli potem pani Hiromi zacznie je tłuc, bo pochłonęły złą energię, zwałę to na ciebie - powiedziała, wbijając we mnie uważne spojrzenie.

I taka właśnie była Ruta. Mogła niewiele mówić, ale widziała więcej, niż powinna.

- Chciałam z tobą o czymś porozmawiać, zanim usłyszysz to z mniej życzliwych ust - powiedziałam cicho, zbierając się na odwagę.

- Na złamaną miotłę, co znowu? Oszukuję ludzi? Źle się prowadzę? Miałam znowu cenową z Pawłem? Porywam szczeniaczki i składam na ołtarzu dla czarnego pana? - wypytywała ze złością, wycierając dłonie w rdzawą od gliny ściereczkę.

- Nie, nic z tych rzeczy - zapewniłam, marszcząc brwi. Naprawdę było tak źle? I nikt nie raczył mi o tym powiedzieć?

Ruta westchnęła ciężko.

- Rozmowa na herbatę? - zapytała.

Kiwnęłam głową, czując, że gardło mi się zaciska. Nie wiedziałam, czy herbata pomoże. Na pewno nie zaszkodzi.

Ruta odłożyła ścierkę na blat i poszła w głąb pracowni. Nawet z tej odległości poczułam muśnięcie jej magii, gniewnej i niestabilnej, aż włoski stanęły mi dęba. Poszłam za siostrą i opadłam na stary fotel.

- Aronio, weź głęboki oddech i wyduś z siebie, z czym przychodzisz. Cokolwiek powiesz, nie może być gorsze niż wszystko to, co podsuwa mi teraz nerwica - powiedziała Ruta.

- Wiesz o tym, co się działo w starej mleczarni? - zapytałam.

Skinęła głową.

- Amelia mnie wprowadziła. Mieszkałyśmy koło dilerów, którzy strzelali do pana Tomali i wynieśli się stąd, zanim zdążyliście ich przyskrzynić - streściła.

- W dużym skrócie. Były jeszcze trupy. I masa dowodów, które zostawili i które od kilku dni analizują w laboratorium specjaliści od kryminalistyki.

- Fajnie, że nie musisz polegać na Rybiku. Już wróżenie z fusów byłoby bardziej wiarygodne! Na jego tle nawet Gawroński miał jakieś zalety - zauważyła.

- Tak, sprawa stanowczo przerasta lokalne organy ścigania. Ale też wyniki badań przyczynią się do rozwikłania starszych spraw, co do których nie wiedzieli, że się łączą ze starą mleczarnią.

- Rany, o co chodzi? Chyba nie powiesz, że kartel mieszał mi w skrzynce z bezpiecznikami czy pociął opony w rowerze? - Ruta była wytrącona z równowagi i jak zwykle w takiej sytuacji, budziły się w niej geny dziadka Paola. Zaczynała gestykulować, chodząc w kółko, jakby nie mogła ustać w miejscu.

- Nie, chodzi o inną zbrodnię. W starej mleczarni znaleziono furgonetkę. Poważnie uszkodzoną, mówiąc policyjnym żargonem, brała udział w zdarzeniu drogowym. Przebadali ślady, zrobili badania DNA. I nie ma wątpliwości, że to ta furgonetka potrafiła Pawła. To oni go przejechali i zostawili w lesie - wyrzuciłam z siebie.

Ruta zatrzymała się gwałtownie, jakby zderzyła się z niewidzialną ścianą. Odwróciła się i wbiła we mnie swoje ciemne oczy. Jej spojrzenie trawiła gorączka.

- Wiesz, kto zabił Pawła? - zapytała spokojnym tonem.

- Jeszcze nie znamy nazwiska kierowcy, ale przynajmniej wiemy, czemu nie wezwali pomocy, nie zaczekali na policję. Paweł miał pecha

wpaść pod samochód prawdziwych bandziorów.

Kiwnęła głową, jakby mechanicznie. Potem kilkakrotnie pokręciła nią na boki, jak gdyby nie mogła tego zrozumieć. Aż wreszcie opadła na fotel po drugiej stronie stolika kawowego, cicho przeklinając. Bałam się, że jej magia, chwilę temu tak pobudzona, wyrwie się spod kontroli. Odruchowo powtarzałam w myślach inkantację kręgu ochronnego. Wolałabym go narysować, ale jeśli będę musiała improwizować, dam radę i bez kredy... Nagle magia zniknęła. Macki skryły się w Rucie. Jej aura się wyciszyła, a ona odetchnęła głęboko.

- Przynajmniej wiemy dlaczego - powiedziała bezbarwnym tonem. - Paweł znalazł się w złym miejscu w złym czasie, prawda?

Przytaknęłam, bo właśnie tak to wyglądało.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś. Nie zniósłabym, gdyby to Stasiek wyskoczył z tą wiadomością, sprzedając mi bułki.

- Ruto kochana, jest mi niezmiernie przykro, naprawdę. Chciałabym mieć lepsze nowiny - powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

- Daj spokój. Przynajmniej wiem, jak to się stało, i wiem czemu. Taka strata... tego jednego nie mogę zdzierżyć. Gdyby choć anonimowo wezwali pomoc...

- Może się bali, że ich rozpozna? Może widział coś, czego nie powinien?

- Inaczej nie mogli go uciszyć - zgodziła się Ruta i otarła łzy, które nagle spłynęły jej po policzkach. - Gdzie się podziewał wścibski druid, kiedy był potrzebny?

- Na weselu, pytałam. Pewnie myśleli, że mają drogę wolną, bo stary nie wyskoczy na nich zza krzaków. Nie przewidzieli, że natkną się na Pawła.

- Wiesz, myślę, że mógł jechać do mnie - wyszeptała tak cicho, że ledwie ją słyszałam. - To nie wydarzyło się po drodze do Zaułka, jechał w drugą stronę. Widocznie czegoś chciał ode mnie czy raczej od Amelii, bo przecież mnie znalazłby później w pracowni. Gdyby pojechał prosto do Zaułka...

- Gdybasz, nie wiemy, co się stało. I nawet kiedy złapią sprawcę, nie będzie wiedział, co Paweł miał tego dnia w głowie i czemu podjął takie, a nie inne decyzje - zaoponowałam.

Przytaknęła. Przez chwilę siedziała całkowicie nieruchoma, wycofana i pozamykana na milion kłódek, a ja nie zdołałam nic wyłović z jej emocji. Wreszcie wstała, otrzepała fartuch na udach i oznajmiła:

- Muszę wracać do pracy. Dziękuję, siostró, naprawdę to doceniam.

Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć, więc podeszłam i mocno ją uścisnęłam. Przez chwilę stała sztywno, a gdy uścisk się przedłużał, też mnie objęła i poklepała dłonią między łopatkami, jakbym to ja potrzebowała pocieszenia.

Opuściłam pracownię z poczuciem klęski. Zawiodłam, choć nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić. Czasami czegokolwiek nie zrobisz, nie wystarcza.

Ruta

Pracowałam. Koncentrowałam się na glinie, glazurze, kształtach i kolorach, by w głowie nie starczyło miejsca na inne myśli. W suszarni przybywało naczyń, a gdy półki się zapełniły, zabrałam się do malowania biskwitów. Może w innych okolicznościach najpierw ulepiłabym i wypaliła wszystkie, a potem dekorowała i wypalała je razem, ale bałam się, że w dniu deadline'u miałabym pół tysiąca białych biskwitów i ani jednego gotowego elementu zastawy, więc przyjęłam taką właśnie metodę działania. Poza tym pokrywanie naczyń glazurą miało w sobie coś niezwykle satysfakcjonującego. Na razie była matowa, blad różowa, niespecjalnie efektowna, ale dawała naczyńniom potencjał zmiany, magii i piękna. Musiałam się skupić na pięknie, by nie myśleć o Pawle, którego życie dla jakiegoś lokalnego bossa narkotykowego znaczyło tyle co nic. Odeгнаłam spod powiek obraz umierającego przyjaciela. Nakazałam sobie myśleć o czymś miłszym, piękniejszym - nie mogłam przecież pozwolić, by ziścił się sen z panią Hiromi tłukącą „gniewne talerze”. Dlatego postanowiłam się skupić na najlepszej i najpiękniejszej części mojego życia - na Amelii. Działo, dopóki nie przypomniałam sobie, jak często siedziała sama w naszym domku w lesie albo jak wiele razy samotnie pokonywała leśną drogę, gdy tuż obok, w starej mleczarni, czaiło się zło... Wprawdzie teraz czaili się tam co najwyżej technicy kryminalistyczni i CBS, ale spokój uleciał ze mnie do reszty.

Całą energię kosztowało mnie kontrolowanie magii, której białe kręgi znów rozbłyskiwały mi pod powiekami. Szeptala mi w ucho słowa pocieszenia i omiatała mnie ciepłym oddechem wnętrza ziemi. Nie sięgałam po nią, bojąc się tego, co mogłoby się stać, gdybym przyjęła jej potęgę.

*

Długi weekend i nowo otwarty sklep z tanimi skorupami sprawiały, że nikt mi nie przeszkadzał, nie przerywał pracy. Wieczorem Amelia zawiozła mnie do domu, a rano znów jechałam na rowerze do pracowni.

Wiedziałam, że moja partnerka się zamartwia, ale nie potrafiłam o tym rozmawiać, nie chciałam nawet o tym myśleć. Miałam do ulepiania mnóstwo talerzy, miseczek, maleńkich czarek na sos sojowy, podstawek pod pałeczki, większych czarek na herbatę wyglądających jak zgrabne filiżanki bez ucha. Na szczęście nie musiałam robić dzbanków, bo ich wykonanie jest potwornie czasochłonne. Pani Hiromi sprowadziła je z wyspy, z której pochodziła.

Koło dziewiątej przyszła wiadomość od Klona Drzewieckiego. Moje rośliny były już zdrowe, przesadzone i gotowe znów zamieszkać w donicach przed pracownią. Klon obłożył malutką zieloną kłutwą każdego, kto chciałby im zaszkodzić. Nic agresywnego, ale, jak stwierdził: „Nawet niegroźny glon czy grzyb może być problemem, gdy rośnie, gdzie nie powinien”. Cokolwiek to znaczyło. Odpisałam, że jestem na miejscu i może je śmiało podrzucić, zanim założy im związki zawodowe.

Przez ciche brzęczenie koła nie od razu usłyszałam, że ktoś wchodzi do pracowni. Kiedy nagle dobiegło mnie donośne: „Halo! Jest tu ktoś? Gdzie to postawić?!”, w pierwszym momencie założyłam, że to Klon z moimi roślinami, więc odkrzyknęłam: „Koło drzwi!”. Po kilku sekundach zamarłam nad kołem, gdy dotarło do mnie, że to nie był głos Klona.

Wytarłam dłonie o ścierkę, wstałam i lekko zeszywniałym krokiem przeszłam do części sklepowej. Nikogo nie było. Za to obok drzwi stały dwa sporych rozmiarów kartony. Wyjrzałam przed sklep, ale zobaczyłam tylko tylny zderzak ciężarówki z logo DHL-u. Wróciłam do paczek. Niczego nie zamawiałam, a przynajmniej nie pamiętałam, bym to robiła. Owszem, zdarzało mi się w nocy, po kilku lampkach wina, dokonywać jakichś mało przemyślanych zakupów na Allegro czy w którymś ze sklepów internetowych, ale nawet wtedy rano raczej o tym pamiętałam. Może to nie ja? Może Amelia coś zamówiła? Albo jedna z Koźlaczek? Może Narcyza wysłała mi prezent z podróży do Czech? Nie byłby to pierwszy raz. Zdarzyło się na przykład, że z pogrzebu jakiegoś starego szkockiego czarownika wysłała mi z jego kraju dudy i paczkę maślanych herbatników. Z kolei z Bawarii dostałam zdjęcie owcy z adnotacją, że niestety urząd pocztowy zgodził się tylko na fotografię, bo wysyłanie żywych zwierząt jest zakazane.

Przecięłam taśmę na pierwszym pudle, rozchyliłam jego skrzydełka i rozgrzebałam styropianowe kulki, by dostać się do zawartości. Hmm. Dziwne, nawet jak na pijackie podarki Narcyzy, pomyślałam, waząc w dłoni kubek. Zwykły, banalnego kształtu, z białą, nudną glazurą i wytłoczonym napisem: „Żyj, śmieję się i kochaj”, choć za kropeczkę nad „ż” i kreseczkę nad „ś” robił niezbyt udany apostrof. Odgarnęłam pozostałe wypełniacze i zobaczyłam kolejnych trzydzieści dziewięć takich samych kubków. Pięć rzędów po osiem sztuk.

Rozcięłam drugie pudło. Tym razem kubki były blad różowe z napisem „Żyj, jakby jutra miało nie być!” i znów kropeczki i kreseczki zastępował apostrof.

Dopiero teraz wpadłam na to, by sprawdzić etykiety. I nagle wszystko ułożyło się w całość. Zbieżność nazw i bliskość numerów domów właśnie ugryzła Pietra w dupę! A ja już wiedziałam, widząc kraj nadania tych brzydkich i niechlujnie wykonanych kubków, czemu mógł je sprzedawać tak tanio!

I zanim się zorientowałam, białe kręgi wybuchły mi pod powiekami. Było za późno, by je powściągać. A ja wcale nie byłam przekonana, czy tego chcę.

Malina

Ruch w kawiarni nie zwalniał od rana. Mieszkańcy Zielonego Jaru mieli ochotę wycisnąć z długiego weekendu ile się da, więc uwijałyśmy się z Kaśką jak pracowite pszczołki. Barnaba i tym razem nam pomagał, ogarniając obsługę klientów z gracją zaskakującą jak na człowieka jego postury. Teraz przemykał między stolikami z tacą zastawioną dzbanuszkami z herbatą i filiżankami niemal tanecznym krokiem i hojnie rozdawał uśmiechy.

Jego doskonały humor prawdopodobnie wynikał z tego, że wszystkie stoliki w środku, jak i sześć wystawionych na chodnik, były zajęte, lokal musował śmiechem i rozmowami, a to zapowiadało solidny utarg. W słoiku na napiwki pozostało niewiele miejsca, a wciąż sporo brakowało do końca zmiany.

Dźwięk dzwonka nad drzwiami sprawił, że odruchowo uniosłam oczy znad ubijanej właśnie kolby. Chyba podświadomie spodziewałam się, że wpadnie Aronia. Gdy Zielony Jar relaksował się na potęgę, ona miała stresujące spotkanie z agentami CBS i jakimiś szuchami z komendy wojewódzkiej. Nie pierwsze w ostatnim czasie i po każdym była w podłym humorze. Zwykle wpadała tu na „coś dobrego”, nie chcąc, by jej życie ograniczało się do pasma frustracji. Czasami jednak spotkania kończyły się tak późno, że dowlekała się do domu i próbowała oczarować naszą lodówkę, otwierając i zamykając ją po trzy razy w nadziei, że wreszcie pojawi się na półce coś jadalnego. Możliwe, że szczytowym osiągnięciem mojego życia będzie umiejętność przyrządzania cappuccino, na widok którego mama uśmiecha się nawet w te kiepskie dni.

Ale to nie Aronia Koźlak wkroczyła do kawiarni, tylko pani Sława, posiadaczka jedyne w Zielonym Jarze salonu groomerskiego dla psów i właścicielka nagradzanego na pokazach kynologicznych grzywacza meksykańskiego. Jej córki i siostra zajmowały właśnie zwolniony przed chwilą stolik przy drzwiach, a ona maszerowała prosto do kontuaru.

Widząc mnie przy ekspresie do kawy, powiedziała zdziwiona:

- Malinko, przyznam, nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę.

Pojęcia nie miałam, do czego pije. Pracowałam tu już prawie cztery lata i bywałam za tym kontuarem pięć dni w tygodniu.

- No wiesz, w tych okolicznościach! Ale chwali się taki profesjonalizm! Tylko dziw, że możesz się skupić w tej sytuacji - kontynuowała, a ja wciąż nic z tego nie rozumiałam.

- Przyznam, że nie nadałam. Co to za okoliczności? - zapytałam z uśmiechem.

Pani Sława była dobrze poinformowaną plotkarą, co najmniej majorem w legionie plotkar Zielonego Jaru, ustępując jedynie nieoficjalnemu klubowi swatek, a ostatnio też panu Tomali. Czyżby znowu szeptano, że ja i Klon się rozstajemy? A może, pomyślałam zaniepokojona, plotka stugębna podłapała temat Aronii i CBS?

- No jak to, nikt ci nie powiedział? I ty tu tak, biedactwo, nalewasz kawkę klientom i o niczym nie masz pojęcia? - Jej troska wydawała się szczerą, co tylko podniosło mi ciśnienie.

- Pani Sławo, co się dzieje? - zapytałam poważnie.

Spodziewałam się, że padnie imię mojej matki. Albo prababki, bo Narcyza podobno zbliżała się do Zielonego Jaru, wracając ze swojej przedłużonej majówki, a to mogło pobudzić plotki. Nie przypuszczałam, że padnie imię ciotki. Owszem, plotkarze wzięli ją na języki, za czym ani chybi stał Pietro, ale pani Sława wyrzuciła z siebie inną rewelację:

- Ruta chyba całkiem postradała zmysły, kochanie, piekli się w Zaułku Garncarskim, jakby jutra miało nie być. Myślałam, że lepiej nad sobą panuje, to już przecież nie jest dziecisko!

Krew odpłynęła mi z głowy.

Zrozumiałam, że ciotkę Rutę dopadł biały szkwał! A przecież, kiedy mówiłam mamie, że w czasie wizyty w pracowni wyczuwałam coś niepokojącego, uspokoiła mnie, mówiąc: „Jeśli nie wybuchła po tym, co jej powiedziałam, nie mamy się czym martwić”. Myliła się...

- Widziała pani może jej oczy? - zapytałam z zaciśniętym gardłem.

- A nie, unosiła się nad ziemią i wszystkie te rzeczy wirowały wokół niej jak tornado, więc się nie zatrzymywałam. - Pani Sława wzruszyła ramionami. Jakby nigdy nic złożyła zamówienie na pięć pucharków rozkoszy i pięć mrożonych kaw, po czym udała się do swojego stolika.

A ja oparłam się ciężko o kontuar, oddychając szybko, na granicy paniki.

Barnaba musiał coś zauważyć, bo pochylił się nade mną z troską i zapytał:

- Co się dzieje, Malinko, co ona ci powiedziała?

- Muszę iść, muszę wezwać pomoc, mama, potrzebuję mamy! - mówiłam nieskładnie.

- Koźlaczkowa chryja? - dopytywał.

- Coś popchnęło Rutę w biały szkwał - wyszeptałam, wciąż nie mogąc w pełni tego przyswoić.

Barnaba zaklął pod nosem.

- Zmykaj, Malinko, rób, co musisz, wezwij posiłki, nie ma co zwlekać. Może tym razem zniszczenia nie będą tak dramatyczne.

Nawet nie traciłam czasu na zdjęcie fartucha, wyciągnęłam tylko komórkę spod kontuaru i wybiegając ze StarBunny, wybrałam numer Aronii. Po jednym sygnale włączyła się poczta głosowa. Cholera!

Biegłam najszybciej, jak potrafiłam. Szybsze były ptaki, które zlatywały się zewsząd i zmierzały w tym samym kierunku co ja. Nie wiedziałam, czy ciocia Ruta sama je wezwała, czy wyczuły jej magię. Morze czerni złowrogo odcinało się na tle błękitnego nieba, jakby zlatywały się na pogrzeb. Rozdziobią nas kruki, wrony, przemknęło mi przez głowę, ale odepchnęłam tę myśl. Jeszcze da się to zatrzymać!

Przebiegłam przez rynek i przecięłam park, mijając nieświadomych zagrożenia mieszkańców Zielonego Jaru. Jakim cudem nie wyczuwali tego napięcia w powietrzu? Magii, która kąsała jak małe parzydełka? Wstrząsu, który już dawało się wyczuć pod stopami?

Im bliżej Zaułka Garnarczy, tym bardziej nierówne były płyty chodnikowe, jakby przejęły pierwsze wstrząsy. Jeśli nie zdołamy zatrzymać Ruty, na tym się nie skończy. Mogą runąć budynki!

Jeszcze zanim dotarłam do Zaułka, słyszałam huk i brzęk tłuczonego szkła. Było gorzej, niż myślałam. Niewielki placzyk i brukowaną ulicę przed pracownią ciotki zaścielały odłamki szkła, gruz, cegły, fragmenty ceramicznych donic, grudy ziemi i resztki roślin. Ruta naprawdę unosiła się metr nad ziemią. Tysiące ptaków obsiadało każdy kawałek gałęzi, rynien i kabli, część krążyła nad ciotką niczym tornado z czarnych piór i twardych dziobów. Ludzie pochowali się w domach, w kilku sąsiednich sklepikach opuszczono rolety, ale wiedziałam, że nie zda się to na nic, jeśli Ruta zupełnie straci kontrolę.

Ruta

Dałam się porwać złości. Rozsądek podpowiadał mi nawet, że nie chodzi o te kubki, o kłamstwa na mój temat, o oszukiwanie mieszkańców Zielonego Jaru. Pietro, ta kanalia, miał pecha. Bo gdy przyszło co do czego, był pod ręką i mogłam mu spuścić manto. Tym odpowiedzialnym za śmierć Pawła już nie...

Pomaszerowałam więc do jego lokalu, z pudłem kubków w rękach, bo myśl o nawrzeszczeniu na niego sprawiała mi przyjemność. Pchnęłam drzwi. Wyjątkowo nie było tu tłumu klientów. Idealnie. Miałam ochotę zrobić scenę, choć niekoniecznie stać się pośmiewiskiem miasteczka. W tamtym momencie naprawdę nie wiedziałam, jak się to skończy. Czy gdybym wiedziała, zawróciłabym? Być może. A może na to było już za późno. Za długo tłamsiłam swoją magię, swoją wściekłość, i kiedyś wieczko po prostu musiało trzasnąć.

Ledwie przekroczyłam próg sklepu, Pietro rzucił mi pogardliwe spojrzenie i powiedział:

- Przyszłaś się czegoś nauczyć?

Każdy sąd uznałby to za okoliczność łagodzącą. A przynajmniej mój sabat!

Odstawiłam pudło, wyciągnęłam jeden kubek i pomachałam mu nim przed nosem, a potem cisnęłam nim z całej siły o podłogę i wykrzyczałam mu w twarz:

- Made in China? Ty łajzo! Oszuście! Chuju złamany!

Wtedy zauważył, co to za kubek i pudło. Ruszył w moją stronę, ale ja się dopiero rozgrzewałam! Grzmotnęłam kolejnym kubkiem o podłogę, rozprysł się w drobny mak. Byłam gotowa rzucić tak każdą pieprzoną skorupą z tego kartonu i wrócić po drugą paczkę, jeśli nie minie mi złość.

A wtedy ta kanalia, ten łajdak i oszust, skoczył za ladę, wyciągnął z szuflady pod kasą spluwę i strzelił do mnie! Prawdziwą kulą! Magia wyrwała się ze mnie pulsującą falą i ziemia przyciągnęła pocisk, zanim do mnie dotarł, lecz za nim poleciały następne. A facet był wyraźnie sfrustrowany tym, że nie wykrwawiam się mu na podłodze! Nie strzelał w sufit czy na postrach, ale mierzył dokładnie w mój tułów, pociągał za spust, a gdy kula spadała pół metra przede mną, pociągał raz za razem, zdecydowany mnie zabić.

To właśnie wtedy biały szkwał przerwał wszystkie bariery i łańcuchy, którymi pętałam go przez lata. Moc wylała się ze mnie jak fala uderzeniowa, roztrzaskując w drobny mak szklane okna, drzwi i brzydką, taną ceramikę ustawioną na stołach i półkach. Pietro poleciał do tyłu, odepchnięty moją magią, i uderzył plecami o ścianę.

Trzymanie magii na krótkiej smyczy było czaso- i energochłonne, nie przychodziło mi naturalnie. Uwolnienie jej wzbudziło euforię, jakby nagle zalała mnie cała serotonina świata. Miałam ochotę chichotać, niszczyć, pochłaniać, równać z ziemią!

Wiedziałam, że przyjdzie moment, gdy poczuję się z tym fatalnie, ale to jeszcze nie teraz!

Teraz roztrzaskiwałam wszystko wokół siebie i chichotałam jak szalona.

Magia wypełniała mnie, elektryzowała, unosiła nad ziemię, jakby grawitacja przestała mnie dotyczyć. Otaczał mnie ochronny kokon mocy, od którego odbijała się każda kula!

- Nie będziesz mi psuł reputacji! - ryknęłam, a żarówki nad moją głową eksplodowały.



Jego odpowiedź nie przebiła się przez hałas tłuczonego szkła.
- Nie będziesz oszukiwał mieszkańców mojego miasta!

Ściany sklepu zadrżały, a półki pełne okruchów zaczęły z głośnym trzaskiem spadać na podłogę. Huk przypominał odgłos schodzącej z gór lawiny.

- Nie będziesz mnie zastraszał i sabotował mojej pracy! - krzyczałam.

Podłoga pode mną zadrżała, pojawiło się na niej szerokie na kilka centymetrów pęknięcie, które rozeszło się promieniście po całej betonowej powierzchni, a potem zaczęło wpełzać na ściany szalonymi pajęczynami, aż zbiegło się na suficie nad moją głową.

- Zabiją cię, suko! Nie wiesz, z kim zaczęłaś! Zniszczę cię! Nikt nie znajdzie twojego trupa! - wściekał się Pietro i wciąż próbował mnie zastrzelić, nie rozumiejąc, jak magia ma fizykę w wysokim poważaniu.

- To jest moje miasto! Mój biznes! Moi ludzie! - huknęłam, rozrzucając ramiona na boki, bo moc nie mieściła się już w moim silnym, choć niewielkim ciele. Fala uderzeniowa wyrwała się ze mnie z siłą buldożera. Belka stropowa z przymocowanym do niej karniszem i zasłoną, która dzieliła przestrzeń na sklep i pracownię, runęła z hukiem na ziemię. Zza zerwanej kotary wyłoniło się kilka drewnianych skrzyń.

Na deskach pysznił się napis „Azulejos”. Moja magia uderzyła w te drewniane skrzynie z wściekłością tsunami. Nagle w powietrzu zawirowały drzazgi, mnóstwo kolorowych okruchów ceramiki i... chmura białego pyłu.

W pierwszej chwili uznałam, że to magia, że niszcząc skrzynię, odpałam jakąś klątwę, ale nie... To było coś innego. Osiadało wszędzie, na moich policzkach i czole, na ustach, miałam to w nosie i w oczach! Piekło, mrowiło, szczypało! Dotknęłam twarzy, upewniając się, że ciągle tam jest, bo zdrętwiała w dziwny sposób. Zamrugałam, gdy widok zaczął mi się rozmazywać. Zakaszałam, bo pył drażnił mnie w gardle.

- Tu suko! Zabiję cię! Ty wiesz, ile to jest warte? - dobiegł do mnie głos Pietra. Skurwysyn stał wśród odłamków kafelków i desek i wrzeszczał: - Cała operacja, suko jebana! Czy wiesz, ile w to forsy poszło? Kurewskie miasto, wiedźma pieprzona!

W moim kierunku poszybował kolejny pocisk. Moja magia ścięła go w locie. Czuję się niesamowicie, potężna i pełna mocy sprawczej. Euforia śpiewała mi w żyłach bardziej niż kiedykolwiek. Mogłabym gołymi rękami rozebrać ten budynek na kawałki, cegła po cegle, a potem z pamięci złożyć go od nowa! Mogłam wszystko! Byłam szalonym bóstwem zniszczenia!

Wtedy zrozumiałam, że jestem naćpana. Ostatnie przytomne szare komórki dodały dwa do dwóch.

Pozory kontroli trzasnęły we mnie jak zapałka, a moc wkroczyła triumfalnie w biały szkwał, napędzana dodatkowo kokainą. Nie miałam wielkiego doświadczenia z narkotykami, za to wiedziałam, że można je przedawkować, a biała chmura wciąż unosiła się w sklepie, skłębiona podmuchami mocy. Musiałam stąd wyjść, inaczej każą Amelii rozpoznać moje ciało w kostnicy.

Cofałam się do drzwi. Biały szkwał otoczył mnie wirem, moc dostroiła się do mnie i rozumiała, że czuję się zagrożona, ale nie pojmowała dlaczego, więc trzęsła ścianami, okruchy tynku spadały z sufitu, a potem wysadziła całą przednią ścianę, jakby to było prostsze niż otwarcie drzwi.

Pietro szedł za mną, potykał się o zalegające wszędzie odłamki, strzelał raz za razem, aż suchy odgłos iglicy obwieścił opróżnienie magazynku. Sprawnie go wymienił i kule znów świstały mi koło głowy. Był zafiksowany na jednym - by mnie zabić. Ja skupiałam się na tym, żeby przeżyć.

Wszystko stało się ostrzejsze, dźwięki wyższe, światło raziło mnie w oczy. Spojrzałam w niebo, czarne od tłoczących się nade mną ptaków. Nagle czułam świadomość każdego z nich, emocje skrzydlatego kłębowiska czerni i wściekłości zalały mnie gorącą falą. Ręce mi się trzęsły, pot spływał po całym ciele, serce biło tak szybko, jakby chciało mi się wyrwać z klatki piersiowej. Ogarnęły mnie mdłości. Muszę wezwać pomoc, myślałam gorączkowo. Amelia, ona będzie wiedziała, co robić, ratowała ludzi, gdy ja potrafiłam tylko niszczyć. Rozglądałam się zdezorientowana. Czemu jest tak jasno? Co to za hałas? Obejrzałam się za siebie. A tak, Pietro znów strzelał, musiał zmienić magazynek... Wystarczy! Od tego huku bolała mnie głowa, nie mogłam się skupić! A przecież musiałam się skupić, musiałam znaleźć Amelię...

Magia pochwyliła Pietra i uniosła nad ziemię. Mogłam go zgruchotać, połamać każdą kostkę w jego ciele, roztrzaskać go jak filiżankę z chińskiej porcelany. Jakaś część mnie była tą myślą przerażona, ale reszta się nią zachwycała. To jest sprawiedliwe, szeptała mi magia, zostawili Pawła z połamanymi nogami, wykrwawiającego się w rowie! Tak, to było sprawiedliwe...

Pietro zaczął wrzeszczeć, kiedy magia zaczęła go zgniatać.

Coś gorącego zalało mi twarz, dotknęłam jej odrętwiałymi palcami i zobaczyłam, że są czerwone. Czemu były czerwone? Zachwiałam się, ale

nie upadłam. Poczułam ciasno oplatające mnie ramiona i musnięcie znajomej magii.

- Ciociu, ciociu, słyszysz mnie? - Usłyszałam.

- Tam jest kokaina, nie wdychaj białej chmury - wymamrotałam, czując, że coraz trudniej mi oddychać, serce pompowało krew tak mocno, że skronie mi pulsowały we wściekłym rytmie bolera.

- Jaka kokaina? - pytała Malinka.

Malinka, och nie! Nie może jej tu być! To jeszcze dziecko! Popchnęłam ją mocą, ale wczepiła się we mnie jak małpiatka.

- Musisz iść, Malinko, zanim się nawdychasz - wybełkotałam.

- Nigdzie bez ciebie nie idę! - zawołała, poprawiając uścisk.

- To razem, idziemy razem - zgodziłam się i pokiwałam głową, a kolejna fala gorącej czerwieni zalała mi twarz.

Próbowałam współpracować, stawiać nogę za nogą, dać się odprowadzić w bok, byle dalej od białej chmury, ale stopy mnie nie słuchały. Ptaki darły się wniebogłose, musiały czuć, że jestem w niebezpieczeństwie. Sięgnęłam do nich magią, by nie robiły krzywdy Malince, by ją chroniły przed Pietrem... Gdzie on jest, czy ciągle strzela?

- On zabił Pawła, to on za tym stał - wyszeptałam.

- Przekażę mamie i CBS, ciociu, ciociu, słyszysz mnie? Wszystko będzie dobrze! Sabat już jedzie! - powtarzała. Nogi się pode mną ugięły, ale nie pozwoliła mi upaść. Posadziła mnie na ziemi, podparła o ścianę i powtarzała: - Mama już jedzie, zaraz tu będą, trzymaj się, ciociu!

- Amelia - wyszeptałam. - Kokaina, za dużo, przedawkowanie...

- Co mówisz? Nie rozumiem?

- KO-KA-I-NA - sylabizowałam, choć brzmiało to bełkotliwie, bardziej jak „kop-na”. Spojrzałam w górę, w jej wielkie sarnie oczy. - Chmura, narkotyk, w kafelkach, *azulejos* - mamrotałam, ale sama ledwie już rozróżniałam własne słowa.

- Ruto kochana - usłyszałam kolejny znajomy głos.

Aronia pochylała się nade mną. Dociskała palce do mojej szyi, szukając pulsu.

- Amelia - wyszeptałam. - Karetka...

- Zaraz tu będą, kochanie, wszystko będzie dobrze - powiedziała, a ja chciałam jej wierzyć.

- Pietro zabił Pawła albo wie, kto to zrobił - mówiłam, a słowa zlewały się w bełkot. - Mleczarnia, to Pietro, musisz to wiedzieć, zanim umrę.

- Nie ma mowy o żadnym umieraniu - zaprotestowała Minerwa, która nagle pojawiła się koło Aronii. - Wiedziałabym, gdyby to był twój dzień.

- Jej serce bije za szybko - to mówiła Róża - jest pod wpływem jakiegoś narkotyku, lepiej, by ten ambulans przyjechał tu w trymiga, bo ja sobie z tym nie poradzę!

- Pietro - wymamrotałam.

- Nim się nie martw, CBS już go zwija. Jeśli im wszystkiego nie wyśpiewa, pozwolimy twoim pierzastym przyjaciółom wydziobać mu oczy, co intensywnie próbują zrobić, odkąd zemdląłeś.

Chciałam powiedzieć, że wcale nie zemdląłam, ale usta mi zdrętwiały, a powieki zrobiły się ciężkie, takie ciężkie...

Malina

Nigdy wcześniej nie byłam tak przerażona! Magia Ruty szalała. Gdyby mnie nie rozpoznała, gdyby nie chciała mnie dopuścić do cioci, pewnie byłaby zdolna obrać moje ciało do kości i nawet nie musiałaby przerywać uderzania Pietrem o resztki frontowej ściany jego sklepu. Łup, łup, łup – jego głowa waliła o cegły jak główka misia o bardzo małym rozumku o schody, kiedy Krzyś zabierał go na drzemeczkę.

Z cicią działo się coś dziwnego. Jej porażająco blada twarz lśniła od potu, język się plątał, a źrenice miała tak ogromne, że zniknęły brązowe tęczówki. Mówiła coś, ale tak szybko, że nie potrafiłam zrozumieć. Wiedziałam, że musimy się czym prędzej oddalić od pracowni, bo coś, co jest w środku, nam zagrażało. Odciągnęłam ją więc, całą rozdygotaną i półomdlałą.

Powtarzała w kółko imiona Amelii i Pietra, a także słowo, które dopiero po chwili rozumiałam: „kokaina”. Najwyraźniej ciocia rozwiązała sprawę, której nie potrafili rozwikłać koleś z CBS! Podtrzymałam ją jedną ręką, a drugą wybrałam na komórce numer pogotowia i wezwałam karetkę. Gdy przyjęli zgłoszenie, zadzwoniłam do cioci Amelii i streściłam jej, co się dzieje. Wiedziałam, że ciocia Ruta będzie chciała ją zobaczyć, ledwie otworzy oczy.

Nie miałam pojęcia, co robić dalej. Zanim zaczęłam na dobre panikować, zjawily się mama i ciotki, moje kuzynki i siostra. Cały sabat. Chwilę później wszystkie trzymałyśmy się za ręce. Róża martwiła się o serce cioci i zbyt wysokie ciśnienie, które mogło spowodować udar, wlewałyśmy więc w Rutę możliwie dużo energii, z nadzieją, że magia zdoła ją wykorzystać do podtrzymania nieprzytomnej przy życiu przynajmniej do przyjazdu pogotowia.

Ptaki kłębiły się nad naszymi głowami jak w filmie Hitchcocka. Przerażały mnie tym krakaniem, łopotem skrzydeł i obijaniem się o ścianę nad nami. Nie chciały zostawić swojej wiedźmy. Jej magia otaczała ją nerwowym kokonem, podszczypywała nas, jakby sprawdzając, czy stan Ruty to nie nasza sprawa.

Karetką przyjechała minutę przed Amelią, która wpadła w zaułek swoją małą mazdą i zahamowała gwałtownie przed kupą gruzu.

Wysiadła i dołączyła do otaczających Rutę ratowników.

Chwilę później wniesiono nieprzytomną ciocię na noszach do karetki, do której wsiadła też Amelia. Ambulans odjechał na sygnale.

- Dobrze, zajmą się nią. Minerwa wiedziałyby, gdyby miało się stać coś naprawdę złego - oświadczyła Aronia. - Możecie do niej jechać. Ja tu posprzątam - dodała.

Koźlaczki szybko się pozbierały i już były w drodze do szpitala. Ja się jeszcze zatrzymałam.

- Zostać z tobą? - zapytałam cicho.

Aronia uśmiechnęła się ciepło i objęła mnie ramieniem.

- Spisałaś się, Malinko. Teraz ja dopilnuję, by ten łajdak pięknie współpracował z policją, CBS i wszystkimi świętymi. Jeśli się przyzna do winy, życie Ruty szybciej wróci do normy.

- Nie wiem, czy on też nie powinien trafić do szpitala - powiedziałam niepewnie.

- Nie mnie to oceniać. Od tego są tu służby. - Kiwnęła głową w stronę agentów, którzy stali jak mokre gołębie, z wyraźnie spłoszonymi minami, wciśnięci w futrynę drzwi do piekarni, zupełnie jakby się spodziewali trzęsienia ziemi.

Akurat bez Ruty w okolicy ryzyko trzęsień ziemi gwałtownie spadło.

- Co tu się stało? - zapytał wstrząśnięty młodzian w tanim garniturku.

- Płyty tektoniczne się poruszyły - wyjaśniła Aronia - i być może doszło do wybuchu gazu. Nieszczelność instalacji nie dziwi po wstrząsach - dodała, bo przecież z dawnej pracowni Pawła wyrwało całą przednią ścianę i wszędzie walał się gruz.

- Coś jak na Śląsku, w miasteczkach nad starymi sztolniami? - zapytał ten starszy.

- Tak właśnie, tylko tu to całkiem naturalne zjawisko - odparła gładko Aronia.

Wiedziałam, że uwierzą, i nawet nie będziemy musiały ich poić eliksirem babci Narcyzy. Ludzie w takiej sytuacji desperacko potrzebują wyjaśnienia. Nie znajdując logicznego, są skłonni przyjąć każde inne, bo brak wytłumaczenia przeraża ich dużo bardziej.

Zostawiłam mamę, by wprowadziła agentów w rolę Pietra w przemyśle i kazała im ściągnąć techników do zebrania osadu z białej

chmury, zanim ten się rozniesie. Szybko znaleźli nietkniętą skrzynię kafelków, a gdy dzięki Aronii wiedzieli już, gdzie szukać, odkryli więcej dowodów.

Podjechałam mazdą Amelii pod lokal cioci Ruty. Był otwarty, więc weszłam do środka poszukać klucza. Niby w Zielonym Jarze nikt nie powinien podnieść ręki na mienie jednej z Koźlaczek, ale przyjezdnych idiotów nie brakowało.

Zanim znalazłam klucz i zamknęłam drzwi, w zaulek wcisnęła się znajoma furgonetka. Klon wyskoczył z niej jak na sprężynie.

- O jejušku, chyba coś przegapiłem - rzucił, rozglądając się dookoła.

- To i owo - przyznałam.

- Przywiozłem pelargonie Ruty - powiedział i zaczął wyciągać z tyłu furgonetki donice z kaskadami czerwonych kwiatów. W życiu nie widziałam tak dorodnych i upasionych na zielonej magii pelargonii.

- Bardzo się ucieszy - zapewniłam. - Podrzucisz mnie do domu? Padam z nóg.

- Wskakuj, maleńka. - Mrugnął i poklepał maskę, która regularnie porastała mchem.

Byłam bardzo zmęczona. Oddałam trochę za dużo magii, jednak nie dolegało mi nic, czego nie wyleczyłyby drzemka i eliksir prababci Narcyzy na wzmocnienie. Zerknęłam na ekran komórki, czekając na wieści ze szpitala. Pół godziny później napisała do mnie Jagoda. Wszystko już dobrze. Zrobili cioci płukanie żołądka, ustabilizowali ciśnienie i zapewnili, że wyjdzie z tego bez zawału, udaru czy czegoś jeszcze gorszego.

A więc jednak happy end, pomyślałam, padając w pościel. Powinnam wrócić do kawiarni albo chociaż zadzwonić do Barnaby, ale nie miałam siły. Pewnie już wiedział. To był Zielony Jar i plotki latały tu szybciej niż messerschmitty.

Aronia

Musiałam przyznać Szwabikowi i Macioszkowi, że – kiedy już im się palcem pokazało sprawcę i dowody – działali jak dobrze naoliwiona maszyna. Żeby moja siostra musiała za nich dopaść watażkę z kartelu? Wstyd, panowie. No ale skoro dopadła, to mogli go aresztować, wywieźć z miasta i posprzątać ten cholerny narkotykowy bałagan.

Robili to przez kilka następnych dni.

Kamień spadł mi z serca, że za tą aferą nie stał nikt stąd. Gdybym poświęciła więcej uwagi narzekaniom Ruty, może szybciej byśmy go złapali i nie doszłoby do takiej eskalacji. Moja biedna siostra, która spędziła trzy dni w szpitalu, gdzie monitorowano, jak jej organizm radzi sobie ze skutkami podtrucia kokainą, na co dzień wzbraniała się nawet przed trawką od Drzewieckich, a nagle zaserwowała sobie odlot stulecia. Kto by pomyślał, że narkotyk zdoła przerwać biały szkwał. Bo choć zniszczenia były znaczne, bez wątpienia mogło być gorzej, dużo gorzej. Poza kilkoma stłuczonymi szybami w Zaułku i powichrowaną kostką brukową większość szkód dotknęła konkretny lokal, pozostałe działały bez przeszkód. Ubezpieczyciel na pewno to doceni – ja jako burmistrzynie doceniałam bez dwóch zdań.

Najdziwniejsze było to, że Pietro faktycznie śpiewał. Wystarczyło napomknąć, że w razie oporów chętnie dopuszczę do niego Rutę na jeszcze jedną małą sesyjkę, by zbladł i zaczął sypać. Nie wiem, co dokładnie między nimi zaszło, zanim się pojawiłyśmy, ale budziła w nim niemały respekt. Zabawne, zwykle ludzie postrzegali Rutę jako łagodną i spokojną. On zdołał sprawić, by zaprezentowała się z tej mniej sympatycznej strony.

Sam się o to prosił. Miała rację – sabotował ją i próbował wygryźć z rynku. Wyobraził sobie, idiota jeden, że jeśli Ruta zamknie swoją pracownię pod szóstką, ta jego, spod ósemki, z niemal identyczną nazwą, zdoła się pod nią podszyć. Dlaczego? Otóż by w razie kontroli nie wydało się, że jego lokal jest całkiem nowy. Dilerzy wiedzieli, że służby depczą im po piętach od wypadku jednego z kurierów, więc ten tytan intelektu wykorzystał śmierć Pawła i to, że jego sklep znalazł się na rynku. Zaklinał się, że nie zabili Pawła specjalnie w tym celu. To

naprawdę był wypadek. Zapewne pod wpływem, bo potrafił go ten sam facet, który potem rozwalił się gdzieś na autostradzie. Z kolei do pana Tomali strzelał sztywniak z mleczarni. Pietro sprzątnął go w porywie emocji, choć wiedzieli, że grunt pali im się pod nogami.

Nie miałam ochoty mu wyjaśniać, że jego plan był durny do kwadratu. Nikt w Zielonym Jarze nie pomyliłby nazw Terra Ruta i Terra Ruda, ludzie mogli odwiedzać jego sklep z ciekawości, a nawet kupować jego brzydkie kubki, by mieć pretekst do przyjrzenia mu się, co nie zmieniało faktu, że pozostałby obcy. A gdyby doprowadził Rutę do bankructwa, miałby na pieńku nie tylko z Koźlaczkami, ale i ze znaczną częścią mieszkańców miasta. Dbaliśmy o swoich.

Jeszcze zanim Ruta wyszła ze szpitala, Zaułek Garncarzy posprzątało. Maszyna biurokratyczna ruszyła i miałam nadzieję, że ratuszowi uda się przejąć lokal po Pawle. Niby był sprzedany, ale działalność przestępcza i - jak się okazało - fałszywe dane kupującego oraz niedopełnienie formalności (podatki!), a także parę innych paragrafów, przemawiały na naszą korzyść. Znajdziemy najemcę, który uszanuje wolę Pawła i będzie pasował do Zaułka znacznie lepiej. Tylko poczekamy z tym, aż Ruta wydobrzeje, a każde ptaszysko w okolicy weźmie na wstrzymanie. Teraz przesiadywały na kablach, parapetach, drzewach, nawet na stojakach na rowery! Sam Edgar Alan Poe dostałby ataku nerwicy na ten widok. Czekały na powrót Ruty albo tego, który ją skrzywdził, żeby mogły mu wydziobać oczy.

Poza obecnością tej pierzastej armii okupującej Zaułek Garncarzy i poza tym, że lokalowi Pawła wciąż brakowało jednej ściany, wszystko wracało do normy.

Agenci i policja wojewódzka zapewnili mnie, że znikną z Zielonego Jaru przed równonocą. Ich obecność mogłaby źle wpłynąć na atmosferę świętowania.

Ruta

Obudziłam się w szpitalu. Gardło piekło mnie żywym ogniem, a twarz wciąż była zdrętwiała. Przy łóżku, poskładana jak scyzoryk, siedziała na plastikowym krześle Amelia. Miała zamknięte oczy, ale nie spała. Prawie słyszałam jej niespokojne myśli.

- Hej, piękna, dasz się zaprosić na drinka? - zapytałam ochryplym, obco brzmiącym głosem.

Otworzyła te najpiękniejsze niebieskoszare oczy i wbiła je we mnie jak dwa sztylety.

- Ale mnie nastraszyłaś - powiedziała.

Wcześniej musiała płakać, bo miała zatkany nos.

- Wybacz, nie spodziewałam się, że zaczniesz strzelać. Ani że trzyma w tych skrzyniach kokainę - tłumaczyłam się.

Przymknęła powieki i przetarła je palcami, jakby chciała się obudzić z koszmarne snu.

- Kocham cię - szepnęłam i wyciągnęłam do niej rękę.

Bałam się, że nie zechce jej ująć. Nie wszystko pamiętałam. Nie wiedziałam, czy komuś nie zrobiłam krzywdy.

- Też cię kocham, wariatko - odpowiedziała i jej palce splotły się z moimi.

Nie musiałam wiedzieć już nic więcej.

*

Bałam się powrotu do Zaułka Garnarzy. Nie chodziło nawet o zniszczenia - wiedziałam, że są znaczne, bo przycisnęłam Amelię i Aronię, która odwiedziła mnie w szpitalu, a potem w domu, i zdawała relację z postępów śledztwa i aresztowań. Wsadzili już piętnaście osób i na tym się pewnie nie skończy. Skonfiskowali też tyle towaru, że gdybyśmy go sprzedali, podwoiłybyśmy budżet miejski na kolejną dekadę. Zielony Jar znów był miejscem wolnym od przestępczości zorganizowanej. Miałam nadzieję, że wieści o tym, co spotyka takich jak Pietro, się rozejdą i inni będą nas omijać szerokim łukiem.

Obawiałam się reakcji sąsiadów. Większość z nich nigdy wcześniej nie widziała, na co mnie stać. Byłam tą cichą, spokojną Koźlaczką, która nie rzuca klątw na prawo i lewo, zaskakująco dobrze kontroluje emocje i praktycznie nie używa magii. Jak się okazało, do czasu.

Przed szóstą przypięłam rower do stojaka przed pracownią i podeszłam pod lokal Pawła. Pomyślałam, że Pietro stracił prawo przynależności do tego miejsca z chwilą wystawienia na półkach kubków z chińskiej fabryki. Aronia zapewniała mnie, że teren został zabezpieczony i żywioły nie zniszczą tego, co zostało ze sklepu. Mówiła też, że właściwie nie tknęłam zaplecza, wszystko pozostało na swoim miejscu, w tym piece i suszarnia. Widać podświadomie wiedziałam, że tam ciągle jest sanktuarium Pawła - to pomieszczenie od frontu było skażone przez Pietra.

Patrzyłam na plandekę zakrywającą otwór po zburzonej ścianie, a łzy spływały mi po policzkach. Obiecałam Amelii, że wybierzemy się na terapię. Uważała, że musimy przetrwać śmierć Pawła, żałobę i poczucie straty, a rozmowa ze specjalistą może nam pomóc. Nam, czyli mnie, bo to ja sobie z tym nie radziłam i butelkowałam emocje, aż wybuchły. Nie protestowałam. Uznałam, że jeśli istnieje cień szansy, że sobie to wszystko jakoś poukładam, a węzeł w środku zniknie, warto spróbować.

Z ciężkim westchnieniem skierowałam się do pracowni. Mimo krótkiego czasu, jaki pozostał, terminowa realizacja zamówienia dla pani Hiromi wciąż była możliwa. Zwłaszcza że Aronia zapewniła, że mogę wykorzystać piec Pawła. Kiedy to usłyszałam, kamień spadł mi z serca.

Zabrałam się do roboty i pracowałam, jakby jutra miało nie być. Toczyłam na kole kształtne miseczki na ramen, jedną za drugą, aż wyrosła na stole roboczym ich gliniana armia.

Po dziewiątej usłyszałam dzwoneczek nad drzwiami. Zamarłam, bo od razu wiedziałam, że tym razem to nikt z rodziny. Wytarłam dłonie o ściereczkę i wyszłam na front pracowni.

Tuż za progiem stał Stasiek, międląc czapkę w dłoniach. Czerwony na twarzy, jakby przesiedział cały dzień na słońcu. Odchrząknął raz i drugi, zbierając się do tego, co zamierzał powiedzieć. Żołądek ścisnął mi się z nerwów.

- Stasiek, mów, z czym przyszedłeś, nie dręcz mnie tym postępowaniem - popędziłam go, siląc się na zdecydowany ton i starając się uspokoić serce, które w jednej chwili wpadło w galopadę.

- Bo ja... w imieniu Zaułka obiecałem wszystkim, że przyjdę i powiem, no wiesz... - wyduślił z siebie, a czerwień na jego policzkach nabrała intensywności.

- No nie wiem, Staśku, nic nie wiem. To ty zwykle wszystko wiesz, więc może mi powiesz? - zaproponowałam.

- Chcieliśmy ci podziękować, no!

- Za co konkretnie? - Nie zdołałam ukryć zdziwienia. Za zrujnowanie jednego z lokali? Za niezrujnowanie ich lokali?

- Za to, że wyniosłaś śmieci. Powinienem ci uwierzyć, że to był kawał drania, ale mnie omamił.

- Nie ma za co - odparłam. Bo co innego można powiedzieć w takiej chwili?

- Rozłożysz stoisko na festiwalu równonocy? - zapytał nieoczekiwanie.

- Jak co roku - zapewniłam.

- To dobrze - powiedział tylko i wyszedł, lekko trzaskając drzwiami.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale jeśli czegoś się nauczyłam, żyjąc od urodzenia w tym miasteczku, to tego, że ludzi nie zawsze trzeba rozumieć. Wystarczy ich akceptować razem z ich dziwactwami.

Wróciłam do pracy z nieco lżejszym sercem. Może pani Hiromi nie wyczuje emanującego z miseczek gniewu i smutku?

*

Nie mogłam w to uwierzyć, ale zdążyłam! Wszystkie elementy zestawu wyglądały wspaniale, a glazury wyszły lepiej, niż się spodziewałam. Patrząc na naczynia, czułam prawdziwą dumę. Były piękne. Jak cudowny kwiat, który wyrósł na zgliszczach. Pani Hiromi nie posiadała się z radości, kiedy przywiozłam jej skrzynki z zastawą owiniętą delikatnymi bibułkami. Nawet nie przeszkadzało jej, że furgonetka Klona Drzewieckiego lekko zajeżdża nawozem i torfem.

Zapowiedziała, że w przyszłości być może złoży nowe zamówienie, i zaoferowała mi w ramach dodatku do sowitego honorarium voucher

na kolację dla dwóch osób w swojej restauracji. Wiedziałam, że Amelia będzie zachwycona.

*

Coroczny festiwal równonocy jak zwykle okazał się wielkim wydarzeniem. Były muzyka na żywo, tańce na błoniach pod miastem i targ, a na nim, między innymi, moje stoisko. W tym roku wyjątkowo oblegane, jakby każdy mieszkaniec czuł potrzebę, by zostawić u mnie choć trochę forsy. Może to zasługa nowej kolekcji, którą zrobiłam specjalnie na festiwal?

Edycja limitowana. Nazwałam ją „Pietro Escobar”. Schodziła jak świeże bułeczki, a może i lepiej, bo pod koniec dnia Stasiek wciąż miał co pakować, a ja właściwie nie. Sam zresztą kupił okazały kubek z dużym uchem, prawie osiemset mililitrów pojemności. Na czarnym tle metodą sgraffito wydrapałam szlaczek z nabojów i dwa skrzyżowane glocki. Zrobienie całej kolekcji z motywami gangsterskimi okazało się niemałym wyzwaniem, ale dobrze się bawiłam. Chyba pozwoliło mi to nabrać dystansu do niedawnych wydarzeń. Przepuściłam wspomnienia przez swoją sztukę i suche żarty o kartelach. Na wiedźmą kolekcję przyjdzie jeszcze czas.

Za kilka lat ktoś sięgnie po filiżankę, zobaczy wydrapany na ścianie wzór C₁₇H₂₁NO₄ albo talerzyk z kunsztownym wizerunkiem krasnodrzewu pospolitego i przypomni sobie tę wiosnę, kiedy do Zielonego Jaru zabłąkał się kartel narkotykowy i nie było dnia, by jego ludzie tego nie żalowali, siedząc za kratami.

OSTATECZNE PORACHUNKI



MALINA

Kiedy żyjesz naprawdę długo i wciąż masz znakomitą pamięć, wspomnienie własnych wtop i chwil niepoczytalności potrafi spędzać sen z powiek. Ale z paczką zaprzyjaźnionych Harpii możesz spróbować naprawić dawne błędy, nim będzie za późno.

Zbrodnia i kara w szalonym wydaniu - Narcyza i jej paczka emerytek w akcji! Fakt, są już po okresie gwarancyjnym, ale wciąż potrafią niezłe namieszać. Gdyby lokalny stróż prawa nie był srebrnym lisem, pewnie posiwałby, ledwie przekroczyły granice jego miasta!

Internet to doprawdy niesamowite narzędzie, pomyślała Narcyza, wpatrując się w ekran. Sama nie wiedziała, jak właściwie trafiła na tę stronę. Ot, surfowała sobie radośnie, nie szukając niczego konkretnego, i nagle zobaczyła zdjęcie kobiety, o której sądziła, że od dawna jest martwa.

Informacje o jej śmierci były najwyraźniej mocno przesadzone. Przynajmniej na razie. Wciąż żyła, choć ledwo, ledwo, jeśli wierzyć autorowi artykułiku. Nie żeby Narcyza specjalnie mu ufała. Określił bowiem Stanisławę Berg mianem kobiety leciwej, a przecież miała góra osiemdziesiątkę. Może więc i z tym stanem krytycznym mocno przesadził?

Przez pewien czas Harpie intensywnie szukały Stanisławy, ale wtedy zapadła się pod ziemię. Wyglądało na to, że zerwała kontakty ze wszystkimi, nawet z rodziną. Trudno się dziwić - Narcyza i jej towarzyszki były wściekłe i cała ta afery z poszukiwaniem kryła zapowiedź przemocy i rozróby, jakich mało. Połowa Harpii wkraczała wtedy w smugę cienia, innymi słowy, oberwały menopauzą jak kulą wyburzeniową, co skróciło im lonty i sprzyjało zachowaniom ekstremalnym. Niektórzy nie zauważyliby różnicy, jako że żadna z nich nigdy nie słyngała ze zrównoważenia i poukładania, ale Narcyza musiała przyznać sama przed sobą, że nawet jak na swoje możliwości leciały wtedy po bandzie. Jakby za punkt honoru postawiły sobie rozpętanie burdy w piekle tylko po to, by udowodnić sobie i otoczeniu, że ciągle mają „to coś”.

Od tamtej pory sporo się zmieniło. Po pierwsze - hormonalna terapia zastępcza zdziałała cuda. Po drugie - człowiek się uczy całe życie, a czas pokazał, że Stanisława nie kłamała. Za to ten podlec, z którym zaręczona była wtedy Greta, łągał w żywe oczy z taką łatwością, z jaką oddychał. Kilka miesięcy później wszystko wybuchło mu w twarz i Greta solidnie porachowała mu kości, ale po Stasi nie było już wtedy śladu.

Narcyza przez wiele lat borykała się z wyrzutami sumienia, że wtedy uwierzyły właśnie jemu, a nie drugiej kobiecie. Kompletnie je zaślepiło. Gdyby dziś spotkała Stasię na ulicy, przeprosiłaby. Wiedziała, że Greta i pozostałe myślały podobnie. Jakies pół roku temu, upite młodym winem, wspomniały tamtą sytuację i zgodziły się co do jednego - Miruś zrobił je

wtedy na szaro i spierdoliły sprawę. Dumaly, co się stało ze Stanisławą, czy ułożyła sobie życie i czy wybaczyła im fatalny błąd w ocenie oraz groźby karalne. Teraz, dzięki artykulikowi na lokalnym portalu (temat był najwyraźniej za mały, by trafić do ogólnopolskich mediów), wiedziała, gdzie Stasia wylądowała i co robiła. Czy przez cały ten czas się przed nimi ukrywała? Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że mieszkała w dziurze, w której psy dupami szczekają?

Ile razy, zastanawiała się Narcyza, dostaje się okazję, by wyrównać rachunki? Naprawić własne błędy? Zanotowała na kartce adres szpitala, w którym wedle artykułu sprzed dwóch dni przebywała Stasia. Trafiła tam w stanie krytycznym, istniało więc ryzyko, że nawet nie usłyszy tego, co mają jej do powiedzenia, ale to nie znaczyło, że nie powinny spróbować.

W pewnym wieku nie należy odkładać rzeczy na później. Zwłaszcza gdy ma się już bilet na recital Świętego Piotra. Narcyza podjęła szybką decyzję. Otworzyła okienko chaty o nazwie „Harpie” i napisała krótką wiadomość do przyjaciółek:

*Zbiórka u mnie. Spakujcie się na kilka dni, wycieczka terenowa.
Ważne. Są rachunki do wyrównania.*

Sylfida, Lukrecja, Kiki i Greta wyświetliły wiadomość niemal natychmiast i odpowiedziały jej krótko emotką uniesionego kciuka. Freda jako duch nie miała własnego komputera, ale z zasady trzymała się jednej z Harpii, więc Narcyza wiedziała, że i do niej dotrze wiadomość. Machina ruszyła, raz wprawione w ruch Harpie były jak lawina.

Narcyza zamknęła laptop i wyciągnęła spod łóżka małą walizkę. Nawet jej nie rozpakowała po ostatniej wyprawie. Wyjęła tylko ciuchy do prania, więc teraz jedynie uzupełniła zawartość o zapas bielizny, piżamę i dwa komplety pastelowych dresów. Po chwili wahania dorzuciła jeszcze czarną dzianinową sukienkę. Nie przepadała za czernią, ta wyciągała bowiem z jej skóry ziemistość, ale cóż, na pogrzebie neonowy dresik stanowiłby niepotrzebną demonstrację witalności.

*

- Ależ mam przez ciebie zgagę - mruknęła Greta, po raz trzeci czytając krótką notatkę prasową, którą wydrukowała dla niej Narcyza.

- Uznałam, że chciałabyś wiedzieć - odparła Koźlaczka, zerkając na starszą, żylastą wilczycę.

Znała ją od jakichś sześćdziesięciu lat i nadal nie zawsze potrafiła wyczytać emocje z jej kamiennej twarzy. A jak mawiało dawne stado Greta - przegapienie iskry zapalnika bywa bolesne.

Greta uniosła wzrok znad kartki, bezbłędnie wyczuwając, o czym myśli jej przyjaciółka.

- Daj spokój, lepiej późno niż wcale. Od lat mi to ciąży na sumieniu. Zrobiłam w życiu wiele popieprzonych rzeczy, a ta jest w czołówce. I pomyśleć, że wszystko dla jakiegoś podrzędnego kutasa! Całkiem miałam wtedy namieszane we łbie.

Sylfida pociągnęła z tykwy długi łyk yerba mate, aż bombilla zadzwoniła jej o sztuczką szczękę.

- W czołówce? U la, la. A co właściwie jej zrobiłaś? Za łby się wzięłyście, zagroziłaś, że ją oskórujesz i wypchasz, czy, jak to w stadzie, prawie się pozagryzałyście?

Greta spiorunowała ją spojrzeniem, ale Sylfida tylko wzruszyła ramionami i dodała:

- Och, daj spokój, urażona niewinności. Doskonale pamiętam cię z tamtego czasu. Wszystkie te napięcia w stadzie, menopauza, ten idiota, niekończące się wyzwania o dominację... - Pstryknęła palcami, przypominając sobie coś jeszcze. - Hola, czy to nie wtedy wypłynął ten nawiedzony ksiądz, który z ambony nawoływał do kamienowania magicznych i wyrywania nas jak chwasty? Pamiętacie go? Taki odjechany pajac, jak mu było? Jacek? Janusz?

- Pamiętamy. W przeciwieństwie do ciebie, nie spędziłyśmy trzech lat w objęciach szamana, który miał w zwyczaju doprawiać jajecznicę halucynogenami - burknęła Greta.

Wymieniły z Narcyzą szybkie spojrzenia. Koźlaczka dyskretnie pokręciła głową - po tylu latach nie było sensu wyciągać na jaw losu księdza. Wypłynął, popłynął, na chuj drążyć temat. Mogły mu wybaczyć szczucie i pierdolenie głupot z ambony, ale nie pierdolenie ministrantów. Nikt ich nigdy nie zapytał, co się z nim stało, a same nie zamierzały wychodzić przed szereg. Nie urodziły się wczoraj.

- Czyli co, jedziemy do niej? - upewniła się Kiki, ciągle nie w pełni obudzona.

Po wiadomości od Narcyzy w ogóle się nie kładła, tylko wsiadła za kółko i jechała całą noc. Mówią, że starsi ludzie potrzebują mniej snu – jeśli tak, Kiki ciągle była przedszkolakiem i wiele by dała za leżakowanie dla dorosłych.

- Jasne, skoro ledwie dycha, nie ma co tego odkładać. Ale nie musicie jechać. Sama to ogarnę – rzuciła Greta.

- Tak, tak, a my to pierwsze naiwne. Jeszcze mi za ostatni mandat i kolegium nie oddałaś – ucięła Kiki. - Jedziemy z tobą, więc oszczędź sobie gadania. Kiedy dotrą Lukrecja i Freda? - zwróciła się do Narcyzy.

- Będą przed południem. Lukrecja odwiedzała rodzinę na jakimś czeskim zadupiu, urzędną się i nie mogła ruszyć od razu po otrzymaniu wiadomości – wyjaśniła Kozłaczka.

- Świetnie, to wy tu sobie wszystko dogadajcie, wklepcie w GPS-y czy narysujcie mapki, a ja się idę zdrzemnąć choć na dwie godzinki. Albo sen, albo jedzenie, nie dam rady zrezygnować z obu – oświadczyła lekko rozdrażnionym tonem i wymaszerowała z kuchni. Chwilę potem trzasnęły drzwi jej kampera.

- Znowu się odchudza? Chyba miała sobie dać z tym spokój po osiemdziesiątce? - zdziwiła się Narcyza.

- Przymierzyła bikini i twierdzi, że źle się trzyma, bo cycki wiszą. Nie żeby w poprzednim sezonie jej sterczały. Ten statek zatonął już dekady wcześniej – odpowiedziała Sylfida.

- A co? Puste worki lepiej sobie radzą z grawitacją niż pełne? - parsknęła Narcyza.

Syl wzruszyła ramionami.

- Co poradzisz, cieszy się na tę Ibizę, jakby w ramach all-inclusive gwarantowano harem mięśniaków, którzy całymi dniami będą ją wachlować i smarować kremem przeciwsłonecznym. Aż się zrobiłam głodna przez tę wizję – powiedziała i sięgnęła po upieczone przez Narcyzę rogaliki. - Twoja wnuczka nie zbikuje, jak nas wszystkie zobaczy w swoim wypieszczonym miasteczku? Wciąż nie mogę uwierzyć, że wpisała w statut miasta zakaz naszego gromadzenia się. To naprawdę przesada.

Tym razem to Narcyza zareagowała wzruszeniem ramion.

- Co nam zrobi? Aresztuje? Pozew o dyskryminację ze względu na wiek i szerzenie mowy nienawiści na pewno jej nie pomoże w kolejnych wyborach. A zawsze są jakieś wybory – odpowiedziała złośliwie.

- Szerzenie mowy nienawiści? Co dokładnie mówiła? - zapytała Greta, marszcząc brwi.

- Że nie chce nas tu widzieć w komplecie. Jeśli to nie jest dyskryminacja i nienawiść, to sama nie wiem - wyjaśniła Narcyza i prychnęła śmiechem.

Pracowała na swoją reputację całe życie i byłaby głęboko zawiedziona, gdyby na stare lata ludzie o niej zapomnieli. W dniu, w którym zaczęliby ją traktować jako miłą, niegroźną staruszkę, która lubi się trzymać z innymi staruszkami, bo pewnie razem szyją kołdry czy robią inne tego rodzaju pierdoły, musiałyby odwalić coś naprawdę grubego, by jej wnuczka otrząsnęła się z marazmu.

- Greta, ale jedziemy tam się pogodzić, nie? Żadnych burd i mordobicia? - zapytała przytomnie Narcyza, bo przypomniała sobie, że i wilczyca miała reputację ostrej zawodniczki.

- A co? Nie wiesz, czy pakować spluwy i kastet? - odburknęła tamta i się uśmiechnęła. Od wyszczerzenia zębów, czyli uniwersalnie rozumianej wilczej groźby, jej uśmiech w sumie różniły tylko iskierki rozbawienia w oczach.

- To też - przyznała Koźlaczka - ale głównie chodzi o dresy... Spakowałam pastelowe z weluru. Z tego się łatwo krwi nie spierze, a tych różowych już nie ma w produkcji - zaznaczyła.

Greta jedynie uniosła brew i pogłaskała rękaw kurtki motocyklowej. Nie rozstawała się z nią od dwudziestu paru lat. Wcześniej miała inną, prawie taką samą. Praniem ich nigdy nie musiała się przejmować, wystarczyło zetrzeć krew gąbką. Nie udoskonala się perfekcji.

*

Lukrecja i Freda dojechały dopiero po pierwszej i Gretę mocno już nosiło. Krążyła nerwowo przed domem Koźlaczek, jakby wydeptywaniem kilometrów mogła cokolwiek wskórać. Jedyne, co z pewnością osiągała, to doprowadzanie Aronii Koźlak do stanu przedzawałowego. Ta dziewczyna za dużo się martwi i spożywa za mało magnezu, uznała Greta, z daleka widząc drgającą powiekę Koźlaczki. Jakby miały tu za chwilę rozpętać jakąś chryję. Bez przesady.

Kiedy dwie zbłąkane Harpie wreszcie zaparkowały swój kamper koło pozostałych, Greta doskoczyła do niego i zawołała:

- Żadnego rozgaszczania się, jedziemy!

- Ale ja muszę do łazienki! - zawołała oburzona Lukrecja.

- Masz trzy minuty - burknęła Greta.

- Mam tyle minut, ile to zajmie - odwarknęła Lukrecja, a jej oczy zalśniły żywym ogniem.

Duch Fredy przysunął się bliżej piromanki. Zawsze gdy marzła, jej pęcherz robił się nadaktywny. Jeżeli pobiegnie do łazienki, przynajmniej nie podpali niczego w środku. To oznaczałoby dodatkowe opóźnienie i Greta zagotowałaby się jak nic.

- I czego ją ciągniesz za ogon? Jakby kiedykolwiek dobrze reagowała na rozkazy, ograniczenia i autorytety - zwróciła się Freda do wilczycy, zaplatając ramiona na piersi.

Syl zabrała ją do nawiedzonego zamku w Czechach i Freda obzarła się ekto plazmy po kokardę. Mogłaby teraz nawet tupać nogą o podłogę, ale szkoda jej było energii na upartą jak osioł przyjaciółkę.

- Co cię tak wzięło? - zapytała, widząc napiętą, pobladłą twarz wilczycy.

- Dawna głupota dopadła mnie niczym karma - przyznała Greta. - Boję się, że nie zdążę jej powiedzieć... No, przeprosić.

- Jakby śmierć wszystko kończyła - odparła Freda, unosząc brew.

Harpie czasami zapominały, że od dawna nie żyła lub, jak mawiała Kiki, która wolała owijać trudne słowa w tiul i bibułki - zmieniła stan skupienia z cielesnego na duchowy.

- Nie wiem, czy wilki zostawiają duchy - powiedziała Greta, czochrając się po głowie. Musiała to robić cały ranek, bo krótkie srebrne włosy z ciemniejszym podszerstkiem sterczały jej jak nastroszone kolce. Freda nigdy jej takiej nie widziała. Wyczuła, że jest coś, co przyjaciółka postanowiła przemilczeć. Nawet za życia nie potrafiłaby wykręcić ręki wilczycy, a tylko tak dałoby się skłonić Gretę do mówienia o czymś, o czym mówić nie chciała.

*

Kawalkada kamperów opuszczała Zielony Jar odprowadzana spojrzeniem przez Aronię, której kamień spadł z serca. Koźlaczka potrzebowała się napić czegoś mocniejszego, bowiem zawsze gdy do miasteczka zawijała kompania jej babki, ciążyło nad nim widmo katastrofy. Tym razem obyło się bez zniszczeń, awantur i ofiar w ludziach.

Trochę współczuła mieszkańcom Strzelna Kujawskiego, do którego Harpie udawały się swoją kosmiczną kawalkadą kamperów – nowoczesnych, lśniących stałą i wartych pewnie tyle, ile niewielki dom albo luksusowy samochód. Kupiły je za jednym zamachem, nowiutki i jeszcze pachnące fabryką, nazywając je swoim planem emerytalnym. Pięć srebrzących się w słońcu chrząszczy pełnych szajby i kłopotów. Zawsze to jakiś pomysł na emeryturę. Aronia jeszcze takowym nie dysponowała, ale miała sporo czasu, by się nad tym zastanowić – co najmniej sześćdziesiąt lat, jeśli odziedziczyła geny po babce.

Nie zapytała Harpii, po co się tam wybierają, bo nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Jeśli na jej proggu pojawi się policja, CBA, Europol czy jakakolwiek inna agencja, którą Harpie zdołają wkurzyć, jej zaskoczenie i szok wypadną bardziej przekonująco.

*

Narcyza jechała pierwsza. Wedle GPS-u miały przed sobą prawie cztery godziny drogi. Pewnie bez przystanków, bo Greta warczała na każdą sugestię postoju. Zaskrzeczało CB-radio i po chwili rozległ się w nim głos Lukrecji:

- Skoro już jesteśmy w drodze, chyba wypadałoby zadać jedno podstawowe pytanie. Zastanawiałaś się, Greto, czy ona w ogóle będzie chciała cię widzieć? Odpierdoliłaś numer stulecia. Po tym, jak rodzina ją wyrzuciła, zrobiła wszystko, by ułożyć sobie życie z dala od ciebie i Zielonego Jaru, więc po ludzku może woleć, byś trzymała się od niej z daleka.

Przez chwilę dało się słyszeć wyłącznie cichy, statyczny szum. Wreszcie w radiu rozległ się głos Grety:

- Co masz na myśli, mówiąc, że rodzina ją wyrzuciła?
- Nie wiedziałaś? – zapytała zaskoczona Lukrecja.
- Ja też nic o tym nie słyszałam – wtrąciła Narcyza – więc może podzielisz się tą rewelacją z resztą klasy?

Lukrecja westchnęła i zapytała:

- Greta, ile ty pamiętasz z tego ostatniego starcia, po którym Stanisława zniknęła? Dopadłaś ją wtedy we włoskiej restauracji na Szerokiej.

- Nie za wiele – przyznała wilczyca. – Byłam nastukana i wkurwiona, zaćmiło mnie. Co wiesz?

- Tyle, ile widziałam na własne oczy i czego się dowiedziałam później, po jej zniknięciu. Musiałam mieć pewność, że jej nie załatwiłaś i nie zostawiłaś zwłok w lesie - wyjaśniła Lukrecja.

Ciche warknięcie stanowiło całą odpowiedź, na jaką zdobyła się Greta, ale Lukrecja rozumiała jej frustrację. Kiedy człowiek żyje naprawdę długo, uzbiera mu się głupot, których wolałby nie pamiętać. W innych okolicznościach nie wypominałaby przyjaciółce dawnych chryj, ale skoro jechały się spotkać ze Stanisławą Berg, nie było miejsca na delikatności.

- Złapałaś ją za fraki i zagroziłaś, że ją zabijesz. I naszczasz na jej grób. A potem zamordujesz całą jej rodzinę, by nie został nikt, kto zapaliłby jej znicz.

- I wzięła to na poważnie? Ledwie to pamiętam, naprawdę byłam pijana - tłumaczyła się słabo wilczyca.

- No byłaś, najebana jak szpadel, ale wciąż pozostawałaś alfą największego stada w okolicy i wściekłą suką. Nie przetrwaliby konfrontacji. Więc odcięli Stasię od stada i wywalili ze swojego terytorium. Zabronili wracać, odmówili kontaktu. Została całkiem sama. A wiesz, że samotnictwo nie leżało w jej naturze. Była miękka, inaczej nie dałaby się urobić temu futowi Mirusiowi.

- Kurwa - wymamrotała Greta.

- To chyba też jej rzuciłaś w twarz kilka razy. Jak to mówią, piłaś, nie pisz esemesów do byłego i nie gróż kochance narzeczonego zagładą całego jej stada - odparła Lukrecja. - On nie był tego wart.

- Tu się żadna kłócić nie będzie. Wtedy nawet nie szło o niego czy o zwykłą ludzką zazdrość. To moja wilczyca się wściekła, że tamta przyszła na nasze terytorium, dobrała się do naszego żarcia i podeptała nasze granice.

- Naprawdę nie wiesz, czemu aż tak cię poniosło, czy po prostu się oszukujesz? - zapytała Sylfida. A gdy odpowiedziała jej przedłużająca się cisza, westchnęła i kontynuowała: - Greto, to samo wtedy robiła ci twoja córka. Podkopywała twoją pozycję i czaiła się na twoje stado, twojego fagasa i twoją fuchę. A ty kochałaś swoją córkę i nie chciałaś jej przetrącić karku w pojedynku, więc musiałaś udawać, że tego nie widzisz. I gotowało się w tobie jak w ciśnieniowarze. Za dużo napięć, które wyładowałaś na Stasi. Należało wtedy ustąpić i przejść na emeryturę tych sześć lat wcześniej.

- Margo nie była gotowa. Nie utrzymałaby stada - powiedziała cicho Greta.

- Pewnie nie. A gdybyś jej wtedy za mocno sprąła tyłek, musiałabyś zostać dłużej na stołku alfy, żeby odbudowała pozycję. Chujowo się to wszystko ułożyło dla Stasi. I myślę, że ona naprawdę nie wiedziała o tobie i Mirku. Nie należała do tych ambitnych, szarpiących do przodu suk. Nie ryzykowałyby tego, co dostała.

- Też doszłam do takich wniosków - przyznała Greta. - Dlatego mi to ciąży. Robiłam różne gówniane rzeczy, tyle że przynajmniej starałam się być sprawiedliwa. Twarda, surowa, ale uczciwa. Wtedy nie postąpiłam ani sprawiedliwie, ani uczciwie. Nie byłam sobą.

- Byłaś przerysowaną wersją siebie. Nie oszukuj się, jesteś obłąkaną, terytorialną suką, ale zwykle masz zbyt wyjebane, by grozić całej rodzinie w miejscu publicznym - wtrąciła się Sylfida.

- To fakt - potwierdziła Greta. - Mam nadzieję, że zdążę przeprosić Stasię, zanim się przekreśli.

Gdy kilka godzin później dotarły do rogatek Strzelna Kujawskiego, uderzyła je potworna brzydota miasta, którego lata świetności przypadły na czasy wczesnego Gierka. Mijały smutne szare mrówkowce, opuszczone hotele robotnicze przerobione na hostele, w których nikt nie chciałby mieszkać, zamkniętą przed laty fabrykę rozpuszczalników, aż dotarły do nieco bardziej współczesnej i zadbanej części miasteczka. Jednak i tu, mimo osiedli domów jednorodzinnych, ścieżek rowerowych czy bratków rosnących na rondach, całość nadal sprawiała średnio przyjemne wrażenie.

- Myślę, że śmierć byłaby bardziej humanitarna - powiedziała Kiki, dla której estetyka stanowiła kluczowe kryterium oceny jakości życia.

- Czujecie? - zapytała Narcyza, nie kryjąc zaskoczenia.

- Co dokładnie, poza desperacją emanującą z tego miejsca? - zainteresowała się Kiki.

- Magię, a konkretnie jej brak - odpowiedziała Narcyza, wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Stasia znalazła być może jedyne miasteczko bez choćby śladowej linii magicznej. - W głosie Greta słychać było poczucie winy i napięcie.

- Czy ona w ogóle mogła się tu zmienić? - zastanowiła się Lukrecja.

Wystawiła przed siebie palce i spróbowała przywołać płomień. Pojawił się, słabszy i bardziej chwiejny niż zwykle, mimo to poczuła delikatne

szarpnięcie. Zużywała własną magię, nie wyczuwała jednak wokół nic, co mogłoby jej pomóc uzupełnić zapasy.

- Byłoby trudniej niż gdzie indziej, ale może o to jej chodziło - podsunęła Greta.

*

Do szpitala dojechały przed szesnastą. Narcyza liczyła, że załapią się na godziny wizyt, bo nie planowała nocować w Strzelnie. Zwłaszcza że pozbawione magii miasteczko odciskało na niej swój ślad. Czuła ssanie w żołądku, jak z głodu. Co prawda dysponowała jeszcze znacznymi zapasami magicznej mocy i sporą liczbą akumulujących ją kryształów, ale uczucie było nieprzyjemne i wprowadzało ją w stan rozdrażnienia. Po minach Lukrecji, Sylfidy i Kiki widziała, że czują się podobnie. Tylko Freda i Greta pozostały nieporuszone. Pierwsza, bo w jej stanie skupienia nie robiło to różnicy, a druga, ponieważ całkowicie skoncentrowała się na ofierze. Tak już było z wilkami - gdy goniły króliczka, wszystko inne schodziło na dalszy plan. To, że króliczek nie miał skończyć jako kolacja, nie osłabiało potrzeby pościgu.

Przed wejściem do szpitala stała karetka z opuszczonymi do połowy szybami i kluczykami w stacyjce.

Budynek z niebieską elewacją i czerwonym paskiem namalowanym na wysokości pierwszego piętra prezentował się niezbyt okazale, ale może miasteczko tych rozmiarów powinno się cieszyć, że w ogóle ma szpital, przy obecnej polityce ministerstwa zdrowia.

Narcyza i Harpie mogły tylko zgadywać, jak dobre mają tu protokoły bezpieczeństwa i jak bardzo trzymają się regulaminu odwiedzin.

- Raz kozie śmierć - mruknęła Greta i ruszyła do recepcji. Pozostałe szły krok w krok za nią. Tak na wszelki wypadek.

*

Ze średnią wieku powyżej setki Harpie wiedziały już co nieco o świecie, ludziach i ich stereotypach myślowych. Pewne rzeczy się nie zmieniały: nikt nie traktował starych bab jako zagrożenia. Przynajmniej dopóki nie mamrotały po łacinie i nie trzymały w dłoniach słoików z oczami traszki czy zakrwawionych noży ofiarnych. Stare kobiety postrzegano jako albo nieszkodliwe staruszki, albo przerażające wiedźmy. Harpie doskonale

potrafiły udawać, że zaliczają się do tej pierwszej kategorii. Większość ludzi miała w swoim życiu ukochaną babcię, prababcię czy starszą ekscentryczną ciotkę, a Narcyza i jej przyjaciółki były znakomite w wyciąganiu z ludzkiej podświadomości tego rodzaju skojarzeń, jeśli akurat tego potrzebowały. Jak choćby dziś.

Mogły wejść do obcego miejsca na pewniaka i udawać, że mają pełne prawo tam być. Tak postąpiłyby w Zielonym Jarze. Tu nie znały nikogo, nie znały też dynamiki wpływów lokalnych władz, nie zamierzały więc ryzykować. Postanowiły być słodkie, lekko zagubione, wrażliwe i kruche. Poza Gretą – ta po prostu musiała wyglądać tak, jakby na śniadanie jadła kilogram gwoździ. Nawet gdyby ją przebrały w jedną z kwiecistych sukienek Syl czy artystycznych kaftanów Lukrecji, przypominałaby najemnika próbującego pozostać incognito. W tych okolicznościach trzymała się więc z tyłu, pozwalając chmurze kwiecistego tiulu i pastelowym dresom wywołać odpowiednie wrażenie. Nie znosiła szpitalnych zapachów. Lizol, starość, słabość i ból. Coś okropnego! Byłaby nerwowa, nawet gdyby nie czekała jej konfrontacja z błędami przeszłości.

- Nie tup, jakbyś przyszła z inspekcją – mruknęła Narcyza, rozglądając się po korytarzu w poszukiwaniu kogoś, kogo zdołają nakłonić, by wprowadził je do środka, a przy odrobinie szczęścia podzielił się też informacjami.

Wreszcie wypatrzyła idealną ofiarę. Młoda, pewnie tuż po trzydziestce, z falującymi blond włosami splecionymi w niedbały warkocz, twarzą w kształcie serca, zaokrąglonymi policzkami i zaczerwienionym zadartym nosem. Zza okularów w ładnych fioletowych oprawkach spoglądały wielkie brązowe ślepia o rzęsach tak długich, że gdyby kobieta wpadła na pomysł pociągnięcia ich tuszem, prawdopodobnie opierałyby się o szkła. Spod jej przydługiego fartucha wystawały nogawki jasnych dżinsów kończących się wysoko nad kostką, a na tenisówkach mieniły się brokatowe gwiazdki. Narcyza była zachwycona. Bambi w środowisku naturalnym.

Idealistka, z empatycznym błyskiem w oku, emanowała też aurą kompetencji i autorytetu, którą wzmacniała plakietka przypięta do kieszonki fartucha. Kobieta nie była już stażystką, ale pełnoprawną lekarką, która mogła podejmować samodzielne decyzje. Na przykład taką, by puścić Harpie do Stasi.

Narcyza pomachała do lekarki, by zwrócić na siebie uwagę. Kobieta omiotła staruszki spojrzaniem i zmarszczyła lekko brwi, jakby próbowała

przeszukać zakamarki pamięci. A sekundę później zmarszczka między jej brwiami się wygładziła. Obejrzawszy sobie całą dziwną kompanię, nabrała pewności, że gdyby już kiedyś spotkała te miłe starsze panie, nie zapomniałaby ich, nie ma mowy.

Pięć siwowłosych i wyraźnie roztrzęsionych kobiet zmierzało w jej kierunku, jakby ona jedna mogła im pomóc. Sprawiały wrażenie nieco ekscentrycznych, ale przecież jej własna babcia przesadnie się od nich nie różniła... Może nie nosiła motocyklowej kurtki ani neonowych dresów z weluru, jednak z taką samą intensywnością zerkała na rozmówcę zza grubych okularów.

I kiedy lekarka lekko nachyliła się w ich stronę z zachęcającym uśmiechem, jakby chciała je ośmielić, uspokoić, zapewnić o swojej gotowości do pomocy, Narcyza natychmiast wyczuła, że teraz mają już z górki.

Więc przedstawiła młodej pani doktor w gruncie rzeczy prawdziwą, nawet jeśli ciut podkreconą wersję wydarzeń. Otóż odnalazły w internecie artykuł na temat swojej przyjaciółki z dzieciństwa i młodości i ku swemu przerażeniu odkryły, że ta leży w szpitalu w stanie krytycznym! Oczywiście natychmiast przyjechały ze swojego miasteczka na drugim końcu Polski, przejęte i przepelnione współczuciem dla kochanej Stasi, bo to po prostu straszne (straszne!), co ją spotkało!

Narcyza pokazała nawet wydruk artykułu, by udowodnić prawdziwość swoich słów, i obserwowała, jak oczy Joanny Grzelak – bo takie nazwisko widniało na plakietce – wypełnia troska i współczucie.

- Oczywiście musiałyśmy natychmiast przyjechać! Biedna, biedna Stasia! - wykrzyknęła Lukrecja, załamując ręce.

W berecie na siwych puklach, tunice w artystyczne maziaje, różowych leginsach za kolano, z trzema sznurami podzwaniających na szyi koralików i w beżowych sandałach ortopedycznych wyglądała jak typowa niemiecka emerytka.

- Co z nią, pani doktor? Czy ona z tego wyjdzie? - dopytywała Narcyza żalnym głosem, którego używała tylko wtedy, kiedy chciała wyglądać na swoje sto trzydzieści lat.

Lekarka się zawahała. Gdzieś z tyłu głowy może kołatała jej się myśl o regulaminie i zasadach, ale Sylfida, w powłóczystej kolorowej sukni i z jedwabną apaszką na głowie, wpiła się palcami w jej dłoń i zapytała drżącym głosem:

- Czy możemy ją choć zobaczyć? Pożegnać się? Pani doktor, to może być nasza ostatnia szansa...

Nim lekarka zdążyła odpowiedzieć czy choćby pozbierać rozbiegane myśli, Greta dorzuciła:

- Oczywiście rozumiemy, że nie jesteśmy najbliższą rodziną, ale Stasia była nam tak bliska... Zupełnie jak siostra! W miasteczku nie zostali jej już żadni krewni.

Wilczyca odchrząknęła i dyskretnie otarła oczy.

- Po prostu umieramy z niepokoju! - dorzuciła Narcyza, międląc neonowy dresik na wysokości mostka, jak gdyby niewiele ją dzieliło od palpacji i zacumowania na jednym ze szpitalnych łóżek na oddziale kardiologicznym.

Lukrecja wachlowała nerwowo zaczerwienioną twarz folderem o operacjach żylaków.

- Duszko, czy ona leży tam całkiem sama? Nikt nie powinien umierać w samotności... - oświadczyła drżącym głosem.

Kiki szlochała, zostawiając mówienie reszcie Harpii. Znała swój talent dramatyczny i wiedziała, że nie potrzebuje słów, by zrobić odpowiednie wrażenie. Łzy jak groch spływały po jej pomarszczonej twarzy. Sylfida ze swoją magią wody mogła wyczarować łzy, ale Kiki nie potrzebowała magii - większość życia spędziła w związkach z artystami i z łatwością dawała upust emocjom. Wystarczyło jej sobie uświadomić, że najlepsze lata ma już za sobą, a w oczach stawały jej łzy jak grochy.

Tylko Freda była niewzruszona, ale jako duch i tak pozostawała niewidzialna dla postronnych, nie musiała się więc przykladać do przedstawienia.

Wola lekarki drżała jeszcze kilkanaście sekund jak osikowy listek, aż pękła z cichutkim trzaskiem. Kobieta westchnęła i powiedziała:

- Macie panie rację, nie powinna umierać sama... A na obecność męża chyba nie mamy co liczyć. Był u niej tylko raz, na trzy minuty, pierwszego dnia, a potem zostawił ją tu samiuteńką. Więcej rodziny chyba nie ma, więc na pewno ucieszy się z wizyty pań. Zaprowadzę was do jej pokoju.

Harpie dreptały za lekarką jak stadko kacuzsek. Nikt ich nie zatrzymywał, nie kwestionował ich obecności, nie wspominał, że godziny odwiedzin dawno minęły. Biały fartuch doktor Joanny działał jak najlepsza przepustka. Wjechały windą na drugie piętro, minęły pokój pielęgniarek i dwa zamknięte pokoje lekarskie, aż dotarły do dwuosobowej sali

w połowie korytarza. Jedno łóżko było puste, na drugim leżała Stanisława Berg. Czy raczej to, co z niej zostało.

Tym razem Harpie nie musiały udawać przejęcia. Stasia wyglądała naprawdę fatalnie! Niewiele przetrwało z silnej i urodziwej wilczycy, za którą strzelał oczami narzeczony Miruś. Umierająca mogłaby uchodzić za równolatkę Narcyzy.

Była wychudzona, dziwnie krucha i nieobecna. Jej długie siwe włosy leżały na poduszce, cieniutkie jak pajęczyna. Twarz i szyję pokrywały siniaki, opuchlizna zniekształcała rysy, a po obu stronach złamanego nosa krwiaki rozlewały się jak skrzydła czarnej ćmy. Na przedramiona miała założone gipsowe opatrunki. Wyłaniały się spod nich palce o połamanych paznokciach i pokaleczonych kłykciach. Spod szpitalnej koszuli wystawały przewody do EKG, a w zgięciu łokcia tkwił wenflon z podłączoną kroplówką. Stasia oddychała wolno i płytko.

Była tak nienaturalnie nieruchoma, że Greta odruchowo raz po raz zerkała na ekran monitorujący stan chorej, by się upewnić, czy ta w ogóle żyje.

- Czy to śpiączka farmakologiczna? - zapytała cicho Lukrecja.

Lekarka poprawiła wężyk od kroplówki i powiedziała:

- Niestety nie. Pani Stanisława dotarła do nas nieprzytomna i wciąż się nie ocknęła. Nie wiem dlaczego. Doznała wstrząsu mózgu, ale nie znaleźliśmy podczas badań nic, co wyjaśniałoby, dlaczego zapadła w śpiączkę.

- W artykule użyto określenia „wypadek”... Co jej się właściwie stało? - zapytała Greta, nie mogąc oderwać wzroku od opuchniętej i pokrytej krwiami twarzy Stasi.

Doktor Grzelak zanotowała coś na karcie, po czym odwiesiła ją z powrotem na ramę łóżka.

- Z tego, co wiem, spadła ze schodów. Niefortunnie.

Freda, korzystając z tego, że lekarka jej nie widzi i nie słyszy, podleciała bliżej łóżka. Zanurzona po kolana w wykrochmalonej pościeli zaplotła ramiona na piersi i z powątpiewaniem odchrząknęła.

- Wygląda, jakby zderzyła się z TIR-em albo stanęła na drodze pendolino, a nie spadła ze schodów. Chyba że to były schody z dwudziestego piętra - stwierdziła.

Narcyza musiała się z nią zgodzić. Także nie kupowała oficjalnej wersji wydarzeń.

- Jej stan naprawdę jest poważny - powiedziała markotnie.

Zanim zobaczyła Stanisławę na własne oczy, miała nadzieję, że słowo „krytyczny” z artykułu było dziennikarską hiperbolą. Najwyraźniej jednak jego autor wykazał się wiernością faktom.

- Niestety. Dobrze, że zdążą się panie pożegnać. I proszę do niej mówić. Wierzę, że nas słyszy. Tak naprawdę... - lekarka się zawahała, ale pokręciła głową i dokończyła myśl - cieszę się, że panie z nią będą. Nie chcę, by odchodziła w samotności. To takie przykre, gdy ktoś przeżył tyle lat i na ostatniej prostej zostaje sam jak palec.

- Będziemy do niej mówić - zapewniła Narcyza.

Uspokojona lekarka zostawiła Harpie stłoczone wokół łóżka chorej. Może i łamała zasady, ale robiła to dla dobra pacjentki, a ono przecież powinno być najważniejsze. Przysięgała, że nie będzie działać na szkodę pacjenta, a nie że będzie przestrzegać regulaminu odwiedzin. Obejrzała się jeszcze na barwną grupkę staruszek otaczających łóżko pani Stanisławy. Nabrała ochoty, by zadzwonić do przyjaciółek i umówić się na spotkanie. Wieki się nie widziały. Miała dopiero trzydzieści cztery lata, ale cóż szkodzi już zawczasu popracować nad tym, by ktoś ją odwiedził w szpitalu, gdyby znalazła się w podobnej sytuacji jak pani Stanisława...

*

- Z daleka czuć pierdoleniem. - Narcyza powiedziała głośno to, co pozostałe myślały, więc teraz skinęły jej tylko w milczeniu.

Nic się tu nie trzymało kupy.

- Czemu ona wygląda, jakby chwilę temu zderzyła się z pociągiem? - Sylfida wyartykułowała pytanie, które kołatało się po głowach wszystkim Harpiom. Gapiła się na Gretę, oczekując, że to ona udzieli odpowiedzi.

Wilczyca warknęła z frustracją. Skąd niby miała wiedzieć? Bycie wilczycą, jak Stanisława, nie dawało jej dostępu do jakiejś wiedzy tajemnej... Zamarła w pół myśli. Chwila, chwila! Czy to w ogóle możliwe? Czy mogła ufać swoim zmysłom? A dokładniej zmysłom wilczycy, która czuła do Stasi odrazę? Nigdy nie budziła w niej niepokoju, ale teraz, gdyby tamta się nagle zmaterializowała, krążyłaby nerwowo z warkotem wrywającym się jej z gardła.

Greta przysunęła się do łóżka, nachyliła się nad nieprzytomną i dotknęła odsłoniętego kawałka skóry między rękawem koszuli a gipsem. Przymknęła oczy, by wyostrzyć inne zmysły. Wilczyca zakłębiła się w jej

trzewiach. Futrzana kula agresji i frustracji szukała znajomej obecności, ale napotkała pustkę. Było to coś tak przerażającego, że aż zaskomlała.

Pod wpływem emocji Greta na chwilę straciła panowanie nad sobą. Jej oczy błyszczały bursztynową poświatą, a ciało napięło się, jakby zaraz się miała przemienić. Warknęła, odsłaniając zęby i dziąsła. Przytknęła nos do tułowia Stasi. Spod woni leków, chemikaliów, zaschniętej krwi, potu i lizolu próbowała wyłować inny zapach. Minęło wiele lat, ale wilczyca wciąż doskonale go pamiętała. A teraz odskoczyła sfrustrowana, nie znajdując choćby jego śladu. Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Abominacja.

Greta przysiadła na krzeselku, bo nogi się pod nią ugięły. Sama myśl... Wzdrygnęła się i nagle ogarnął ją chłód, jakby jej krew zmieniła się w ostre, lodowe igiełki.

- Greta, możesz przytłumić te reflektory? Za chwilę ściągniesz Batmana lub gorzej, pielęgniarce - mruknęła Sylfida, przesuając się tak, by zasłonić Gretę przed wzrokiem przypadkowych osób przechodzących korytarzem. Jej przyjaciółka jeszcze nie porastała futrem, ale warczenie i blask ślepi zwiastowały rychłą przemianę.

Greta nabrała powietrza w płuca, przytrzymała, a potem wolniutko wypuściła.

- Potrzebuję waszej pomocy - powiedziała.

- Mam cię podpalić? - zaproponowała ofiarnie Lukrecja.

- Czemu miałybyś to zrobić? - zapytała Greta, wbijając w nią wilcze spojrzenie.

- No nie wiem, dla odwrócenia uwagi? - Pirowiedźma wzruszyła ramionami.

Greta nie traciła czasu na odpowiedź. Potarła z frustracją twarz i wyjaśniła:

- Coś jest z nią nie tak. Z jej wilczycą. Nie czuję jej, jakby zniknęła. Nie wiem, jak to możliwe, ale gdybym nie wiedziała, że to Stanisława i że nosi wilczycę, pomyślałabym, że jest w pełni człowiekiem.

- Dlatego się nie goi? I wygląda jak kotlet siekany? - dopytywała Kiki.

Greta przytaknęła.

- A to w ogóle jest możliwe? W sensie: odebranie wam wilka? - powątpiewała Narcyza.

- Z tego, co mi wiadomo, nie. Wilczyca jest częścią mnie, zapisaną w moim DNA. A jednak jakimś cudem Stasia wydaje się pusta.

Greta wzdrygnęła się na samą myśl. Kochała swoją wilczycę, kochała bycie wilkiem. Nigdy nie marzyła o tym, by stać się wyłącznie człowiekiem. Gdyby ktoś jej to zaproponował, wyrwałaby mu kręgosłup przez gardło. Ale co, jeśli Stasia tego pragnęła? Po tym, jak Greta praktycznie przegnała ją z miasta i pozbawiła rodziny, może właśnie to miało dla niej sens i w jakiś niepojęty sposób zdołała się okaleczyć, pozbyć się połowy siebie? Greta schowała twarz w dłoniach, policzki paliły ją ze wstydu.

- Dobra, musimy rozważyć dwie możliwości - odezwała się Narcyza.

- Jakie konkretnie? - zapytała Freda, unosząc się nad nieprzytomną pacjentką z poczuciem wyraźnego dyskomfortu. Nie lubiła o tym mówić, ale miała powody, by szczerze nie znosić szpitali, a śpiączka kojarzyła się jej naprawdę fatalnie.

- Pierwsza możliwość: to nie jest Stanisława, tylko podmieniec, podróbka lub impostorka. Istnieje spora lista stworzeń, które mogłyby się podszyć pod wilczycę, tyle że większość z nich od razu skreślamy. Nikt ze starego ludu nie zdołałby przetrwać w tej dziurze pozbawionej magii. Co w sumie każe nam się pochylić nad drugą możliwością. Niewykluczone, że mieszkanie w tym miejscu przez dłuższy czas okaleczyło Stasię i odcięło nawet od jej przyrodzonej, podstawowej magii - powiedziała Narcyza.

- W takim razie nie zamierzam zostawać tu na noc - oświadczyła Sylfida, zaplatając ramiona na obfitej piersi. - Żadna rekompensata krzywd nie jest tego warta. Jeżeli Greta potrzebuje wybaczenia, możemy znaleźć inną osobę, której zniszczyła zdrowie i życie. Na pewno jest ich na pęczki i któraś mieszka w miasteczku niebędącym magiczną pustynią.

- Pieprz się - odparowała Greta, ale nie traciła energii na nasycanie słów złością.

Gdzieś między przyjazdem do tej dziury a chwilą obecną przestało chodzić o jej winę czy o wyduszenie z siebie przeprosin. Nie mogłaby już zostawić Stanisławy w tym szpitalu, w zapomnianej przez magię miejscinie, nie próbując zmienić czegoś na lepsze. Patrzenie na Stasię - posiniaczoną, połamaną i przeraźliwie słabą - sprawiało jej ból. A do tego wywoływało u niej niezdrowe refleksje na temat własnej śmiertelności, które i tak nasiliły się, gdy zaczęła się zbliżać do setki... Znów poczochnęła sobie włosy, próbując się otrząsnąć z niewesołych myśli.

- Jest jeszcze jedna możliwość - zauważyła Kiki, drapiąc się po nosie.

Greta spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Coś odwracalnego, mam nadzieję? - zapytała.

- W sumie tak. Tylko, widzisz, nie wiem, czy zadziałałoby na wilki tak jak na sukuby. Są zaklęcia, które mogą całkowicie zablokować magię. W mojej rodzinie nazywamy je blokadą rodzicielską, bo zwykle stosuje się je wobec nastolatków, gdy hormony w nich buzują i dzieciaki mają trudności z kontrolowaniem magii.

- Czy to zaklęcie jest przeznaczone wyłącznie dla sukubów? - zapytała Narcyza z zainteresowaniem.

Kiki westchnęła cicho.



- Nie. I właściwie to nie jest pojedyncze zaklęcie, raczej rodzaj formuły, i każdy ród przeważnie opracowuje własny wariant. Podejrzewam, że znalazłabyś coś takiego w większości grimuarów rodzinnych. Tylko niech to zostanie między nami, jasne? Raczej się z tym nie obnosimy, bo wiadomo, lepiej, by wrogowie nie wiedzieli, że są sposoby na pozbawienie nas magii. Nie przypominam sobie, by stosowały je wilki, bo wy lubicie swoje futra i zębiska, ale w sumie nie widzę powodu, dla którego nie miałyby zadziałać. Formuła jest dosyć uniwersalna.

- Podoba mi się ta trzecia możliwość - przyznała Lukrecja.

- Co w niej lepszego od pierwszej i drugiej opcji? - mruknęła Greta.

Wiedźma ognia przewróciła oczami.

- Oczywiście odwracalność! Jeśli to nie jest Stasia, prawdopodobieństwo, że ta żyje, pozostaje nikłe. Jeżeli miasto ją osuszyło, też wiele nie wskóramy. Chyba że ją porwiemy i wywieziemy do Zielonego Jaru, ale mogą się nas potem czepiać. Tymczasem z blokadą zdołamy się stosunkowo łatwo uporać. I wtedy będziemy mogły gładko przejść do kolejnego wyzwania. - Zawiesiła głos i powiodła spojrzeniem po Harpiach.

- Odkrycia, kto ją tak zmasakrował, i upewnienia się, że nie ujdzie mu to na sucho? - zgađła Narcyza.

- Wiedziałam, że nie bez powodu się przyjaźnimy. - Lukrecja wyszczerzyła się w uśmiechu.

- Freda, możesz się dyskretnie rozejrzeć w gabinecie administracji? Potrzebujemy adresu, nazwisk, wszystkiego, czym się z nami nie podziela po dobroci - poprosiła Narcyza.

Duch uniósł dwa palce do czoła, a potem przeleciał przez ścianę, znikając przyjaciółkom z pola widzenia.

- Kiki, jak się zakotwicza takie zaklęcie? - zapytała Koźlaczka, która jak dotąd nie miała do czynienia z tym typem zaklęć. Owszem, zdarzało jej się odcinać od magii córki, Delfinę, a później Glicynię, po tym, jak przekroczyły granicę czarnej magii i zaczęły zagrażać reszcie rodziny, ale choć rezultaty mogły być podobne, to mechanizm działania z pewnością był zupełnie inny. To, o czym mówiła Kiki, nie odcinało magicznego od jego korzeni i rodzinnego drzewa wiedzy i magii, tylko w jakiś sposób ograniczało przepływ mocy wewnątrz jego organizmu.

- Tatuaz lub implant. Można kombinować z biżuterią, ale trochę głupio wyssać chłopaka lub dziewczynę wyłącznie dlatego, że się zgubiło wisiołek - odpowiedziała Kiki i wyciągnęła z torebki mazak kredowy.

Opadła na klęczki i na szarym linoleum pod szpitalnym łóżkiem wypisała sygile widzenia. Nasyciła ją mocą. Gdy jej iskra ją opuściła, poczuła nieprzyjemne szarpnięcie. Jeśli znajdowałyby się blisko linii magicznej, nawet nie zwróciłyby na to uwagi, ale tu, w mieście wydrenowanym z magii, jechały na zapasie, którego nie zdołałyby uzupełnić natychmiastowym sięgnięciem do linii.

Narcyza wyprostowała się, krzywiąc się lekko, gdy skrzypnęło jej biodro.

- No to szukajmy, bo nie wiem, na jak długo ta iskra wystarczy - oznajmiła.

Przymknęła drzwi i zgasiła dwie z trzech jarzeniówek. W normalnych warunkach każde zakłęcie zajarzyłoby się złotym blaskiem, ale w tym mieście zlokalizowanie go przypominało szukanie robaczka świętojańskiego w biały dzień.

- Mam nadzieję, że nie ma tego na przedramionach, bo trudno będzie wytłumaczyć, dlaczego zdjęłyśmy jej gips - mruknęła Sylfida, składając pościel w nogach łóżka.

Dokładnie obejrzały każdy centymetr posiniaczonych nóg chorej (lewe kolano było bordowe i spuchnięte jak balon, na prawym opatrunek przykrywał głębokie otarcia i rozcięcie). Kiki zajrzała dyskretnie pod koszulę szpitalną Stasi, uniosła też włosy pacjentki, odsłaniając jej szyję i czoło.

- Z przodu nic nie ma - stwierdziła. - Pomóżcie mi ją obrócić.

Greta wsunęła ramię pod plecy Stasi i uniosła ją z pośłania. Koszula rozchyliła się i Kiki szybko znalazła kotwicę.

- Ożeż, zdeterminowana była - mruknęła, patrząc na tatuaz zajmujący połowę pleców wilczycy. Przesuwała palcami po symbolach i plecionce, która miała jedno zadanie: splatać zakłęcie i ducha Stasi.

- Nie mów, że trzeba cały usunąć laserowo - jęknęła Sylfida.

- Niekoniecznie. Wystarczy przerwać ciągłość plecionki. Te irlandzkie zawsze są zamknięte i działają jak okrąg. Przerwanie go rozplata zakłęcie. A jeśli do tego usuniemy te trzy runy - wskazała znaki nad prawą łopatką nieprzytomnej - powinno się obejść bez lasera.

Narcyza bez słowa wyciągnęła z saszetki na biodrze nóż motylkowy. Śliczny i piekielnie ostry. Z dozownika przy malutkiej umywalce wyjęła kilka grubych ręczników papierowych i część z nich zmoczyła preparatem do dezynfekcji rąk z pojemnika wiszącego nad kranem. Przetarła ostrze noża, a potem skórę Stasi we wskazanych przez Kiki miejscach. Ostrożnie, by nie narobić więcej szkód, niż to konieczne, przecięła każdą z trzech nitek plecionki i przyłożyła ręczniki do skóry, tamując krwawienie. Potem kilkoma płytkimi nacięciami zniszczyła runy i znów docisnęła do krwawiących ranek kilka ręczników.

- I co? Jest lepiej? - zapytała, patrząc na Gretę.

Ta ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w posiniaczoną twarz Stasi i po chwili zastanowienia powiedziała:

- Nie wiem... ale coś się zmienia.

- Niezły początek, skoro stan na wejściu jest chujowy - oświadczyła Narcyza, układając Stasię na plecach i upewniając się, że prowizoryczne opatrunki zapobiegą upaprananiu pościeli.

Poprawiała właśnie kołdrę, kiedy do pokoju zajrzała lekarka.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- W najlepszym, biorąc pod uwagę okoliczności - uspokoiła ją Narcyza.

W tym samym momencie przez drzwi przeniknęła Freda. Doktor Joanna nie mogła jej widzieć, ale wyraźnie się wzdrygnęła, jakby poczuła zimny podmuch. Jej spojrzenie natychmiast powędrowało w stronę monitora przy łóżku Stasi. Odetchnęła, gdy zobaczyła jej parametry życiowe.

A Narcyza nabrała pewności, że gdyby ta dziewczyna mieszkała w innym miejscu, na przykład w Zielonym Jarze, jak nic byłaby magiczna, skoro nawet na tej opuszczonej przez bóstwa i magię pustyni miała dość wrażliwości, by wyczuwać obecność duchów.

Lekarka pokiwała głową i znów zostawiła staruszki sam na sam ze Stasią.

- No powiem wam, to się robi coraz ciekawsze - oznajmiła Freda, podlatując bliżej łóżka. - Znalazłam gabinety lekarskie i administracyjne. I podsłuchałam fascynującą konwersację. - Umilkła na chwilę, tylko po to, by się upewnić, że zdobyła uwagę zgromadzonych, a potem zaczęła naśladować lekko nosowy i niższy od jej naturalnego głos, jak się domyśliły, męża Stasi: - Otóż mąż obecnej tu Stanisławy zadzwonił do szpitala, by zażądać odłączenia żony od aparatury podtrzymującej życie.

Bo Stanisława nigdy nie chciałaby egzystować jak warzywo, uzależniona od maszyn. Ponoć jej babka spędziła w taki sposób długie miesiące, zanim dano jej umrzeć, i Stanisława zawsze powtarzała mężowi, że wolałaby odejść w spokoju, zamiast żyć w taki sposób.

Narcyza i Greta wymieniły spojrzenia. Znały babki Stasi - obie trzymały się nieźle jak na swój wiek i żadna z nich nie miała doświadczeń szpitalnych, o których wspominał jej mąż. Jasne, możliwe, że Stasia go okłamała, ale Narcyza widziała w życiu zbyt wiele, by przyjąć takie wyjaśnienie.

- Polisa na życie? - podsunęła.

Harpie poparły ten pomysł.

- Ale jak on ją chce odłączyć, skoro nie jest do niczego podłączona? - zauważyła Greta. - Oddycha samodzielnie i nie ma mowy o śmierci mózgowej.

- Ordynator właśnie wyjaśnił mężowi, że tu nie ma czego odłączać. A ten łajdak okazał się głęboko rozzarowany. I nazwał kroplówki uporczywą terapią - dodała Freda.

- Skurwiel - burknęła Kiki.

- Nie znam gnoja, a już go nie znoszę - rzuciła Lukrecja.

- Wiecie co, jak nic powinniśmy go poznać - oświadczyła Narcyza.

- Mam adres. Zapamiętałam też namiary na policjanta zajmującego się tą sprawą, jego wizytówkę przypięli do jej teczki - powiedziała Freda z szelmowskim uśmieszkiem.

- Po śmierci jesteś jeszcze lepsza niż za życia we wściubianiu nosa w cudze sprawy - pogratulowała jej Narcyza.

- Śmierć tylko wyostrzyła mi talenty - przyznała Freda, poklepując się po wymaginowanych epoletach.

- Ja z nią zostanę, spróbuję reanimować jej wilczycę. Może uda mi się ją nakłonić do połatania Stasi. I liczę, że na mnie poczekać, zanim rozerwiecie gnoja na strzępy - zaznaczyła Greta.

Narcyza wyszczerzyła się w uśmiechu.

- Nie śmiałybyśmy cię pozbawiać tej radości.

*

Gdy przyjaciółki opuściły salę szpitalną, Greta rozsiadła się na krześle, oparła łokcie na kolanach i nachyliła się w stronę nieprzytomnej.

Przecięcie plecionek wyraźnie pomogło: w Stasi nie ziała już całkiem martwa, ciemna dziura, coś tliło się w niej odrobiną srebra. Było maleńkie i słabe, ale niezaprzeczalnie żywe.

Łagodnie dotykając opuchniętych palców wystających z gipsu, Greta posłała wilczycy impuls magii stada. Co prawda przed laty Bergowie trzymali się na dystans od watahy prowadzonej przez Gretę i nawiązanie więzi między obiema wilczycami nie byłoby wówczas możliwe, bo Stasia, połączona z resztą rodziny, korzystałaby z energii krewnych, aby wyzdrowieć. Ale dziś Stanisława nie miała żadnego wsparcia. Greta czuła się za to odpowiedzialna i była gotowa poświęcić wiele, by zadośćuczynić wyrządzonej krzywdzie. Nawet jeśli to oznaczało wprowadzenie Stasi do stada bez pytania jej o zgodę. Jeżeli się ocknie i wkurzy, Greta pozwoli jej się opieprzyć z góry na dół i wspólnie rozważą dalsze kroki.

Sama nie obnosiła się z tym, że nawet na emeryturze pozostała alfą. Oddała córce stado, nie straciła jednak cech, które czyniły ją jego przywódczynią. Na przykład potrzeby obrony słabszych. Nie straciła też mocy alfy, która pozwalała włączyć do stada tych, którzy tego potrzebowali.

Jej wilczyca wyczuwała stłamszone stworzonko w głębi ziejącej w Stasi pustki. I zgadzała się z Gretą, że muszą pomóc im obu: kobiecie i zagłodzonej w niej wilczycy.

Przyszedł czas wyrównania rachunków i spłaty długu.

Będzie bolało, pomyślała Greta. Magiczna jałowość Strzelna Kujawskiego wpływała i na nią, więc to, co zwykle przychodziło jej naturalnie, tu kosztowało ją sporo wysiłku. Zaciśnęła zęby i wysłała kolejny impuls magii stada, a po nim następny, dzieląc się z zabiedzoną wilczycą własną energią. Miała nadzieję, że wystarczy jej sił dla nich obu.

*

Rozdzieliły się. Planowały przemaglować stróżów prawa, a z doświadczenia wiedziały, że ci miewają problem z przyswojeniem Harpii w dużych dawkach. Czy znali ich reputację, czy nie, jakiś szósty zmysł odpalał u policjantów system alarmowy i niełatwo dawało się to przeskoczyć. Część przyjaciółek pojechała więc do domu Stanisławy, którego adres Freda zapamiętała z akt, a Narcyza i Kiki ruszyły do komisariatu. Może powinny zadzwonić, ale ostrzeżenie sierżanta Konrada

Badury przed uderzeniem wydało im się nadmiarem galanterii i dałoby mu furtkę do splawienia ich, a na to nie miały ochoty.

Narcyza krążyła dłuższy czas po pobliskich uliczkach w poszukiwaniu miejsca parkingowego, ale nie znalazła żadnego, na którym zmieściłaby się jej landara. W takich momentach rozumiała ludzi, którzy kupowali smarty i inne bżyczki. Z drugiej strony w jej wieku spanie na tylnym siedzeniu takiego malucha skończyłoby się pewnie atakiem lumbago i rwy kulszowej. W końcu, zniecierpliwiona, wjechała na chodnik na wprost komisariatu, nie zwracając uwagi na znak zakazu parkowania.

- Czyż to nie ekscytujące? - zapytała Kiki, aż podskakując na siedzeniu pasażera.

- Bardzo - mruknęła Narcyza.

- Pamiętaj, bez eskalacji. Jeśli ci zaczną działać na nerwy, zostaw to mnie - przypomniała Kiki, która zdaniem Narcyzy zdradzała odrobinę niezdrową słabość do podcastów kryminalnych oraz dokumentów o zbrodniach i seryjnych mordercach.

Owszem, miało to swoje plusy - wiele razy urok i entuzjazm Kiki pomogły Harpiom uniknąć pomniejszych zatargów z policją - ale powodowało też nieprzewidywalne skutki uboczne. Narcyza podejrzewała bowiem, że przyjaciółka szuka kłopotów tylko dlatego, że pragnie zapytać zmysłowym głosem: „Czy byłam niegrzeczna, panie władzo?”.

- Zachowam spokój, dopóki ty będziesz pamiętać, że jesteśmy tu wyłącznie po to, by poznać prawdę o wypadku Stasi - zaznaczyła Narcyza.

- Na miód zawsze złapiesz więcej niż na ocet - odpowiedziała Kiki, poprawiając artystyczny nieład na głowie.

- Tylko nie oferuj im całej pasieki - odcięła się Narcyza.

- Zabawopsuj - prychnęła Kiki, wyskakując z kabiny na chodnik.

Narcyza powstrzymała się od riposty. To nie był czas na sprzeczki - miały policjantów do zbajerowania i dobry humor przyjaciółki sprzyjał tej misji znacznie bardziej niż zwarzony.

*

Posterunkowy w dyżurce nie chciał wpuścić starszych pań, ale zadzwonił po sierżanta Badurę i zapewnił, że ten zaraz do nich zejdzie.

Narcyza miała nadzieję, że trafi im się jakiś naiwny szczypiorek, jednak szczęście im nie sprzyjało. Gdy usłyszała brzęczyk elektrycznego

zamka i do poczekalni wkroczył srebrny lis – może i nieco zaokrąglony w talii, za to z niepokojąco ostrym spojrzeniem – wiedziała, że czeka je zadanie trudniejsze, niż zakładała. Uświadomiła sobie, że będzie musiała zgrabnie wyważyć proporcję prawdy do ściemy, bo koleś wyglądał na takiego, który wyniucha kłamstwo nawet u takiej specjalistki od mijania się z prawdą jak ona.

Kiki nie zwracała sobie głowy kalkulacjami. Wyprężyła dziarsko biust, odgarnęła pukle z czoła i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Panie mają jakieś informacje o prowadzonej przeze mnie sprawie. - Jeśli miało to być pytanie, Badura zapomniał o należytej intonacji.

Kiki zamruwała z zachwytu, usłyszawszy jego niski, monotony, „rasowo policyjny” głos. Gdyby Badura nie był prawdziwym policjantem, powinien go grać w serialu. Z tymi posrebrzonymi skroniami i stalowoniebieskimi oczętami zjadłby takiego Leroya Jethro Gibbisa na śniadanie!

- Czuję, że po prostu musimy z panem porozmawiać – przejęła inicjatywę. - Dowiedzieliśmy się z mediów, co spotkało naszą przyjaciółkę Stanisławę Berg i od razu przyjechałyśmy! Znamy się całe życie i to po prostu straszne, że miałyby leżeć sama, samiuteńka w ostatnich chwilach... - Kiki z idealnym wyczuciem pociągnęła nosem, a jej oczy się zaszklily. Spod długich rzęs obserwowała reakcję sierżanta Badury. Jeśli nie będzie miał za grosz empatii, lzy nie pomogą, ale warto spróbować, pomyślała.

Badura obrzucił obie kobiety uważnym spojrzeniem.

- Długo panie jechały? - zapytał lżejszym tonem.

- Ładnych parę godzin - odpowiedziała Narcyza, świadoma przynęty, którą pomachał jej przed nosem. Nie zamierzała dać się złapać na haczyk.

- Ciekawe - mruknął. - Niewiele wiemy o tym, skąd pochodzi pani Stanisława, nie zdołaliśmy też namierzyć jej rodziny, oczywiście poza mężem - dodał i znów wbił w nie jastrzębie spojrzenie.

- Och, znamy jej rodzinę od zawsze. Za to o mężu wiemy niezbyt dużo. I o całej tej sytuacji - podrzuciła Kiki i uśmiechnęła się łagodnie, widząc iskrę zrozumienia w oczach sierżanta.

- Myślę, że możemy porozmawiać - powiedział. - Może znajdziemy jakieś spokojne miejsce?

- Sala przesłuchań? - podsunęła Kiki.

- Kawiarnia? - zaproponowała w tym samym momencie Narcyza, a Badura uśmiechnął się szeroko.

- Tylko jedną z tych propozycji mogę rozważyć. Niestety, o tej porze nie ma w okolicy żadnej czynnej kawiarni.

Nie było nawet dziewiętnastej, więc Narcyza podejrzewała, że w Strzelnie po prostu nie ma żadnej kawiarni, kropka. Bez magii, bez kawiarni, jak ci ludzie w ogóle mogli tu żyć?

Tymczasem sierżant Badura prowadził je w głąb komisariatu. Koźlaczka jak zawsze czuła się w takich okolicznościach odrobinę nieswojo. Odkąd technika się rozwinęła i wszędzie używano kamer i komputerów, o wiele trudniej dawało się wymazać to i owo z baz danych, przez co nabawiła się nerwicy mundurowej. Winiła za nią głównie wnuczkę - Aronia tak przeżywała każde aresztowanie, o którym się dowiadywała, każdy list gończy czy każdą wizytę przedstawiciela Europolu, że Narcyzie udzielało się jej zdenerwowanie. Teraz miała nadzieję, że Badura nie przepuści jej nazwiska przez system, bo niewykluczone, że po niedawnej sprawie w Poznaniu i dwóch małych awanturkach u zachodnich sąsiadów mógłby tam znaleźć nakaz aresztowania... Może należało wysłać na przesłpiegi z Kiki Lukrecję, a samej poszperać w domu Stanisławy? Nie, w żadnym wypadku. W razie potrzeby Lukrecja nie potrafiłaby utrzymać Kiki w ryzach. Zawsze nakręcały jedna drugą. Narcyza mogła nie przepadać za kontaktami z policją, ale czuła się odpowiedzialna za to, by żadna z Harpii nie spędziła starości za kratami.

Tymczasem Kiki nie miała nawet jednej posępnej myśli. Bo i jak, skoro maszerował przed nią taki policyjny okaz, na dodatek z kajdankami przypiętymi do paska? Powachlowała się torebką. A gdy weszli do niewielkiego pokoju przesłuchań, pożałowała, że nie ma ze sobą piersiówki, bo aż jej zaschło w ustach na widok posępnego wystroju i mrugającej jarzeniówki.

Badura wskazał im krzesła za stołem, a sam wyszedł z pomieszczenia. Po chwili wrócił z butelką wody i trzema papierowymi kubeczkami, które rozstawił na blacie. Wyjął z kieszeni niewielki notes reporterski w czarnej skajowej okładce i pstryknął długopisem.

- Może zaczniemy od pań danych osobowych? - powiedział służbowym tonem.

- Panie sierżancie, to nie musi być oficjalna rozmowa - zaproponowała Kiki słodko. - Pan niewiele wie o znacznej części życia Stasi, my mamy

kilka pytań o wypadek przyjaciółki. Przecież możemy pogadać jak ludzie, poza protokołem.

Popatrzył na nią spod krzaczastych brwi, które uznała za wyjątkowo seksowne, po czym zapytał:

- Czy mają panie coś do ukrycia?

Narcyza z trudem powstrzymała prychnięcie. Kaszlnęła dyskretnie i upiła łyk wody z papierowego kubeczka.

- Jesteśmy kobietami w tym wieku, że wyprawa na ewentualną rozprawę w charakterze świadków mogłaby nam zwyczajnie zaszkodzić - wyjaśniła gładko Kiki. - Może nie wyglądamy, panie władzo, ale już jakiś czas temu przeszliśmy na emeryturę.

Badura zacisnęła zęby przy tym „może nie wyglądamy” i wbił spojrzenie w pomarszczoną jak skóra psa rasy shar pei twarz Narcyzy. Jego zdaniem kobieta wyglądała przynajmniej na setkę i nawet różowy welurowy dresik nie zdołał jej odmłodzić. Druga trzymała się znacznie lepiej, tu faktycznie miał na czym oko zawiesić, ale zdecydował się postępować służbowo, dopóki nie uzyska absolutnej pewności, czego chcą te kobiety i co tu właściwie robią. Według jego przełożonego sprawa Stanisławy Berg nie była nawet sprawą, ot, doszło do wypadku. Ale Badura ufał swojemu instynktowi, który podszeptował mu, że coś tu śmierdzi, a mąż poszkodowanej wygląda podejrzanie. Ktoś mógłby powiedzieć, że podejrzewając męża, kieruje się stereotypami, jednak zaprzeczyłyby temu statystyki, które jednoznacznie wskazywały, że w siedmiu przypadkach na dziesięć winny jest mąż. Co nie znaczyło, że nie maczały w tym palców na przykład dwie starsze panie, które wpakowały się właśnie na komisariat - mogły się mieścić w pozostałych trzydziestu procentach. Nie zamierzał wykluczać ich udziału, dopóki nie dowie się więcej, a chcąc dowiedzieć się więcej, musiał z nimi porozmawiać i sprawić, by poczuły się swobodnie. Wtedy z pewnością coś im się wymsknie.

Badura rozparł się na krześle, pozornie rozluźniony.

- No dobrze, więc poza protokołem. Skąd pochodzi Stanisława Berg i czy ma jakąś rodzinę? - zapytał.

- Pochodzi z Zielonego Jaru, jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów na południe, dawne Piotrkowskie. Rodzinę ma, ale od dawna nie utrzymuje z nią kontaktu. Poróżnili się lata temu. - Narcyza rzuciła konkretną kość.

- O co się poróżnili? - zagadnął Badura z błyskiem w oku.

- Bliscy nie akceptowali jej wyborów uczuciowych - odparła Narcyza wymijająco. - I na pewno nie mają nic wspólnego z wypadkiem Stanisławy. Nawet nie wiedzą, gdzie mieszka.

- Zdziwiłabym się, gdyby w ogóle byli uwzględnieni w testamencie - dorzuciła Kiki. - Bo przecież jest testament? - Zatrzepotała rzesami, czekając, aż sierżant skupi na niej całą uwagę.

- A i owszem - przyznał.

- Widział go pan? - dopytywała Kiki.

- Nie inaczej. - Uśmiechnął się półgębkiem.

- A polisa? - Kiki była nieustępliwa.

- Spora. Trzysta tysięcy.

Narcyza gwizdnęła przez zęby.

- I wszystko przypadnie mężowi? - zapytała.

Badura nie odpowiedział, ale po jego minie poznała, że trafiła w dziesiątkę. Więcej, nie miała też wątpliwości, że nie należy do fanklubu męża Stasi. I coś mu śmierdzi w tej sprawie.

- Nie byli ze sobą zbyt długo, prawda? - strzeliła Kiki.

- Niecałe trzy lata - przyznał sierżant i uważnie sondował ich miny.

Kiki westchnęła dramatycznie i zniżając głos do szeptu, zapytała, zwracając się do Narcyzy:

- Myślisz, że powinniśmy panu o tym powiedzieć?

Narcyza przytaknęła z powagą, zdając się na plan Kiki.

- Bo widzi pan, panie władzo, byliśmy w szpitalu u Stasi i usłyszałyśmy coś, co nas bardzo, ale to bardzo zaniepokoiło. I właściwie popchnęło, by tu do pana przyjechać i porozmawiać, bo to może być znaczące. Myślę, że jako organ ścigania zajmujący się tą sprawą powinien pan wiedzieć... - Zawiesiła głos, a Badura nachylił się w jej kierunku, z głodem informacji w oczach. - My go nie znamy, rozumie pan, więc nie wiemy, co o tym myśleć. Chciałabym wierzyć, że to niemożliwe, że Stasia miała dobrego i kochającego męża, ale gdy się słyszy coś takiego, to cóż, człowiek nabiera wątpliwości. - Kiki postanowiła nieco podkręcić ten głąd.

- Co panie usłyszały? - Sierżant złapał przynętę i połknął ją razem z wędką i kołowrotkiem.

- Otóż mąż Stasi zadzwonił do szpitala, domagając się, by odłączono ją od aparatury podtrzymującej życie. Twierdził, że ze względu na

doświadczenia rodzinne była przeciwniczką uporczywej terapii. – Kiki zrzuciła zdobyte przez Fredę informacje jak bombę.

– Ale przecież pani Stanisława nie jest do niczego podłączona, oddycha samodzielnie – zauważył przytomnie.

– Co bardzo rozczarowało męża – podsunęła Kiki.

– Kłamał też na temat doświadczeń rodzinnych. Żadna z babć Stanisławy nie leżała w szpitalu jak warzywo – dodała Narcyza.

Badura uniósł brew.

– Więc rozumie pan, panie władzo, że słysząc coś takiego, po prostu nabraliśmy podejrzeń. Bo to nie są wypowiedzi troskliwego i kochającego męża. Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, czy nie maczał w tym palców... – W oczach Kiki znów zalśniły łzy, a potem jedna dramatycznie stoczyła się po jej zaróżowionym policzku.

Badura z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że nie może od tej kropli oderwać wzroku.

– Myśli pan, że on ją próbował zabić? – zapytała Narcyza wprost.

– Oficjalnie?

– Poza protokołem, panie władzo. To przyjacielska pogawędka – odpowiedziała natychmiast Kiki.

– Więc oficjalnie brak mi żadnych podstaw, by go wpakować za kratki. Nie ma świadków zdarzenia ani zbyt wielu śladów. Nic, co by podkopywało jego wersję wydarzeń. Co nie znaczy, że jestem gotowy zamknąć śledztwo i spać spokojnie – przyznał.

– Widziałyśmy Stasię, wygląda okropnie. Jak do tego doszło? W artykule napisali tylko, że to wypadek domowy – dociekała Narcyza.

– Pani Stanisława spadła ze schodów. Wedle pana Moczarskiego, bo tak nazywa się mąż poszkodowanej, poślizgnęła się na plecionym dywaniku, straciła równowagę i pechowo spadła głową w dół. Próbowала się złapać poręczy, ale najwyraźniej grawitacja pokonała starą kobietę.

Narcyza nastroszyła się na tę „starą kobietę”. W końcu Stasia była młodsza od nich o kilkadziesiąt lat!

– Wie pan... – zaczęła Kiki, postukując palcem o podbródek – to mi coś przypomina... Oglądałam ostatnio dokument, true crime, uwielbiam je, widzi pan, i często oglądam, no więc ten dotyczył zaskakująco podobnej sprawy... Michael Peterson, słyszał pan może? Pisarz, niezbyt dobry i raczej niebogaty. Jego żona spadła ze schodów. Bardzo poważne

obrażenia, dziwne rany głowy jak na taki prosty upadek. Nie sposób nie dostrzec paraleli.

- Skazali go? - zapytał z zainteresowaniem Badura.

- Poszedł na ugodę i choć siedział, to krótko. Odziedziczył kupę kasy i pewnie z polisy też dostał co nieco... To straszne, gdy od miłości ważniejsza jest forsa, prawda? Powinien pan obejrzeć w ramach inspiracji, jest na Netflixie - perorowała Kiki.

- A niewykluczone, że obejrzę - przyznał Badura, a Kiki obdarzyła go uśmiechem tak promiennym, że poczuł się, jakby słońce zaświeciło specjalnie dla niego.

Narcyza wstała z krzesła i zgarnęła papierowy kubek, z którego piła. Zmięła go odruchowo i schowała do kieszeni.

- Czas na nas - oświadczyła. - Życzymy panu powodzenia w śledztwie, niech wygra sprawiedliwość i tak dalej.

Badura drgnął zaskoczony. Kiki zerwała się z miejsca, gotowa podążyć za przyjaciółką. Policjant uświadomił sobie, że wszystko poszło nie tak, jak planował. One wyciągnęły z niego sporo, on nie dowiedział się niemal niczego. No zrobiły go, cwane bestie. Ruszył za nimi, mówiąc:

- Odprowadzę panie.

Przynajmniej się dowie, czym jeżdżą, i spisze numery rejestracyjne. Tak na wszelki wypadek.

Teraz, gdy uznały spotkanie za skończone, dziarsko opuszczały posterunek i musiał wyciągać nogi, by za nimi nadążyć. Gdy zatrzymały się przed lśniącym srebrnym kamperem, mężczyznę zamurowało.

- Tym panie jeżdżą? - zapytał.

- Przydaje się na dłuższych trasach. - Kiki uśmiechnęła się promiennie. - Wie pan, panie władzo, że zmieści się tam nawet pełnowymiarowe łóżko? W pewnym wieku godzenie się na niewygody po prostu nie ma sensu. Jeszcze się w trumnie należą, na razie mogę wybierać szersze i wygodniejsze miejsca spoczynku.

Badura westchnął.

- Panie mi jedno obiecują. - Zawiesił głos, czekając, aż przytakną.

Starsza zaplotła ramiona na piersi i nie zamierzała ustąpić o krok, zanim nie usłyszy, co miałyby obiecać, młodsza uśmiechała się zachęcająco, jakby się spodziewała, że zapyta ją o numer telefonu, co w sumie miał ochotę zrobić.

- Nie będą się panie zbliżały do Moczarskiego. Może jest niewinny jak dziecko, ale raczej nie stawiałbym na to - powiedział.

- Możemy obiecać, że pan Moczarski nie zrobi krzywdy żadnej z nas - oświadczyła Narcyza i mrugnęła do policjanta. Aż się cofnął pół kroku, oszołomiony.

- Nie musi się pan obawiać, panie władzo, naprawdę - zapewniła go Kiki, wygładzając palcami załamane na kłapie jego marynarki. - Od dawna radzimy sobie na tym świecie całkiem samiutkie.

- Długo panie zostaną w mieście? - zapytał jeszcze.

- Jak długo Stanisława będzie nas potrzebowała - odparła Narcyza, a Kiki przytaknęła z przekonaniem.

Badura ugryzł się w język, zanim zdążyłby powiedzieć, że na dobrą sprawę mogą szykować się do wyjazdu. Rano ordynator rozwiął jego złudzenia, że uda mu się porozmawiać z poszkodowaną, bo prawdopodobieństwo, że ta się obudzi i dojdzie do siebie, było bliskie zeru.

*

Sylfida zaparkowała w cieniu drzew, jakby wielkie srebrne monstrum miało mniej rzucać się w oczy dzięki osłonie kilku gałęzi. Wcześniej zrobiła rundkę po okolicy, by poznać specyfikę sąsiedztwa, i była spokojna. Najbliższy dom stał w znacznym oddaleniu, a umiłowanie właścicieli do żywopłotów i tuj wysokich na pięć metrów sprawiało, że z okien mogli widzieć co najwyżej zielony busz, a nie dwie dziarskie starsze panie zakradające się na tyły domu Stanisławy Berg.

Sylfida przygotowała się do tego wyzwania z dużą starannością i namysłem. Zniknęło jej zwiewne artystyczne wcielenie, wielobarwna tunika i różowe legginsy powędrowały do walizki. Z lustra wiszącego na drzwiach do toalety spoglądała na nią kocica w czarnym kombinezonie zapinanym na srebrny suwak. Włosy schowała pod beret, a na lekko spuchnięte po kilku godzinach siedzenia za kółkiem stopy włożyła czarne adidas-y o różowych sznurowadłach. Sylfida nie widziała powodu, by rezygnować z tej odrobiny koloru, bo była umiarkowaną optymistką i zakładała, że nikt ich nie zobaczy - jeśli nie dzięki ich własnym umiejętnościom i rozwadze, to dzięki Fredzie. Duch przyjaciółki ułatwiał podchody i unikanie wścibskich spojrzeń. Wizerunek włamywaczki

z francuskich komedii z lat siedemdziesiątych był dla Sylfidy bardziej przejawem zabawy konwencją niż koniecznością. Pomagał „wejść w rolę”.

Lukrecja zamknęła cicho drzwi swojej przyczepy i dołączyła do Sylfidy. Ona też się przebrała, choć poszła raczej w klimaty militarne – w szarych spodniach dresowych i kurtce moro narzuconej na oliwkowy T-shirt wyglądała, jakby szły odbijać zakładników z rąk Wietkongu.

Freda unosiła się nad nimi niefrasobliwie w szaro-żółtej sukience, ze sznurami pereł na szyi i wielkimi okularami na nosie. Od jakiegoś czasu, gdy skumulowała wystarczająco energii, by odrzucić większość ograniczeń typowych dla duchów, mogła zmieniać wygląd, ale przeważnie nie zwracała sobie tym głowy.

- Dla kostuchy zrobiłam się na bóstwo i lepiej już nie będzie – mawiała.

Od domu Stasi dzieliło je jakieś sto metrów. Obejrzały go wcześniej, a teraz zaparkowały na tyłach, żeby na wypadek, gdyby jednak coś się spierdoliło, nikt nie mógł zeznać na policji, że przed budynkiem stały dwa wielkie kampery. Prawdopodobieństwo, że więcej takich rozbijało się po okolicy, było znikome.

Dom znajdował się właściwie na granicy miasta. Okazała bryłę z dużym angielskim ogrodem i podjazdem wyłożonym kamiennymi płytami otaczało solidne ogrodzenie, w którym między ceglanyimi słupkami rozciągały się stalowe przesła ozdobione plecionką z motywem liści i lilii francuskich. Nie stanowiło ono żadnej przeszkody dla Harpii zamierzających się dostać na drugą stronę.

Sylfida wspięła się pierwsza, Lukrecja podążyła za nią, pojękując z irytacją. Rozumiała całą tę ideę włamania, ale kto powiedział, że nie można się włamać przez furtkę? Furtka nie narażała stawów biodrowych na takie wygibasy! Sylfida nie chciała jednak nawet o tym słyszeć, zapewne przez ten koci strój, który zawsze budził w niej ducha przygody. Jak wtedy, gdy postanowiła ukraść klejnoty włoskiemu hrabiemu, który potraktował Harpie obcesowo w kasynie w Monako. Gdyby nie miała wtedy na sobie tego kombinezonu, pewnie wystarczyłoby jej ogranie faceta w pokera, ale się wczuła i skończyło się wspinaczką na balkon na trzecim piętrze hotelu. Klejnoty okazały się warte majątek, Lukrecja jednak wiedziała, że dla Sylfidy cenniejsze było upokorzenie tego dupka, więc wysłała precjoza jego ekszonie. Hrabia lata wcześniej, przy rozwodzie, sfingował ich kradzież, by nie musieć oddawać kosztowności małżonce w trakcie podziału majątku, a to oznaczało, że nie zgłosi na policję, że Harpie faktycznie je ukradły.

Lukrecja zeskoczyła na miękką trawę po drugiej stronie ogrodzenia i z zazdrością spojrzała na Fredę, która przepłynęła nad przesłami i poszybowała w stronę domu, by zrobić rekonesans. Towarzyszące jej Harpie przycupnęły w krzakach, czekając, aż wróci z informacjami. Lukrecja podała Sylfidzie saszetkę pełną wytrychów. Kieszenie stanowiły o niewątpliwej przewadze kurtki nad ciasno przylegającym do ciała kombinezonem. To oraz poczucie godności osobistej, bo nic nie wpijało się w zadek.

Lukrecja miała nadzieję, że akcja nie potrwa długo - od kucania drętwiały jej nogi. Jeszcze dostanie od tego żyłaków!

- Nie marudź - mruknęła Sylfida.
- Nic nie mówiłam - obruszyła się Lukrecja.
- Głośno myślałaś - odpowiedziała Harpia w kocim kombinezonie.

*

Freda wniknęła przez ścianę i zaczęła się rozglądać. Domu nie wyposażono w żadne osłony, kręgi magiczne czy zaklęcia szpiegowskie. Nawet gdyby Stasia była w nich biegła, w tym opuszczonym przez magię miejscu pewnie musiałyby je stale pompować mocą, by wytrzymały choćby przez tydzień.

Harpia usłyszała męski głos i popłynęła za nim przez ciemny dom do jedyne go oświetlonego pomieszczenia. Znajdujący się w nim mężczyzna liczył góra sześćdziesiąt lat, był postawny, wysoki i barczysty, z brązowymi, wyglądającymi na farbowane włosami przerzedzonymi na czubku głowy. Kiedyś musiał być przystojniakiem, teraz twarz miał nalaną, a opalenizna nie maskowała czerwieni na czubku nosa. W niebieskiej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci i granatowych dżinsach pocił się jak świnia, próbując otworzyć sejf.

Powodzenia, pomyślała Freda. Sejf wyglądał na solidny i jeśli koleś nie miał umiejętności kasiarskich, mógł sobie szarpać za wajchę i napinać muły do usranej śmierci. Najwyraźniej Stasia nie ufała mężowi wystarczająco, by podzielić się z nim kodem dostępu. Ciekawe...

Po pewnym czasie zasapany jak lokomotywa facet odpuścił. Wyciągnął z kieszeni komórkę, wybrał numer i przez chwilę czekał, aż ktoś odbierze.

- Nie dam rady, to cholera waży tonę, więc nie ma szans, żebym go po prostu wyjął ze ściany. Kręciłem na oślep, ale nic nie klikało, jak mówiłaś! - powiedział z pretensją. A po wysłuchaniu odpowiedzi dodał: -

Skąd niby mam wziąć stetoskop? Oszalałaś? Szklanka nic nie pomaga. Będę musiał znaleźć inny sposób.

Kopnął ścianę pod sejfem, zostawiając na kremowej powierzchni ciemny ślad buta.

- Taaa, na pewno tam są. Sama mi powiedziała. Razem z raportem tego pieprzonego detektywa. I zdjęciami. Jeśli policja znajdzie te papiery po jej śmierci, wersja z wypadkiem będzie dużo trudniejsza do utrzymania.

Freda nie słyszała odpowiedzi. Docierał do niej tylko wysoki, bez wątpienia kobiecy głos, jednak nie potrafiła rozróżnić słów.

- Nie wiem, czy to rozsądne... Na razie ciągle żyje... Ale to długo nie potrwa, wygląda, jakby wpadła pod rozpędzoną ciężarówkę. - Zarechotał. - To nie serial kryminalny, nikt nie będzie robił sekcji starej kobiecie, która spadła ze schodów. A nawet gdyby jakiś medyk sądowy ją oglądał, to nie CSI, żeby się domyślił, od czego ma tego guza czy kilka siniaków... Schowałem wystarczająco dobrze, nigdy nie znajdą. Nikt nie będzie przeszukiwał rynny, byłaś bardzo sprytna, kiziu-miziu. - Znów milczał przez chwilę, słuchając ćwierkania po drugiej stronie, a potem zaśmiał się rubasznie i powiedział: - No i jak miałbym odmówić? Będę za dwadzieścia minut. Możesz się już rozbierać.

Schował komórkę do kieszeni i wymaszerował dziarsko z gabinetu. Freda odprowadzała go spojrzeniem, z dezaprobatą marszcząc nos.

- Może jeszcze grę wstępną za ciebie odwali, buraku leniwy - mruknęła, a potem podpłynęła do sejfu. Był masywny, stalowy i nawet ona nie zdołałaby zajrzeć do środka.

Odczekała, aż mąż Stanisławy odpali silnik, a potem wyjedzie z garażu. Z cichym furkotem elektronicznych silniczków zamknęły się za nim drzwi i brama wjazdowa. Odjechał, aż zapiszczały opony na asfalcie.

Freda przepłynęła na tyły domu i dała sygnał dziewczynom. Miały trochę czasu. Jeśli typ ucinał sobie drzemkę po seksie, nawet o pięć minut więcej.

*

Otwarcie sejfu zajęło Sylfidzie prawie kwadrans, ale gdy wreszcie stanął przed nią otworem, wiedziała, że było warto. Wyjaśniło się, dlaczego Andrzej Moczarski postanowił się pozbyć żony. Nie ma sądu, który nie uznałby, że papiery rozwodowe i intercyza z klauzulą wierności

w połączeniu z dowodami na romans małżonka to znakomity motyw morderstwa. Sylfida spakowała wszystkie dokumenty z powrotem do sejfu i zanotowała na kartce kombinację. Dopisała też cynk dla policji – koniecznie powinni sprawdzić rynnę.

Przez chwilę ona i Lukrecja stały na szczycie schodów. Ciągłe dawał się tu wyczuć zapach krwi, życia ulatującego ze Stasi i silnych emocji. Musiało dojść do potężnej awantury, bo po zwykłej sprzeczce nie zostałyby taki osad. Schody były strome, ale liczyły zaledwie czternaście stopni. Na ścianie u ich szczytu wisiało oprawione w złotą, bogato zdobioną ramę zdjęcie ślubne. Stanisława w eleganckiej łososiowej sukience uśmiechała się jak młoda, zakochana na zabój dziewczyna. Andrzej w stalowoszarym trzyczęściowym garniturze i pasującym do jej sukni krawacie, obejmował ją czule ramieniem. Fotografia wisiała w takim miejscu, że miało się wrażenie, jakby oboje patrzyli na schody – te same, na których ledwie kilka lat później pan młody próbował zamordować żonę.

- Zawsze mówiłam, z tymi młodszymi nie warto się hajtać – stwierdziła Lukrecja.

- A jeśli już, to lepiej go uprzedzić, że nie zostanie uwzględniony w testamencie ani polisie – dodała Sylfida.

- Skoro żadna z was nie chce mu naszczać do butów, zmywajmy się stąd, trzeba o wszystkim powiedzieć pozostałym – oświadczyła nadąsana Freda. Jedną z większych niedogodności niematerialnego stanu skupienia polegała na tym, że pozostanie małą, mściwą suką, którą była przez całe życie, wymagało teraz współpracy którejś z Harpii, a one nie zawsze podzielały jej skłonność do uprzykrzania życia bliźnim.

*

Greta czuła, że zaczyna jej się lekko kręcić w głowie. Powinna przerwać, zanim odda za dużo mocy, ale nie mogła. Wreszcie zauważyła, że powieki Stanisławy zatrzepotały jak skrzydełka motyla. Odetchnęła i oparła się ciężko na krześle.

W kieszeni jej kurtki rozdzwonił się telefon. Wyciągnęła go, domyślając się, kto dzwoni – córka musiała poczuć, że Greta sięga po magię stada. Wszędzie indziej obyłyby się bez tego, jednak w mieście bez magii nie miała innego wyjścia.

- Wszystko dobrze – zapewniła. - Więcej nie wezmę.

Młoda wilczyca westchnęła w słuchawkę.

- Mamo, możesz brać, ile chcesz, nie dlatego dzwonię. Jesteś ranna? Potrzebujesz pomocy? Powiedz, gdzie jesteś, a wyślę kogoś albo sama przyjadę.

Greta uśmiechnęła się pod nosem.

- Nie trzeba, nic mi nie jest. To nie siebie musiałam uleczyć, spotkałam wilczycę, która potrzebowała pomocy - wyjaśniła.

- Włączyłaś ją do stada? - zapytała Margo pozornie obojętnym tonem, jednak Greta nie dała się zwieść. Gdyby to zrobiła, obnażyłaby przed stadem to, o czym obie wiedziały, ale co dla dobra wszystkich powinno zostać tajemnicą.

- Nie martw się, nie bawiłam się w alfę. Po prostu pomogłam pewnej samotniczce będącej w potrzebie - wyjaśniła.

Margo wyrwało się ciche westchnienie ulgi.

- Będziesz niedługo w okolicy? Magala ma urodziny za trzy tygodnie - powiedziała, gładko zmieniając temat.

- Niewykluczone, że wpadnę na urodziny wnuczki. To chyba żaden problem? - Nie mogła się powstrzymać od małej złośliwości.

- Żaden, mamo - zapewniła Margo, a Greta niemal słyszała, jak córce pulsuje krew w uszach. - Zawsze jesteś u nas mile widziana.

Oczywiście, pomyślała Greta, bylebym nie rozgościła się na zbyt długo, bo członkowie stada mogliby się zacząć zastanawiać, czy jednak nie tęsknią za starą alfą.

- Będziemy z Harpiami w okolicy, ale zatrzymamy się u Narcyzy. Jej wnuczka dostaje tików nerwowych, kiedy odwiedzamy miasteczko na dłużej niż dwa dni. Na pewno wpadnę z wizytą i przywiozę małej coś ładnego - powiedziała najbardziej przyjaznym tonem, na jaki zdołała się zdobyć.

- Mamo... - Margo się zawahała. - Możesz nie dawać jej jeszcze żadnej broni?

- Palnej czy siecznej?

- Żadnej. Ona ma dopiero osiem lat.

- Niczego nie mogę obiecać - zastrzegła Greta. Uśmiechnęła się z wilczą satysfakcją, kiedy usłyszała pełne frustracji westchnienie córki. Ciągle to miała: potrafiła wyprowadzić ją z równowagi w kilka minut, choć Margo, jak przystało na alfę, pielęgnowała status twardej i opanowanej wilczycy. - Muszę kończyć.

Rozłączyła się, zanim Margo zdążyła odpowiedzieć. Tym razem Greta ucięła rozmowę nie przez złośliwość, ale dlatego, że dostrzegła nagłą zmianę parametrów Stasi. Powieki rannej znów zatrzepotały, z tym że teraz zobaczyła jasnoniebieskie tęczęwki, gdy kobieta rozglądała się dookoła z wyraźną dezorientacją. Pojękując, poturbowana wilczyca próbowała usiąść, ale gdy podparła się zagipsowaną ręką, zawyła z bólu.

- Spokojnie, jesteś w szpitalu, jesteś ranna, wszystko będzie dobrze - powiedziała Greta, odruchowo nasycając swój głos uspokajającą mocą alfy.

Stanisława szarpnęła całym ciałem, jakby próbowała zwiększyć dystans między nimi. Patrzyła na Harpię przerażona, pobladła, a z jej gardła wyrwało się warknięcie.

- Nic ci nie zrobię - zapewniła Greta. - I to nie ja tak cię urządziłam - dodała, bo wydało jej się, że w tych okolicznościach to istotne zastrzeżenie.

- Mój mąż - wykrztusiła Stanisława. Brzmiała, jakby jej struny głosowe poszarpał papier ścierny.

Greta kiwnęła głową.

- Tak podejrzewamy, w sumie nigdy nie miałaś dobrego gustu w kwestii facetów. Harpie się nim zajmują. Ja próbuję cię postawić na nogi. Jeśli mogę zauważyć, z niezłym skutkiem.

Stasia patrzyła na nią nieufnie.

- Co tu robisz? - zapytała.

Greta westchnęła i znów opadła na krzesło. Teraz ta trudniejsza część...

- Przyjechałam cię przeprosić. Za wtedy. Za to, jak cię potraktowałam. I to przez tego dupka żółędnego. Jest mi naprawdę, naprawdę przykro, że byłam wredną suką, że ci groziłam, zmarnowałam ci życie, doprowadziłam do tego, że wyrzucili cię ze stada i z rodziny, o czym zresztą nie wiedziałam...

- Jak mnie znalazłaś? - zapytała cicho Stasia.

- Narcyza odkryła internet, a w nim artykuł o wypadku.

Stanisława skinęła głową, jakby z ulgą, że Harpii nie doprowadził do niej jej własny błąd.

- To nie był wypadek - oznajmiła z goryczą.

Drzwi do sali uchyliły się z cichym skrzyknięciem, a w progu stanęły Narcyza i Kiki.

- Myślę, że powinnaś o tym opowiedzieć srebrnemu lisowi - stwierdziła ta druga. - Jest przydzielony do twojej sprawy i ma mnóstwo wątpliwości co do przebiegu zdarzeń, jaki przedstawił twój mąż. Ucieszy się, że żyjesz i możesz rzucić na sprawę nieco światła.

Stanisława westchnęła i ręką w gipsie zasłoniła oczy.

- A więc to nie Zaświaty, nie niebo - powiedziała do siebie. - Mogłabym uwierzyć, że w niebie spotykam Gretę, która mnie przeprosza, ale nie ma możliwości, by wpuścili tam Narcyzę Koźlak. Za to ja nie zrobiłam nigdy nic wystarczająco złego, by zasłużyć na piekło.

*

Tryby sprawiedliwości, oliwione temperamentem sierżanta Badury, kręciły się sprawnie. Andrzej Moczarski i jego kochanka, Mariola Kupiec, zostali aresztowani. Srebrny lis nie mógł uwierzyć w swoje szczęście - nie dość, że wbrew wszelkim kalkulacjom lekarzy ofiara nagle się ocknęła, to na dodatek jej pamięć działała bez zarzutu. Ordynator szafował słowami takimi jak „cud” i „sukces medycyny”, ale Badura wiedział, że czasami ludzie są po prostu zbyt uparci, żeby umrzeć. Stanisława Berg bez wątpienia do nich należała. I nie była idiotką - w sejfie, do którego dała mu szyfr, znalazł dowody zdrady i papiery rozwodowe.

I te jej koleżanki... Badura nie wiedział, co o nich myśleć, poza tym, że go niepokoiły i drażniły jego policyjny instynkt. Sprawdził numery rejestracyjne ich pojazdów, ale niczego nie znalazł.

Był w szpitalu, kiedy cudownie ozdrowiała Stanisława Berg o własnych siłach opuściła oddział. Kompania dziwacznych starszych pań w srebrzystych kamperach odwiozła ją do domu i towarzyszyła jej przez kilka następnych dni. Jakby musiały się upewnić, że on, Badura, wykona swoją robotę jak należy, a Moczarski skończy za kratkami. Sierżant czuł, że patrzają mu na ręce. Nie szkodzi. Nie miał nic do ukrycia.

On też je obserwował przez tych parę dni, kiedy kręciły się po mieście, zachowując się, jak gdyby należało do nich. Aż wreszcie ruszyły w drogę. Wcześniej podjechały przed komisariat i wywołały go przez dyżurkę na parking przed budynkiem. Najwyraźniej chciały się pożegnać, bo nadszedł czas, by opuściły miasto. Dopóki nie opadł kurz za ich zderzakami, nie dowierzał swojemu szczęściu.

*

Harpie ruszyły w dalszą drogę zaraz po śniadaniu, by dotrzeć do Zielonego Jaru jeszcze za dnia. Ledwie opuściły granice Strzelna Kujawskiego, połączyły się przez CB-radio.

- Co za miejsce - mruknęła Narcyza, wzdrygając się na samo wspomnienie.

- Suche jak pustynia. Nie wiem, jak ona może tam żyć. Ani czemu nie chciała wrócić z nami - dorzuciła Sylfida.

- Może jeszcze zmieni zdanie. Teraz, gdy jej wilczyca nabrała sił, wcale jej tam miło nie będzie - powiedziała Greta.

- Czujesz się lepiej? - dopytywała Kiki. - No wiesz, z tym całym przepraszaniem, zadośćuczynieniem, głaskaniem sumienia i budowaniem relacji?

- Spierdalaj, Kiki - burknęła wilczyca.

- Ja tylko pytam! Bo jeśli to twoje nowe hobby i zaczniemy odwiedzać wszystkie ofiary twoich dawnych grzechów, to ja bym chciała wiedzieć zawczasu. Żeby nie planować żadnych wakacji na najbliższą dekadę! - Nawet mimo zakłóceń słyszały jej stłumiony śmiech.

- Przyznaj, Kiki, kusiło cię, żeby sobie wziąć tego srebrnego lisa na pamiątkę - wtrąciła Narcyza, zanim przyjaciółki zaczęłyby się kłócić.

- No kusiło, pyszny kąsek, ale z takiego miasteczka to nawet magnes na lodówkę strach wziąć, bo to przeklęte miejsce - odparła Kiki.

- Myślisz, że to jak z obciążonym klątwą egipskim grobowcem? Wynosisz skarby na własne ryzyko? - zapytała rozbawiona Sylfida.

- Kto ich tam wie? Aż taki fajny nie był, żeby ryzykować ściągnięcie sobie klątwy na głowę.

- Kiedy nazwał cię „najmłodszą z naszego grona”, prawie zesłam. Gdyby wiedział! - parsknęła Narcyza.

Kiki wydała z siebie prychnięcie.

- Pokazałam mu cycki, metryki już nie musiał widzieć!



*

Pięć srebrnych kamperów zaparkowało wzdłuż ulicy przed domem Koźlaczek. Sześć Harpii wytoczyło się ze środka i zaczęło tańczyć jak naprane szopy, wymachując ramionami i wydając z siebie okrzyki radości.

- Co one krzyczą? - zapytała Malina, podchodząc do stojącej na werandzie matki.

- Najwyraźniej: „Magię pij do dna!” - odpowiedziała Aronia, wyłuskując z blistra tabletkę na zgałę. Zawsze kiedy babcia Narcyza i Harpie były w pobliżu, jej zapotrzebowanie na leki zobojętniające kwas żołądkowy rosło.

- Myślisz, że są pijane? - Malina wydawała się zafascynowana podrygami staruszek, przypominającymi plemienny taniec.

- Obawiam się, że one tak całkiem na trzeźwo - stwierdziła Aronia. Walczyła w niej radość z tego, że babka dobrze się bawi i korzysta z najlepszych lat życia, z niepokojem, który czuła jako burmistrzynie, pragnąca dla swojego miasteczka nade wszystko bezpieczeństwa i stabilizacji.

- Jeśli się rozbiorą, sąsiedzi pewnie znów zadzwonią na policję - zauważyła Malina.

- Grześ nie takie rzeczy już widział, musi się zaprawiać w boju. To nie są jedyne szalone wiedźmy w okolicy - skwitowała Aronia i wróciła do domu.

Potrzebowała kieliszka wina albo relanium. A najlepiej jednego i drugiego.

RUJA I PORUBSTWO



LILIANA

Na koniec coś lżejszego. Żadnych trupów i zagadek, co najwyżej zaskakująca liczba penisów i dioptrii.

Dowcip zaczyna się następująco: wchodzi Malina i Liliana Koźlak do urzędu celnego. Co może pójść nie tak?

Mam nadzieję, że ta historia rozbawi Was nie mniej niż mnie. I przypomni, że nie ma cytryn, z których nie dałoby się zrobić lemoniady. A także tych, którzy tego potrzebują, popchnie do działań roztropnych: odłączenia karty kredytowej od profilu na AliExpress oraz badania wzroku.

Klasyczne Koźlaczki – uczą, bawiąc. Do łez.

Klon Drzewiecki, bystry zielony mag, a prywatnie mój chłopak, od dawna powtarza, że powinnam stworzyć komiks o swojej rodzinie. Twierdzi, że samo by się pisało i rysowało, wystarczyłoby przelewać na papier to, co Koźlaczki odwalają właściwie każdego dnia. Biorąc pod uwagę wyczyny moich ciotek, matki, siostry, kuzynek i ich dzieci, a już zwłaszcza prababki Narcyzy, tematy nie skończyłyby mi się nigdy. Powstałoby coś jak Koźlaczkowe Multiwersum Szaleństwa albo Koźlaczkowa Kolekcja Komiksowa (oj nie, to drugie odpada ze względu na skrót). Uznałam, że chyba nie jestem na to gotowa.

Bo też nigdy nie zdołam przewidzieć, jaką ścieżką poprowadzą mnie moje krewniaczki. Jednego dnia walczę ze znarowioną czarną owcą rodziny, by obronić przed nią na wskroś magiczne dzieciątko zrodzone z wiedźmy i demona i jako superbohaterka przeżywam swoje pięć minut chwały. Innym razem niczym wiedźmia wersja Nancy Drew prowadzę śledztwo czy jak bohaterka komedii omyłek dźwigam trupa w labiryncie. Czasem natomiast przytrafia się dzień, gdy pozornie niewinna historia prowadzi do takiego nagromadzenia penisów, że komiks z miejsca oberwałby oznaczeniem „Tylko dla dorosłych”, a do księgarń trafiłby zafoliowany i został wepchnięty na półkę gdzieś między popularne yaoi a nieco wstydlive tentacle.

Poza tym nie wiem, czy potrafiłabym wiernie zobrazować wszystkie penisy, które wówczas widziałam. Czy udałoby mi się oddać indywidualność każdego, czy stałyby się po prostu morzem różowych penisów bez właściwości?

Nigdy nie sądziłam, że przez ciotkę Lilę, młodszą siostrę mamy, będę miała ich pełne garście.

Zaczęło się od potężnego huku – niedającego się z niczym pomylić odgłosu gnieczonego metalu tuż za progiem StarBunny. Barnaba uniósł głowę znad gazety i cmoknął z dezaprobatą.

- No ładnie – powiedział, choć zza kontuaru nie mógł widzieć, co się stało.

Próbowałam zobaczyć cokolwiek przez okno, ale drzewa mi zasłaniały. Za to moich uszu dobiegła intensywna i wartka wiązanka przekleństw, dziwnie znajoma. Znać było w niej szkołę prababci Narcyzy.

Wybiegłam przed kawiarnię i faktycznie, rozpoznałam wiśniową skodę octavię ciotki Lili. Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, nie parkowała na znaku drogowym informującym o końcu parkingu, z otulającym słupek zderzakiem i maską kłapiącą jak bezzębna szczeka.

- Ciociu! Jesteś cała? - zawołałam, podbiegając do drzwi od strony kierowcy.

Ciotka, klnąc jak marynarz, próbowała wrzucić wsteczny, ale tylko zahaczyła o betonowy klomb i samochód zaklinował się na dobre. A co gorsza - drogę odwrotu całkowicie zablokował radiowóz, który właśnie podjechał i stanął za autem Lili.

Za kierownicą siedział Grześ Drzewiecki, wyraźnie poirytowany. Wysiadł, rozprostował swoje niemal dwumetrowe ciało i podszedł, zdeterminowany i poważny, do sprawczyni zdarzenia.

- Liliano Koźlak, co ci mówiłem o prowadzeniu auta bez okularów? - zapytał gniewnie.

- Nie mam okularów! - odkrzyknęła Lila zza kierownicy.

- I w tym problem! - odpowiedział jej twardo. - Wsiadaj albo będę cię musiał aresztować!

- Za co? - burknęła ciotka, a ja otworzyłam drzwi i prawie siłą wyciągnęłam ją z samochodu, bo znów zaczęła szarpać dźwignię zmiany biegów, jakby obudził się w niej duch Steve'a McQuinna.

- Ciociu, co by powiedział Antoni Małecki? - szepnęłam jej do ucha.

- „Nie eskalować, chyba że warto” - odparła i westchnęła głęboko.

Chwała bóstwom wszelakim, uznała, że tym razem nie warto. Co tylko dowodziło, że ani jedna złotówka zapłacona naszemu demonicznemu prawnikowi za jego porady nie szła na marne. Miałam pewne wątpliwości, kiedy zdecydował się osiąść w Zielonym Jarze na dłużej i stwierdził, że dawno nie widział tak dziwnego i pojebanego miejsca, ale musiałam przyznać, że odkąd krążył po okolicy, żadna z Koźlaczek nie trafiła za kratki na dłużej niż kilka godzin. Zdołał nawet anulować europejski list gończy za Narcyzą, więc mogła - ku uldze Aronii - opuścić miasteczko.

Grześ nie tracił czasu na gadanie, po prostu wypisywał mandat.

- I poproszę prawo jazdy - dodał, wręczając cioci wypełniony blankiet.

Lila nagle oklapła, jakby kara okazała się szpileczką, która ostatecznie przebiła jej balon bojowego nastroju.

- Ale ja go potrzebuję! Muszę jechać do urzędu celnego! Nie możesz mi go zabrać! - błagała.

Grześ pozostał niewzruszony. Być może do pracy w policji predysponowało go głównie to, że wydawał się całkowicie odporny zarówno na Koźlaczkowe gromy, jak i na słodkie słówka oraz niewinne minki moich krewniaczek. Po prostu wykonywał swoją robotę, a my nie miałyśmy innego wyjścia, jak tylko go za to szanować.

- Lila, jesteś ślepa jak kret. Nie możesz jeździć bez okularów. Przejdiesz badania, odzyskasz prawko - powiedział i wystawił dłoń, czekając, aż piratka drogowa położy na niej dokument.

- Ale ja jestem trzeźwa jak świnia! Czy nie zabieracie prawka tylko pijanym kierowcom? - dopytywała.

- Nie wątpię w twoją trzeźwość, skoro się jednak upierasz, mogę ci kazać dmuchnąć w alkomat. Nikt na trzeźwo nie przegapiłby znaku drogowego i murowanego klombu!

Grześ splótł ramiona na piersi i patrzył z góry na moją filigranową, jak większość Koźlaczek, ciotkę.

Lila szykowała się do wytoczenia kolejnych argumentów, ale wiedziałam, że przegra. Grześ był nieugięty i racja leżała po jego stronie. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że ciocia potrzebuje okularów. Sama widziałam, jak praktycznie szura nosem po kartce, by przeczytać treść ulotki kremu, a gdy ostatnio pomachałam jej z odległości może dwudziestu metrów, pomyliła mnie z Jagodą. Była jednak uparta, trochę próżna i odmowa wizyty u okulisty stanowiła pokłosie jej kryzysu wieku średniego. Lila skończyła czterdzieści dwa lata i ciągle trochę przeżywała tę czwórkę z przodu, jakby nie miała przed sobą pewnie i stu lat więcej, o ile żywotność Narcyzy mogła posłużyć jako prognoza.

- Ciociu, oddaj posterunkowemu prawo jazdy - poprosiłam, poklepując ją po ramieniu. - I lepiej zadzwoń do warsztatu, by odholowali auto.

- Nie przesadzajmy z tym holowaniem, troszkę się zderzak wgniół, po to jest - zaprotestowała.

Grześ tylko westchnął i podprowadził ją bliżej, a potem palcem pokazał wyciek jakiegoś płynu spod maski, którego mała kałuża zebrała się już na chodniku.

- Widzisz to czy mam przynieść szkło powiększające? - zapytał.

Ciocia, wzdychając i pomrukując coś pod nosem, wyciągnęła z torebki portfel, z niego prawko i bez protestów oddała je Grzesiowi. Wypisał jej pokwitowanie i nie czekając, aż Lila to zrobi, zadzwonił po lawetę.

- I jak ja się teraz dostanę do urzędu celnego? - zapytała zdenerwowana ciotka. - Przez tego leniwca kuriera muszę tam jechać po odbiór paczki! Bo oczywiście nie mógł mi jej przywieźć, o nie, muszę pojechać po nią do miasta!

„Miasto” wśród mieszkańców Zielonego Jaru oznaczało Piotrków Trybunalski, dawną stolicę województwa, bite pięćdziesiąt kilometrów od nas. Tam się mieścił najbliższy urząd celny.

- Jutro mam wolne, mogę cię tam zawieźć - zaproponowałam. - Przy okazji możemy wpaść do salonu optycznego i załatwić wszystko od ręki.

Burknęła coś niewyraźnie, ale kiwnęła głową.

I pomyśleć, że gdyby nie moja ciekawskość, nie wzięłabym udziału w jednej z najdziwniejszych eskapad w historii - a tu Koźlaczki poprzeczkę stawiały wysoko. Kto by wpadł na to, że upór mojej ciotki w kwestii korekty niedowidzenia doprowadzi do tego, że zobaczę więcej penisów, niż kiedykolwiek miałam w planach?

*

Zwykle trasa między Zielonym Jarem a Piotrkowem zajmowała mi maksymalnie czterdzieści minut. Dziś wlokłam się ponad półtorej godziny przez roboty drogowe, ruch wahadłowy i rozkopane skrzyżowanie na drodze dojazdowej. Dziękowałam losowi, że jechałam autem Aronii, z klimatyzacją, wygodnymi fotelami i nieprzyzwoicie bogatą kolekcją CD, głównie ze ścieżkami dźwiękowymi musicali, bo z jakiegoś powodu nic nie sprawiało mojej mamie większej przyjemności w czasie długiej jazdy niż aria Marii Magdaleny z Jesus Christ Superstar albo piosenki z West Side Story. Ciotka Lila natychmiast po zajęciu miejsca pasażera rzuciła się do wybierania muzyki, dlatego stojąc w korku, po raz piętnasty słyszałam Mam tę moc - najlepszy dowód na to, że ciocia ma córki w wieku wczesnonastoletnim. Żadna z moich krewniaczek, których dzieci liczyły mniej niż dziesięć lat, nie mogła już znieść tej piosenki po przesłuchaniu jej w ostatnim czasie trylion razy.

- Po co właściwie jedziemy do urzędu celnego? - zapytałam, gdy ciocia ponownie włożyła całe serce w zapewnienie, że zimno nigdy jej nie przeszkadzało, i już trzymała palec na guziczku, by puścić nagranie od początku.

- Zamówiłam coś z AliExpress - powiedziała. Chwila rozproszenia wystarczyła, by zaczęła się kolejna piosenka, Człowiek zwierzęciu jest

wilkiem, jakże pasująca do opowieści o zderzeniu z urzędem celnym. Po chwili milczenia Lila dodała: – Możliwe, że uznali to za wystarczająco wartościowy przedmiot, żebym musiała opłacić cło. Choć niewykluczone, że jakaś dewotka zobaczyła zawartość paczki i postanowiła mnie przeczłgać.

– Ciociu, są rzeczy, które stanowczo lepiej kupować w miejscach mających atesty i normy jakości, zwłaszcza jeśli przedmiot ma mieć potem dosyć, hmm, intymny kontakt z ciałem – zasugerowałam.

– Przecież nie kupiłabym wibratora z Chin, takie rzeczy wolę sobie, że tak powiem, przymierzyć do ręki – odpowiedziała niewzruszona.

Teraz już naprawdę mnie zaintrygowało, co innego mogłoby zaalarmować dewotkę i spowodować zatrzymanie paczki. Lila nie zamierzała trzymać mnie w niepewności.

– W sumie nie pomyliłaś się zbyt wiele, bo penis to penis, nawet jeśli nie na baterie. Jest dziełem sztuki, choć nieco mniej użytkowej niż dildo czy wibrator – wyjaśniła.

W głośnikach Czesław Mozil przyznawał, że nie miał z upałem bezpośredniego kontaktu latem, ale lubi sobie o nim pomarzyć, bo nie ma to jak lód w lecie. A ja wiedziałam, że nigdy już nie będę mogła słuchać muzyki z *Krainy lodu*, nie myśląc o cioci Lili i chińskim penisie. Wtedy jeszcze sądziłam, że chodzi o pojedynczą sztukę.

*

Coś było nie tak. „Nientego”, zgodnie ze ścieżką dźwiękową z *Krainy lodu*. Nie wiem, co konkretnie sprawiło, że odniosłam takie wrażenie. Może chichotanie urzędniczki? Albo kpiące spojrzenia strażników pokazujących nas sobie palcami? A może to, że zamiast po prostu wydać nam paczkę uznano za konieczne zaproszenie nas na rozmowę z „górami”?

Zostałyśmy zaprowadzone na piętro i szłyśmy długim korytarzem pomalowanym paskudną brzoskwiniową farbą, spod której odprysków wylał się równie ohydny odcień groszkowej zieleni. Na drzwiach wisiała tabliczka informująca nas, że to gabinet naczelnika, a ten na nazwisko ma Rzeźnik. Rzeczony okazał się postawnym blondynem pod pięćdziesiątkę, który wyglądał, jakby właśnie wrócił z wakacji w Tunezji – a przynajmniej sugerowała to jego opalenizna. Niebieska koszula z krótkim rękawem podkreślała brąz skóry i błękit oczu niczym niezapominajki.

Urzędniczka, która przyprowadziła nas do gabinetu, nachyliła się i szepnęła coś przełożonemu na ucho, a on kiwnął głową, wyciągnął z szuflady teczkę i powiedział:

- Pani Koźlak, przyznam, że nie mogłem się doczekać, kiedy się pani zjawi po swoją przesyłkę.

- A ja przyznam, że oczekiwałam dostawy do domu, więc w ogóle nie planowałam tej wizyty - odparowała Lila, marszcząc brwi.

Też musiała wyczuć, że naczelnik Rzeźnik jest w nazbyt dobrym humorze. Nie należy ufać urzędnikom państwowym, którzy mają dobry humor, to bowiem prawie zawsze oznacza, że jesteś w tarapatkach. I mówię to jako córka Aronii Koźlak, będącej w końcu urzędniczką państwową.

- Przesyłka okazała się za duża, by obciążać nią listonosza - powiedział, a kącik jego ust podejrzanie zadrżał.

- Nie przesadzajmy. Podejrzewam, że jednak chodzi o zawartość - rzuciła butnie Lila.

- No, jest ona dosyć... unikalna - stwierdził Rzeźnik i przysłonił usta dłonią, niby w geście zadumy, nie zdołał jednak ukryć uśmiešku.

- Nie tak unikalna, jak się każdemu mężczyźnie wydaje - odpowiedziała ciocia, zaplatając ramiona na piersi.

- Jakie zastosowanie przewiduje pani dla zamówionego towaru? - zapytał rzeczowo urzędnik.

- A skąd to zainteresowanie?

- Ludzka ciekawość - przyznał.

Lila przewróciła oczami.

- Zastosowanie wyjdzie w praniu, może pan zaznaczyć w tabelce, że to sztuka użytkowa. Czy ja mogę wreszcie otrzymać swoją przesyłkę? Szkoda mojego i pana czasu na te śmieszki. - Ciotka zaczęła tracić cierpliwość.

- Mnie tam nie szkoda czasu - powiedział i teraz już jawnie się szczyrzył. - Ale oczywiście, jest pani zajęta kobietą, więc odprowadzę panią i osobiście wydam paczkę.

- Proszę się nie kłopotać - burknęła Lila - na pewno są słabiej opłacani ludzie do takich zadań.

- Oj, nie mógłbym tego przegapić - rzucił, podrywając się z fotela.

Co, do jasnej cholery? Uczynny urzędnik w dobrym humorze? Koniec świata jest blisko czy wszyscy naćpaliśmy się sporyszu?

Wielkie pomieszczenie zastawione było regałami i dużymi blatami, a na wszystkich leżały paczki, pakunki, pudła, skrzynie pełne większych i mniejszych torebek oraz kopert bąbelkowych i tekturowych. Wśród nich znajdowała się przesyłka zaadresowana do ciotki Lili. Miałam nadzieję, że działa tu jakiś system umożliwiający identyfikację przesyłek, bo inaczej, próbując odszukać paczkę samodzielnie, nie wyszłybyśmy stąd przez najbliższy rok czy dwa.

Najwyraźniej się rozeszło, że przyjechała Liliana Koźlak, ta od dziwnej paczki, bo pracownicy urzędu ciągnęli do hali jak pszczoły do miodu. Czułam oblepiające nas spojrzenia, słyszałam chichoty. Tymczasem Rzeźnik energicznym krokiem zaprowadził nas do wielkiego pudła, w którym z łatwością bym się zmieściła.

- Pani towar jest w środku - oznajmił z wyraźnym rozbawieniem.

Lila patrzyła w zdumieniu na wielgaśne pudło.

- Niemożliwe, zamówiłam jedną sztukę, pięćdziesiąt gramów, do tego wybrałam opakowanie w wersji eko - powiedziała, choć w jej głosie nie słyszałam pewności.

- Na pewno ucieszy panią, że prośba została spełniona. Karton jest z tektury, wypełnienie z papierowych wiórków, bibulek i ekochipsów, sądzę, że ze skrobi kukurydzianej. Ani odrobiny plastiku poza taśmą klejącą na zewnątrz pudła - poinformował Rzeźnik jowialnym tonem.

- To chyba dobrze - zauważyłam, wciąż nie rozumiejąc, co się tu dzieje.

- W szerszej skali każdy mały gest ma znaczenie - przyznał. - Nie chce pani zajrzeć do środka?

- Ale to nie może być moja paczka - powtórzyła Lila. - Przecież waży znacznie więcej niż pięćdziesiąt gramów!

- Pięćdziesiąt kilogramów, by być dokładnym. - Rzeźnik pokiwał głową.

- Och... - szepnęła Lila. - Pięćdziesiąt kilogramów to naprawdę kawał kamiennego penisa.

- Nie jest tak źle - pocieszył ją. - Nie zamówiła pani z Chin gigantycznego członka z różowego kwarcu, tylko pięćdziesiąt kilogramów malutkich kwarcowych penisków, a ściślej, według opisu na liście przewozowym: „Pięćdziesiąt kilogramów rytualne płodności wzwód dla

dorosłych przyjacielu prezent”. Sprzedawca naprawdę się postarał z tym opisem, jest taki wymowny, poetycki prawie.

- Pan się za dobrze bawi - burknęła Lila.

- Czy można się bawić za dobrze? - zapytał filozoficznie, szczerząc się w szerokim uśmiechu. - Dostarczyła nam pani rozrywki, to na pewno. Musieliśmy rozpakować paczkę i sprawdzić, czy faktycznie zawiera tylko penisy z kwarcu. Zapewne ucieszy się pani, że owszem, nie ma tam żadnej kontrabandy. Wystarczy, że pani podpisze, o tu - powiedział, podtykając cioci pod nos plastikową podkładkę z pokwitowaniem i długopis.

Lila odruchowo podpisała.

- No i pięknie. Może pani zabrać swoją przesyłkę choćby w tej chwili.

O cholera... Pudło mierzyło prawie metr wysokości, dobrze ponad pół metra szerokości i tyleż głębokości. I ważyło pięćdziesiąt kilogramów. Więcej niż ja czy Lila.

- Może nam pan pomóc? - zapytałam z nadzieją.

- Niestety. Ani ja, ani moi ludzie nie możemy podnosić więcej niż trzydzieści pięć kilo, kwestia ubezpieczenia. Są więc panie zdane na siebie - odparł, uśmiechając się jak kot z Cheshire.

*

Próbowaliśmy, naprawdę. Zapierałam się, Lila ciągnęła, a potem się zmieniałyśmy. Przesunęliśmy pakę kilkanaście centymetrów po podłodze, ale jedyne, co osiągnęliśmy, to że karton zaczął się rozjeżdżać. I bez wątpienia dostarczałyśmy rozrywki pracownikom urzędu, sapiąc jak skrzaty usiłujące podnieść lokomotywę. Wszyscy zdawali się czekać na coś, co było dla nich oczywiste, a ja potrzebowałam chwili, by się przyznać do porażki.

Bo dotarło do mnie coś jeszcze. Nawet gdybyśmy wypychały pakunek centymetr po centymetrze przez kolejną godzinę czy dwie - bo tyle mogła zająć droga przez wielką halę, długi korytarz i kawał parkingu - i tak nie wpakowałybyśmy kartonu do niewielkiego bagażnika.

- Czy mogłybyśmy dostać kilka mniejszych pudełek? - zapytałam uprzejmie.

- Dostać to nie, ale może pani kupić opakowania zastępcze albo koperty foliowe, choć to nie będzie już takie ekologiczne - odpowiedział

Rzeźnik, a ja walczyłam z pokusą, by pacnąć go w tę opaloną kwadratową szczękę.

- Poproszę - burknęłam.

Kiwnął komuś i po chwili młoda kobieta przyniosła kilkanaście spakowanych na płasko kartonów.

W żaden sposób nie dało się tego zrobić gładko i elegancko.

Nabierałam pełne garście penisów i przekładałam je z wielkiego pudła do mniejszych, upewniając się na bieżąco, że zdołam podnieść nowe opakowania i że nie rozwali się dno żadnego z nich, bo sama myśl o pełzaniu po podłodze i zbieraniu tych cholernych figurek na oczach zataczającego się ze śmiechu Rzeźnika i reszty personelu doprowadzała mnie do rozpacz.

Urzędniczka, która przyniosła nam kartony, bez słowa składała kolejne, wzmacniała dna taśmą klejącą, wyklejała bibułkami i wałającymi się wszędzie ekochipsami, czyli robiła wszystko to, co nie wymagało od niej zanurzania dłoni w morzu różowych penisków. Tę część roboty zostawiła mnie i cioci Lili, która posepnie milczała, wyraźnie wkurzona. Nie wiedziałam, czy złości się na siebie, na okoliczności, rechoczących urzędników, czy może na fakt, że wraca do Zielonego Jaru bogatsza o niecodzienny zapas wyrobów sztuki użytkowej. Peniski były różnych rozmiarów, niektóre ledwie dwu- lub trzycentymetrowe, inne wielkości kciuka albo nieco większe. Musiały ważyć od pięciu do dwudziestu pięciu gramów, co przy pięćdziesięciu kilogramach przesyłki dawało ile? Gdzieś między trzema a dziesięcioma tysiącami kamiennych fiutków.



Nie podejrzewałam, że nauka matematyki przyda mi się właśnie do tego rodzaju obliczeń. Oto zadanie, które mogłoby trafić do zestawu maturalnego z matematyki: „Masz pięćdziesiąt kilogramów penisów z różowego kwarcu. Ile potrzebujesz pudełek wytrzymujących obciążenie nie większe niż dwa i pół kilograma, by je zapakować? Ile będziesz potrzebować wypełnienia zabezpieczającego, by nie doszło do przypadkowych aktów obrzezania? Ile razy pokonasz trasę między magazynem a oddalonym o dwieście metrów samochodem, by spakować wszystkie egzemplarze sztuki erotycznej, które zdarzyło ci się przez pomyłkę kupić na chińskim portalu aukcyjnym?”.

A najzabawniejsze, że one zostały naprawdę ładnie wykonane. Nawet w przypadku tych najmniejszych zadbano o anatomiczną precyzję. Zachowano proporcje, starannie odwzorowano wszelkie szczegóły, łącznie z wyłobieniami, żyłkami, a czasami nawet włoskami wygrawerowanymi na mosznach. Ktoś się nad tym solidnie napracował. Robota ewidentnie była ręczna i nieszablonowa - wydawało się, że nie ma dwóch identycznych egzemplarzy, co podkreślały różne odcienie różowego kwarcu, od przejrzystego kremowego różu po barwę truskawkową.

Gdy byłam gdzieś w połowie przenoszenia garściami kamiennych członków, zaczął do mnie docierać komizm tej sytuacji. Nie mogłam zachować powagi i chichotałam. Lila rzuciła mi rozdrażnione spojrzenie, ale tylko wzruszyłam ramionami, bo traktowanie tego serio wcale nie pomagało.

Urzędniczka, zaklejając kolejne pudełko taśmą, pochyliła się w moją stronę i zapytała konspiracyjnym szeptem:

- Jeśli może pani powiedzieć... Po co właściwie tej pani te wszystkie kutaski?

- Pojęcia nie mam, jeżeli mam być szczerą. Na pewno jednak się dowiem.

- A może mi pani wtedy dać znać? Naprawdę mnie to nurtuje - powiedziała i uśmiechnęła się nieśmiało, a jej policzki przybrały barwę różowego kwarcu.

Zanotowałam w komórce jej adres mailowy i obiecałam, że wyślę wiadomość, gdy tajemnica zostanie już rozwikłana.

Pomogła nam nosić pudełka do samochodu. Zaparkowałyśmy od przodu budynku, więc teraz musiałyśmy przejść przez cały urząd i pokonać kilka schodów, co wykluczało użycie wózka.

Opróżniłam bagażnik, przekładając na tylne siedzenie kalosze mamy i skrzynki, w które zwykle pakowała warzywa, będąc na zakupach, po czym władowałam do niego czternaście pudełek.

Lila siedziała już w samochodzie. Milczała. Odpaliłam auto i zapytałam:

- Gdzie teraz? Do domu czy do optyka?

Westchnęła.

- Do optyka. Naprawdę potrzebuję okularów.

Najwyraźniej skoszone słupki i znaki drogowe to jedno, a pięćdziesiąt kilogramów penisów - coś zupełnie innego.

- Jak kosztowny był ten błąd w zamówieniu? - zapytałam, wycofując się z parkingu i włączając się do ruchu.

- Boję się sprawdzić - przyznała.

- Chyba nie podłączyłaś karty kredytowej do konta na AliExpress? - zapytałam przerażona.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła z torby komórkę i przez chwilę sprawdzała swoją aplikację bankową. Westchnęła raz i drugi.

- Jak źle jest?

- Chujowo. Nomen omen. Wyczerpałam limit karty prawie do zera. Jestem w plecy prawie pięć tysięcy.

- To daje około dziesięciu kilogramów penisów za tysiąka, całkiem uczciwa stawka - zażartowałam.

Ciotka sapnęła i znów zaczęła stukać w ekran komórki. Domyśliłam się, że odłącza kartę od konta i kasuje aplikację.

- Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi fiutkami? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia. Pewnie coś, co pozwoli mi odzyskać choć część tej forsy. To dla mnie naprawdę kupa kasy.

- Nie martw się, coś wymyślimy. A co miałaś zamiar zrobić z tym jednym dużym penisem?

- Chciałam dać Filipie, w przyszłym miesiącu przyjeżdżając z Tomem do Zielonego Jaru świętować jej trzydzieste piąte urodziny. Stara się o dziecko, więc uznałam, że różowy kwarc nie zaszkodzi, w końcu w grę wchodzi silna magia płodności. Poza tym taki absurdalny prezent byłby sygnałem, żeby nie traktowała tematu śmiertelnie poważnie, bo wpędza się w nerwicę. A przy okazji stresuje Toma. Wyobraź sobie, że zadzwoniła z pytaniem, czy niemagicznemu mężczyźnie można podać eliksir na

wrzody i czy ten zadziała bez codziennej inkantacji, bo Tom nie najlepiej radzi sobie z łaciną.

Ciocia Filipa była najmłodszą z sióstr mamy. Jako jedyna znana mi Koźlaczka większość czasu spędzała z dala od rodziny. Od piętnastu lat zawodowo jeździła po świecie jako autorka humorystycznych tekstów podróżniczo-kulinarnych. Jej blog miał miliony odsłon, a książki, które pisała, sfruwały z półek w księgarniach w szalonym tempie. Zawsze mi się wydawało, że ze swego pokolenia tylko ona całkowicie wyłamała się spod bardziej lub mniej subtelnej presji posiadania potomstwa, ale widać Koźlaczki mogą liczyć co najwyżej na odroczenie wyroku, nie na całkowite ułaskawienie.

- A ty się pilnuj, Malinko, bo jeśli im się wreszcie uda, natura poszuka kogoś do pary, wiesz, jak jest - dodała Lila i poruszyła wymownie brwiami.

Oj, wiedziałam. Koźlaczki tworzyły stado zsynchronizowane. Pół biedy, że nasze cykle dawno się zestroiły i połowa z nas ma PMS w tym samym czasie - to akurat mogłyśmy zwalić na księżyc. Gorzej, że ciąży w naszej rodzinie praktycznie zawsze szły w parach albo wybuchały jak małe epidemie. Jak wtedy, kiedy mama była w ciąży ze mną i jednocześnie dziecka spodziewały się trzy jej kuzynki. Wszystkie wylądowały na porodówce w tym samym miesiącu.

Gdy Jagoda zaszła w ciążę, pilnowałam antykoncepcji wręcz obsesyjnie, bo jak na złość żadna z naszych kuzynek akurat nie starała się o potomstwo. Szczęśliwie uderzyło nieco dalej i zaciążyła siostra Graba i Klona. Najwidoczniej naturze to wystarczyło.

*

Wizyta u optyka okazała się dość zabawna. Ciocia, kiedy już się pogodziła z tym, że musi używać okularów, miała dość jasne wyobrażenie, jakich potrzebuje oprawek, i udało się nam takowe znaleźć. Po badaniu wzroku optometra nie mógł uwierzyć, że do tej pory ciotka funkcjonowała bez szkieł.

- Oczy się pani nie męczyły? Głowa nie bolała? - dopytywał zaskoczony.

- A owszem, ale uznałam, że to część pakietu S.

Spojrzał na nią pytająco, więc wyjaśniła:

- Starości, proszę pana, starości.

Zarumienił się lekko i gorliwie zapewnił:

- Pani Liliano, do starości to jeszcze pani daleko, a oczy wymagają troski w każdym wieku.

To jakby odrobinę poprawiło humor cioci Lili. A może stały za tym kolorowe oprawki? W fioletowych wyglądała jak kocica z lat sześćdziesiątych, w czarnych - jak ikona feminizmu. Nie mogła się zdecydować, więc namówiłam ją na obie, a optometra osłodził jej tę decyzję czterdziestodwuprocentowym rabatem, czym chyba całkiem ją przekonał, że ten wiek ma swoje przywileje i należy z nich skorzystać.

W drodze powrotnej Lila nagle zaczęła chichotać.

- Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy teraz miały wypadek - wykrztusiła.

- Wolę nie, żadna frajda - odpowiedziałam zdziwiona.

- Tak, dla nas na pewno, odpukać, ale pomyśl o tych policjantach, którzy dojeżdżają na miejsce zdarzenia i widzą rozsypane wokół auta, jak okiem sięgnąć, różowiące się na czerni asfaltu penisy. A my, martwe albo nieprzytomne, nie możemy im tego wyjaśnić! Te rozkminy! To śledztwo!

W ataku śmiechu aż poklepywała się po udzie. Najwyraźniej przyszedł moment, kiedy komizm całego zdarzenia musiał uderzyć jej do głowy. Ja miałam swoją chwilę w magazynie urzędu celnego, ale i Lilę w końcu dopadł absurd tej sytuacji. Nie zrozumcie mnie źle, moja wyobraźnia była zdolna wyraziście odmalować tę scenę, tyle że zamiast skupiać się na rozsypanej na asfalcie zawartości bagażnika koncentrowała się na wizji naszych zwłok. Skupiłam się więc na bezpiecznym dowiezieniu nas do domu.

*

Ciocia Lila nie znalazła zastosowania dla kłopotliwej przesyłki. W ostatnich godzinach odmieniłam słowo „penis” tyle razy, że czułam potrzebę odpoczęcia od niego przez jakiś czas. Uznała więc, że pozostało jej tylko jedno.

Zwołać sabat.

Może tym różniłyśmy się najbardziej. Kiedy ja wpadałam po uszy w kłopoty lub zdarzyło mi się wywinąć coś naprawdę głupiego, co niechybnie stanowiłoby powód do żartów na rodzinnych spotkaniach, robiłam, co w mojej mocy, by reszta rodziny się o tym nie dowiedziała

albo by dotarło to do niej z opóźnieniem, najlepiej, gdy już rozwiąże problem.

Zdaniem mamy miałam po tacie niezdrowe ciągoty do kieszania się w samotności z własnymi kłopotami. To było „nie po Koźlaczkowemu”, bo przecież gdy ma się zmartwienie, najlepiej zwołać rodzinne spotkanie czy sabat, przegadać, zamarynować kwestię w herbacie i czerwonym winie, aż znajdzie się rozwiązanie lub zapomni, co spędzało człowiekowi sen z powiek.

Właśnie dlatego wszystkie ciotki i kuzynki, które akurat miały wolne popołudnie i przebywały w Zielonym Jarze, zgromadziły się nad kartonami pełnymi kamiennych frędzelków. Wyciągały je garściami, oglądały pod światło, podziwiałały anatomiczną dokładność (cytując ciotkę Minerwę: „O, nawet pomarszczone są jak trzeba!”) i artyzm wykonania. Jak stwierdziła Ruta, nic innego nie mogło jej w penisach męskich zainteresować, co oczywiście zachęciło ciotkę Różę do rubasznych żartów o penisach damskich, a to z kolei sprowokowało nas do szukania na YouTube odpowiednich scen z filmu *Nic śmiesznego*, gdy okazało się, że młodsze z Koźlaczek nie znały tej, jak to ujęła ciotka Róża, „perły polskiej kinematografii” i nie załapały żartu.

Potem przyszedł czas na burzę mózgów. Trzeba przyznać Koźlaczkom, że pomysłów im nie brakowało. Większość jednak nie gwarantowała osiągnięcia celu, który założyła sobie ciotka Lila, czyli przynajmniej częściowego odzyskania wydanych pieniędzy. Choć, nie ukrywam, że idea rozrzucenia w miasteczku tysięcy różowych dyndolków albo wysyłanie po jednym dziennie Dziurlikowskiemu przez najbliższą dekadę brzmiało naprawdę intrygująco.

- Muszę odzyskać tę forszę, dziewczyny! - zawołała ciotka Lila, wyraźnie podłamana. - Dopiero co zrobiłam remont gabinetu, wszystkie oszczędności utopiłam w firmie, nie stać mnie teraz na takie potknięcia!

- Wiesz, że możemy ci pomóc z tym długiem - zapewniła Róża, a Ruta uniosła kciuki.

- Z forszą zawsze najtrudniej - podsumowała Aronia. - Jak już znajdziecie sposób, by Lila odzyskała swoją kasę, może z rozpędu zdobędziecie środki na renowację studni zakochanych? Fachowiec podrzucił mi dziś kosztorys, dwadzieścia dwa tysiące za pakiet podstawowy. Rozważam napad na bank. Tylko jakiś obcy, nie będziemy Grzesiowi Drzewieckiemu komplikować życia.

A w moim umyśle nagle zderzyły się dwa zbłąkane neurony, być może lekko podpite czerwonym winem i osłabione długim dniem. Odstawiłam kieliszek (trochę zbyt energicznie) i zapytałam:

- Hej, a gdyby to połączyć? I rozwiązać oba problemy jednocześnie?

*

Letnie Bachanalia „Ruja i Porubstwo” okazały się gigantycznym sukcesem. Narobiłyśmy wokół tego wydarzenia sporo szumu, a oburzone konserwatywne media zrobiły nam lepszą reklamę, niż mogłybyśmy sobie wymarzyć. Ludzie zjechali się z całej Polski i przez trzy dni bawili się w Zielonym Jarze na całego. Były muzyka, food tracki i ogromny kiermasz rękodzieła. Wszystko łączył temat przewodni: ruja i porubstwo, a wizualnie – różowe penisy.

Widniały wszędzie – na zaprojektowanych przeze mnie plakatach, na stronie internetowej, którą na szybko skleciłam, w materiałach prasowych, na opakowaniach kosmetyków, biżuterii, amuletach na płodność i setce innych rzeczy. W życiu nie wpadłabym, jak kreatywnie mogą podejść do tematu artystyczne dusze naszego miasteczka. Do kwarcowych kutasów dołączyły te robione na szydełku, dmuchane ze szkła, a także penisowe wietrzne dzwonki! Można było sobie kupić nawet stosowne kolczyki czy wisiołek z różowego kwarcu. Albo pogłaskać pracę wyrzeźbione w lodzie, co ponoć spełniało trzy życzenia, o ile dotyczyły one płodności. Dla pewności chętni mogli nabyć na stoisku cioci Róży eliksir – w różowej buteleczce dla tych, którzy planowali potomstwo w najbliższym czasie, i w żółtej dla tych, którzy jeszcze chcieli się z tym wstrzymać. Na swoim straganie ciocia Lila eksponowała świece i ręcznie robione mydełka z zatopioną w nich, a jakże, różową niespodzianką. Na słoiczkach i butelkach z naturalnymi kosmetykami widniały okolicznościowe etykiety. Dużym powodzeniem cieszyły się saszetki z organzy, zawierające mieszankę ziół i kwarcowe penisy. Nawet Barnaba postanowił się włączyć w organizację Bachanaliów. W ofercie StarBunny znalazły się sprośne ciasteczka, a ja długo ćwiczyłam nalewanie spienionego mleka do filiżanki z kawą w taki sposób, by narysować wzór falliczny. Rysowanie serduszek było bez wątpienia prostsze, ale czego się nie robi, by wesprzeć rodzinę i lokalne wydarzenie lata!

Ciocia Ruta przygotowała dla równowagi kolekcję talerzy „waginalnych”. Sprzedała wszystkie, co ewidentnie świadczyło, że nie ona

jedna tęskniła za żeńskim pierwiastkiem, gdy cały dzień otaczają cię głównie penisy.

Oczywiście nie obyło się bez malkontentów, ale tych szybko spacyfikowały zyski wygenerowane przez turystów. Nawet Dziurlikowski wiedział, kiedy się zamknąć. Stowarzyszenie lokalnych przedsiębiorców okazało się w pełni usatysfakcjonowane z przychodów do kiesy miasta oraz kies własnych.

Największą przeprawę Aronia miała z księdzem Bogusławem. Bo jakże to, grzech, ruja, porubstwo, pornografia! Mama szybko mu przypomniała, że w Zielonym Jarze jego owieczki są w mniejszości. Poza tym, zapytała mimochodem, czyżby właśnie próbował ograniczać swobodę wyrażania przekonań religijnych wieźm, dla których ani seks, ani męska czy damska anatomia nie są niczym wstydliwym lub grzesznym? Może by jeszcze dyskutował (czasami nie miał dość rozumu, by się przymknąć), ale Aronia zakończyła temat wbiciem szpilki:

- Oczywiście jeśli ksiądz nie życzy sobie korzystać ze środków, które uznaje za zbrukane, plugawe i grzeszne, to nie musi. Pewnie zdoła ksiądz uzbierać na tacę dość pieniędzy, by wystarczyło na te dwie latarnie, o których trujecie od roku. Zrozumiem, jeżeli ksiądz odmówi sfinansowania ich z zysków z Bachanaliów, to w sumie kwestia zasad.

Ksiądz Bogusław odnalazł więc w sobie chrześcijańską łagodność dla grzeszników, a w ciele ludzkim nie doszukał się obrazy boskiej.

Na latarnie faktycznie starczyło. I na renowację studni zakochanych na rynku miejskim. Ba, jeszcze na postawienie wokół niej nowych ławek i nasadzenie drzew na skwerku.

Ciotka Lila zarobiła dość, by spłacić kartę. Co więcej, Bachanalia spodobały się mieszkańcom tak bardzo, że wyrazili chęć wpisania ich na stałe w kalendarz imprez Zielonego Jaru.

- Będę musiała zamówić więcej penisów z różowego kwarcu - oznajmiła ciocia Lila.

- Tylko się wcześniej upewnij, że masz na nosie okulary. Co, jeśli tym razem przysłaby przesyłka z jednym, ważącym pięćdziesiąt kilogramów? - zażartowała.

- Ustawilybyśmy go na skwerku i przyczepily do napletka kolorowe wstążki. Można byłoby wokół niego tańczyć, po szwedzku - odpowiedziała rozbawiona.

Bez wątpienia tak właśnie by zrobiła. Jedno było pewne: gdy szło o Koźlaczki, nie było cytryn, z których nie zdołałyby sporządzić lemoniady.

I tylko ja czułam lekkie zdenerwowanie, gdy rozeszła się informacja, że ciocia Filipa zaciążyła. Na szczęście niebawem dołączyła do niej moja kuzynka Oliwia, która mając już piętnastolatkę i jedenastolatkę, uznała, że właściwie tęskni za maluchami i dlaczego by nie. Jej mąż Staszek w kółko powtarzał, że ma przeczucie i teraz to na pewno będzie chłopak, ale nikt nie traktował jego słów zbyt poważnie. Zola i Lula wybrały już imię dla siostry. „Tola Koźlak” brzmi całkiem dobrze.

W całym tym zamieszaniu nie zostawiłam sobie żadnego kwarcowego penisa na pamiątkę tej przygody. Wszystkie, co do sztuki, się sprzedały. Ciocia Lila zamówiła kolejne dostawy. Tym razem w paczkach ważących do dwóch kilogramów, by kurier dowiózł je pod jej adres bez marudzenia. Jakoś żadna z nas nie spieszyła się do kolejnego spotkania z urzędem celnym.

A skoro o nim mowa – jestem prawie pewna, że w tłumie bawiących się pod sceną widziałam Rzeźnika. Lila twierdzi, że musiałam mieć przywidzenia, ale postawiłabym na to penisa – gdybym rzecz jasna jakiegoś miała.

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami sine qua non, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl